

STANISŁAW KRASOŃ

**JELENIOGÓRSKA
WYTWÓRNIĄ OPTYCZNA**

Jelenia Góra
2011

Szczególne podziękowania dla rodziny Stanisława Krasonia,
która na potrzeby niniejszej publikacji przekazała fotografie ze zbiorów rodzinnych.

Dziękujemy również Pani Hannie Majewskiej,
dzięki której mogliśmy poznać postać Stanisława Krasonia.



Fot. 1. Wycieczka rowerowa koło Jeleniej Góry, Irena, Stanisław i Andrzej Krasoniowie, 1960 r.

WSTĘP

Wydawało się, że po tym jak w Zgorzelcu UB gwałtem wyrwało mnie ze środowiska budowy, odbudowy i rozbudowy Przemysłu Materiałów Budowlanych (a właściwie z wąskiego zakresu tego środowiska), jakim był przemysł szklarski, który na razie dla budownictwa produkował szklane pustaki i luksfery oraz szklane cylindry do lamp naftowych, szczególnie pilnie potrzebnych w owym czasie kolejnictwu - to wyrwał mnie na zawsze, i że nigdy już do tego przemysłu nie wrócę, zważywszy na niecodzienny sposób pożegnania się z nim. Ale okazuje się, że słowa: „zawsze” i „nigdy” – to słowa-czeki bez pokrycia. Jeśli ktoś urodzi się obdarzony „skazą”, to już się jej nie pozbędzie do końca życia.

Zaraz po zwolnieniu mnie we Wrocławiu z Sądowej I, w Jeleniej Górze znowu trafiłem do Jeleniogórskich Zakładów Terenowego Przemysłu Materiałów Budowlanych, Przedsiębiorstwa Państwowego w Jeleniej Górze i otrzymałem w dniu 13.X.1951 roku angaż:

dn.13.X.1951 r.

*Jeleniogórskie Zakłady Przemysłu Terenowego Materiałów Budowlanych Jelenia Góra,
Przedsiębiorstwo Państwowe w Jeleniej Górze*

Referat Kadr

Ob.

Krasoń Stanisław

w miejscu

*Dyrekcja Jeleniogórskich Zakładów Przemysłu Terenowego Materiałów Budowlanych w Jeleniej Górze angażuje
Obywatela do pracy z dniem 12.X.1951 r. w charakterze kier. admin.-gospod - z gr. pł. V. + dodatek funkcyjny, na okres
próbny 3 mies.*

Dyrektor Naczelny

Adam Kirszenbaun

Kiedy dziś patrzę na kalendarz i porównuję daty, to muszę stwierdzić, że po tych ośmiomiesięcznych wczasach na koszt skarbu państwa nie bardzo się paliłem do podjęcia kolejnego odpowiedzialnego stanowiska w służbie państwowej. Nie wynikało to wcale z niechęci do pracy jako takiej. Te osiem tygodni od 25 sierpnia do 12 października 1951 roku były mi potrzebne na uregulowanie moich stosunków prywatno-prawnych wzburzonych ostatnimi przejściami. Przede wszystkim trzeba było wnieść skargę apelacyjną, bo rzecz jasna nie mogłem się pogodzić z wyrokiem skazującym mnie. Następnie należało uregulować stosunki prawne z ostatnim moim pracodawcą, tj. z Dyрекcją Szkła w Ministerstwie Przemysłu i Handlu, rozpatrzyć ich propozycje i sugestie. Wreszcie z całą masą różnych organizacji społecznych, do których należałem no i do Partii, której ciągle byłem członkiem mimo skazującego wyroku.

W „Terenówce” chętnie mnie przyjęli. Nawet nie żądali świadectwa moralności, gdyż mój poprzednik na zaoferowanym mi stanowisku, dyrektor Kwaśniewski przenosił się właśnie do rozpoczynającej się budowy jednego z większych obiektów planu sześcioletniego, sławnej „Celwiskozy”. Kwaśniewski miał się tam zająć przygotowaniem i urządzeniem placu budowy. Widział na tamtej budowie szersze horyzonty i większe możliwości w przyszłości. Zostawiał mi do zarządzania cały szereg (do dziś nawet nie wiem ile tego było) różnych zakładów: cegielnie, kaflarnie, wyroby kamionkowe, wyroby dachówek i cegieł licówek, drobne prywatne szlifiernie kryształów, wytwórnie szklanych ozdób choinkowych (popularnych „bombek choinkowych”), kamieniołomy i kopalnie piasku.

A więc końcem 1951 roku byłem w Przemysle Materiałów Budowlanych, tylko nie w Zarządzie Centralnym, a w zwykłych Zakładach Terenowych. Na szczęście trwało to niedługo. Minęło zaledwie kilka tygodni. Nie zdążyłem się nawet dobrze rozejrzeć w tym moim nowym gospodarstwie, kiedy dyrektor Kwaśniewski zaczął mnie „molestować”, abym rzucił tę „Terenówkę” i przeszedł do niego na „Celwiskozę” na kierownika działu, wszystko jedno jakiego, ale najlepiej – zatrudnienia. Obiecywał znacznie korzystniejsze warunki pracy i płacy oraz ogromne perspektywy awansu. „Terenówce” rokował natomiast szybką likwidację wobec trendu do centralnego sterowania przemysłem. Zacząłem się łamać. Wreszcie swym „molestowaniem” przekonał mnie i w dniu 15 grudnia złożyłem wypowiedzenie z terminem dwutygodniowym, gdyż jak wiadomo byłem zatrudniony jeszcze w okresie próbnym, a więc wystarczał dwutygodniowy okres wypowiedzenia.

Kiedy zjawiłem się na placu budowy „Celwiskozy” w nowym 1952 roku, dyrektor Kwaśniewski likwidował swoje agendy i przekazywał je ob. Kołodziejowi, bo sam wybierał się do Warszawy, gdyż podobno awansował na stanowisko rangi ministerialnej. Jego miejsce zajął ob. Kołodziej, a ja zgodnie z pismem z dnia

10.I.1952 r. zostałem zaangażowany w Zjednoczeniu Budownictwa Przemysłowego nr 2 w charakterze kierownika sekcji zatrudnienia na okres próbny do 1 kwietnia 1952 roku.

Chętnie wycofałbym się z tego interesu. Zwłaszcza kiedy popatrzyłem jak pan dyrektor Kwaśniewski w gumiakach po kolana, utyłany po pas brodzi w rzadkim błocie placu budowy, który miał za zadanie „urządzić”. Niestety taka refleksja przyszła trochę za późno!

Dyrektor definitywnie odchodził. Samemu trzeba było również założyć gumiaki i taplać się w błocie. Kiedy parę lat potem, oglądałem w telewizji serial *Czterdziestolatek* i z zainteresowaniem śledziłem perypetie i zmagania inżyniera Karwowskiego i majstra Maliniaka z rzadkim błotem na placu budowy, jak w gumiakach taplali się w kałużach rozjeżdżonej mazi, ich męki czułem niemal fizycznie, bo przecież kiedyś i ja coś podobnego w rzeczywistości przeżywałem.

Ale co tu dużo mówić, opisywać i powtarzać się. Toż to czyste gadulstwo! Starzeję się! Przecież wystarczyło krótko wspomnieć, że po zatoczeniu w ciągu tych prawie piętnastu lat kręgu, w którym różne firmy i przedsiębiorstwa stanowiły dłuższe lub krótsze przystanki, najdłużej (bo przez około 5 lat) zatrzymałem się w przedsiębiorstwie właśnie budowanym na Odcinku Budowy nr 2 „Celwiskoza”. Kiedy wreszcie wyrwałem się z tego zakłętego kręgu przemysłu budowlanego, szczęśliwie wylądowałem w zupełnie innym społeczno-towarzysko-usługowym środowisku z przemysłem materiałów budowlanych niemającym nic wspólnego (poza remontami wykonywanymi przez dzikich majstrów). z własnej winy opuściłem tę instytucję z miną pełną triumfalizmu, po to by wylądować znowu... w szkole. Bo chociaż dziedzina, w którą nieświadomie wkraczałem, nosiła wymyślną nazwę: „Przemysłu Mechaniki Precyzyjnej” (bardzo techniczno-naukową), to nazwa konkretnego zakładu brzmiała jednak nieco enigmatycznie.



Fot. 2. Irena Krasoń z synami - Markiem i Jackiem, 5 grudnia 1940 r.

JELENIOGÓRSKA WYTWÓRNA OPTYCZNA

Zajrzyjmy do środka i popatrzmy, co się pod tą nazwą tak naprawdę kryje. Szefem produkcji w JWO jest Mieczysław Hadaś. On najlepiej jest wtajemniczony w arkana produkcji zakładu, a i o jego historii też niejedno wie.

Według Hadasia:

- *Zakres produkcji wyrobów był dotąd bardzo szeroki i obejmował: szkło laboratoryjne, szkło techniczne (zupełnie jak i w Hucie Szkła Technicznego w tym czasie), szkło naturalnie odporne na ciśnienie, na temperaturę, działania chemiczne, szkła medyczne, chirurgiczne, szkło optyczne oraz prasówki ze szkła dla celów optycznych. Optyka wszelkiego rodzaju: obiektywy, szkła okularowe, lupy, pryzmaty, kondensatory i reflektory, poziomnice, szkła sygnalizacyjne: kolejowe, lotnicze i morskie.*

Pisało się, że zakład jest jednym z nielicznych tego typu na świecie, jednym z trzech w Europie. Zasadniczą jego produkcją miało być szkło optyczne. Niemcy od 1943 do 1945 roku wykonali w Jeleniej Górze 60 wytopów z tego 36 było udanych. Pierwszy polski udany wytop szkła optycznego miał miejsce w sierpniu 1946 roku. Następne wytopy bardzo systematyczne pojawiły się dopiero pod koniec 1947 roku i to jeszcze przy pomocy niemieckiego specjalisty. Rok 1950 to już 120 wytop szkła optycznego, a obecnie kolejny wytop szkła optycznego nosi nr prawie 5000. Dyrektorem Naczelnym JWO, czyli Jeleniogórskiej Wytwórni Optycznej był Edward Piwko. Po raz pierwszy nasze ścieżki skrzyżowały się w czasie, kiedy urzędowałem w Pieńsku, jako naczelnny dyrektor Kombinatu. On pracował wówczas w księgowości w Hucie Szkła w Łowej. „PIWKO” – Nazwisko jakby wyjęte z jakiejś burleski! Ale nikt sobie nazwiska nie wybiera. Jeśli komuś się nie podoba może je sobie zmienić. Tyle, że to kosztuje trochę trudu, chodzenia i gotówki. Ale ostatecznie „Piwko” – też nazwisko, wcale nie gorsze od wielu innych, jak: „Zając”, „Sroka”, „Wrona”, „Kawka” czy „Wozignój”! Tyle tylko, że jest w nim zawarty pewien groteskowy element lekceważenia, wywołujący mimowolny uśmiech na twarzy!

Jak się zwał, tak się zwał – byleby się dobrze miało - powiada ludowe porzekadło! Nie szukając daleko. w samej bowiem JWO pracuje para młodych Dzieciółów! Młode małżeństwo po studiach, oboje inżynierowie chemii. Wywołali w zakładzie sporą sensację, gdyż, jako pierwsi zdobyli się na własny samochód. w dodatku zagraniczny i importowany, marki „Trabant”.

Kiedy pierwszy raz zajechali nim na zakładowy parking, natychmiast znalazła się cała rzesza przyjaciół, znajomych i ciekawskich, którzy przyszli oglądać, podziwiać i po cichu... zazdrościć! Jak to zwykle w takich chwilach bywa, nie obyło się bez troski i światłych rad. O! Bo to właśnie troskliwi i uczynni masowo spieszyli z dobrymi radami. a to, że taki samochód bez obaw można trzymać i właściwie powinno się trzymać w nieopalanym garażu, ponieważ dykta gdy wysycha lubi się paczyć... Ale przecież ten samochód nie jest z dykty tylko z „*papier-mâché*”!. Właśnie! Dlatego dobrze jest trzymać w garażu kota, bo inaczej taki samochód mogą zjeść szczury!

Chociaż na pierwszy rzut oka mój nowy zwierzchnik wyglądał raczej na fryzjerczyka niż na dyrektora poważnego zakładu przemysłowo-produkcyjnego. Nosił się niezwykle elegancko: wyprasowany, ulizany, z białą chusteczką w butonierce, istny manekin reklamowy zdjęty z okna wystawowego małomiasteczkowej „Razury”. Choć wyglądał na półinteligenta, na swoim dyrektorskim stanowisku dawał sobie doskonale radę.

Cechowały go bowiem dwie bardzo ważne i istotne metody postępowania. Po pierwsze: „Nie przeszkadzać!”. Zgodnie z tym nie wtrącał się do problemów czy zagadnień czysto technicznych, merytorycznych, pozostawiając ich rozwiązywanie specjalistom. a specjalistów i to dobrych, umiał sobie dobierać. Drugą zasadą było utrzymywanie (i to możliwie najściślejszych) kontaktów ze wszystkimi znaczącymi, nomenklaturowymi osobistościami w mieście, powiecie i w Zjednoczeniu. Tu pomagała mu niezwykle cenna zaleta jaką posiadał, która niezmiernie ułatwiała mu współżycie, zwłaszcza ze zwierzchnikami: „lubił wypić, umiał pić i wiedział, z kim, kiedy i ile pić!”. Dlatego też na zakładzie niezwykle rzadko dochodziło do ostrych scysji i konfliktów. Różnice zdań na tle zagadnień produkcyjnych były szybko i gładko wygaszane zwykle przez przyjęcie zdania fachowców jako obowiązującego. Sprawy polityki kadrowej bywały na ogół rozwiązywane na wyższych szczeblach. w gabinetach I. sekretarzy partii i dyrektorów wydziałów kadrowych w Zjednoczeniach i Centralnym Zarządzie. Chodziło bowiem przeważnie o stanowiska będące w nomenklaturze.

Z tego ogromnego wachlarza produkcyjnego jaki na wstępie zaprezentował mi pan Mieczysław Hadaś niektóre asortymenty, przeważnie te manufakturowe już z produkcji wypadły. Zakład szybko i chętnie pozbywał się ich, nastawiając się na produkcję szkła optycznego na naprawę wielką i nowoczesną przemysłową skalę. Ilość gatunków tego szkła opracowanych i opanowanych przez technologów zakładu sięgała już podobno około 100, tj. prawie 50% tych, jakie produkują inne zakłady tego typu na świecie.

Ciekawe, że tak samo jak JWO w jednym tylko asortymencie, ale za to na wielką skalę przemysłową specjalizuje się Huta Szkła Technicznego, której dyrektorałem przez prawie 15 miesięcy w latach 1946-1947. Po odnalezieniu w smołowych ściekach drugiego pełnego kompletu maszyny Dannera do ciągnięcia rurek, hutę przebudowano, zmodernizowano: zamiast pieca donicowego do wytopu szkła – wybudowano dużą wannę przelewową i rozpoczęto produkcję ciągłą na dwóch ciągach rurek przeważnie do lamp neonowych lub tak zwanych świetlówek – ostatni krzyk mody w świecie techniki oświetleniowej ulic i wszelkiego rodzaju lokali publicznych: dworców, hal fabrycznych itp. jako źródło światła tanie, jasne, zimne... Całą dotychczas produkowaną drobnicę manufakturową przejęła Huta Szkła w Wołominie, która dla odmiany specjalizuje się w produkcji szkła ogniotrwałego, to znaczy takiego, które nie pęka przy nagłych zmianach temperatury ani też kiedy podgrzewa się je do wysokiej temperatury, znacznie wyższej niż np. 100°C. Huta w Wołominie reklamuje swoje wyroby ze szkła „żaroodpornego” twierdząc, że naczynia kuchenne wykonane z ich szkła z powodzeniem mogą zastąpić garnki i rondle aluminiowe czy emaliowane.

W JWO pozostał jednak jeden ciekawy i unikalny dział produkcji: dział poziomnic. Jest to klasyczna i prawdziwa manufaktura. Gospodarzem, kierownikiem, majstrem i jedynym robotnikiem-wykonawcą jest Stefan Matuszewski – uniwersalny twórca wszystkich rodzajów poziomnic.

Każda waga sklepowa czy magazynowa opuszczająca Lubelską Fabrykę Wag zaopatrzona jest i musi być, bo takie są przepisy, w poziomnicę od Matuszewskiego, pozwalającą taką wagę „spoziomować”. Również różne teodolity, goniometry i inne narzędzia geodezyjne zaopatrzone są w poziomnice z JWO. Nie wspominając już o „waserwagach” murarzy, cieśli budowlanych i innych betoniarzy. Niestety jest to już produkcja trąca „myszką”, skazana w dzisiejszych postępowych w technice czasach – na wymarcie.

Zaczęła się era lampy oscyloskopowej, która stopniowo drogą ewolucji, poprzez ciągłe zmiany i ulepszanie poszczególnych detali oraz elementów awansowała nagle do roli lampy kineskopowej i w poszczególnych laboratoriach fizycznych zjawiła się jako dziewięcio- lub jedenastocalowy odbiornik telewizyjny. Narodziła się „TELEWIZJA”, a przed JWO postawiono nowe, pilne zadanie. W relacji Działu Głównego Technologa JWO, któremu szefował młody, zdolny inżynier Andrzej Zytner (produkt nowej, powojennej edycji naszych wyższych uczelni) wyglądało to mniej więcej tak:

- *w roku 1957 uchwałą Prezydium Rządu polecono naszemu zakładowi uruchomienie produkcji elementów lamp kineskopowych. Założony bardzo krótki termin na rozruch wymagał pełnej mobilizacji*

całej załogi do realizowania postawionego zadania. Efektem tego wysiłku, na który złożyło się: przygotowanie technologiczne, budowa nowych agregatów i szkolenie pracowników było rozpoczęcie produkcji już w kwietniu 1958 roku. Dalszy rozwój tej produkcji natrafił na duże trudności w związku z niską jakością otrzymanych form do prasowania, z właściwym opanowaniem jakości masy szklanej na nowym i niezbadanym agregacie topliwym oraz z koniecznością praktycznego opanowania operacji prasowania. Dzięki ofiarnej pracy całego Wydziału Huty i personelu technicznego trudności pokonano. Wyniki produkcyjne poczynwszy od połowy roku 1959 są bardzo dobre i pozwoliły na obniżkę kosztów produkcji tych elementów znacznie poniżej wartości pierwotnie planowanych. Ufff! Ta, przytoczona właśnie relacja, mogłaby śmiało posłużyć, jako fragment klasycznego referatu wygłaszanego na zebraniu sprawozdawczo-wyborczym Rady Zakładowej, Zakładowego Komitetu Partii, albo z jakiejś innej okazji np. Rocznicy Rewolucji Październikowej lub też święta państwowego 22 Lipca.

Niezależnie od tego jakby do tej sprawy nie podchodzić fakt pozostaje faktem, że telewizja się już narodziła. Może jest jeszcze w powijakach, a może już raczkuje. W sklepach, w prywatnych warsztatach rzemieślniczych ukazały się w sprzedaży pojedyncze odbiorniki telewizyjne różnych zagranicznych marek. Chyba przemycane w częściach, a następnie tu w Polsce montowane. Podobno jednak nie najlepszej jakości. Tak samo jak i pierwsze polskie odbiorniki: „Wawel”, „Belweder” czy „Wisła”. Zresztą nie odbiornik był głównym problemem. Przemysł, jak widzimy był nastawiony na pilną produkcję elementów odbiorników telewizyjnych, a w Piasecznie koło Warszawy z rozmachem rozpoczęto już budowę zakładu giganta produkcji odbiorników telewizyjnych. Znacznie ważniejszy problem stanowiło zagadnienie emisji programu telewizyjnego, tak, aby jego zasięg obejmował jak największy obszar kraju. Jak wiadomo telewizja pracuje na falach o wielkich częstotliwościach, czyli na falach ultrakrótkich, które rozchodzą się prostoliniowo i nie mają właściwości omijania przeszkód jak to robią długie fale radiowe (o małych częstotliwościach). Każda przeszkoda rzuca cień, a i zasięg samych fal jest stosunkowo niewielki. Dlatego, aby objąć emisją jak najobszerniejszą połąć kraju, musi się wybudować, wykorzystując wszelkiego rodzaju wzniesienia, sieć wysokich stacji przekaznikowych.

Rzeźba terenu sprawiła, że mogliśmy w szybszy sposób korzystać z programu lokalnego nadawanego z Katowic, a na program ogólnopolski musimy czekać, aż zostanie ukończona budowa stacji przekaznikowej na Ślęży pod Wrocławiem. A Wrocław? Wrocław miał zaklepaną telewizyjną stację nadawczą, prezentowaną na targach w Poznaniu. Ale Poznaniacy nie wypuścili urzędnika z miasta, przepłacili, podkupili, zatrzymali i zainstalowali u siebie. Wrocław musiał jeszcze te parę lat poczekać na swoją stację regionalną.

Inżynierowi Dzięciołowi samochodu najbardziej zazdrościł (tego jego „Trabanta”) główny księgowy JWO – Zbigniew Ciupek, który uważał i dawał to na każdym kroku do zrozumienia wszystkim, że w JWO jest on co najmniej drugą osobą w zakładzie, zaraz po dyrektorze naczelnym. Ale to tylko niefortunny zbieg okoliczności tak sprawił. Bo tak naprawdę, gdyby chodziło o talent i inteligencję, to ho!!!..., ho!!!... daleko dyrektorowi do niego. Nie wiem jednak z jakich powodów i czym się kierował, ale nie kupił sobie samochodu. Mówił, że nie chce małpować Dzięciołów. Sprawił sobie motocykl. Wspaniałą SHL-kę! Motocykl produkcji Suchedniowskiej Huty Ludwików. Był to wspaniały motocykl! Na rynku już od dość dawna ukazywały się motocykle Warszawskiej Fabryki Motocykli – tak zwane „WueFeMki” (WFM), ale one nie zachwyciły. Kiedy jeszcze pracowałem na Odcinku Budowlanym nr 2 „Celwiskoza”, miałem możliwość dostania talonu na przydział takiego motocykla. Nie byłem jednak zainteresowany i talon odebrał zamiast mnie Matuszewski, technik budowlany z odcinka. Ale ta SHL-ka Ciupka zachwyciła mnie i nie dawała mi spać. a Ciupek pysznił się nią jak paw. Cóż było robić. Największą przeszkodę stanowił oczywiście brak gotówki – tych głupich 11000 zł., które ta maszyna kosztowała. a poza tym potrzebne było prawo jazdy, którego mi również brakowało. Wobec tego zdecydowałem się, dla zwiększenia promienia działania wycieczek krajoznawczych kupić 4 (słownie: cztery) rowery turystyczne produkcji Bydgoskiej Fabryki Rowerów – dla mnie, dla Irki, dla Andrzeja i dla Janusza! Odtąd korzystając z wszystkich wolnych i pogodnych dni, przykładowo w czwórkę, całą rodziną urządzaliśmy sobie zbiorowe rajdy rowerowe w bliższej czy dalsze okolice Jeleniej Góry. Początkowo wycieczki takie cieszyły nas i bawiły, jako nowość i odmiana w naszym codziennym powszednim życiu. Poza tym pozwalały poznać nieco dalsze, a ciekawe okolice miasta. Miały jednak pewną wadę, czy może niedogodność, która jednak coraz bardziej dawała o sobie znać. Wkrótce praktyka wskazała, że po spenetrowaniu bliższych okolic spowszedniały nam one, a dalsze wycieczki rowerowe stawały się zbyt męczące. Doszliśmy do wniosku, że tereny góryste w jakich przyszło nam żyć, nie bardzo nadają się do wycieczek rowerowych i rajdów turystycznych. Górzysta Jelenia Góra to nie płaskie i równe jak dobrze wypoziomowany stół Niderlandy. Tam cały kraj jest tak płaski, że można po nim jeździć rowerem jak po stole, ale też za to widoki i krajobrazy są płaskie i równe, urozmaicone jedynie sylwetkami wiatraków przepompowujących wodę z kanałów do morza.

Wreszcie w styczniu 1960 roku Marek zawiadomił nas, że zostaliśmy dziadkami! Coś podobnego! Coś niewiarygodnego! My dziadkami! a jednak! Marek zawiadamiał uroczyście i z niemałą dozą dumy, że został ojcem Joasi. a Irka babcią, a ja dziadkiem! i wtedy przyszła refleksja: „Toż ja mam już 52 lata i niejeden siwy włos na skroni. Czas jednak niezwykle szybko mija i zdradziecko zbliża się wiek emerytalny. Ale cóż zrobić? Czasu nie da się zawrócić!”.

Przykład Ciupka, który po kawaleryjsku ujeżdżał swoją SHL-kę, jakoś tak zmobilizował innych amatorów motoryzacji, że Rada Zakładowa z inicjatywy jej Przewodniczącego Zygmunta Kordasa i sekretarza Rady – Woźniaka, postanowiła zorganizować na zakładzie, w ramach ćwiczeń Ligi Obrony Kraju (LOK), kurs jazdy na motocyklu, przy niezwykle niskiej opłacie. Oczywiście pilnie poszukiwali amatorów, bo im liczniejszy będzie kurs, tym niższe będą koszty. Część z nich pokrywała Rada Zakładowa, a część LOK w taki sposób, że uczestnik płacił tylko nieznaczny procent kosztów. Mając na uwadze, to że tereny wysokogórskie nie nadają się do jazdy rowerowej i patrząc zachwyconym okiem na wspaniałą SHL-kę, z którą równać mogła się tylko niemiecka MZ-ka, bo już czeskiej „Jawie”, choć była lepsza od WFM-ki daleko było do SHL-ki. Postanowiłem odżałować te parę groszy, skorzystać z okazji i zapisać się na kurs. Tym bardziej, że nauka jazdy odbywała się na terenie zakładu i w czasie pracy (wszystko w ramach ćwiczeń LOK-u). Może kiedyś przyda mi się taki papierek. A nuż bym jakimś cudem zdobył na SHL-kę? i na stare lata, wraz z kilkunastoma innymi amatorami motoryzacji, kręciliśmy się dookoła placu, przez długie tygodnie ćwicząc zawzięcie jazdę jak zakłęci.

Lato tego roku zapowiadało się na upalne. Do tej pory w różnych instytucjach i zakładach, w których pracowałem, tak się jakoś składało, że nigdy nie mogłem wykorzystać urlopu w miesiącach letnich – w lipcu czy sierpniu. Najlepszym miesiącem dla mnie był przeważnie maj, chociaż podobnie jak kwiecień bywa kapryśny. Ale inne były jeszcze gorsze.

W tym roku, kiedy już w JWO jakoś się zadamowiłem i zostałem zaakceptowany przez społeczność zakładu, w wyniku czego na jednym z najbliższych zebrań sprawozdawczo-wyborczych do Komitetu Zakładowego Partii zostałem wybrany olbrzymią przewagą głosów na I. Sekretarza Komitetu Zakładowego, ku osłupieniu załogi, prominentów zakładowych i miejskich. Drugim z kolei po mnie, co do ilości zebranych głosów, był faworyt, popierany przede wszystkim przez kierownictwo Komitetu Miejskiego partii – Stanisław Pluskota, zresztą mój sąsiad, mieszkający również na Wzgórzu Partyzantów tuż obok, dwa czy trzy domy dalej. Pochodził gdzieś z Ukrainy. Ożeniony z Ukrainką, która nie potrafiła nawet mówić po polsku. Ojciec dwojga dzieci. Ponieważ nie miałem żadnych aspiracji, aby oddać się pracy politycznej, wybór ten był dla mnie w pewnym stopniu zaszczytny, ponieważ świadczył o zaufaniu jakim ludzie mnie darzyli. z drugiej jednak strony był trochę krępujący i nietrafiony ze względu na to jakie oczekiwania i nadzieje jakie żywili wszyscy partyjni promieni. Wyczuwając więc niezadowolenie i rozczarowanie z wyniku wyborów z jednej strony, a z drugiej moje pod tym względem skrępowanie oraz idąc naprzeciw oczekiwaniom i chęciom niektórych wpływowych chcących zmiany wyniku ludzi – wspaniałomyślnie rzekłem się funkcji jaką w drodze wyborów obdarzyli mnie

zebrani na rzecz Stanisława Pluskoty, pozostając jedynie zwykłym szeregowym członkiem egzekutywy. Co niektórzy taką decyzję przyjęli nawet z aplauzem, ale niezbyt liczni.

Czując teraz za sobą sympatię i poparcie załogi, postanowiłem to jednak jakoś wykorzystać. Rada Zakładowa posiadała na składzie w swym majątku różny sprzęt turystyczny: namioty, kajaki, śpiwory, kuchenki turystyczne, itp. Owy sprzęt Rada wypożyczała swym członkom w ramach akcji socjalnej. Oczywiście, nie było go na tyle, aby pokrywał całkowite zapotrzebowania wszystkich chętnych. Dlatego w sezonie korzystali z niego rzecz jasna tylko niektórzy, "wybrani". Zarządzał nim sekretarz Rady – Woźniak. Do niego też po namyśle zwróciłem się z prośbą o wypożyczenie mi na lipiec (bo na ten miesiąc miałem zaplanowany w tym roku urlop wypoczynkowy) dwuosobowego namiotu, dwóch śpiworów, kuchenki turystycznej i jakichś tam jeszcze drobiazgów. Zaplanowałem sobie bowiem by w tym roku wykorzystać cały swój miesięczny urlop na urządzenie nie wycieczki, a włączyć po kraju rowerami wraz z całą rodziną. z całą rodziną – to brzmi dumnie! a tu tak się jakoś zrobiło, że cała moja rodzina zredukowała się w Jeleniej Górze do zaledwie trzech osób (na szczęście tylko przejściowo): mamy, taty i Janusza. Marek, już teraz ojciec rodziny o wakacje i wczasy musi starać się we własnym zakresie i na własny rachunek. z takim niemowlakiem ma na pewno pełnię ojcowskiego szczęścia. Jacek również wyrwał się z domu, hula więc po świecie i korzysta z pełni wolności i swobody. Do rodziców i tak wpada na chwilę „jak po ognie”. Andrzej też już prawie kawaler, wspólnie z Edkiem Markiewiczem, jak Kastor i Polluks, czy Lelum Polelum, kombinują jak spędzić wakacje na koloniach letnich czy obozach urządzanych przez szkoły i komitety rodzicielskie. Trochę to dziwne i napawa smutkiem, kiedy rodzice stają się coraz mniej potrzebni dzieciom. Ale mamy jeszcze przy sobie Janusza. Ten rajd dookoła Polski to właściwie chcę zrobić z myślą o nim i dla Irki, aby się trochę rozejrzeli po naszej Ojczyźnie. To przecież dla niej uczyć nas żyć i umierać. Wobec takiego obrotu sytuacji także kłopoty znacznie się zmniejszyły. Sądzę, że wyposażenie, o które zabiegałem u Woźniaka powinno nam wystarczyć. Woźniak na moją „petycję” zrobił zdziwione, wielkie oczy! Przecież nie należałem ani do jego „kumpli”, ani też nie zaistniała jeszcze między nami taka zażyłość, która upoważniałaby mnie do ubiegania się o wypożyczenie sprzętu turystycznego z Rady Zakładowej. z drugiej jednak strony nie mógł mi formalnie odmówić. Bo jeśli już uzyskałem w Zakładzie prawo do pełnego, miesięcznego urlopu to uzyskałem również wszystkie inne uprawnienia i przywileje jakby pochodne od tego prawa. Poza tym zostałem członkiem egzekutywy, jednej z najważniejszych instytucji wewnątrzzakładowych – Komitetu Zakładowego Partii!

Musiał więc biedny sekretarz Rady Zakładowej szukać jakichś wiarygodnych wybiegów czy wymówek, aby mi odmówić. Zaczął zatem kręcić i mieszać. Sądził, że potrafi mnie byle czym spławić. Jednak przez

dotychczasowy okres pobytu w Zakładzie potrafiłem to i owo zaobserwować, wiele się domyślać, a co najważniejsze już nauczyłem się jak w trudnych okolicznościach należy grzecznie i spokojnie rozmawiać z towarzyszami, jak argumentować, aby ich przekonać i skłonić do ustępstw. Aż kolega Woźniak dał się namówić. Dzięki temu na okres urlopu miałem już zapewniony sprzęt turystyczny dla całej trójki.

Teraz kiedy Janusz chodził już do szkoły i był na tyle wykształcony, że mogłem mu spokojnie powierzyć poważne i odpowiedzialne zadanie, usiedliśmy do opracowania programu, a zarazem „Regulaminu”.

1. *Kapitanem wyprawy krajoznawczej ustanowiony jest Janusz Krasoń, lat 11.*
2. *Cel wyprawy: poznanie naszego kraju od gór aż po brzegi morza, stąd docelowy kres wyprawy to wybrzeże Morza Bałtyckiego.*
3. *Ponieważ wyprawa ma mieć charakter krajoznawczy, ale w ramach urlopu wypoczynkowego, nie może dążyć do żadnych wyczynów siłowych, winna być raczej spokojnym spacerkiem. Wobec tego maksymalna szybkość poruszania się powinna zawierać się w granicach 10-12 km/h, a całodzienny przemarsz średnio w granicach 40 km/h, ale nigdy nie powinien przekroczyć 60 km/h.*
4. *Trasę należy wybrać tak, aby prowadziła mniej więcej zgodnie z biegiem rzeki, „z górki”. Przy czym należy unikać dróg o dużym ruchu pojazdów, aby z jednej strony nie pętać się i nie przeszkadzać na ruchliwych trasach i samemu nie narażać się niepotrzebnie na niebezpieczeństwo kolizji. z drugiej strony przy magistralach trudno spodziewać się znalezienia obszarów sielskich, mogących służyć relaksowi, a my mamy w naszej wycieczce relaksować się, czyli wypoczywać!*

Zgrubsza nakreśliliśmy sobie trasę wiodącą z Jeleniej Góry przez Złotoryję, Chojnów, Polkowice, Głogów, Nową Sól, Babimost, Trzciel, Międzychód, Drezdenko, Dobiegniew, Piłę i Koszalin aż do morza. Ogólną długość szacowaliśmy na około 600 km. w jednym kierunku. Oczywiście trasę tą traktowaliśmy jako szkicowy projekt, jako wytyczną, którą życie i praktyka miały zweryfikować. Ponadto zobowiązałem kapitana wyprawy do przygotowania szkicowego planu trasy z zaznaczeniem najważniejszych punktów, w pobliżu których zamierzaliśmy robić dłuższe postoje. Zakładaliśmy bowiem, że nie będziemy kwaterować w miastach, miasteczkach czy we wsiach. w żadnych zabudowaniach, stodołach i chałupach, a będziemy biwakowali w namiocie, w lasach czy na polach, nad brzegami rzek lub jezior. Dobrze byłoby więc orientacyjnie takie miejsca według mapy z góry wytypować i oznaczyć przypuszczalną odległości między nimi. i wreszcie na kapitanie będzie spoczywał obowiązek prowadzenia dziennika wyprawy, w którym każdego dnia na biwaku powinien wpisywać najważniejsze wydarzenia z danego dnia. A więc: trasę, jej przebytą długość, spotkane miejscowości i ciekawe obiekty. Aby ta podróż nie „przeminęła z wiatrem”, a pozostał po niej jakiś wiarygodny ślad, w każdej miejscowości, siedzibie gminy czy powiatu, przez którą będziemy przejeżdżali, kapitan zobowiązany jest zgłosić się do sekretariatu gminy lub powiatu. Tam przeprowadzi z jej przedstawicielem krótki wywiad na temat historii miejscowości, jej zabytków historycznych, ciekawostek oraz uzyska na piśmie (to

znaczy przez wpisanie do dziennika wyprawy) potwierdzenie wyprawy i bytności (jakieś ewentualne uwagi wpisującego są mile widziane, tj. podpis i funkcja wpisującego oraz urzędową pieczęć). Po ustaleniu tych rzeczy, zaczęliśmy myśleć o rzeczywistych przygotowaniach do tej wyprawy.

A tymczasem Józek Chwist, a właściwie Zygmunt, bo takie było jego prawdziwe nadane na chrzcie imię („Józek” to była jego ksywka), a właściwie jego żona, Basia, nie wiem już pod jakim pretekstem zaprosiła nas na kawę. Prawdziwym jednak powodem, tego dość nieoczekiwanego zaproszenia była chęć pochwalenia się nowym nabytkiem, tzn. nowym, pięknym telewizorem. Właśnie ukazały się na rynku (na razie za żółtymi firankami) nowe 14-calowe telewizory polskiej produkcji, ale już na poziomie światowym, z serii szlachetnych kamieni – „Turkusy” i „Szmaragdy”. Właśnie takiego „Turkusa” zafundowali sobie Chwistowie w sklepie na Paulinum. Mieli teraz pretekst, aby nas zapraszać „na telewizję”. Jakie programy emitowano? To było obojętne, ponieważ oglądało się wszystkie na okrągło, jak leciały. Wszystkie były nowością, wszystkie były ciekawe. Zresztą nie było wyboru. Jelenia Góra i tak miała szczęście, bo docierały do niej sygnały telewizyjne z Katowic. Lokalna stacja telewizyjna w Katowicach miała urzekający sygnał wywoławczy. Był wygrywany melodyjnie na uroczym ksylofonie, w którym jednak zastosowano zamiast drewnianych płytek również dźwięczne, ale ciężkie stalowe kowadła.

Wczesną wiosną, chyba 1961 roku, 12 kwietnia po raz pierwszy w historii Ziemi znalazł się w Kosmosie i w statku kosmicznym noszącym nazwę „Wostok”, człowiek – Jurij Gagarin, kosmonauta radziecki i okrążył w nim Ziemię po orbicie okołoziemskiej w ciągu godziny i 40 minut.

Przed nim statki kosmiczne były już wystrzeliwane przy pomocy rakiet i krążyły po orbitach okołoziemskich jako satelity Ziemi. Pierwszą żywą istotą wystrzeloną w przestrzeń kosmiczną na „Sputniku” była suczka o wdzięcznym imieniu Łajka.

Jakby dla upamiętnienia tego epokowego wydarzenia, Janusz przyniósł ze szkoły maleńkiego szczeniaka. Czarny, puszysty kłębuszek, takie coś niemrawe, ledwo się ruszające. Ktoś tam chciał go utopić jako kłopotliwy przybytek, a Janusz ulitował się i przyniósł go do domu. w domu oczywiście odbyła się z całą pompą ceremonia targów. Mama nie dopuszczała nawet myśli, żeby szczeniak miał w domu pozostać:

- *Będzie mi tu śmierdział i paskudzi. a kto będzie po nim sprzątał?* - pytała.
- *Psa trzeba regularnie wyprowadzać na spacer. a kto będzie z nim wychodził?*

- *Bo ja nie!* – zarzekała się.

Janusz prosił, obiecywał, przyrzekał i opowiadał jak to będzie pilnie się nim opiekował, sprzątał po nim i wyprowadzał na spacer – takie normalne dziecinne obiecanki na dziś aby tylko osiągnąć swój cel, a o których zwykło się bardzo szybko zapominać. Nie wtrącałem się do tych targów z góry wiedząc jaki będzie ostateczny wynik tych twardych negocjacji. a swoją drogą psiak był ładny. Cichy, spokojny i ciągle jeszcze spał. Był bardzo młody. Janusz nazwał go „Morus” bo był cały czarny. Niewielką białą łatkę miał tylko na jednej łapce i na szyi pod brodą. Miał tam niewielką białą „krawatkę”. Bardzo ładnie pił mleko z łyżeczki. Rojza, nasza kotka, po przybyciu przed laty do naszego domu, zarekomendowała się zaraz pierwszej nocy urządzając potężne safari, którego efektem było osiem dorodnych myszy, myśliwskim zwyczajem ułożonych pokotem równo na leżance. Morus natomiast zarekomendował się zupełnie inaczej. Może mniej spektakularnie, ale nie mniej zadziwiająco. Już od dawnych, bo jeszcze panieńskich czasów pani Irena, dziś już poważna matrona, matka dorosłych synów miała taką sobie swoistą słabośćkę, którą tradycyjnie i nieprzerwanie kultywowała. Lubiła sobie mianowicie, gdzieś w porze drugiego śniadania przekąsić bułkę „kajzerkę” i pięć deko „kielbasy”. To już było uświęcone tradycją. Sama dbała o to, aby tradycję stale kultywować i dlatego troszczyła się by na piecu na wbitym specjalnie w tym celu gwoździu, stale wisiały dwa lub więcej pęta kielbasy i podsuszały się. Podsuszona kielbasa na „pięć deko” nadawała się podobno jeszcze lepiej, a poza tym w tych zaopatrzeniowo nie bardzo pewnych czasach, trzeba było zabezpieczać się przed przykrymi niespodziankami, robiąc na wszelki wypadek zapasy. A kielbasę podsuszało się, aby się nie psuła. Morusowi Janusz urządził postanie pod piecem, pod wiszącą na haku, zresztą wysoko kielbasą. Właśnie poprzedniego dnia Pani zawiesiła na gwoździu na piecu nowy zapas, dwa czy trzy pęta. Następnego dnia rano ubierając się do pracy zauważyłem, że przez noc zapas zmniejszył się o całe pół pęta. Trochę mnie to zdziwiło, bo i pora była nieodpowiednia na „pięć deko”, a i ilość trochę przesadzona. Byłem przekonany, że to żona sobie podjadła. Ona zaś, gdy wstała i spostrzegła ubytek kielbasy, była przekonana, że to właśnie ja się do niej dorwałem. a Morus spał snem sprawiedliwego. Obudzony nie chciał nic jeść, tylko pił wodę, dużo wody! i znowu spał. Po południu, przy obiedzie zaczęliśmy z żoną wzajemnie wytykać sobie objadanie się potajemnie kielbasą. I wtedy wyjaśniło się, że to ani ja, ani ona, a Morus był sprawcą (zresztą raczej mimowolnym, niż z premedytacją) tej niespodzianki. To pół pęta kielbasy, już znacznie podsuszonej, pod własnym ciężarem zerwało się z wysuszonego już, wątłego i osłabionego przez to cienkiego flaka i po prostu spadło na Morusa jak dar z nieba. Co miał psina w takim wypadku zrobić? Nic! Tylko dar przyjąć i kielbasę zjeść, choćby miał to nawet przypłacić zdrowiem. Za to potem pościł pełne trzy dni nie przyjmując i nie jedząc nic prócz czystej wody.

Przez te kosmiczne podróże, przez te „Sputniki”, „Łajki” czy Gagariny, coraz bardziej popularna stawała się telewizja. Coraz większe zapotrzebowanie było na odbiorniki. Bo ci co byli szczęśliwymi posiadaczami telewizorów mieli szansę na własne oczy na ekranach oglądać wystrzeliwane okołoziemskie rakiety i sputniki, czyli sztuczne satelity Ziemi, zawieszane na firmamencie niebieskim jak lampy naftowe, czy żarówki oświetleniowe w pokoju na suficie. Futurologi obiecywali, że w niedalekiej przyszłości ludzie (kosmonauci) będą podróżowali w przestrzeni kosmicznej, lądowali na księżycu i innych planetach, a pozostali na Ziemi będą mogli obserwować, tych kosmitów, selenitów, czy jak ich tam będzie się nazywało, na ekranach swoich telewizorów. Trudno się więc dziwić, że rosło zapotrzebowanie na odbiorniki telewizyjne.

Ludzie jednak są ciekawi. Zarówno jako subiekty jak i obiekty badań.

Telewizja stawała się coraz modniejsza i powszechniejsza. Na dachach domów zaczął wyrastać las masztów anten telewizyjnych z gałęziami dipolów skierowanymi w jednym tylko kierunku – w kierunku Katowic, skąd dochodził do nas sygnał telewizyjny. Ogólny, czy powszechny pęd telewizyjny nie mógł oszczędzić i nie oszczędził i nas. Tym bardziej, że w sklepach elektrycznych, które powstawały jak grzyby po deszczu, w ciągłej sprzedaży znajdowały się najróżniejsze typy telewizorów. Na razie jeszcze pochodzenia zagranicznego. w dodatku nie z importu, a z przemytu. Były to przeważnie typy przestarzałe, montowane z różnych często nie bardzo do siebie pasujących części, w potwornych nieraz skrzynkach topornej roboty. Wymagały ciągłej opieki i konserwacji, regulowania obrazu i dźwięku, próbnych napraw i wymiany ciągle spalających się deficytowych lamp, różnych cewek i kondensatorów. Miały jednak i cechy dodatnie. Były łatwo dostępne na rynku i względnie niedrogie. Ich niedoskonałości, wady i usterki zrodziły zapotrzebowanie na fachowców, elektroników. Narodziła się od razu nowa specjalność w rzemiośle: elektronika! Masowo zaczęły powstawać kursy i szkoły kształcące nowych rzemieślników w dziedzinie obsługi telewizorów. Liczni fachowcy z różnych dziedzin zaczęli się na gwałt przekwalifikowywać. Dziedzina nowa, jak każdy noworodek szybko rosnąca i rozwijająca się, była równie jak noworodek niedoświadczona. Nowi „specjaliści” w tej dziedzinie, pospiesznie i dość pobieżnie szkoleni nie zawsze dawali sobie radę z coraz to nowymi typami zagranicznych telewizorów. Często mieli trudności w odczytywaniu schematów. a schematy te stawały się coraz bardziej skomplikowane. Postęp w tej nowej dziedzinie następował w tempie błyskawicznym. Prawdziwą rewolucją było odkrycie czy wynalezienie metali grupy germanu, czyli tak zwanych półprzewodników czy też nadprzewodników. Cały przemysł lamp radiowych i telewizyjnych od razu się załamał. Wielkie, niedoskonałe i przez to kłopotliwe lampy radiowe i telewizyjne zostały z miejsca zastąpione przez obwody scalone i płytki czy kostki drukowane. Następową szybka miniaturyzacja odbiorników radiowych i telewizyjnych, polegająca na udoskonaleniach i estetyce

obudowy. Zmiany następowały niemal błyskawicznie, z dnia na dzień. To, co wczoraj było przebojem, ostatnim krzykiem mody i techniki, dziś już stawało się przestarzałe.

Zbyteczne zaczęły stawać się radiowe anteny odbiorcze na wysokich masztach (im wyższe tym lepsze). Z powodzeniem zaczęły zastępować je anteny ferrytowe wbudowane w radioodbiornik, a w telewizji antena pokojowa w postaci dwóch niewysokich prętów, składanych teleskopowo. Jeśli jednak anteny na dachach pozostały, to dlatego, że dzięki nim odbiór był lepszy: silniejszy, czystszy, mniej podlegający zakłóceniom i co najważniejsze, można było oglądać stacje słabsze, bardziej oddalone, które również coraz częściej powstawały, tak jak i stacje przekaznikowe. Telewizja starała się pokryć swym programem szczególnie jak największy obszar kraju.

Urząd
Agencja P.-t. *pieńsk*
Dyr. Ckr. P.i.T. *Wrocław*

**Druk
płatny**

Zezwolenie radiofoniczne Nr 95
wydane dnia *11* mies. *Czerwca* 19*48*
na prawo nabycia, posiadania i używania radiofonicznego urządzenia odbiorczego.

- Rodzaj urządzenia *4 lamp.*
- Charakter lokalu *prywatne*
- Nazwisko i imię *Stasień Stanisław Gienisk*

4. *Stasień Stanisław Gienisk*

5. Poczta *...*
6. Miejscowość *...*
7. Ulica *Żubryńska Nr 5* m.
8. Gmina *Legnica*
9. Powiat *Legnica*
10. Województwo *Wrocław*

Detownik *Chen*
Podpis urzędnika p.-t.

Detownik *Chen*
Podpis urzędnika

Ministerstwo Poczty i Telegrafów Warszawa
Opłaty radiofoniczne

Brzmienie konta:
na zł *250* gr. *dwieście*
słownie złotych *dwieście* gr.

Konto czekowe Nr *1-4545*
P.K.O. w Warszawie

**Można od
ocelaty**

POUCZENIE

- Niniejsze zezwolenie jest imienne i nie może być odstępowane osobom innym.
- Zezwolenie jest ważne tylko na adres w nim wskazany.
- Zezwolenie traci swą ważność albo z dniem cofnięcia go przez Ministra Poczty i Telegrafów, albo z końcem tego miesiąca, w którym abonent zrzekł się korzystania z zezwolenia, a przy zezwoleniach terminowych — z upływem terminu jego ważności.
- Wszelkie zmiany danych, wyszczególnionych w zezwoleniu powinny być zgłoszone niezwłocznie do Urzędu Poczтового w miejscu zamieszkania. Na zasadzie zgłoszonych zmian abonent otrzymuje pisemne potwierdzenie, które należy przechowywać wraz z zezwoleniem.
- Oplaty abonamentowe winny być uiszczane regularnie w terminach miesięcznych pod rygorem ściągania zaległych opłat w drodze egzekucji i cofnięcia zezwolenia.
W razie nieotrzymania rachunku w terminie do dnia 15-go danego miesiąca, abonent należy wpłacić na konto czekowe w P.K.O. Ministerstwa Poczty i Telegrafów.
- Na żądanie organów kontrolnych należy okazać zezwolenie z ewentualnymi potwierdzeniami zmian i kwity opłat radiofonicznych oraz udostępnić tym organom sprawdzenie urządzenia radiofonicznego.
- Niedotrzymanie powyższych warunków powoduje odpowiedzialność jak za posiadanie nielegalnego urządzenia odbiorczego, prócz tego może nastąpić cofnięcie zezwolenia.

P. T. i T. - nr 13.5 VI.47. 500 000 Poczta Zakł. Graf. Łódź - 1-457

II. 1. Imienne pozwolenie na radioodbiornik, Pieńsk 1948 r.

Trudno było oprzeć się temu ogólnemu pędowi. Więc i ja w końcu zdobyłem się na jakiś telewizor, oczywiście zagraniczny, ale jakiejś mało znanej marki. To nie ważne. Na pewno próżno by się szukało wytwórni tego odbiornika. a wszystkie one były jednakowo złe. Wszystkie te dolegliwości, o których wyżej pisałem stały się oczywiście moim udziałem i musiałem je osobiście przeżyć. A byłem w pewnym sensie uprzywilejowany. Mieszkalem na najwyższym piętrze budynku usytuowanego na najwyższym wzgórzu Jeleniej Góry. Trzymetrowy maszt mojej anteny ustawiony na balkonie (na dach nie miałem potrzeby się pchać, wystarczał mi w zupełności balkon) mógł bez przeszkód odbierać wszystkie programy jakie tylko się tamtędy przewijały i to zarówno radiowe, jak i telewizyjne. Niestety mój radioodbiornik „Pionier” odbierał tylko dwa zakresy fal radiowych: długie i średnie. Prawdę mówiąc to zupełnie zaspokajało moje potrzeby w tym zakresie, a telewizyjny program docierał tu niestety tylko jeden i żaden odbiornik telewizyjny, ani żadna antena (choćby była ze złota) nic więcej odbierać nie mogły. Różni konserwatorzy i elektromonterzy byli w moim domu częstymi gośćmi, bo ciągle jeszcze stary grat potrzebował czulej, niańczynej opieki, a ponadto konserwacji, ciągłego strojenia i regulowania, wymiany stale wypalających się lamp, itp.

Uległo to znacznej poprawie dopiero, gdy po latach udało mi się nabyć nowy telewizor polskiej produkcji, chyba gdańskich zakładów „Neptun”. Znacznie udoskonalony, z ograniczoną ilością lamp (chyba do trzech), gdyż w znacznym stopniu zastosowano w nim już obwody scalone i płytki drukowane. Telewizor „Neptun” podobnie jak i radioodbiornik „Pionier” były w swej klasie udanymi produktami polskiego przemysłu powojennego w dziedzinie elektroniki. Służyły mi długie lata, bo aż do 1977 roku, a więc przeszło piętnaście lat. Zostały wymienione na nowocześniejsze i bardziej eleganckie mimo, że ze swojej sprawności niewiele przez te lata utraciły. Musiały jednak ustąpić telewizorom kolorowym i radioodbiornikom wielozakresowym i stereofonicznym.

Powoli, ale nieuchronnie nadchodził dzień rozpoczęcia się mojego urlopu wypoczynkowego i początek zapowiadanej eskapady turystyczno-krajoznawczej. Śmieszne, ale w domu czuć już było atmosferę pewnego podniecenia i napięcia (jak zwykle przed nieznanym). Wszyscy chodziliśmy. To znaczy Janusz, Mama i ja, bo Andrzej już gdzieś z Edkiem Markiewiczem wcześniej „wybyli”, jakby nieco oszołomieni. Sto razy wracało się do tych samych zagadnień, sprawdzało się przygotowany sprzęt i oporządzenie, sprawność rowerów, zabezpieczenia opakowania i umocowania na rowerach bagażu, zaplanowaną trasę itd. itp.

Wyruszyliśmy wcześniej rano, bo już o świcie. Pogoda była prawdziwie letnia, słoneczna i upalna. Dlatego zamierzaliśmy możliwie znaczną część dziennej trasy pokonywać w godzinach wczesnorannych, kiedy

jeszcze upał nie wdawał się we znaki, a powietrze było świeże i rześkie. Czuliśmy się zdrowi, młodzi, pełni życia i weseli. Narzucone dziadowskie tempo marszu od razu przypadło nam do gustu, jak i to, że tuż za Jelenią Górą przy najbliższej okazji, zjechaliśmy z głównej trasy przelotowej na boczną drogę, prowadzącą przez lasy, pola i zagajniki. Przy naszym tempie marszu mogliśmy swobodnie oglądać i podziwiać rozciągające się przed nami krajobrazy, mijane wsie i osady. Perłami krajobrazu starałem się zainteresować Janusza, jako młodego i żadnego wiedzy, a szczególnie wartościami etnograficznymi mijanych obiektów. Nasze zaś zainteresowanie było nieco skromniejsze i koncentrowało się raczej na samych warunkach podróży i wypoczynku na miejscach postoju. To wcale nie oznaczało, że byliśmy obojętni, ślepi i głusi na otaczające nas zewsząd cuda przyrody, a nawet na zwykłe codzienne życie. Irkę na przykład po jakimś czasie zadziwił, zdawałoby się powszedni fakt, że jak się wyraziła:

- *Jedziemy i jedziemy i ciągle wszędzie pełno ludzi.*

Czego się po tej podróży spodziewała? Że wyjeżdżamy z bezludnej puszczy czy na równie bezludną pustynię? Zresztą na obserwację przyrody nie trzeba było specjalnie się wysilać. Przyroda niekiedy sama pchała nam się do namiotu. Nie mówię tu o chmarach natrętnych komarów, przed którymi niemożliwe było się ustrzec. Mieliśmy i innych gości. Na biwaku gdzieś w Babimojskim, w nocy zbudził nas jakiś niezwykle hałas i szuranie, tupanie, fukanie, szum i szelest brutalnie tłamszonych gałęzi i traw. Zdziwiony zerwałem się, chwyciłem elektryczną latarkę, bo jeszcze była ciemna noc, a do świtu daleko i oświetliłem miejsce skąd dochodziły do nas te nie zmniejszające się hałasy. Okazało się, że to awanturowała się para wspaniałych jeży (tak ogromnych jeszcze dotąd nie widziałem), która w tę noc wybrała się z gromadką małych, a było ich chyba ze sześć sztuk i szły na nocne łowy. Widocznie nieświadomie rozbiliśmy nasz namiot na ich łowieckich terenach czy rewirach. Stąd też to ich zdenerwowanie, niezadowolenie, złość i fukanie. Szczególnie energicznie awanturowała się pani jeżowa okazując szczyt swego niezadowolenia. Nerwowo przy tym zapędzała opóźniających się i pozostających w tyle za nią gromadkę maluchów. Długo jeszcze, choć już dawno zniknęli w gęstych chaszczach leśnego poszycia, słyszeć było w nocnej ciszy ich pohukiwanie i fukania.

Główny i zasadniczy cel tej wyprawy jaki sobie postawiliśmy stanowiło spektakularne przewędrowanie całej Polski wzdłuż, od gór na południu aż do morza na północy i z powrotem. Zamiar chyba jednak trochę na wyrost. Skrojony na miarę turystów przynajmniej o połowę młodszych niż ja i moja czcigodna Małżonka! Ale nie chodziło o wyczyny spektakularne, ani o bicie takiego czy innego rekordu. Ważne było samo uczestnictwo w tej imprezie i przeżycia w niej doznane. Poza tym nadrzędnym celem, każde z nas miało swój mniejszy,

osobisty cel, który pielęgnował sobie w tajemnicy przed pozostałymi. Moim osobistym zamiarem było dotrzeć do Dobiegniewa – dawnego Woldenbergu, gdzie w latach 1942-1945 siedziałem w obozie oficerskim „Oflag II C” jako jeńiec. Chciałem obejrzeć miejsce i baraki, w których mieszkaliśmy i na ile sprawdziły się groźby majora Błażejewskiego (w obozie szefa służby kuchennej), że po wojnie w pojenieckich barakach mieszkalnych urządzi chlewnie, a w całym obozie w Woldenbergu zorganizuje ogromną hodowlę i tuczarnie trzody. A Irka? Irka chciała koniecznie odwiedzić panią Jadzię Derecką, która po śmierci męża, inżyniera Dereckiego, przeniosła się do Czerwieńska koło Zielonej Góry do swej córki Stasi. Jej mąż kiedyś kadrowy, znany kolarz, aktualnie zatrudniony był w charakterze gospodarza stadionu sportowego w Czerwieńsku. Praktycznie spełniał funkcję jego dozorczy.

Szczęśliwie i planowo, prawie dokładnie według uprzednio nakreślonego szkicu i harmonogramu dotarliśmy do Dobiegniewa.

Na temat samego miasta niewiele mogę powiedzieć, bo brak mi skali porównawczej. w czasie wojny i pobytu w obozie, miasta nie widziałem na oczy. Obóz jeńców znajdował się na peryferiach i to dalekich od miasta i nie było okazji, aby je oglądać. Dentystów i izbę chorych mieliśmy na miejscu, a chorych z poważniejszymi wypadkami, wywożono do szpitala garnizonowego w Prentzlau, ale doskonale pamiętałem sam obóz, usytuowanie baraków i ich strukturę. Tu zaszły zmiany niewielkie, ale istotne. Zgodne z groźbami majora, we wnętrzach zlikwidowano wszelkie ścianki działowe i przepierzenia. Zlikwidowano drewniane boksy i z baraków mieszkalnych zrobiły się zgodnie z zapowiedzią prawidłowe chlewy. Jako jedyne ślady świadczące o tym, że żyli tu kiedyś i mieszkali ludzie, w dodatku oficerowie (czyli elita pobitego narodu) pozostały po nich pamiątki, np. jakieś malowidła wykonane jeniecką ręką – „*al fresco*”!

Z cmentarza żołnierskiego obok obozu jenieckiego ekshumowano prochy zmarłych tu w obozie oficerów-jeńców i przeniesiono gdzieś na uświęcone cmentarze czy może do grobów rodzinnych. w samym zaś mieście dla upamiętnienia dziejów obozu, Związek Oficerów Jeńców Woldenbergu – „Woldenberczyków” ufundował piękną Szkołę Podstawową im. „Woldenberczyków” dla dzieci i młodzieży miasta Dobiegniewa.

Kilka kilometrów od Dobiegniewa, w głębokich lasach nad jeziorem zostaliśmy na kilka dni, rozkoszując się wspaniałą lipcową pogodą, ciszą i spokojem starego sosnowego boru i błękitną głębią czystej, kryształowej wody jeziora, w której bezustannie goniły się i harcowały niespokojne ryby. Musiało ich tu być całe mnóstwo.

Do dalszej podróży nad morze Irka nie bardzo się jakoś paliła. Myślę, że ciągle miała w pamięci ową wycieczkę z PTTK, gdzie ze swoją fobią musiała się szczerze męczyć, pływając począwszy od Szczecina w dół Odry do Świnoujścia, a następnie dalej do Międzyzdrojów. Ponieważ jakby na zawołanie zaczęła się psuć piękna dotychczas pogoda, fakt ten przesądził sprawę. Zdecydowaliśmy, że dalej pojedziemy nie na północ ku morzu, ale na południe ku Czerwieńskowi, odwiedzić Jadzię Derecką. Janusz też miał już dosyć materiałów do swego dziennika podróży.

A z dziennikiem podróży ze względu na ogromny nawał uzyskanych materiałów z trudnością mógł się uporać. Wszędzie bowiem przyjmowali go niemal z entuzjazmem, opowiadali historie i udzielali wywiadów, wpisywali do dziennika sążniste dedykacje i różne życzenia, obdarowywali setkami folderów, prospektów, przewodników, różnych druków reklamowych i propagandowych. Tak, że chłopak odkładał część pracy na „zaś”, aby opracować to na czysto już w domu. Z ulgą też przyjął naszą decyzję, że wracamy.

Jeszcze przez wiele dni chłopak męczył się nad uporządkowaniem obficie zebranego materiału, aby dokończyć i uzupełnić pięknie prowadzony dziennik wyprawy i wreszcie zakończyć go ostatecznie. Te wszystkie zajęcia końcowe szły mu niezwykle topornie. Jak po grudzie. Nic dziwnego. Była to już przeszłość, coś co było i minęło, a tu za oknami pod balkonem czekała teraźniejszość, pełna nowości, zagadek i niespodzianek. W końcu jednak dzieło zakończył. Wyglądało nawet ciekawie, oryginalnie i okazałe. Niestety widocznie zły los był mu pisany. Podczas dość częstych późniejszych moich przeprowadzek, dziennik gdzieś się zawieruszył i przepadł. Zapodział się „na amen”. A szkoda, bo był to piękny dokument i pamiątka. Ciągle podejrzewałem, że któryś z chłopców wywiózł to wraz z innymi swymi rzeczami z Jeleniej Góry, ale żaden z nich nie poczuwa się do winy.

Droga powrotna wiodła nieco inaczej. Nie wracaliśmy dokładnie po własnych śladach, ale z Dobiegniewa w kierunku na Drezdenko (rozstawione przez H. Sienkiewicza, jako bezpośredni powód do wojny polsko-krzyżackiej w 1410 roku, jako „ten kamień, o który się ślepy (Krzyżak) potknął”) i dalej na Międzychód, Babimost, Sulejów, Międzyrzecz, Świebodzin, Czerwieńsk. Dopiero teraz poznaliśmy jak znaczna jest różnica między jazdą „z góry” (zgodnie z biegiem rzeki), a „pod górę” (pod prąd). Teraz, żeby ujechać te 10 czy 12 kilometrów trzeba się było solidnie napracować i dobrze kręcić pedałami! w końcu dotarliśmy jakoś do tego Czerwieńska. Odszukaliśmy panią Jadzię. Tak się szczęśliwie złożyło, że jej córka Stasia wraz z mężem i synami, wyjechali gdzieś w świat na wczasy i mieszkanie było wolne. Tym razem wbrew przyjętej zasadzie nie biwakowaliśmy w namiocie, lecz nocowaliśmy w mieszkaniu pod dachem, jedliśmy przy normalnym stole, siedzieliśmy na normalnych krzesłkach, jedliśmy z normalnych porcelanowych czy fajansowych talerzy, piliśmy

z normalnych szklanych szklanek, jednym słowem wszystko było aż dziw brać, „normalne”. Mimo woli nasuwały się porównania między urokami biwakowania w namiocie, a wygodami mieszkania pod normalnym dachem. w Czerwieńsku kwaterowaliśmy pełne dwie doby, aby obie przyjaciółki jak przysłowiowe kumy mogły się nagaść do syta!

I wydaje mi się, że ten pobyt w Czerwieńsku ostatecznie przesądził, o tym że Irka definitywnie zrezygnowała z dalszej jazdy turystycznej i zarządziła powrót do Jeleniej Góry. Oczywiście pociągiem Polskich Kolei Państwowych. Utargowaliśmy, zmuszeni okolicznościami, a ściślej rozkładem jazdy pociągów, że do pociągu wsiądziemy dopiero w Zielonej Górze, a stąd do stacji „Zielona Góra” dojedziemy jeszcze rowerami. I tak też się stało! Jakoś do tego dworca w szczęśliwie dobrnęliśmy, ale Irka (to było po niej widać) była już kompletnie wyczerpana. Doszedłem wówczas do wniosku, że nasza decyzja powrotu do domu i to pociągiem była jak najbardziej na miejscu i rozsądna.

W Jeleniej Górze czekała nas nowa i bardzo niemiła niespodzianka!

Trafiliśmy bowiem na kwarantannę. Miasto przeżywało gorące dni epidemii jakiejś azjatyckiej czy czarnej ospy. Podobno została przywleczona najpierw do Wrocławia, a później do Jeleniej Góry przez jakichś turystów ze Wschodu. Władze miejskie zarządziły dla wszystkich przyjezdnych do miasta obowiązkową kwarantannę. Każdy przyjezdny był na pewien czas izolowany w ośrodku przy ul. Czerwonego Krzyża i poddawany badaniom oraz zabiegom profilaktycznym. Na szczęście zaraza już wygasła i może dlatego, że przyjechaliśmy z „Zachodu” do Jeleniej Góry, a nie ze „Wschodu” na kwarantannę już nas nie zapędzono..

Wyjeżdżając na tą wiekopomną wycieczkę krajoznawczą, naszą kotkę pozostawiliśmy na wolności, poza domem. Ufni, że jest na tyle zaradna, że doskonale przez ten czas naszej nieobecności będzie sobie dawała radę i potrafi zadbać o swoje wyżywienie. Wszak był to lipiec, pełnia lata i dla zaradnej kotki okres obfitości, czas wspnianych łowów. Sprawę wypoczynku po szczęśliwych łowach Rojza (bo takim imieniem obdarzyła ją jej pani) rozwiązywała na swój, bardzo zresztą prosty sposób. Nie mogąc korzystać z wyposażenia znajdującego się w zamkniętym, a więc niedostępnym dla niej mieszkaniu, korzystała z jedyne go nadającego się do tego celu przedmiotu, należącego do mieszkania, a jednak znajdującego się poza mieszkaniem, a mianowicie ze słomianej wycieraczki znajdującej się pod naszymi drzwiami wejściowymi do mieszkania.

Skutek tego był niesamowity. Taki, że gdy po tych kilku tygodniach nieobecności wracaliśmy do domowych pieleszy, radosna Rojza oczekiwała nas już pod drzwiami mieszkania. Ja wspinając się pierwszy po schodach w pewnym momencie znalazłem się na takiej wysokości, że moje oczy znalazły się na jednym poziomie z podestem i leżącą na nim słomianką. i wtedy w perspektywnym skrócie wydawało mi się, że powierzchnia słomianki jest czarna, a przynajmniej prawie czarna i jakoś dziwnie niespokojnie ruchliwa. Znany był mi to widok, bo już kilka razy w życiu z różnym skutkiem miałem do czynienia (i to zawsze w niezwykłych okolicznościach) stanąć oko w oko z ogromnymi masami tych czarnych, ruchliwych insektów. Na słomiance korzystając z gościnności Rojzy, zadomowiły się pchły i rozmnożyły w ilości, jak to zwykle „astronomicznej”. Ostrzegłem Irkę, aby się nie zbliżała do kota i do słomianki. Sam zaś poświęciłem się i słomiankę ostrożnie przez okno klatki schodowej wyrzuciłem, na dach garażu Kępskiego, a kotkę chwyciłem za „kołnier” i ostrożnie wniósłem do łazienki. Tam, wprawdzie niezgodnie z dobrymi obyczajami i zaleceniami znawców, że kota nie powinno się kąpać, zanurzyłem Roję w zimnej wodzie w wannie aż po sam koniec ogona.

I to był właściwie koniec tej rowerowej pasji, jej łabędzi śpiew. Kiedy jazda spowszedniała, a rowery się opatrzyły, zaczęły się piętrzyć trudności z ich eksploatacją (pomijając już górzysty teren niedogodny do poruszania się po nim na rowerze). Inny kłopot polegał na tym, że na dole nie mieliśmy gdzie rowerów przechowywać. Za każdym razem przy ich użyciu trzeba je było znosić i wnosić wysoko, prawie na trzecie piętro. Wprawdzie Kępski miał nieużywany garaż, ale on, jak przysłowiowy pies ogrodnika, sam nie korzystał i drugiemu nie dał, bo mu się nie opłacało. Dlatego chłopcy coraz rzadziej korzystali z rowerów, a i my z żoną też tylko wyjątkowo w niedziele, przy pięknej pogodzie na krótkie spacerzy nad Bober do Dąbrowicy lub pod Łomnicę.

Przez długi czas nurtowała mnie i nie dawała mi spokoju natrętna myśl. Jaka była istotna przyczyna i prawdziwe motywy, którymi kierowała się dyrekcja Jeleniogórskiej Wytwórni Optycznej kiedy wysyłała do mnie, dyrektora Jeleniogórskiego Oddziału ZUT PTTK – delegację z dziwną, oryginalną i niecodzienną propozycją. Była ona dla mnie ze wszech miar atrakcyjna i kusząca, a także jak najbardziej korzystna i wielce obiecująca na przyszłość. Jednym słowem, nie do odrzucenia. Tym niemniej dziwną propozycją – abym zrezygnował z zajmowanego w ZUT PTTK stanowiska dyrektora naczelnego oddziału i przeszedł do JWO (wprawdzie hierarchicznie w drabinie urzędniczej o szczebel niższe) na stanowisko kierownika wydziału produkcyjnego (konkretnie, kierownika szlifierni). Pod względem finansowym było ono znacznie korzystniejsze i dobrze rokujące na przyszłość. Obejmowało ono też znacznie węższy zakres obowiązków, ale za to bardziej konkretnych i uściślonych. Coś mi tu nie grało! Czułem, że delegacja nie do końca wykłada wszystkie karty na

stół. Miałem wrażenie, że gdzieś tam w rękawach trzyma ukryte asy, których z nieznanych mi powodów nie ujawnia, licząc zapewne na to, że i te zaproponowane warunki są i tak na tyle atrakcyjne i korzystne, że w zupełności wystarczą jako zachęta do skłonienia mnie do przyjęcia ich propozycji i przejścia do JWO. Klasyczny przykład kaperowania.

DLACZEGO ZOSTAŁEM SKAPEROWANY DO JWO?

W życiu fakty i zdarzenia nieraz dziwnie się układają. Niepojęte bywają skomplikowane łańcuchy przyczyn i skutków. i nie zawsze dadzą się odgadnąć ich logiczne skojarzenia. Według relacji Wincentego Jastrzębskiego, najstarszego stażem pracownika (pracującego od pierwszego dnia jego przejęcia przez władze polskie, mistrza na dziale szkła optycznego, do 22 sierpnia 1945 roku), zakład był zabezpieczony przed dewastacją przez wojska Armii Radzieckiej. W dniu 22 sierpnia Wydział Straży Przemysłowej przy Głównym Pełnomocniku skierował grupę strażników pod dowództwem właśnie pana Wincentego Jastrzębskiego do przejęcia pieczy nad zakładem. Oficjalnym dniem przejęcia zakładu w poczet zakładów przemysłowych i nadania mu nazwy Państwowej Wytwórni Optycznej. Był 1 września 1945 roku.

W jubileuszowej „Jednodniówce” wydanej 22 lipca 1960 roku z okazji Jubileuszu XV-lecia zakładu (1945-1960), czytamy między innymi, że prócz działalności czysto przemysłowej – produkcyjnej, dyrekcja zakładu realizując uchwały IV Kongresu Związków Zawodowych o dokształcaniu pracowników, którzy nie przekroczyli 35 lat życia w zakresie szkoły podstawowej, w roku 1958 zorganizowała przyzakładową Szkołę Podstawową z VI. i VII. klasami. W roku szkolnym 1958-1959 do szkoły uczęszczało 17 pracowników, z których 13 ukończyło klasę VII. w następnym roku szkolnym 1959-1960 klasę VII ukończyło dalszych 10 pracowników. Rekrutację do szkoły przeprowadzała Rada Zakładowa, której przewodniczącym był Zygmunt Kordas. Kierownikiem szkoły i nauczycielem matematyki był prof. Domaradzki, przedwojenny nauczyciel ludowy po ukończonym seminarium nauczycielskim. Przedwojenne seminaria nauczycielskie były w zasadzie szkołami na poziomie szkół średnich i większość z nich miała prawo przeprowadzać egzaminy dojrzałości z uprawnieniami równorzędnymi do matur wydawanych przez szkoły średnie ogólnokształcące. Uzyskanie matury i dyplomu nauczyciela po ukończeniu seminarium nauczycielskiego uprawniało do nauczania we wszystkich szkołach stopnia podstawowego, ale nie uprawniało do nauczania w szkołach ponadpodstawowych.

JWO miała jednak większe ambicje. Żywiłowo rozwijający się zakład cierpiał na chroniczny brak wykwalifikowanej kadry szklarskiej stopnia średniego tj. majstrów i techników szklarskich. W dyrekcji zrodziła się więc myśl, aby niejako idąc za ciosem, po zakończeniu dokształcania pracowników w zakresie szkoły podstawowej, korzystając z istniejącej kadry nauczycielskiej i urządzeń szkolnych, zorganizować w tych samych klasach przyzakładowe Technikum Szklarskie, a więc średnią szkołę techniczną w zakresie szklarstwa, kształcąca techników szklarskich.

Wykładowcy uprawnieni do nauczania w szkołach średnich przedmiotów ogólnokształcących, a w szczególności języka polskiego i niemieckiego byli na miejscu, pod ręką. Polonistka L. Galikowska, jak i germanista prof. Dyduch byli bowiem etatowymi nauczycielami w Liceum Ogólnokształcącym im. Stefana Żeromskiego w Jeleniej Górze. Przedmiotami zawodowymi zajmąby się mgr inż. Zdzisław Nowak, na zakładzie Główny Mechanik. On mógłby równocześnie objąć kierownictwo w Technikum Mechaniki Precyzyjnej w Warszawie. Sekcja Optyczna w Jeleniej Górze. Właściwe Technikum, jego centrala, którego dyrektorem był prof. E. Pokrzywa, mieściło się w Warszawie przy ul. Grochowskiej, przy PZO – Państwowych Zakładach Optycznych. Kłopot był z matematykiem. Na gwałt potrzebny był matematyk z wyższym wykształceniem matematycznym, który miałby prawo nauczania w szkołach średnich matematyki i zasiadania w komisjach egzaminacyjnych przy egzaminach maturalnych. Okazało się, że w Jeleniej Górze jest to towar deficytowy.

Pan prof. Domaradzki nie był żadnym profesorem, a tytuł ten otrzymywał od uczniów szkół podstawowych i ich rodziców grzecznościowo. Nic to nie kosztowało, a jednak cieszyło starego profesora i przychylnie nastrajało go do dziecka. Zwyczaj ten, nazywania nauczycieli szkół średnich „profesorami”, a uczniów gimnazjalnych czy licealnych „studentami”, przywleczono z Małopolski lub Galicji. Krakowianie i Lwowiacy znani byli z uniżonej grzeczności. To oni na powitanie i pożegnanie zamiast zwykłego, powszechnie w Polsce przyjętego: „Dzień dobry” albo „Do widzenia” mówili wylewnie: „Padam do nóżek”, „Ściele się do stóp”, albo też wreszcie „Całuję rączki”, itd. Sformułowania w tym guście. Pan Domaradzki był zwykłym nauczycielem ludowym po ukończonym przedwojennym seminarium nauczycielskim, co nie dawało mu prawa nauczania w szkołach ponadpodstawowych ani zasiadania w komisjach egzaminacyjnych. a więc dla projektowanego technikum szklarskiego był bezużyteczny. Trzeba było rozejrzeć się dla uzupełnienia Rady Pedagogicznej za potrzebnym, pełnoprawnym nauczycielem matematyki, który mógłby nie tylko wykładać w technikum algebrę i trygonometrię, ale również zasiadać w Komisji Egzaminacyjnej Państwowych Egzaminów Maturalnych. Takim poszukiwanym, deficytowym egzemplarzem okazałem się właśnie ja. Nie trudno było mnie odnaleźć, gdyż dziesięć lat wcześniej w 1953 roku miałem zaszczyt już w takiej komisji zasiadać, wprawdzie nie jako członek Rady Pedagogicznej, ale jako „czynnik społeczny” kiedy to właśnie egzamin dojrzałości w Liceum Ogólnokształcącym im. Stefana Żeromskiego w Jeleniej Górze składał mój pierworodny: Marek Krasoń. Ludzie jednak zapamiętali ten fakt i teraz sobie przypomnieli (stąd ta delegacja z JWO). Potrzebny byłem do kompletu. i znalazło się rozwiązanie zagadki, skąd zrodziła się inicjatywa zaproszenia.

Dodatkowymi „asami w rękawach” delegacji były ewentualne szanse zatrudnienia się co najmniej na pół etatu (poza zajęciami zasadniczymi, obowiązującymi kierownika wydziału) do powstającego technikum w charakterze profesora matematyki. Te pół etatu nauczyciela matematyki dawało kwotę nie byle jaką, bo matematyka należała do dyscyplin najlepiej płatnych ze wszystkich przedmiotów ogólnokształcących (poza zawodowymi) wykładanych w szkołach średnich, tak ogólnokształcących jak i zawodowych.

A działa się to w czasie, który ewentualnie mógłbym kiedyś przy odejściu na emeryturę już brać pod uwagę, wybierając zgodnie z obowiązującym prawem trzy najkorzystniejsze dla mnie lata spośród ostatnich 12 lat zatrudnienia przed odejściem na emeryturę, których zarobki służyłyby do wyznaczenia podstawy do obliczenia emerytury. Te dodatkowe zarobki za nauczanie w szkole matematyki mogły mieć (i miały) poważny wpływ na wysokość tej podstawy, a w konsekwencji i wysokość samej emerytury. a powoli trzeba było zacząć o niej myśleć. Czas leci! Józkowi Gonerze właśnie stuknęło 60 lat i też już poważnie zaczyna myśleć o swojej emeryturze. Za niespełna pięć lat, ustawowo opuści swój zakład „Polskie Nagrania” gdzie podobno z panem dyrektorem Foggiem juniorem, synem znanego piosenkarza Mieczysława Fogga, bardzo dobrze się im współpracowało. Gdzie był ceniony jako inżynier (kompetentny, dobry fachowiec), były przedsiębiorca z inicjatywy prywatnej i były PeOW-iak, a następnie żołnierz kampanii w latach 1918-1921 i wreszcie jako człowiek rozsądny i zrównoważony.

Jako przewidujący, już teraz zaplanował sobie, że gdy odejdzie na emeryturę, interesy swoje jakie jeszcze (choć w skromnym już zakresie) ciągle jednak prowadził, przekaze swemu następcy i spadkobiercy, synowi Januszowi, a sam zaszyje się gdzieś na dzikiej, zapadłej wsi, na odludziu i tam w ciszy i spokoju będzie wypoczywał z dala od zgiełku i gwaru miasta. Już sobie nawet załatwił i kupił (przypuszczam, że chyba nie z pensji otrzymywanej w „Polskich Nagraniach”, a raczej z niepozornej „kwasiarni”) działkę rekreacyjną aż koło Wyszkowa czy Łochowa nad leniwą, ale bardzo czystą rzeką Liwiec w miejscowości Gniazdowo. Próżno by jednak było szukać tego Gniazdowa na jakiejś zwykłej, dostępnej mapie. w rzeczywistości istnieje tylko w terenie, na planach i w spisach katastralnych.

„W terenie” można go znaleźć albo jadąc z Warszawy pociągiem podmiejskim przez Kobyłkę, Tłuszcz do Urli (znane uzdrowisko) lub Brochowa i stąd, albo wzdłuż rzeki Liwiec, albo samą rzeką idąc pod prąd dojść do Gniazdowa albo też dojechać pociągiem do Wyszkowa lub do Łochowa i idąc czy jadąc drogą łączącą te miasta, zejść na południe na bezdroża we wsi Gwizdały i szukać aż się znajdzie zgodnie z porzekadłem: „Kto szuka ten znajdzie, a kto idzie ten zajdzie”.

Jak z tego, co napisałem wynika, że dotarcie do tej uroczej, ale zapadłej gdzieś w pustce miejscowości nie jest ani proste ani łatwe. „Józkowie” mają samochód (nawet dwa, bo Janusz ma drugi, własny). Ostatnio nabyli nowego „Moskwicza” (Janusz ma „Warszawę”), więc dla nich nawet podskoczyć do Gniazdowa na „weekend” to żaden problem. To tylko „głupie” 70 kilometrów. Dla nas cyklistów, nie było problemem „męczyć się” koleją i pieszym domarszem korytem rzeki Liwiec lub przez pustkowia porośnięte zagajnikami albo dojazdem z Warszawy na rowerach.

Ćwierć wieku temu, w 1937 roku przemierzaliśmy z Irką na rowerach trasę dwa razy dłuższą, z Warszawy do Piotrkowa Trybunalskiego, bo wynoszącą dokładnie według najnowszych danych 137 kilometrów (a wtedy drogowskazy informowały, że odległość ta wynosi 144 km), ale wtedy byliśmy prawie dwa razy młodszy. Wówczas Waldek miał dopiero dwa lata, a dziś ma już córkę w tym wieku. Dziś ta trasa do pokonania na rowerach nie jest niestety dla nas. Boję się nawet pomyśleć i przyznać przed sobą, że dziś nasze dzieci nie bardzo dałyby się namówić na taką rowerową eskapadę. Powiadają, że obecnie świat się kurczy, że odległości się skracają. Dla tego kto ma do dyspozycji samochód czy samolot to może i się skracają i dla nich świat się kurczy, a czas podróży się skraca. Niestety nie dla wszystkich. Istnieją przecież miliony, a może nawet miliardy ludzi, dla których z miejsca ich zamieszkania do najbliższego miasta jest bardzo daleko, tzw. „świat drogi”.

Praca na nowym miejscu układała mi się niezbyt fortunnie. Po pierwsze od razu trafiłem, nie jak było kiedyś uzgodnione na szlifiernię, ale na inny, samodzielny dział, bardziej odpowiedzialny i skomplikowany ze swoją produkcją. Zresztą nie miało to i tak większego znaczenia, bo struktura i organizacja pracy w JWO była na tyle specyficzna i mi obca (choć ciekawa), że musiałem stracić kilka dni, aby ją jako tako (choć powierzchownie) poznać. A jak powiedziałem organizacja była ciekawa, skomplikowana i można powiedzieć, że wielopiętrowa.

Był to zakład „przykrojony” na zupełnie inną miarę niż wszystkie przeze mnie dotąd poznane huty. Oczywiście najważniejszym, podstawowym działem zakładu była „huta”. Dział, na którym jak to robiono od dawna na wszystkich klasycznych hutach szkła z surowców takich jak: soda, piasek, marmur czy kreda, w ogromnych glinianych donicach podgrzewanych tak, że od gorąca świeciły białym, jaskrawym światłem. Surowce te topiły się w gęstą, o konsystencji miodu, lepłą i ciekłą przezroczystą masę, czyli w szkło. W szkło, które było pół, a może ćwierć fabrykatem, materiałem, z którego przy pomocy różnych manipulacji technologicznych, próbowano wykonać jakieś użyteczne przedmioty: flakoniki do pachnideł, szkła do lamp

naftowych lub abażury czy klosze, karafki i kieliszki do wódek i win, popielniczki, szyby do okien i setki innych, może i tysiące użytecznych przedmiotów.

Każdy wytop szkła na hucie ma swoją „metrykę urodzenia”, datę, numer wytopu, nazwę i rodzaj szkła, gatunek i przeznaczenie. Co z tego szkła zostanie wykonane jako z półfabrykatu, zadecydują szef produkcji odpowiedzialny za wykonanie ilościowego planu produkcji i główny technolog, który odpowiada za jakość wykonanej produkcji. Po uzgodnieniu tej kwestii, dział głównego technologa, podległy głównemu Inżynierowi, czyli zastępcy dyrektora do spraw technicznych, opracowuje odpowiedni proces technologiczny, zawierający dokładne operacje po operacji aż do samego końca procesu produkcyjnego, to jest do momentu, kiedy dział kontroli jakości produkcji po kontroli końcowej przyjmie gotowy produkt jako odpowiadający przepisany normom jakościowym ustalonym przez Polski Komitet Normalizacyjny (a w niektórych przypadkach również normom zakładowym), wystawi odpowiedni atest i skieruje wyrób do magazynu wyrobów gotowych.

Kiedy szef produkcji Mieczysław Hadaś, główny technolog inż. mgr Andrzej Zytner, często i kierownik jakości produkcji Wiktor Czasnojc, a nieco później Stanisław Krasoń podjęli decyzję co do jakości uzyskanego wytopu i dalszego jego przeznaczenia (o ile nie został wstępnie zdyskwalifikowany), przechodził on do dalszego procesu produkcyjnego, gdzie zgodnie z przepisaną technologią ulegał obróbce i metamorfozie.

Uzyskany, ogromny szklany blok o wadze wahającej się w granicach od 700 do 1500 kilogramów zostaje jeszcze na hucie po odprężeniu i dokładnym, powolnym, trwającym kilka, a czasami kilkanaście dni chłodzeniu, poddany operacji „łamania” na potężnym urządzeniu bardzo przypominającym prasę hydrauliczną albo parowy młot w kuźni huty stalowej. Blok zostaje połamany na regularne prostopadłościany o wadze kilkudziesięciu kilogramów każdy. w tej postaci zostaje przewieziony na następny wydział produkcyjny zakładu – „szlifiernię”, której kierownikiem jest Tadeusz Szkaradek, a którego kierownikiem według pierwszych ustaleń miałem zostać ja. Wydział ten nie jest właściwie wydziałem produkcyjnym w ścisłym tego słowa znaczeniu. Jest wydziałem pomocniczym obróbczym, przygotowującym półfabrykaty dla wydziału optyki. Przywiezione bloki szkła optycznego, bo właściwie szlifiernia zajmuje się prawie wyłącznie technologią obróbki szkła optycznego. Przywiezione więc na szlifiernię bloki szkła trafiają na stanowisko kontroli jakości, gdzie na specjalnym urządzeniu optycznym, polaryzacyjnym, znany nam już Wincenty Jastrzębski dokonuje skrupulatnej jego kontroli. Bada pod względem wewnętrznej czystości, a więc sprawdza czy w szkłe nie znajdują się przypadkiem zanieczyszczenia w rodzaju pęcherzy, pianki, obcych ciał (najczęściej drobiny szamotu) i najniebezpieczniejszych wad w szkłe optycznym, najczęściej występujących i najtrudniejszych do wykrycia –

nici i smug. Smuga to też szkło i to w dodatku to samo szkło, a jednak nie takie samo. Gdzieś tam, w czasie topienia czy mieszania, w pewnej partii mieszanki źle wymieszanej przed zasypaniem, do donicy zgrupowała się nadmierna w stosunku do innych składników mieszanki ilość jednego z trudniej topliwych surowców wapna albo glinu i już przy mieszaniu w czasie topienia zostaje rozciągnięta w postaci filigranowych nici szklanych o nieco innym współczynniku załamania światła po całej donicy szkła. Takie rzeczy, oczywiście, w szkłe optycznym są niedopuszczalne, gdyż już potem w gotowym wyrobie są doskonale widoczne i zniekształcają obraz np. w lornetce czy innym urządzeniu optycznym. Mistrz Jastrzębski, przy pomocy polarografu wyszukuje występujące wady, kolorowym dermografem skrupulatnie je na bloku szklanym wyraźnie zaznacza, aby potem pan Roman Jabłoński, pilarz, przy pomocy swej diamentowej piły wszystkie te wady poodcinał i usunął. Odcięte wadliwe kawałki szkła optycznego jako braki bezużyteczne wyrzuca się po prostu na śmietnik, na tak zwaną „brudną stłuczkę”, której na tym zakładzie już użyć nie można, bo zwykle wady są nieusuwalne. Stłuczką tą, jako pięknie błyszczącą i mieniącą się w promieniach słońca wszystkimi kolorami tęczy, hutnicy chętnie zdobią ścieżki w swoich ogródkach przydomowych lub na działkach pracowniczych w ogródkach działkowych.

Czasem korzystają z niej inne, mniej wybredne huty szklarskie produkujące najczęściej ciemne (brązowe lub zielone) butelki do piwa lub aptekarskie buteleczki do lekarstw. Tylko reszta szkła optycznego, można powiedzieć „czystego jak łza”, szkła bez skazy podlega dalszej obróbce zgodnie z technologią przewidzianą dla docelowego produktu. Na razie jednak jeszcze na szlifierni, zajmuje się nim P. Jabłoński i przekształca surowe bloki w prefabrykaty odpowiedniej wielkości i kształtu. Widowiskowo jest to operacja, a właściwie cały szereg operacji technologicznych bardzo ciekawy. Każdy blok szklany, z którego usunięto już wady, pan Jabłoński, przy pomocy ogromnej piły tarczowej, której obrzeże (obwód ma zamiast jak to zwykle u pił ostre stalowe zęby) zaopatrzone jest w drobne kryształki oryginalnych diamentów. Wprawdzie nie piękne, szlachetne kamienie ozdobne, klejnoty, ale zwykłe diamenty techniczne, też szlachetne, ale nie ozdobne, tylko robocze. One to umieszczone na obwodzie tarczy piły, przy jej szybkim wirowaniu wgryzają się w twardy blok szkła i rozcinają go na płytki o odpowiedniej grubości, przepisanej technologią produkcji. Cała ta operacja, cięcie bloków szkła na piłach odbywa się w potoku przepływającej zimnej wody, której zadaniem jest chłodzenie piły i bloku szkła przed zbytnim nagrzanem się ich od ciepła wydzielanego przez pracującą piłę.

Otrzymane w ten sposób płytki szklane pan Jabłoński skrupulatnie, przy pomocy ostrego, widowego rysika rysuje płytkę na kwadraty o wielkości przepisanej technologią i przechodzi do kolejnej operacji technologicznej, to jest do łamania kostek (nie kości!). Służy do tego już nieco inne urządzenie niż na hucie, znacznie mniejsze, raczej wymiaru kieszonkowego i również nieco innej konstrukcji. Pod porysowaną płytkę,

wzdłuż wykreślonej rysy, podkłada się stalowy cienki pręt i na płytkę opuszcza się prasę dwudzielną, wywierającą na nią po obu stronach zakreślonej rysy znaczny nacisk, rzędu iluś tam ton. Szkło oczywiście tego nacisku nie wytrzymuje i z trzaskiem pęka wzdłuż rysy i podłożonego pod nią stalowego pręta. A o to tylko chodzi.

Tę manipulację pan Roman powtarza tylokrotnie, aż wszystkie kwadraciki zarysowane na wszystkich wyciętych płytkach zamienia się na zgrabne szklane kostki sześciennie. Zbierze się tego w ciągu dnia roboczego kilka tysięcy. Trzeba je teraz tylko przekontrolować, usunąć wadliwe i ułomne, przeliczyć i przekazać z powrotem na hutę. Robią to już brakarki należące do działu kontroli technicznej. z kostek na hucie, na stanowisku pras wyprasują odpowiednie krążki, półfabrykaty na szkła okularowe.

Jak już wspominałem, pierwszy okres mego urzędowania nie przebiegał zbyt fortunnie. Prawda, że byłem zielony, niedoświadczony, a praca, jej organizacja i przebieg na „optyce” absolutnie dla mnie obca, nieznana. Możliwe, że popełniałem różne błędy, ale nie one stanowiły o moim niepowodzeniu na tym wydziale. Nade mną był wtedy szef produkcji, odpowiedzialny za plan produkcyjny. W tym czasie był nim mgr inż. Jan Nowak, już z nowego pokolenia, powojennej edycji inżynierów. Nie wyglądał on poważnie. Sprawiał raczej wrażenie lekkomyślnego szatawity, lekkoducha. To też nie długo zajmował to bądź, co bądź wysokie i bardzo odpowiedzialne stanowisko. Odszedł wkrótce na stanowisko dyrektora do Szklarskiej Poręby, do huty szkła kryształowego „Julia”, gdzie przed kilku laty, przez kilka tygodni, ja tak niefortunnie kończyłem swoją karierę szklarza. Poprzedni przede mną kierownik optyki magister Marszałek, też nie zanadto już dbał o optykę, bo w Rzeszowie właśnie uruchomiano społeczną, czy prywatną wytwórnię optyczną, która między innymi miała produkować popularny, tani i prymitywny aparat fotograficzny „Druh”. Właściwie to była prawdziwa zabawka dla dzieci, dla starszych chłopców. Pan magister miał tam już zagwarantowane stanowisko zastępcy dyrektora do spraw produkcji. Jeleniogórska Wytwórnia Optyczna po znajomości miała dostarczać im obiektywy do tych aparatów. w czasie, kiedy „nastałem” w JWO, na zakładzie narastały już od pewnego czasu na szczytach władzy, między odpowiedzialnymi kierownikami, mniej lub bardziej uzasadnione konflikty i starcia kompetencyjne i personalne, w wyniku których nastąpiły w produkcji różne nieprzyjemne perturbacje, a w ostatecznej konsekwencji poważne zmiany personalne. Ofiarą, między innymi tych zakłóceń i zamieszek, wprowadzie mimowolną, stałem się i ja, na mnie skrupiło się to, co między tamtymi się zmełło. Jednym ze skutków tej wojny elit technicznych było zagrożenie kwartalnego planu produkcyjnego zakładu, co z kolei groziło wstrzymaniem wypłaty kwartalnej premii produkcyjnej, której wysokość, bagatelka, przekraczała nawet niekiedy 100% wynagrodzenia zasadniczego. Pan magister inżynier Jan Nowak, aby ratować plan zakładu, uciekł

się do niezawodnego, wielokroć już wypróbowywanego sposobu ratowania go. Jak wiadomo produkcję planowało się w dwu zasadniczych wskaźnikach, wagowym (w tonach) i wartościowym (w tysiącach złotych). Aby więc ratować plan trzeba było rzucić do magazynu wyrobów gotowych wyrób ciężki i o dużej wartości. Takim idealnym wyrobem interwencyjnym było, oczywiście, szkło optyczne mierzone czy ważone w tonach i obliczane w tysiącach złotych. Wyrób produkowany poza zaspokojeniem potrzeb produkcyjnych własnych, również i na sprzedaż jako towar. Głównym i nigdy nienasyconym pod tym względem odbiorcą, pochłaniającym każdą jego ilość były Państwowe Zakłady Optyczne w Warszawie. Dlatego pan Jan Nowak w krytycznym kwartale cały zapas posiadanego szkła optycznego wraz z rezerwą przewidzianą na potrzeby własne, przekazał do magazynu wyrobów gotowych i sprzedał, przekreślając w ten sposób możliwość wykonania potrzebnych półfabrykatów dla optyki i przewidzianych w planie optyki wyrobów gotowych. I w ten sposób pozbawił wydziały obróbcze, a przede wszystkim właśnie optykę półfabrykatów do dalszej obróbki i możliwości wykonania planu. Dlatego „optyka” nie wykonała planu kwartalnego swojego wydziału. Wprawdzie ilościowo, na wagę były to ilości znikome i pan Jan widocznie liczył na to, że zakład braku tych ilości nie odczuje, nie zwrócił jednak uwagi na to, że była to produkcja końcowa, droga, a i kwota finansowa wyraźnie odczuwalna. Plan wprawdzie uratowano, ale nie uniknęło się kosmicznej awantury na szczytach władzy, ponieważ wysokość premii kwartalnej była uzależniona od procentowego przekroczenia planu produkcji, więc tym razem jako, że plan był przekroczony zaledwie w ułamku procenta, to i premia była raczej symboliczna. Winą za taki wynik produkcji pan inżynier Jan Nowak próbował obciążyć świeżego kierownika optyki, ale nie bardzo mu się to udawało. w mojej obronie stanęli murem przede wszystkim ci, którym zależało na tym, abym przypadkiem nie zdecydował się odejść z zakładu, bo znów byłyby kłopoty ze znalezieniem profesora matematyka. Uznali jednak, że za słabo, za mało energicznie przeciwstawiałem się dyktatorskim zapędom pana inżyniera i pozwoliłem mu na wpędzenie mnie w maliny. Doszli do zgodnego wniosku, że nie nadają się na kierownika „optyki” i przeniesiono mnie na stanowisko kierownika działu kontroli jakości. Stanowisko bardziej reprezentacyjne, któremu podlegają, jeśli nie bezpośrednio, to pośrednio wszystkie działy i wydziały zakładu pod względem jakości produkcji i wszystkie stanowiska kontroli jakości na całym zakładzie. w związku z tym i wynagrodzenie zasadnicze było znacznie wyższe. Złośliwi twierdzili, że:

- *Krasoń jeśli nawet spada, to jak kot – zawsze na wszystkie cztery łapy.*

Ale nie ma się co śmiać! Fala zmian zataczała coraz szersze kręgi i toczyła się dalej. Na „optykę”, na opróżnione przeze mnie stanowisko został powołany technik-technolog, od głównego technologa, Ryszard Karlicki, młody, inteligentny i ambitny chłopak i co najważniejsze już dość dobrze przygotowany teoretycznie

i wtajemniczony praktycznie w tajniki pracy i organizacji wydziału „optyki”, z którą miał już dużo do czynienia, jako technolog. a ja, przechodząc na stanowisko kierownika działu kontroli technicznej (albo jakości, bo różne i dość swobodnie używano na przemian jednej to drugiej nazwy, DKT albo KJ, co kto wołał.) wysadziłem z siodła bardzo sympatycznego młodzieńca, dotychczasowego kierownika tego działu, Wiktora Czasnojcia. Jak wskazywałoby jego nazwisko, musiał pochodzić gdzieś z dalekich kresów wschodnich. Był do rzeczy i dał się lubić. Na szczęście nie stracił na tej zamianie i nie miał żadnych powodów, aby na mnie patrzeć bykiem, sam bowiem także awansował. Został mianowany bowiem p.o. dyrektora ds. technicznych, czyli praktycznie został zastępcą dyrektora do spraw technicznych. Formalnie na zakładzie stanowisko to piastował dr inż. Jan Chmieleński wraz z Aleksandrem Dobrzańskim i inż. Januszem Jabłkowskim, największym autorytetem w dziedzinie szklarstwa, a w szczególności w dziedzinie szkła optycznego. Fanatyczny teoretyk w tej dziedzinie, autor licznych prac naukowych, sława naukowa na skalę światową, autor fundamentalnego dzieła na temat budowy i własności szkła optycznego. Byłem posiadaczem tego nieprzeciętnego dzieła, lecz w dalszych moich kolejach losu gdzieś się zapodziało i przepadło. Pan profesor był tak fanatycznie zapatrzony, wprost zakochany w swojej teorii o umiłowanym szkłe optycznym, że oderwał się zupełnie od rzeczywistości, poświęcając się bez reszty teorii szkła optycznego. Świetnie sekundował mu w tym inny fanatyk i teoretyk szklarstwa, twórca „Kinetycznej Teorii Szkła”, autor sławnego wśród szklarzy powiedzenia, a właściwie definicji: „Butelka to jest dziura oblana dookoła szkłem”

Praktycznie i w rzeczywistości funkcję dyrektora technicznego musiał wykonywać ktoś inny. Padło na Czasnojcia. Wśród kobiet na dziale kontroli technicznej na tę wiadomość zapanował popłoch, żaloba i żal. Niektórzy nawet mówili, że „płacz i zgrzytanie zębów”. Nic dziwnego, wszak wydział kontroli technicznej był prawie całkowicie sfeminizowany, kontrola była zdominowana przez kobiety, a kierownik Czasnojć był młodym, grzecznym i przystojnym kierownikiem. Nie bardzo się też dziwiłem, że początkowo pracownice kontroli patrzyły na mnie nieufnie, spod oka, niemal wilkiem. Nie przejmowałem się tym jednak, pod tym względem miałem już pewne doświadczenie i to zupełnie nie najgorsze, a wspomnienia raczej miłe z mojego dyktowania jeszcze w Pieńsku. Tam na kontroli pracowały prawie wyłącznie kobiety i potrafiłem je jakoś docenić i pozyskać ich sympatię. Kobiety polskie są dobrze przygotowane do pracy, chętne i pracowite, bardziej odpowiedzialne i lojalne od mężczyzn. Potwierdził to oficjalnie w trzydzieści kilka lat potem, w 1996 r., nowo wybrany prezydent RP, Aleksander Kwaśniewski w jednym ze swoich wywiadów, odpowiadając na zarzuty dziennikarzy, że opowiada się za większym udziałem kobiet w strukturach władzy, ale jednocześnie przed wyborami powiedział:

- *...nie oznacza to, że prezydentem w Polsce powinna być kobieta.*

Niedługo jednak trwała nieufność między mną, a moim nowym podległym mi personelem kobiecym. Zwiedzając i poznając poszczególne oddziały mojego nowego gospodarstwa, moją uwagę zajęło stanowisko kontroli kostek ze szkła optycznego. Dziwne to było i ciekawe, chociaż może najnudniejsze stanowisko kontroli na zakładzie. Około dziesięciu kobiet, a więc grupa dość znaczna miała za zadanie kostki szklane z łamania od pana Romana Jabłońskiego przekontrolować i przeliczyć, a następnie przekazać normalnie na hutę, na dział prasówek, gdzie prasówkarze z kostek tych prasowali krążki szklane, jako półfabrykaty dla „Optyki” na szkła okularowe. Jak już wspomniałem, kostek tych Jabłoński dostarczał do kontroli codziennie multum, kilka tysięcy. Kostki trzeba było przeliczać, aby Jabłoński mógł się rozliczyć ze zużytego szkła optycznego z jednej strony i z wykonania normy produkcyjnej z drugiej strony. Nie trzeba chyba uzasadniać, że takie liczenie tysięcy pojedynczych kostek było niezmiernie pracochłonne, monotonne, nużące i nieskończenie nudne. Kobiety wprost usypiało. Trudno uwierzyć, jak to proste, bezmyślne zajęcie było męczące. Ilość odrzucanych przez panie brakarki wadliwych, ułomnych kostek, kostek które trzeba było zdyskwalifikować i odrzucić na stłuczkę, była minimalna i nie przekraczała ułamka procentu, ogólnej liczby kontrolowanych kostek. Pan Roman Jabłoński, w trosce o dobre imię, dbał o to, aby nie robić braków, a jeśli już przypadkiem gdzieś powstała jakaś uszkodzona, wadliwa kostka, to ją we własnym zakresie odrzucał do stłuczki jako brakową.

W swych wędrówkach zapoznawczych po zakładzie zabłądziłem również do magazynu zaopatrzeniowego, gospodarstwa pana Mieczysława Cieśluka, kierownika działu zaopatrzenia JWO. Pana już w wieku dojrzałym, z ogromną łysiną, której nie powstydziliby się ani Rydz Śmigły ani też Cyrankiewicz. Człowiek na pozór zimny i nieużyty, ale to był tylko pozór. Pod tą zimną maską krył się człowiek rozsądny, grzeczny i uczynny. Przeglądając z czystej ciekawości jego zapasy magazynowe, z których sam przecież permanentnie korzystałem, również dla zaopatrywania w materiały pomocnicze stanowiska kontroli na zakładzie mi podległe, natknąłem się na zupełnie nową, nieużywaną wagę liczącą. Waga taka to bardzo proste urządzenie, zbudowane na zasadzie bezmianu starożytnej wagi dźwigniowej, znane już w starożytnym Rzymie (a może jeszcze wcześniej). Być może już kupcy feniccy obliczali swoje sykle i talenty na takiej wadze bezmianowej. Egzemplarz, który odkryłem w Cieślukowym magazynie, był już znacznie udoskonalony i unowocześniony na miarę nowożytnych czasów. W przemyśle urządzenie to jest powszechnie używane do liczenia tak zwanej „masówki”, to znaczy przedmiotów drobnych, jednorodnych i niezwykle licznych jak: gwoździe, śruby, nakrętki, łuski karabinowe do naboju w fabryce zbrojeniowej, jednym słowem wyrobów drobnych, ale licznych, gdzie poszczególne egzemplarze różnią się między sobą wagowo tak minimalnie, że praktycznie można bez szkody

przyjąć, że ważą tak samo. Na tej zasadzie wykorzystuje się wagę dziesiętną nie do ważenia a do liczenia właśnie. A postępujemy tak: „ustawimy wagę na 10-krotne powiększenie, wtedy aby zrównoważyć jeden ważony element położony na małej szali (np. gwóźdź papiak) trzeba na dużej szali położyć takich gwoździ 10 sztuk. Aby zrównoważyć 100 elementów trzeba na dużej szali położyć ich już 1000 sztuk. Wagę przy dużej, prawdziwej „masówce” można ustawić tak, że jeden element położony na małej szalce równoważy dopiero położenie na dużej szali np. 1000 elementów ważonych. A jak liczymy? Na małej szalce kładziemy określoną, niewielką liczbę ważonych elementów np. 100, wtedy przy przełożeniu powiedzmy również 100, jeśli wagę zrównoważymy, wiemy, że na drugiej dużej szali musi się znajdować 100x100 czyli 10000 elementów. Jeśli mamy do ważenia, przepraszam, nie do ważenia, a do „liczenia” mniejszą ilość elementów wystarczy wtedy na małej szalce odpowiednio zmniejszać ilość elementów lub zmienić przełożenie. Wagą tą można liczyć z dokładnością nawet do 0,1%, a więc z błędem 1 na tysiąc liczonych sztuk. Zabrałem natychmiast tę wagę na oddział, ku ogromnej ucieście i zadowoleniu Miecia Cieśluka, któremu, jak powiadał:

- *Ten grat zalegał w magazynie, zamówiony nie wiadomo przez kogo i kiedy od lat.*

A u mnie na oddziale kontroli kostek panie brakarki i pan Roman Jabłoński z niedowierzaniem podeszli do tego nowatorskiego pomysłu. Nie mogło im się pomieścić w głowach, aby przy pomocy wagi można było liczyć kostki i to z dokładnością prawie jednej sztuki na tysiąc. Szczególnie nieufny, był pan Roman i było to w pełni zrozumiałe. Bał się, że waga będzie oszukiwała lub zbyt niedokładnie obliczała kostki, a on przez to będzie poszkodowany. Trudno, tak zawsze jest przy nowatorskich poczynaniach. Trzeba było niewiernych przekonać, że nie mają racji, a ich obawy są nieuzasadnione. Przystąpiliśmy do prób. Objaśniłem zasadę działania wagi, a próby przeprowadzali najbardziej zainteresowani, a przede wszystkim pan Roman Jabłoński. Straciliśmy na tych próbach prawie cały dzień roboczy. Towarzystwo zaczęło wreszcie traktować te próby jako ciekawą i wesołą grę, doskonałą zabawę. Zaczęto zadawać maszynie trudne i podchwytliwe zadania matematyczne do rozwiązania, ale maszyna nie dała się zwieść! Odpowiadała szybko, rzetelnie i prawidłowo. Zdała egzamin, wcale niełatwy, na pięć z plusem. Sam pan Roman Jabłoński musiał przyznać, że waga jest niezawodna. i w ten sposób waga uzyskała sobie prawo obywatelstwa na stanowisku kontroli kostek optycznych. Została wpisana w proces technologiczny. Z tym, że ewentualne, nieliczne zresztą, trafiające się kostki ułomne, wadliwe, będą do braków odrzucać sami prasówkarze w procesie ich prasowania.

Był to mój pierwszy, zakończony wspianiałym sukcesem projekt racjonalizatorski, za który, poza uznaniem podwładnych (a zatrudnionych na stanowisku kontroli brakarek), nic więcej nie uzyskałem, tzn.

dyplomów, patentów, czy uznania w postaci jakiegoś pisma pochwalnego, a przede wszystkim premii w brzęczącej monecie.

Ale sam sobie byłem winien. Formalnie nie zgłosiłem tego jako wniosku racjonalizatorskiego do istniejącej i nawet dość aktywnie pracującej w zakładzie komórki od wynalazków i wniosków racjonalizatorskich – komórki postępu technicznego! Pomysłów i wniosków racjonalizatorskich wpływało do niej sporo. Niemało też wypłacano za nie nagród pieniężnych, wydawano dyplomów, świadectw i patentów. Ale mnie to wszystko ominęło. Byłem świeży, nieoblatany, nie wiedziałem o obowiązującej procedurze składania wniosków racjonalizatorskich. Pozostała więc tylko satysfakcja ze zrealizowanego pomysłu, uznanie, jakie zyskałem wśród pań kontrolerek wprowadzając go w życie i przełamanie lodów nieufności jaką mnie dotąd jeszcze obdarzały i uzyskanie możliwości pewnego przetasowania brakarek czy kontrolerek na różnych stanowiskach. Bo muszę przyznać, że rzesza pań kontrolerek i brakarek jakie odziedziczyłem po panu Witku Czasnojciu na różnych stanowiskach DKT była tak liczna, że tak naprawdę nigdy nie wiedziałem ile ich w ogóle jest w rzeczywistości, czy więcej jak 150 czy też mniej. W późniejszych czasach, kiedy już dostałem do pomocy asystentkę Marysię S., technika szklarskiego, absolwentkę z pierwszej edycji naszego przykładowego Technikum Szklarskiego, też nigdy nie mogłem się jej doprosić, żeby mi podawała na bieżąco meldunki o stanie liczbowym mego personelu. Pierwszy porządek zrobiłem, dzięki realizacji pomysłu racjonalizatorskiego z wagą liczącą, na stanowisku kontroli kostek optycznych. Po zastosowaniu wagi liczącej, pracę kontroli i liczenia kostek, nad którą dotąd ślęczało po całych dniach po dziesięć i więcej (w razie pilnej potrzeby) dziewcząt, teraz śpiewająco wykonywały cztery. W ten sposób wygospodarowałem sześć osób rezerwy, którymi mogłem dowolnie manipulować i zasilać personalnie te stanowiska, gdzie robota się spiętrzała i które stanowiły „wąskie gardło” w przepływie procesu produkcyjnego. Na razie więc nie spieszyłem się z redukcją ludzi na kostkach, a badałem gdzie i jak można i trzeba pomóc na innych stanowiskach kontroli, i tam podsyłałem pojedynczo z tej rezerwy rzecz oczywista, że na te przeszło 100, czy prawie 150 kobiet, kontrolerek i brakarek, składało się tyleż różnych osobowości i charakterów: były młodsze i były starsze, bardziej i mniej inteligentne, z temperamentem i raczej flegmatyczne, spokojne, wszystkie jednak charakteryzowały się ogromnym poczuciem obowiązku i odpowiedzialności. Niemniej na różnych (licznych stanowiskach kontroli, charakter pracy był rozmaity, różne były wymagania, inne parametry kontroli, cechy i tolerancje, inne niejednokrotnie wymagania sprawności osobistych organów zmysłu, np. ostrość wzroku, daltonizm.

Dlatego na kierowniku DKT spoczywał m.in. i ten trudny obowiązek, aby umiał dobierać odpowiednią brakarkę czy kontrolerkę na odpowiednie stanowisko kontroli.

Muszę się trochę pohamować. Bo tak się rozpędziłem, że gotów jestem „z marszu” napisać jakąś obszerną monografię albo inne „wiekopomne” dzieło na temat szklarstwa. Wcale nie mam takiego zamiaru, bo po pierwsze nie posiadam do tego żadnych absolutnie kwalifikacji, ani jako profesjonalny szklarz, ani tym bardziej jako pisarz. Już dawniej byli do tego różni fachowcy. Jako dyrektor Zakładów Szklarskich w Pieńsku, w październiku 1947 roku przekazałem na ręce pana Gójskiego z działu organizacyjnego w Dolnośląskim Zjednoczeniu Hut Szkła 115 egzemplarzy różnych opracowań na temat szklarstwa. W pokwitowaniu, jakie mi pozostało na „wieczną rzeczy pamiątkę” napisano wprawdzie „broszury”, ale sądząc jednak z tytułów takich jak: „O ważności naukowych analiz szkła”, albo „Badania i analizy na topliwość różnoziarnistego piasku” albo „Metoda wykrywania knotów i kamyczków” wreszcie „Pakowanie i magazynowanie szkła”, należy przypuszczać, że są to bardzo poważne dzieła, w których potraktowano rzeczowo i profesjonalnie najrozmaitsze odcinki produkcji szklarskiej, zarówno istotnych spraw dotyczących tak samej istoty szkła, jego składu jak i metod jego wytwarzania i obróbki. Szkoda tylko, że w spisie brak jest nazwisk autorów tych „broszur”. To wszystko było już znane i napisane jeszcze przed rokiem 1946, a do roku 1960 upłynęło już prawie 15 lat. Ile przez ten czas powstało nowych fachowych dzieł napisanych przez polskich uczonych i inżynierów i techników szklarskich, ile ukazało się dzieł naukowych z tej dziedziny przetłumaczonych z dzieł różnych napisanych w językach obcych: francuskim, włoskim, czeskim, rosyjskim, a przede wszystkim w języku niemieckim, bo Niemcy traktowali tę dziedzinę przemysłu bardzo poważnie, pragmatycznie i naukowo do niej podchodzili. To też posiadają bardzo bogatą i wartościową literaturę w tej dziedzinie. Jej zasoby są wprost niewyczerpalne i niezwykle wszechstronne.

Moje opisy Jeleniogórskiej Wytwórni Optycznej są chyba absolutnie zbyteczne. Chyba nic nowego nie potrafią już wniesić. Ale z drugiej strony na tym zakładzie przepracowałem bez mała 15 lat. To jednak szmat czasu i na tyle znaczący w moim życiu, że trudno nad nim przejść do porządku dziennego. Coś niecoś jako wspomnienie wypada jednak o tym napisać. Chociaż nie piszę historii, a wspomnienia, to wypada chyba napisać przynajmniej to, co często i chętnie, a czasem z zażenowaniem i skruchą, teraz do mnie wraca w postaci wspomnień. Zresztą po co mam sobie narzucać jakieś rygory i ramki, a to historia, a to nie historia!... Piszę dla przyjemności i własnej rozrywki i może do wiadomości przyszłych pokoleń (kto to wie?) wspomnienia o moich przeżyciach sprzed lat. Tak jak je teraz widzę w mojej wyobraźni z perspektywy iluś tam lat. Czemu mam więc krępować swą wyobraźnię, puśćmy jej wodze, niech sobie hula swobodnie! a my uchwycimy się naszych kostek ze szkła optycznego i idźmy dalej za nimi. Jak już wspomniałem, zaprowadzą nas one na „prasówki”. Co na ten temat prasówek ma do powiedzenia jubileuszowa, wspomniana już „Jednodniówka” z 22 lipca 1960 roku?

- *Zakład nasz dostarcza wielu odbiorcom półfabrykaty soczewek w postaci tzw. „prasówek”. w okresie ubiegłych 15 lat opracowano odpowiednie metody organizacyjno-techniczne pozwalające na opanowanie nowych asortymentów prasówek w bardzo krótkim czasie. Poza tym dzięki długim i żmudnym badaniom poprawiono znacznie jakość produkowanych prasówek, co pozwoliło między innymi na znaczne rozszerzenie eksportu. W dziedzinie szczególnie masowo wytwarzanych prasówek okularowych zdolano opanować produkcję uwzględniającą żądanie odbiorcy zmniejszenia do minimum grubości tych wyrobów celem skrócenia późniejszej ich obróbki. Dalej, dzięki nowemu procesowi odprężania udało się wyzyskać do przerobu szkła częściowo odchylkowanego, co przyczyniło się do obniżki kosztów tej produkcji.*

„Jednodniówka” przypomina mi do złudzenia nie tylko fonetycznie, owe obowiązkowe przez jakiś czas, poranne „prasówki” partyjne, kiedy to do aktywnego członka partii należało przeprowadzanie codziennie rano przeglądu prasy, oczywiście partyjnej, gdyż żadna inna nie miała debitu. A jeśli nie przeprowadzić, to przynajmniej wysłuchać, a wiadomo, że chodziło o to, aby w powodzi miątkich słów utonąła bez śladu istotna treść. Według mnie, to, co „stoi napisane” w tej Jednodniówce, to w pewnym sensie „mowa-trawa” albo jak mówią inni „nowomowa”, zatrzęsienie gładkich słów, a żadnej treści. Praktycznie nic interesującego się człowiek z tej enuncjacji nie dowiaduje.

A jak to wygląda w naszych wspomnieniach?

Dział prasówek umieszczony był na prawach sublokatora na hucie, i koncentrował się wokół specjalnej konstrukcji pieca prasówkowego, którego zadaniem były pojedyncze kostki ze szkła optycznego, które zdążyły już tu przywędrować rozgrzewać się aż do stanu plastyczności. Wokół licznych otworów prasówkowego pieca, w którym do stanu plastyczności nagrzewały się nasze kostki ze szkła optycznego, rozmieszczone były prasy, jedna przy każdym otworze. Były to znane mi proste ręczne prasy szklarskie, masowo produkowane przez Fabrykę Form i Maszyn Szklarskich w Pieńsku. Za moich czasów, początkowo pod kierownictwem inżyniera Feista, a potem po jego tajemniczym zniknięciu, przez pana Tarkowskiego. Kiedy wspominam tajemniczego inżyniera Feista, to jakoś odruchowo kojarzy mi się jego nazwisko z bardzo fonetycznie zbliżonym nazwiskiem bohatera Johana Wolfganaga Goethego, tajemniczym doktorem Faustem. „Feist” – „Faust”, prawda jakie podobne do siebie. Jakże różne jednak są ich znaczenia frazeologiczne, „Feist” to tłusty, otyły, a „Faust” to pięść, kułak, jak i postaci kryjące się pod tymi nazwiskami. Feist to młody, zdolny i sprawny inżynier. Niemiec doskonale władający językiem polskim, absolwent Politechniki Gdańskiej, rzeczywiście żyjący i działający w Pieńsku. Między innymi jego dziełem była odbudowa elektrowni wodnej w Pieńsku na Nysie. Przez pewien

czas po wojnie, aż do jego zniknięcia, był nominalnym kierownikiem Fabryki Form i Maszyn Szklarskich w Pieńsku, której uruchomienie po wojnie również było jego dziełem. Pomagał mu w tym młody chłopak, majster Schultz (też Niemiec). Bohater arcydzieła Goethego, filozoficznego poematu „Faust” jest, oczywiście postacią fikcyjną i literacką, wymyśloną przez autora. Starym, zramolałym profesorem, który życie strawił na bezskutecznym poszukiwaniu kamienia filozoficznego i eliksiru młodości. Rozczarowany i zrozpaczony zmarnotrawionym na mrzonkach życiem, zawiera wreszcie pakt z samym diabłem, Mefistofeilesem, ale i tu przeżywa rozczarowania i ponosi druzgocącą klęskę. Ale wracajmy do naszych „prasówek”. Tamte wspomnienia nasunęły mi się, bo w prasach ustawionych na hucie wokół pieca prasówkowego poznaję stare znajome rodem z Pieńska. Od Feista, a potem od Tarkowskiego, który po Feiście objął stanowisko kierownika Fabryki Form i Maszyn Szklarskich w Pieńsku. Sam, będąc dyrektorem Huty szkła Technicznego w Jeleniej Górze w 1945 roku, wyszabrowałem z nieczynnej jeszcze huty „Łużyce” w Pieńsku, dwie takie prasy dla huty Technicznej, które zresztą nie bardzo były przydatne i chyba zostały przehandlowane do Wytwórni Optycznej.

Do wyposażenia każdej prasy należy, przede wszystkim solidny masywny stolik żeliwny, na którym w specjalnych silnych uchwytach prasówkarz mocuje stalową formę, stanowiącą negatyw określonej prasówki. Ruchomy stempel, podnoszony i opuszczany przy pomocy potężnego „kiwacza” zakończony jest również stalową formą, stanowiącą negatyw rewersu tego samego detalu. Ustawiony obok prasy stolik z azbestowym blatem to miejsce, na które prasówkarz wyrzuca z formy wyprasowany już detal, czyli tak zwaną „prasówkę”. Stamtąd zabiera ją odnoszaczka, aby odnieść do „ciągowni” gdzie będzie podlegała odprężaniu przez powolne ochładzanie.

Na te same stanowiska prasówkowe trafiają również krążki ze szkła barwionego, na okulary przeciwsłoneczne. Produkuje się z nich, podobnie prasówki na szkła okularowe korekcyjne, przeciwsłoneczne, brązowe o różnych absorpcjach, jaśniejsze – 25% absorpcji; ciemniejsze – 50% i 75% absorpcji – zupełnie ciemne. Krążki te mają średnicę i masę szkła zbliżoną wielkością do wymiarów gotowego wyrobu, co ogromnie upraszcza pracę prasówkarza. Te kolorowe krążki okularowe, to jest właśnie ta masówka, z której są tak dumni pracownicy JWO. To i kolorowe okulary, korekcyjne traktowane jako masówka eksportowa, stanowią prawdziwą dumę wytwórni, o których piszą w swej „Jednodniówce jubileuszowej”.

W dziedzinie szczególnie masowo wytwarzanych prasówek okularowych zdołano opanować produkcję uwzględniającą żądania odbiorcy (zagranicznego). Poprawa produkowanych prasówek pozwala w znacznym stopniu rozszerzyć eksport. Zwłaszcza do Czechosłowacji!

Wracając do sprawy liczenia kostek, to jak już powiedziałem, był to zrealizowany mój wniosek racjonalizatorski, wniosek czystej wody, za który właściwie to nikt mi nawet nie powiedział zdawkowego „Bóg zapłać”. Dopiero później, znacznie później, bo prawie już na dwa lata przed moim odejściem na emeryturę, otrzymałem świadectwo racjonalizatora następującej treści:

Jeleniogórskie Zakłady Optyczne

ŚWIADECTWO RACJONALIZATORSKIE

Ob. Stanisław Krasoń /współtwórca/

DOKONAŁ PROJEKTU RACJONALIZATORSKIEGO POD TYTUŁEM:

Urządzenie do obiektywnej kontroli przepuszczalności wizualnej filtrów

(Nr Ewid. w Zakładzie Pracy: 31/71)

przyjętego do realizacji decyzją z dn. 9.07.1971 r.

i na mocy Ustawy z dnia 31 maja 1962 r. Prawo Wynalazcze (dz. U. z 1962 r. nr 33 poz.155)

otrzymał niniejsze świadectwo Nr 31/71

Jelenia Góra, dnia 17.04.1972r.

Kierownik Zakładu Pracy

Edward Piwko

Na czym ta obiektywna kontrola przepuszczalności wizualnej filtrów (prawdopodobnie filtrów do chirurgicznych lamp bezcieniowych) miała polegać, już dziś nie wiem i nie wiem również jak wyglądało i co to było za urządzenie do badania wizualnej przepuszczalności, za które dostałem to świadectwo. Okazuje się, że o nagrodach, odznaczeniach słabiej się pamięta niż o doznanych krzywdach, pomówieniach, niesprawiedliwościach i upokorzeniach.

A co dalej z naszymi prasówkami? Wydaje mi się, że za dużo czasu i uwagi poświęcam temu produktowi. Jest to wprawdzie owoc produkcji masowej, ale w gruncie rzeczy bardzo prostej struktury i traktowanie go poważnie na dłuższą metę dla niego samego byłoby zbyt nużące i nudne. Ale ma on jednak korzystną właściwość, bardzo wyraźnie i czytelnie nakreślony cykl produkcyjny z dokładnie wydzielonymi poszczególnymi operacjami technologicznymi, w taki sposób, że wędrując z nim, czy za nim jak za przewodnikiem po kolejnych jego różnych stanowiskach obróbczych niejako mimo woli, mimochodem możemy poznać strukturę i organizację prawie całego zakładu i znaczną ilość różnych cykli produkcyjnych. Z tego względu, mimo wszystko, myślę, że warto się go trzymać do końca w procesie produkcyjnym i towarzyszyć mu w jego wędrówce po stanowiskach i wydziałach, jak raz po raz przeskakuje z wydziału na wydział. Urodził się na hucie, przeszedł na szlifiernię na łamanie kostek i ich liczenie (tak jak to nieraz zdarza się i w życiu, kiedy słyszymy „połamię ci kości” albo „już ja ci kości policzę”. Stąd wędruje właściwie/wraca na hutę, na dział prasówek, by po wyprasowaniu, ostudzeniu i odprężeniu (i tu okazuje się potrzebny swego rodzaju relaks) powędrować na zupełnie nowy dział, „optykę”. Tu, jak w salonie piękności, czekają go różne operacje kosmetyczne, znowu szlifowanie i polerowanie aby nabrał dokładnego kształtu, krzywizny z dokładnością do „pół prążka Newtona”, wymiaru, czystości i blasku, by z prasówki przekształcił się w doskonałe, przezroczyste jak źródłana woda, szkło okularowe, produkt końcowy, przedmiot handlowy znany powszechnie prawie każdemu człowiekowi na ziemi. Specjalista optyk wprawi go w oprawy i zrobi okulary, służące do poprawy wadliwego lub słabego wzroku znacznej części ludności świata w granicach wieku od niemowląt do późnej starości.

Oczywiście, prasówki, szkła okularowe korekcyjne, bezbarwne i przydymione, przeciwsłoneczne, to produkcja masowa, ważna, nawet bardzo ważna gałąź produkcji w strukturze Jeleniogórskiej Wytwórni Optycznej, ale nie najważniejsza. Jest wiele innych nie mniej ważnych, bardziej technologicznie skomplikowanych i pod względem wymagań jakościowych surowszych i niezmiernie czułych na precyzję wykonania. Zwłaszcza te gatunki szły na eksport, gdzie miały i musiały konkurować z wyrobami takich potęg w dziedzinie optyki precyzyjnej jak Czechosłowacja, Japonia, Niemcy Zachodnie no i oczywiście, Stany

Zjednoczone, kładące ogromny nacisk na unowocześnianie optyki precyzyjnej i nie tylko optyki, ze względu na potężny rozwój, techniki budowy rakiet międzykontynentalnych i statków kosmicznych typu np. „APOLLO”

Z prawdziwie obawą i gęsią skórą przystępuję do opisu wydziału, od którego rozpoczynałem swoją karierę, nie bardzo zresztą fortunnie, po przyjsciu do JWO. Może właśnie przez to niefortunne wejście na scenę, czuję teraz tę awersję, niechęć, a może nawet obawę przed opisywaniem tego wydziału. Wachlarz zainteresowań, asortymentów, technologii procesowo-produkcyjnych wydział ten posiada ogromne bogactwo, chcąc to wszystko ująć i opisać, przypuszczam, że potrzeba byłoby na to wielu lat i ton papieru. I być może powstałby jakiś potworek grafomański, jakaś monstrualna monografia. I po co? To już nie na moje siły i nie na moje możliwości. Zresztą, powiedzmy sobie jeszcze raz wyraźnie, nie piszę żadnej historii, a tym bardziej jakiejś monografii, encyklopedii czy podręcznika szklarstwa. Niewątpliwie tymi sprawami zajmują się profesjonaliści, profesorowie, inżynierowie i technicy. Od tamtych czasów na pewno powstało setki, jeśli nie tysiące dzieł naukowych, do których muszę odesłać chętnych poznania szczegółów procesów technologicznych i produkcyjnych szklarstwa. Ja uciekam przed tą gigantyczną monografią i potraktuję wszystkie opisy bardzo lakonicznie, skrótowo, wskazując jedynie na pewne kluczowe fakty, ale nie wdając się w ich szczegółową analizę ani w obszerne omówienia. Tylko tyle ile konieczne jest dla retrospektywnego przeglądu mojej przeszłości.

Optyka, jak już powiedziałem, była działem, który można by nazwać „salonem piękności”. Tu trafiają wszystkie detale z huty i szlifierni, aby uzyskać swój ostateczny kształt, ostatni „szlif”, połysk i blask. Tu kończyły swój cykl produkcyjny na JWO. Tu zapakowane wyruszały w szeroki świat, by pełnić dla ludzkości swą odpowiedzialną służbę.

Z grubsza biorąc, to pracę na „optyce” można by określić jako głównie szlifowanie „zgrubne” przy użyciu proszków ściernych szlifierskich nr 400" i 300" oraz szlifowanie drobne przy użyciu proszków szlifierskich nr 1000" i wyżej. Co oznacza ta liczba 400" czy 800" przy proszku szlifierskim? Oznacza ona grubość ziarna proszku szlifierskiego. 400" – to znaczy, że ziarna tego proszku przesiane zostały przez sito o gęstości oczek 400 na 1 mm²; liczba 800" oznacza, że proszek posiada ziarna przechodzące przez sito o gęstości oczek 800 na 1 mm². Szlifowanie „zgrubne” i drobne ma zadanie nadać detalowi właściwego wymiaru, a przede wszystkim kształtu jak najbardziej zbliżonego do idealnego, założonego w technologii, kiedy jeszcze tolerancję mierzy się już ilością prążków interferencyjnych Newtona. Ale ostateczny kształt, gdzie tolerancja odchyłki nie może przekraczać 0,5 prążka Newtona, detalowi nadaje już po polerowaniu. Tu środkiem polerującym jest róż polerski lub podobne substancje polerskie, a następnie korek i filc. Dla wielu detali, zwłaszcza tych, które

stanowią element składowy innego większego, złożonego przedmiotu użytkowego, jak np.: soczewki do obiektywów mikroskopów, obiektywy do aparatów fotograficznych, soczewki do lornetek lub kondensory do powiększalników filmowych czy projektorów, na tym etapie kończą swój cykl techniczno-produkcyjny w JWO, zapakowane, jako półfabrykat odjeżdżają do innych zakładów optycznych, kooperujących z JWO i produkujących te wyroby, a więc lornetki, powiększalniki, projektory, itd.

Podobnym operacjom na „optyce” podlegają również prasówki okularowe tak bezbarwne jak i przyciemnione, przeciwsłoneczne. Tysiące gotowych szkieł okularowych korekcyjnych, przezroczystych, przeważnie o wysokich dioptrachach tak dodatnich jak i ujemnych zabiera katowicka „Optyka”, Katowicka Wytwórnia Okularów. Natomiast szkła okularowe barwne, przeciwsłoneczne produkowane są przeważnie na eksport do Czech, z czego tak bardzo dumne jest całe JWO. Czesi przecież od wieków słynęli, jako potęga w przemyśle szklarskim, światowi konkurenci szklarzy weneckich i Francuzów.

Ale też stanowisko szkieł okularowych, a szczególnie kolorowych było najbardziej obciążone i otoczone specjalną troską, jako stanowisko kontroli towaru eksportowego. Było też bardziej obarczone spotęgowanym poczuciem odpowiedzialności. Na stanowisko kontrolerki i brakarki dobierało się panie inteligentne, doświadczone, zrównoważone o doskonałym wzroku i dużym poczuciu odpowiedzialności.

Na tym stanowisku poza kontrolą normalnych parametrów, jak jakości materiału, dokładności wykonania i obróbki dochodziły jeszcze inne operacje, może mniej o charakterze technologicznym, a raczej biurokratycznym. Do obowiązków pań kontrolerek i brakarek na tym stanowisku bowiem, poza działaniami, jak powiedziałem normalnymi dochodziły operacje: pomiar każdej sztuki (każdego szkła) na dioptrymierz oraz wyznaczenie i zaznaczenie na szkłe okularowym „osi optycznej” i zaznaczenia jej punktem na szkłe, przy pomocy odpowiedniego urządzenia. Tak przygotowane każde szkło musiało być pakowane oddzielnie, każde w swoją kopertę, na której uwidocznione były: wszystkie cechy danego szkła, i np. nazwisko brakarki, słowem kompletna metryczka.

Brygadzystką na stanowisku kontroli jakości była energiczna pani Janina Gagattek. Krótko nazywana „panną Janką”, a przez niektórych nawet po prostu „Janką”. Czy Janka była panną, wdową czy mężatką, tego nie dochodziłem. Była sprawna, kompetentna, inteligentna i stanowcza. Nie wiem jakich środków używała i jakie stosowała metody, ale te kilkanaście podległych jej kobiet na kontroli szkieł okularowych, trzymała w karchach żelazną ręką. Praca na tym stanowisku przebiegała sprawnie, szybko i bez specjalnych zgrzytów. Na

pani Jance można było polegać! a na tym stanowisku trzeba było być szczególnie czujnym, dokładnym i uważnym w robocie, bo nad tymi paniami, cały czas, jak miecz Damoklesa wisiała groźba superkontroli przeprowadzanej systematycznie przez komisję powoływaną przez klienta-odbiorcę, czyli konkretnie przez Czechów!

Każdy przygotowany do ekspedycji transport szkieł okularowych, eksportowych musiał być odebrany na miejscu w JWO w magazynie gotowych wyrobów przez przedstawiciela klienta. Było to pewnego rodzaju zabezpieczenie się przed ewentualnymi, późniejszymi reklamacjami. Zakład wysyłał zawiadomienie do odbiorcy, że tyle, a tyle tysięcy gotowych szkieł okularowych czeka na odbiór techniczny i w ciągu kilku dni przyjeżdżał z Czechosłowacji młody człowiek, udawał bardzo poważnie, bardzo wielkiego eksperta w „tej” dziedzinie i przystępował do odbioru. Rzecz jasna, niemożliwe było sprawdzenie kilku czy kilkunastu tysięcy sztuk szkieł pod względem ich jakości w czasie jednej krótkiej dniówki, nawet przez największego możliwie „eksperta” chyba, że byłby cudotwórcą. Była to jednak praca, chociaż nie ciężka to żmudna i czasochłonna. Trzeba było bowiem wykonać przy każdym poszczególnym szkiełku następujące czynności (czyli jak to nazywano fachowo, operacje): wyjąć szkło, czyli rozpakować z koperty, w którą było zapakowane, przejrzeć organoleptycznie jego cechy zewnętrzne oraz czystość samego szkła, a następnie na dioptrymierz sprawdzić jego dioptrę i usytuowanie osi optycznej, a następnie szkło z powrotem zapakować. Gdyby mu nawet pomagało w pracach pomocniczych kilka osób to i tak ta superkontrola musiałaby niekiedy trwać całe wieki.

Dlatego też strony musiały pójść na kompromis i korzystając ze zdobyczy nauki, w tym przypadku z teoretycznej matematyki wyższej, zgodzić się na kontrolę statystyczną przy odbiorze. I tu wszedłem w dawną wyuczoną dziedzinę i znane mi z nauki na Uniwersytecie wiedzę o rachunku prawdopodobieństwa, zaczął się do mnie ironicznie uśmiechać niezapomniany profesor Jerzy Neyman i prześliczne wieczory prześlęczone nad dziełami *O rachunku prawdopodobieństwa*, *O biometryce*, *O matematyce stosowanej*, *O grach losowych*, *O krzywej Gaussa*, *O prawach wielkich liczb*, prześlęczone w bibliotece przy seminarium na ul. Miodowej. i to było jedyne możliwe rozwiązanie. Bo i tak, gdy przychodziło przy odpowiedniej, dużej partii szkieł przygotowanych do wysyłki, skontrolować próbkę reprezentatywną szkieł wybranych z tej partii losowo w ilości np. 150 czy 200 sztuk to i tak kontrola ich przeciągała się niekiedy daleko poza godziny urzędowania magazynu gotowych wyrobów.

Z biegiem czasu odbiory stopniowo ulegały usprawnieniom i przebiegały coraz szybciej, aż wreszcie Czesi zrezygnowali z przysyłania do odbioru swego przedstawiciela, a obowiązek odbioru statystycznego przed

każdą wysyłką zlecili Centrali Zbytu w Warszawie. i wtedy poznałem się z jej przedstawicielką, panią inspektor Szczotką. Słowo powszechnego użytku, ale jako nazwisko i to pani inspektor, kobiety, całkiem... całkiem do rzeczy... zawsze wywoływało pewne zdziwienie i uśmiech na twarzy. Ale kobieta była naprawdę „do rzeczy”, kompetentna i odpowiedzialna, a także znacznie bardziej surowa i wymagająca niż jej poprzednik Czech. Wobec czego weszliśmy w okres prawie stałych z nią „negocjacji” na temat odbieranych przez nią szkielec. Negocjacje były długie, rzeczowe, jak to teraz w modzie jest mówić, „merytoryczne”, wyczerpujące wszystkie możliwe argumenty „za” i „przeciw”. Nawet ten, że pani inspektor Szczotka jest „bardziej katolicka niż sam papież”, bo jej poprzednik, Pepiczek, nie robił takich ceregieli. Ostatecznie jednak sprawa przeważnie kończyła się na tym, że pani inspektor Szczotka wyliczała (ustnie) całą litanię uwag i zastrzeżeń, ale protokół odbioru podpisywała z ostatnim już, końcowym zastrzeżeniem, że to już ostatni raz. Następnym razem nie będzie już tak ustępliwa.

Prócz tej masówki, jaką były szkła okularowe, na „optyce” produkowany był jeszcze inny masowy artykuł. Pomijam już tu wspomniane soczewki do obiektywu dla dzieciennego aparatu fotograficznego „Druh”, który produkowały Zakłady Optyczne w Rzeszowie pod kierunkiem byłego kierownika optyki w JWO, którego miejsce na krótko zająłem. Tym sympatycznym asortymentem masowym, o którym chcę coś niecoś powiedzieć były lusterka dentystyczne. Ciekawe ze względu na bardzo nieskomplikowaną produkcję i na dodatkową operację technologiczną, o której dotąd nie było jeszcze wzmianki, a która na „Optyce” odgrywała bardzo znaczną rolę. Chcę powiedzieć o srebrzeniu, a wobec tego i znaczącym dziale „optyki”, prawie samodzielnym, którym kierował inżynier chemik Stanisław Seniow.

Jak powiedziałem, produkcja i technologia tych lusterek była bardzo prosta. Ze zwykłej tafli szkła szybowego o grubości 2 mm widiowym cyrklem, specjalista wycinał piękne krążki w zasadzie tylko w trzech wymiarach średnicy: $\varnothing$ 14 mm, $\varnothing$ 13 mm, $\varnothing$ 22 mm. Na „optyce”, na dużych szalach szlifierskich, posiadających dość znaczny promień krzywizny i na tyle dużą powierzchnię, że można było na niej nakleić i jednocześnie szlifować kilkadziesiąt krążków szklanych, nadając im kształt wypukło-wklęsłej soczewki o tak znacznym promieniu krzywizny, jakim oczywiście dysponowała szala szlifierska, na której krążki były szlifowane. Następnie po dokładnym wypolerowaniu obu powierzchni krążki w formie dość płaskich wklęsło-wypukłych soczewek przechodziły do następnej operacji technologicznej na srebrzalni. Tu starym, tradycyjnym sposobem krążki po wypukłej stronie w kąpeli w wannie galwanicznej pokrywane są cienką warstwą srebra, otrzymywanego z azotanu srebra, a następnie warstwę srebra pokrywano również w kąpeli galwanicznej, dla większej trwałości, cienką warstwą miedzi. Wreszcie całą tę stronę krążka pokrywano warstwą lakieru łąkowego,

piecowego i wypalano w odpowiednim piecyku. W ten sposób szklany krążek przekształcił się we wklęsłe lustro (wklęsłe, więc powiększające), które po oczyszczeniu, oprawione w odpowiedni uchwyt, służy stomatologom do dokładnego badania, albo nadzorowania przy wierceniu uzębienia ich pacjentów. Przytoczyłem ten asortyment, bo technologia jego wytwarzania jest jakby wzorcowa, szczególnie w produkcji różnego typu zwierciadeł, których „optyka” produkuje całe mnóstwo. Aby przytoczyć tylko niektóre: do latarni parowozowych, dla lokomotyw, dla tramwajów, do latarni samochodowych, (chodzi tu oczywiście o reflektory). Wszystkie one były otrzymywane w produkcji przy stosowaniu tej samej archaicznej, tradycyjnej metody, tej samej technologii. Zmieniały się tylko niekiedy stosowane do pokrycia warstwy srebra surowce. Zamiast pokrywać warstwę srebra warstwą miedzi, czasem malowano minią, a następnie farbą alumiiniową i wypalano w odpowiednim do tego piecyku do wyznaczonej temperatury. Różni odbiorcy stawiali też różne wymagania, właściwe dla ich potrzeb. Jedni żądali ścisłych wymiarów, mniej zwracali uwagę na własności wytrzymałościowe, inni na odwrót. Prawie bez żadnych wymagań produkowane były lustra paraboliczne o średnicy $\varnothing$ 40 cm do reflektorów kopalnianych. Miały one zastosowanie w kopalniach odkrywkowych i kamieniołomach. Technologia ich produkcji była niezmiernie prosta. z płyty szkła lanego grubości około 4-5 mm w Wałbrzychu, w Hucie Szkła Lustrzanego, wycinano krążek o średnicy $\varnothing$ 40 mm i o minimalnej grubości 4 mm i na gorąco wyginano go w formie parabolicznej o właściwych parametrach ogniskowej prowadnicy. Chodziło o uzyskanie zwierciadła parabolicznego o odpowiednio równoległym snopie odbitego światła. Te dwie czy trzy operacje wykonywała Huta w Wałbrzychu, na dziale, którego hutmistrem był wtedy, po tej awanturze w Pieńsku, Tadeusz Brejna, mój zastępca i dyrektor techniczny z czasów w Pieńsku. Tu, na gruncie wałbrzyskim, znowu się spotkaliśmy, bo jak zwykle nie obyło się bez tego, by korzystając z tak luźnych warunków technicznych nie usiłowali wcisnąć nam jakiegoś „baracha”. Na moje żale, Tadeusz usprawiedliwiał się i obiecał solennie, że po koleżeńsku i po starej znajomości i przyjaźni postara się, aby coś podobnego już w przyszłości się nie powtórzyło.

Te paraboliczne krążki (dla nas półfabrykaty), srebrzyło się u nas na srebrzalni na „optyce” opisaną techniką. Malowało się minią i alumiiniową farbą piecową, wypalało w znanym nam już piecyku i po oczyszczeniu i po zapakowaniu wysyłało odbiorcy. Nikt nigdy nie pytał i nie mówił o żadnych „technicznych warunkach odbioru jakościowego”. Wszyscy doskonale wiedzieli, że żywot tych zwierciadeł bywał niezwykle krótki, gdyż po zamontowaniu w kamieniołomie, świeciły ludziom i solidnie pełniły swą służbę do najbliższego „odstrzału”. Przy każdym wybuchu wraz z walącymi się ścianami bazaltu, dolomitu, czy marmuru rozpryskiwały się w drobne szczerby i nasze lustra paraboliczne. Na słupach oświetleniowych trzeba było montować nowe lampy, nowe żarówki i nowe lustra paraboliczne. Aż do następnego „odstrzału”.

Za to wymagania stawiane przez filmowców dla podobnych luster parabolicznych, ale dla projektorów filmowych były o wiele większe. Tak wysokie, że nie do przyjęcia i nie do wykonania przy naszej technice i technologii, przynajmniej w początkowej fazie ich produkcji. Produkowane były na bazie tych samych półfabrykatów otrzymywanych z Wałbrzycha od Brejny co i do reflektorów kopalnianych. Nawet wymagania kształtu i wymiarów były dość liberalne. Kontrola nie musiała sprawdzać ich krzywizny parabolicznej przy pomocy sprawdzianów optycznych z dokładnością do iluś tam prążków interferencyjnych Newtona. Wystarczała dokładność sprawdzana zwykłym szablonem metalowym. Diabeł tkwił w innych szczegółach. Ważnym i istotnym warunkiem, jaki stawiali przede wszystkim filmowcy, była trwałość tych zwierciadeł. Ich marzeniem było, aby każde lustro wytrzymało 200 godzin pracy. Ale to było marzeniem niedoścignionym (przynajmniej w obecnych warunkach produkcji). Byliby jednak bardzo zadowoleni gdyby te lustra zamiast wymarzonych 200 godzin pracy, wytrzymały chociaż ze 20. Ale i to ciągle jeszcze leżało w sferze dobrych chęci. w warunkach dotychczasowych, tradycyjnych produkcji zwierciadeł było to nieosiągalnym celem. Na razie zwierciadła wytrzymały w pracy średnio 8 godzin, a maksymalnie 10. Dlaczego? Te zwierciadła były montowane w projektory i reflektory, „Jupitery” do oświetlenia, których jako źródło światła stosowano żarówki elektryczne największej mocy, a więc przeciętnie 200 watowe, albo też lampy łukowe. Jakie warunki termiczne wokół siebie wytwarza źródło światła tej mocy, może sobie każdy wyobrazić chwytając w rękę paląca się zwykłą małą żarówkę, powiedzmy 60-watową. Na pewno już drugi raz gołymi rękami jej nie dotknie. a taka sama żarówka, tylko trzy razy silniejsza, daje też przynajmniej trzy razy więcej ciepła i wytwarza temperaturę wokół siebie, przy której maksymalne temperatury tropiku to „boreaszowi” chłodne podmuchy.

Produkowane tradycyjną metodą zwierciadła srebrzy się, pokrywając warstwą srebra tylną, wypukłą powierzchnię lustra. Srebro to utrwała się następnie pokrywając je warstwą miedzi i dalej całą tylną powierzchnię zwierciadła maluje się metalicznym lakierem piecowym, który z kolei wypala się dla większej trwałości do odpowiedniej temperatury w odpowiednim piecyku. Takie bezbłędnie wykonane lustro zostaje zamontowane w odpowiednim projektorze tak, aby źródło światła, czyli żarówka znalazło się w punkcie ogniskowym zwierciadła, bo i w tym przypadku chodzi o uzyskanie z projektora wiązki światła jak najbardziej równoległej (nie rozproszonej). Jak wiadomo taką, równoległą wiązkę otrzymuje się, kiedy źródło światła znajduje się w ognisku paraboli, jaką tworzy spreparowane odpowiednio zwierciadło paraboliczne. Wszystkie (albo prawie wszystkie) promienie świetlne emitowane przez źródło światła, odbijając się w zwierciadle tworzą właśnie wiązkę w przybliżeniu równoległą, więc nie rozpraszają się na wszystkie strony, tylko biegną w wyznaczonym kierunku do oznaczonego celu. Jaki więc jest bieg tej wiązki światła? Prześledźmy to jeszcze raz. Promienie emitowane przez źródło światła kierują się ku jego czaszy, przenikają przez 4-milimetrowej

grubości warstwę szkła i trafiają na lustrzaną warstwę srebra, odbijają się od jej powierzchni i wracają drogą, którą przyszły, a więc znowu przez 4-milimetrową warstwę szkła i dalej w świat. a zatem to silne światło dwukrotnie przenika przez szklaną ściankę zwierciadła zanim wolne wybiegnie w przestrzeń. Oczywiście, że przy tym przenikaniu pozostawia w szkłe tak znaczne ilości energii cieplnej, że w krótkim czasie nagrzewa zwierciadło do temperatury plastyczności szkła. Jupiter trzeba wyłączyć i studzić. W skutek tych ciągłych zmian, nagrzewania i studzenia, a bardzo często i przegrzania lustra, zwierciadło bardzo szybko traci swój charakter zwierciadła parabolicznego. I jeśli wcześniej nie popękało, to i tak już się nie nadaje do użytku. Trzeba zmienić zwierciadło, a generalnie trzeba również zmienić metodę produkcji i proces technologiczny tych zwierciadeł. Taka nowoczesna metoda istnieje, trzeba ją tylko poznać i zaadaptować do naszych lusterek. To metoda próżniowego napyłania. Kluczowym i zwrotnym momentem przy tej metodzie srebrzenia (właściwie aluminizowania) jest to, że srebrzy się nie zewnętrzną i wypukłą stronę lustra, a wewnętrzną, od strony źródła światła. Wtedy promienie świetlne ze źródła światła od razu natrafiają na zwierciadlaną warstwę odbijającą nie przechodząc przez szkło w ogóle, a tym samym nie nagrzewając go. Zwierciadło może więc pracować bez przerwy całymi godzinami nie nagrzewając się zbytnio. I problem rozwiązany. Istota wynalazku, podobnie jak sławny otwór w ostrzu igły w patencie Singera na maszynę do szycia, polega na tym, że warstwy odbijającej napyłonej pyłem alumiiniowym nie potrzeba dodatkowo utrzymywać żadnymi warstwami miedzi czy lakierami piecowymi. Jest ona sama w sobie tak trwała, jakby była integralną częścią szkła. Teraz te 20 godzin pracy dla lustra parabolicznego to betka! Nasi technolodzy twierdzą, że maluczko, a i te wymarzone 200 roboczo-godzin eksploatacji dla tych lusterek będą w zasięgu ręki.

Jakość prawie już osiągnięto. Teraz wysiłek jest skierowany na ilość. Obecna nasza produkcja wynosi około 3 sztuk miesięcznie (poprzednich wynosiła ponad 100 sztuk miesięcznie). Według szacunku filmowców zapotrzebowanie wynosi około 200 sztuk. Nasi rzeczoznawcy przypuszczają, że przy ilości 100 sztuk miesięcznie, przy nowoczesnej produkcji napyłania w próżni, rynek będzie w krótkim czasie nasycony i będziemy mogli ruszyć nawet z eksportem.

Jeszcze wypadałoby wspomnieć o stanowisku kontroli na „optyce”. Grupuje ono sam „kwiat”, tj. same doświadczane, wytrawne kontrolerki i brakarki. Takie tu są i powinny być, wobec bardzo różnorodnej i wszechstronnej produkcji opuszczającej wydział „optyki”. Od elementów instrumentalnych optyki precyzyjnej, przez asortymenty optyki medycznej, jak: szkła okularowe korekcyjne, lusterka dentystyczne, oftalmiczne, do specjalnej aparatury oświetleniowej itp. Zresztą trudno wszystkie te różnorodne asortymenty wyliczać, tym bardziej, że ciągle przybywają nowe. Zaledwie nasi technolodzy uporali się z tymi zwierciadłami

parabolicznymi dla filmowców, a już musieli zająć się lampami kineskopowymi dla telewizji. Właśnie na gwałt rozpracowują dla nich technologię i cały proces produkcyjny. Pani Wanda Teresińska, szefowa brygady kontroli jakości na „optyce” i srebrzalni musi ciągle i zawsze być przygotowana na przyjęcie do kontroli nowego asortymentu, wprowadzonego ostatnio do produkcji.

Był jeszcze jeden dział w Jeleniogórskiej Wytwórni Optycznej, dział nazywany „pomocniczym”, bo nie był działem produkcyjnym. Dział bardzo ważny, jeśli nawet nie najważniejszy. Dział mechaniczny. Pracowała na nim sama elita, arystokracja robotnicza, wysoko wykwalifikowani rzemieślnicy, ślusarze, tokarze, frezerzy, grawerzy, elektrycy. Oni to przygotowywali „oprzyrządowanie”, czyli narzędzie potrzebne do produkcji, formy, szale, grzybki, noże szlifierskie, szablony. Formalnie pod względem kontroli jakości mogłem się czuć także i na tym dziale kompetentnym przełożonym. Ale wołałem jednak tam nosa nie wtykać, bo dział był pod wysokim protektoratem dyrektora technicznego oraz pod stałą i czułą opieką Głównego Mechanika, a przede wszystkim Głównego Technologa. Liczni technologowie spędzali na nim więcej czasu, w trosce o jakość wykonywanego oprzyrządowania, niż u siebie za biurkiem czy przy rysownicy.

W sferze produkcji i kontroli JWO ugrzęzłem „po same uszy” do tego stopnia, że oderwałem się prawie całkowicie od reszty otaczającego mnie świata rzeczywistego. Dowodem, czego może być chociażby sam fakt, że w międzyczasie nie zdobyłem się nawet na kilka słów wzmianki o sprawach bieżących reszty świata. Czas więc wrócić do codziennej rzeczywistości.

Należy chyba zacząć od uporządkowania chronologii. Ustalić w jakim czasie żyjemy i działamy. Właśnie w JWO odbyła się uroczysta inauguracja działalności Technikum Mechaniki Precyzyjnej, Sekcja Optyczna w Jeleniej Górze. Na razie mamy tylko pierwszą klasę, do której trafili 14-latkowie urodzeni końcem 1945 roku i w roku 1947, a więc jest to rok szkolny 1961-1962. Teoretycznie Technikum było trzyletnie, ale nauka trwała w nim praktycznie pięć lat, bo przyjmowano do niego tylko absolwentów (i to nie wszystkich, po pewnej selekcji jakościowej) Przyszkółkowej Zasadniczej Szkoły Zawodowej przemysłu Szklarskiego, której kierownikiem był pan profesor Domaradzki. Szkoła ta była zlokalizowana jako przyszkółkowa, na terenie zakładu i mieściła się w tych samych pomieszczeniach co technikum, a poprzednio jeszcze szkoła podstawowa. Zadaniem tej szkoły było przygotowywać odpowiedni nabytek dla Technikum, uzupełnić kadry wykwalifikowanego personelu technicznego najniższego szczebla brygadzystów, młodszych majstrów, których brak był wyraźnie odczuwany i wreszcie stworzyć panu Domaradzkiemu godziwe stanowisko pracy, przed jego niedalekim odejściem na

emeryturę. w Zasadniczej Szkole Zawodowej został on jej kierownikiem, wychowawcą klasy i nauczycielem matematyki.

Program w jednej i drugiej szkole, a więc w Zasadniczej Szkole Zawodowej oraz w Technikum, przewidywał 3 dni w tygodniu nauki teoretycznej, a pozostałe 3 dni na praktykę warsztatową. w związku z tym zajęcia zaplanowano w cyklu wymijającym się. w dniach kiedy uczniowie Technikum mieli naukę z przedmiotów teoretycznych i siedzieli w ławkach w klasie, uczniowie Szkoły Zawodowej (krótko nazywanej „Zawodówką”) odbywali ćwiczenia praktyczne na stanowiskach produkcyjnych. i odwrotnie, kiedy „Zawodówka” rozwiązywała problemy teoretyczne i zdania w klasie, uczniowie Technikum ćwiczyli przy warsztacie pracy zajęcia praktyczne.

W roku szkolnym, w którym otworzono pierwszą klasę technikum, na mój przedmiot przypadły początkowo cztery godziny lekcyjne, a później sześć godzin tygodniowo. Oczywiście było to niewiele wobec minimalnego pensum wynoszącego dla pełnoetatowego nauczyciela 13 godzin tygodniowo, a średnia wahała się gdzieś w granicach około 22-24 godzin na tydzień. Teraz mogłem sobie spokojnie odkładać „zaskórniaki”. Wynagrodzenie za naukę w szkole było rzecz jasna nadetatowe i nie musiałem się z niego rozliczać przed domowym kasjerem. Spokojny też byłem, że nie będzie próbowała przeprowadzać wywiadów, jak to robią niektóre osoby w kasie zakładu. Nie miała takiego zwyczaju. a jeden raz w życiu, kiedy byłem na dłuższej delegacji i była zmuszona, upoważniona przeze mnie odebrać moją pensję miesięczną w kasie Budowy Nr 2 „Celwiskoza”, wypłacono jej znacznie mniej, niż ja zwykle przynosiłem. Była taką niespodzianką rozczarowana, ale nikt jej nie wyjaśnił, że miała wyjątkowego pecha, bo w tym właśnie miesiącu były jakieś kłopoty z wykonaniem planu i dlatego wstrzymano wypłacanie miesięcznej premii produkcyjnej. Wyrównanie przyniosłem później.

Po tym doświadczeniu i nieoczekiwanym jego wyniku, chociaż go nie komentowała ani słowem, odnosiła się do mnie jakoś cieplej i ufniej. Odczułem to tak jakby przedtem była przekonana, że ją oszukuję i nie daję całej pensji. Niestety przekonała się, że się myliła. i istotnie to, co się oficjalnie należało jako wynagrodzenie za pracę zgodnie z umową zbiorową - pensję zasadniczą i premie - oddawałem zawsze co do grosza. a że miałem „zaskórniaki”, to zarobki były nadzwyczajne, nadprogramowe, poza układem zbiorowym pracy zwane popularnie „fuchy”, czyli roboty doraźne, poza planem, zlecane na mocy umowy o dzieło, np.: opracowanie instalacji dzwonka alarmowego, a to ocena wniosku racjonalizatorskiego jakiegoś pracownika i przygotowanie jego dokumentacji technicznej, a to znowu namalowanie plakatu z okazji święta 1 Maja zawsze się coś ekstra znalazło i napędzało jakieś grosze, jako „zaskórniaki”, na czarną godzinę. a że się nie

leniłem więc i „zaskórniaków” nigdy prawie nie brakowało, a z tym i podejrzenia, że żonę oszukuję. Ale już dawno te czasy minęły. Między nami panowała pełna harmonia i zaufanie. Nie znaczyło to, że żona nie wiedziała o moich „zaskórniakach”. Wiedziała i pogodziła się z nimi i nawet nie próbowała dochodzić źródła ich pochodzenia. Wiedziała, że na wódkę i na inne głupstwa ich nie wydam. A w przypadkach, kiedy zbyt silnie nadszarpnęła swój budżet domowy, z całą ufnością zwracała się do mnie jak do banku o doraźną pożyczkę (bezzwrotną) bo z zasady żadnej nie zwracała. Byłem znacznie lepszym i wygodniejszym bankiem niż koleżeńskie „Kasy” na zakładzie pracy, gdzie pracownicy permanentnie zaciągali krótkoterminowe pożyczki, tzw. „chwilówki”, które jednak przy najbliższej wypłacie potrącano im bezwzględnie, czego ja nigdy nie praktykowałem.

Jednym słowem, miałem pod tym względem „tyły zabezpieczone” i „rozwiązane ręce”. Zacząłem więc skrzętnie gromadzić kapitał, bo ciągle po nocach śniła mi się urocza SHL-ka. Ciupek codziennie zajeżdżał na swojej na zakład do pracy, a mnie bolało z zazdrości serce, a tu jeszcze przedtem trzeba zaspokoić było marzenia rodziny i załatwić jakiś porządny odbiornik telewizyjny. Na szczęście ukazały się w sprzedaży wspaniałe, 14-calowe odbiorniki „Neptun”, produkcji Gdańskich Zakładów Telewizyjnych. Ten nabytek jednak przesunął termin nabycia wymarzonej SHL-ki o miesiąc czy dwa, ale nie tylko gotówka warunkowała możliwość nabycia jakiegoś artykułu, a zwłaszcza atrakcyjnego. Nie zapominajmy w jakim świecie żyjemy. Krótko mówiąc, w świecie scentralizowanej gospodarki planowej i reglamentowanej dystrybucji. Mając pieniądze na przedmiot marzeń, trzeba było teraz polować na niego w „dystrybucji”, czyli w sklepie. W Jeleniej Górze mieliśmy jeden jedyny sklep ze sprzętem motoryzacyjnym, do którego oczywiście należy i motocykl. Dla mnie zaczęły się prawie codzienne pielgrzymki do tego sklepu aby dowiadywać się czy i kiedy mają w planie dostawę SHL-ek i kiedy spodziewają się ich dostawy. Odpowiedzi były jak hasła wyuczone na pamięć, enigmatyczne, przeładowane wyrazami poprzedzonymi częstką przeczącą „nie”, z których nic konkretnego nie wynikało, poza niepewnością i koniecznością odwiedzenia sklepu ponownie nazajutrz. A tymczasem w jego oknie wystawowym pyszniła się od czasu do czasu wspaniała czerwona czeska „Jawa” lub arystokratyczna, bijąca w oczy niklową armaturą i wspaniałym sprężynującym siodełkiem, niemiecka MZ-ka. Dziwne, ale nie spotkałem w sklepie prawie wcale warszawskich WFM-ek. Od czasu do czasu pokazał się „Junak” i nowość w polskiej produkcji, wyprodukowany na wzór włoskiej „Lambretty” skuter „Osa”, produkowany bardzo krótko, jako twór nie bardzo udany, podobnie jak motorower „Komar”.

Moje pątnikowanie do tego motoryzacyjnego sklepu i moja niecierpliwość będą może zrozumiane i usprawiedliwione, jeśli powiem, że nasze rowery już nam się na dobre przejadły, a częściowo, zwłaszcza Andrzeja i Janusza tak się zdezelowały, że są już niezdatne do użytku.

Wreszcie cel osiągnięty. Mamy SHL-kę

Aby sobie odświeżyć wiadomości i umiejętności zdobyte kiedyś na kursie nauki jazdy na motocyklu, pojazdu jednośladowego, a równocześnie poznać i przyzwyczaić się do nowego posiadanego pojazdu mechanicznego, korzystałem z przepięknej letniej pogody. Wstawałem wcześniej rano, bo już o świcie i przed piątą wybierałem się na jazdę ćwiczebną. Początkowo blisko na Paulinum, a później próbowałem ulicami miasta Wincentego Pola, Chłopską i dalej do Łomnicy i Karpnik. Jeździłem po ulicach mało uczęszczanych, zwłaszcza o tak ранней porze i po bezdrożach. Po szóstej byłem już z powrotem w domu. Zjadałem śniadanie i pieszo wędrowałem do pracy.

Z każdym dniem nabierałem większej pewności siebie, lepszej sprawności w posługiwaniu się tym nowym dla mnie sprzętem, a nawet pewnej rutyny. Chociaż czasem zdarzało się jeszcze różnie, to na szczęście nigdy nie przydarzyło się nic poważnego. Stopniowo zakres i promień moich spacerów ćwiczebnych rozszerzał się i wydłużał. Po południu zacząłem zabierać ze sobą na te spacer-y chłopców. Najpierw odwiedzaliśmy najbliższe okolice Jeleniej Góry: Cieplice, Szklarską Porębę, Karpacz, Kowary, Karpniki, Janowice Wielkie i obok sławne schronisko „Szwajcarkę”, w której wciąż jeszcze gospodarzyli państwo Gałkowie.

Andrzej nie przepadał specjalnie za wycieczkami turystyczno-krajoznawczymi w charakterze pasażera na tylnym siodełku motocykla. Początkowo stanowiło to dla niego nowość i pewną atrakcję, ale na dłuższą metę taka jazda jest raczej nudna i nużąca. Trudno mu było się dziwić, bo co taki pasażer siedzący z tyłu za plecami kierowcy prowadzącego pojazd może widzieć, zobaczyć, obejrzeć. Zwłaszcza jeśli pojazd pędzi autostradą z szybkością 80 km/h. Motocyklista przeżywa pewne emocje, a poza tym jest zajęty prowadzeniem. Całą uwagę skupia na drodze i jeździe. Nie ma więc ani czasu, ani możliwości delektowania się panoramą krajobrazu czy pięknem mijanych obiektów, pomnikami przyrody czy architektury, podobnie jak jego pasażer. A, że tak naprawdę jest, i że to nie jest wyssane z palca, może służyć następujący autentyczny przykład. z zasady wybierając się na taką wycieczkę krajoznawczą, unikałem autostrad, dróg szybkiego ruchu i mocno uczęszczanych, a starałem się korzystać raczej z dróg bocznych, drugorzędnych, a nawet trzeciorzędnych często pokrytych zamiast asfaltem brukiem. Nie kocimi łbami, bo taki bruk na Dolnym Śląsku chyba nie istnieje, może

gdzieś wybrukowane jest tak podwórze w jakiejś zagrodzie wiejskiej, ale kostką brukową, bazaltową, a to znowu dla odmiany na Śląsku spotyka się bardzo często. Przeważnie są tak wybrukowane drogi prowadzące przez wioski i osiedla. Taka droga jest bardziej różnobarwna i nie pozwala zasnąć ani kierowcy, ani pasażerowi. Kiedyś wybraliśmy się z Andrzejem na taki spacer piękną, urozmaiconą, mało uczęszczaną drogą przez Dziwiszów, Świerzawę do Złotoryi, gdzie podobno jeszcze dziś amatorzy płuczą w strumieniu wodę w poszukiwaniu złota. Rzecz jasna jest to już tylko czynność raczej symboliczna, wykonywana wyłącznie dla podtrzymania tradycji. W Świerzawie zrobiliśmy sobie przerwę dla wytchnienia, rozprostowania kości i obejrzenia trochę miasteczka, ale że dzień był roboczy, ludzie przeważnie w pracy, a na jedynej ulicy wiodącej przez osiedle prawie pustka, więc „na koń” i jedziemy dalej. W pewnej chwili, nie wiem już czy to było w Sędziszowej czy może raczej w Nowym Kościele, patrzę że mijani ludzie jakoś dziwnie się zachowują, śmieją się patrząc na nas, pokazują palcami... Zaniepokojony zatrzymałem się żeby sprawdzić przyczynę tego nienormalnego, a prawie sensacyjnego zachowania się przechodniów. A przyczyną tej całej sensacji był mój kochany syn Andrzej. Siedział on sobie przykładowie na siodelku motocykla tyle tylko, że zwrócony twarzą do tyłu, a plecami opierając się o moje plecy i w czasie jazdy odpędzał nudę czytając gazetę, którą nawet nie wiem gdzie i kiedy zdobył. Chyba w Świerzawie, gdzie się zatrzymywaliśmy. I tak się skończyły moje wyjazdy motocyklem z Andrzejem. Podobno jednak najkorzystniej zwiedza się, poznaje kraj i świat w wędrówkach pieszych.

Kiedyś, a było to jeszcze na początku, kiedy dopiero zaczynałem „ujeżdżać” tę moją świeżo nabytą SHL-kę i czułem się na niej jak na narowistym koniu, spięty i niepewny, wybrałem się w piękną słoneczną niedzielę na nieco dłuższą wycieczkę ćwiczebną. Zabrałem też z sobą Andrzeja, a była to pierwsza nasza wspólna wycieczka i pierwsza moja wycieczka z pasażerem za plecami. Wybrałem drogę na Świerzawę i Złotoryję (tak zwaną drogę legnicką), bo ostatecznie prowadziła ona do Legnicy. Lubiłem tę drogę, ponieważ była bardzo urozmaicona, mało uczęszczana i początkowo prowadziła krytymi zakosami wśród wspaniałego boru, ale po przekroczeniu za Dziwiszowem łagodnych grzbietów Kaczawów, wiodła już spokojnie ku rozległym polom pokrytym łanami zbóż. Kiedy znaleźliśmy się mniej więcej na płaskim terenie wśród pól, skorzystałem z pierwszej nadarzającej się okazji i z drogi asfaltowej zjechałem na zwykłą wiejską polną drogę. Wiodła ona wśród dojrzewających już chyba zbóż rozciągających się daleko i szeroko na prawo i na lewo od nas. Spomiędzy prostych i sztywnych złotych źdźbeł zbożowej słomy, jak spomiędzy złotych strun olbrzymiej harfy, wychylały się czerwone główki polnych maków i błękitnie niebieskie chabrów i bławatków. Droga była wąska i przypominała raczej miedzę pomiędzy zagonami, ale też dość szeroka dla chłopskiego wozu i widać często używana. Tak, że koła chłopskich furmanek wyłobiły dwie głębokie koleiny, pozostawiając pośrodku coś

w rodzaju ścieżki, po której usiłowałem prowadzić motocykl, nie wpadając w głęboką koleinę. A owe koleiny pogłębiały się w miarę jak się dalej posuwaliśmy. Za to grzbiet ścieżki między nimi coraz bardziej się wybrzuszał i przeradzał w stromy garb, na którym coraz trudniej było mi utrzymać motocykl. Siedzący za mną z tyłu Andrzej, wiercący się niespokojnie, nie ułatwiał mi zadania i w końcu stało się to, co stać się musiało. Przednie koło motocykla „zemkło” się z wąskiego garbu i wpadło w głęboką koleinę, a tylne napędowe pracowało dalej. Motocykl stanął dęba. Andrzej przeleciał mi nad głową i wpadł w zboże, ja również wywinąłem koźła i poszedłem w jego ślady, ale wylądowałem nieco bliżej. Koło motocykla, które zawisło w powietrzu, nieobciążone nabrało takich piekielnych obrotów, jak jakaś zwariowana fryga. Oszołomiony upadkiem, ogłuszony warczeniem zwariowanego koła motocyklowego, poderwałem się z ziemi zdenerwowany i w szoku, z jedyną myślą, aby uciszyć to piekielne zwariowane koło chwyciłem za kluczyk motocykla i wyrwałem go z gniazdka i... wyrzuciłem w trawę! Silnik umilkł i zrobiła się cisza. Tylko wirujące koło motocykla powoli traciło obroty i uspokajało się. Powoli zacząłem przychodzić do siebie. Kiedy wreszcie zupełnie ochłonąłem z emocji, przez głowę jak błyskawice zaczęły mi przebiegać myśli i powiedziałem:

- *Dość! Czas wracać do domu!*

Kiedy jednak ostatecznie oprzytomniałem i zacząłem na chłodno myśleć, że po tej przygodzie, po tym bądź, co bądź przeżyciu czas wracać do domu z przerażeniem pomyślałem o... kluczyku od zapłonu motocykla. Co ja z nim zrobiłem? Gdzie jest kluczyk? Co się z nim stało? Jak zapalę silnik i uruchomię motor?

Odpowiedział mi Andrzej:

- *Tato, wyrzuciłeś go w trawę!*

Z wrażenia na te słowa zrobiło mi się zimno. „Masz babo placek” i „ładny gips”. Naprawdę przeraziłem się. Do domu wprawdzie było niedaleko, bo jakieś dwadzieścia parę kilometrów, ale pchać ciężki motocykl taki świat drogi i to w terenie górzystym na pewno do przyjemności nie należy. Chociaż jest nas dwóch, no powiedzmy półtora chłopca, ale z opresji wybawił nas Andrzej, który w tym całym zamieszaniu nie stracił przytomności umysłu. Dostrzegł mój nieopatrzny ruch z wyrwanym z gniazdka kluczykiem od zapłonu motocykla i zapamiętał miejsce gdzie wyrzucony przeze mnie upadł. Po krótkim poszukiwaniu odnalazł go w trawie i szczęśliwie, bez szwanku wróciliśmy po tej przygodzie do domu.

Mając na uwadze przyszłe podróże motocyklem po Polsce, a przede wszystkim wycieczki do Warszawy, za którą Irka zawsze tęskniła i ewentualnie do Gniazdowa z żoną za plecami na tylnym siodełku (podobnie jak to robią Jasiowie Goeblowie, tylko może nie z taką masą bagażów, by móc od czasu do czasu, bez specjalnych trudów i kłopotów robić na parkingach przerwy w podróży na odsapnięcie, wyprostowanie kości i ewentualne zapalenie papierosa), musiałem żonę powoli przyuczać i przyzwyczajać do roli pasażera w tych podróżach. Obawiałem się, że nie bardzo będzie chciała się na takie wyprawy zgodzić. Trzeba było ją więc do tego zachęcić i przyzwyczaić. Jednak wbrew obawom, nie przejawiała ona specjalnej niechęci. Perspektywa zajechania do Warszawy, czy ewentualnie do Gniazdowa na własnym pięknym motocyklu była zbyt kusząca. Jako cel tych szkoleniowo-adaptacyjnych wycieczek wybrałem położony niedaleko od Jeleniej Góry w przepięknej, malowniczej okolicy, około 30 km na wschód, historyczny Bolków. Gród ze starym średniowiecznym zamkiem warownym, siedzibą któregoś z rodów Piastów, książąt Śląskich, czy książąt Jaworsko-Świdnickich. Nie wiem, nie znam tej śląskiej heraldyki ani genealogii.

U stóp zamku w Bolkowie znajdowała się sympatyczna kawiarenka „Zamkowa”, gdzie podawano wspaniałą kawę naturalną i ciastka z kremem. Tam robiliśmy sobie krótki postój i odpoczynek przy czarnej kawie i babeczce z kremem.

Zamek owiany tysiącem romantycznych legend, zachował się w doskonałym stanie i ciągle jest atrakcyjnym obiektem przyciągającym liczne wycieczki i turystów. Którejś z kolei słonecznej i pogodnej niedzieli, chłopcy jak zwykle, jak to chłopcy, mieli swoje własne plany i zamiary na ten dzień. Janusz zresztą miał już obowiązki, bo jego szczeniak Morus wyrósł na dorosłego psa i wymagał aby go strzec i opiekować się nim, zwłaszcza na wolnym powietrzu. W książce kynologicznej u Miecia Wnukowskiego doczytaliśmy się, że Morus należy do rasy pasterskich psów berneńskich, czyli po prostu mówiąc jest owczarkiem, a że „berneńskim”? Czy to aż takie ważne? Nie wszystko jedno? Grunt, że inteligencji mu nie brakowało. Miał swoje narowy, ale niekiedy uważał i słuchał, tak ucha nadstawiał ciekawie i tak mądrze patrzył w oczy mówiącego, że wydawało się, iż zaraz odpowie: „Tak jest! Rozumiem”.

Zostaliśmy więc w tę, jak i w wiele innych kolejnych niedziel sami staruszkowie. Pogoda była piękna. W sam raz by zrobić sobie wypad do Bolkowa. Na czarną kawę i babeczki z kremem.

Szybko wyprowadziłem motor z garażu, zapaliłem i czekałem gotowy do jazdy na moją panią. Motor jak rzadko zaskoczył od pierwszego „kopnięcia”. Trzeba bowiem wiedzieć, że nie zawsze tak bywa. Motor jak

osioł ma swoje narowy. Nieraz kopiesz i kopiesz, a on nic, głuchy jak pień. I świeca w porządku, niezalana, chociaż benzyny pełny bak. I co robić? Wszystko wydaje się być w porządku a on nic, martwy. Trzeba wobec tego spróbować „na pych”. W domu to sprawa bez kłopotów. Mieszkam na wzgórzu, droga cały czas ode mnie do miasta (ul. Kochanowskiego aż do 1 Maja) leci z góry, można swobodnie zjeżdżać na luzie. Ale jak i w tym przypadku, trzeba uważać i być ostrożnym. Miałem okazję osobiście się o tym przekonać. Po wielokrotnym bezowocnym „kopaniu”, postanowiłem go zapalić „na pych”. Zjeżdżam więc od domu w dół na luzie, aby go rozpędzić i zdawało mi się, że w najbardziej odpowiedniej chwili włączam sprzęgło, a on jak dziki z miejsca zapalił i wyskoczył ogromnym szczupakiem jak ligowy bramkarz do przodu. Tego się nie spodziewałem. W jednej chwili oparliśmy się o betonowy płot oddzielający energetykę od ulicy Tuwima. Włączając sprzęgło nie zwróciłem uwagi, że włączony był trzeci bieg, a nie pierwszy. Szczęśliwie skończyło się tylko na kilku guzach i siniakach u mnie, a na skróceniu kierownicy u motocykla. Takie to różne niespodzianki potrafiła bestia wyczyniać.

Teraz moja pani już zesła, Ja czekałem, siedząc w siodle na zapalonym motorze, gotów do jazdy w każdej chwili. Ona tam za moimi plecami gramoli się i guzdrze. Czuję, bo motor ugina się i huśta w swych amortyzatorach. Wreszcie się uspokoiło, ruszam więc na luzie, bo z górki i tak motor sam leci. Ale coś mi tu nie gra. Coś jest nie tak! Czuję, że mi czegoś brak. Obok Energetyki zatrzymuję się i oglądam za siebie. a za mną brak mi mojej żony, musiałem gdzieś ją po drodze zgubić. Wracam więc by ją odnaleźć. Znalazłem, oczekiwała mnie pod domem. Sama stała się przyczyną całego tego zamieszania. Kiedy już siedziała w siodle, naraz przypomniała sobie coś pilnego i zsiadła z motoru, który się momentalnie uspokoił. Ja nie oglądając się uznałem ten spokój za gotowość do jazdy, ruszyłem i pojechałem, a ona została pod domem!

Najlepiej jeździło mi się z Januszem. On zawsze był gotów i chętny, a nawet skory do każdej wyprawy. Był wytrwały, niezmordowany i nigdy nie tracił dobrego humoru. Nawet w okolicznościach, kiedy normalnie chciałoby się płakać. Umyśliłem sobie w wakacje 1963 roku zrobić dużą, okrężną wędrowkę po Polsce razem z nim. Bo właśnie w tym roku skończył 10 lat. Nie miała to być podróż z określonym, konkretnym celem. Raczej miała to być taka sobie włóczęga po Polsce, takie beztroskie wałęsanie się, zwiedzanie i oglądanie nieznanych ziem i miast, szczególnie tych niedawno odzyskanych. W bardzo szkicowym i mglistym zarysie myślałem o odwiedzeniu Herbów, gdzie spędziłem szmat życia - najszcześniejsze lata dzieciństwa i młodości, Częstochowy, dokąd dojeżdżałem przez ładne siedem lat do szkoły, trzy do powszechnej, kolejowej i cztery do Gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza. Chciałem też wpaść do Piotrkowa i zobaczyć jak tam sobie radzi rodzina po śmierci rodziców. i dalej po Polsce, może do Puszczy Białowieskiej. Do Warszawy nie miałem odwagi

zaglądać, bo przy mojej dość krótkiej praktyce jako kierowca, nie ufałem mojej sprawności i bałem się, że w Warszawie w ogromnym ruchu pojazdów mechanicznych na ulicach (bo to i tramwaje, autobusy i samochody), mogę spowodować jakąś niebezpieczną kraksę.

Kusiło mnie, aby Piotrków zostawić na zakończenie włości. Trochę więcej czasu poświęcić zwiedzaniu Górnego i Dolnego Śląska, a Piotrków w drodze powrotnej do domu. Wielkiego bagażu nie brałem. Od młodości czułem awersję do noszenia walizek, worków, tobołów i różnych tornistrów. Nawet, gdy dojeżdżałem do Częstochowy do szkoły, to książki ściągałem zwykłym paskiem, a tornister nosiłem i to bardzo krótko tylko w podchorążówce w Nisku nad Sanem. Tylko tyle! To też na bagażniku motocykla umocowałem jedynie lekki, bawełniany, harcerski, szary koc i ogromną, granatową, podgumowaną pelerynę, pod którą w razie deszczu mogliśmy się swobodnie obaj schronić. A jeśliby trzeba było, to i osłonić siodełko motocykla przed zamoknięciem. Nie zamierzałem nigdzie biwakować więc nie zabierałem namiotu i żadnego innego sprzętu biwakowego. Chciałem mieć w czasie jazdy i na postojach jak najwięcej swobody ruchu. Noce mieliśmy spędzać albo w chłopskich stodołach albo w motelach.

Tak lekko i lekkomyślnie przygotowani ruszyliśmy w drogę. Pierwszy etap prowadził znaną nam już drogą legnicką, ale nie na Złotoryję, lecz na Jawor. Też starą siedzibę Piastowskich książąt. Prawie cały czas droga wiodła przez tereny bogato zalesione. I to zalesienie nie zmniejszało się nawet gdy za Dziwiszowem przekroczyliśmy grzbiety Gór Kaczawskich i zjechaliśmy na teren bardziej równinny. I tak prawie do samego Jawora. w mieście nie przebywaliśmy długo, gdyż niewiele w gruncie rzeczy różniło się on od innych znanych nam już miast śląskich, jak Gryfów Śląski, Lubań czy Lwówek Śląski. Taki sam rynek, ratusz, takie same trzyokienne kamieniczki miejskie z podcieniami na rynku. O siedzibie Piastów nie wspominam, bo choć to rodzina sławna i w historii zasłużona, ludzie nie bardzo umieli nam wskazać, gdzie tej siedziby szukać. A ponieważ nie mieliśmy w planie żadnych poszukiwań topograficznych ani dociekań historycznych, po krótkiej przerwie na jaworskim rynku, ruszyliśmy dalej. Wierny swej zasadzie, aby unikać uczęszczanych dróg, dalej wybrałem niedoskonałą, asfaltową szosę wiodącą wprost do Legnicy i przecinającą autostradę Zgorzelec-Wrocław-Brzeg. Zresztą niedokończoną w rejonie Nowej Wsi Legnickiej, leżącej na skraju sławnych, historycznych Pól Legnickich i bitwy księcia Henryka Pobożnego z Tatarami, ale polną, chodź równie dobrze utrzymaną drogę w znacznym stopniu wybrukowaną bazaltową lub granitową kostką w kierunku na Drogomilowice i w Budziszowie wjechaliśmy na wspomnianą już autostradę Bolesławiec-Wrocław. Wbrew mej zasadzie, unikania dróg pierwszej klasy i szybkiego ruchu, nie mogłem oprzeć się pokusie, aby nie spróbować po raz pierwszy jazdy na prawdziwej autostradzie, nie takiej jak przed wojną firma Rudzki i Wolski wybudowała

z Warszawy przez Piotrków dalej do Katowic czy Krakowa. Na swoje usprawiedliwienie muszę powiedzieć, że ta autostrada nie robiła wcale wrażenia drogi szybkiego ruchu. Patrząc na jej konstrukcję i strukturę można było się zgodzić, że taką miała być w założeniu. Dwa szerokie pasma ruchu przedzielone szerokim pasem zieleni, wiadukty i mosty wyeliminowały wszelkie jednopoziomowe skrzyżowania, niebezpieczne dla szybkiego ruchu. Wyjazdy na autostradę z bocznych dróg i zjazd z autostrad na boczne drogi prowadzące do okolicznych miasteczek i osiedli odbywa się po odpowiednich ślimacznicach. Patrząc na odbywający się na niej ruch, wcale takiego wrażenia się nie odnosiło. Być może przyczyną tego był fakt, że właściwie autostrada nie została w swej budowie zakończona. Przerwał ją koniec wojny. Niemcy nie zdążyli jej wybudować do końca. Brakuje znacznej jej części między Bolesławcem, a granicą z Niemcami. Może dlatego taki niewielki na niej ruch. Dalej od Wrocławia do Brzegu jest ona znacznie skromniejsza. Jednokierunkowa i nie betonowa, ale wybrukowana kostką wspominaną już kostką bazaltową czy nawet granitową.

Muszę przyznać, że autostrada jest doskonała pomijając względy militarne, strategiczne czy taktyczne, bo to już inna dziedzina w życiu państw i narodów, ale w okresie pokoju, nadaje się dla tych, którym się bardzo spieszy, a nie mogą z różnych względów korzystać z komunikacji i transportu lotniczego. Dla nas włóczęgów, którym na czasie nie zależy, nie nadaje się absolutnie. Jest monotonna, nudna i kołyszająca do snu, a więc niebezpieczna. Nie dzieje się na niej nic, co nie zmuszałoby kierowcy do drzemania, a przeciwnie do czuwania. Japończycy podobno, aby nie pozwolić zasypiać kierowcom instalują na autostradach specjalne urządzenie wstrząsowe. Coś w rodzaju pralek, które budzą kierowców. U nas na razie to sprawa przyszłości, bo obecnie to autostrad mamy mniej niż na lekarstwo.

Dojechaliśmy tą dwupasmową autostradą aż do jej końca, do stacji benzynowej na rozdrożu. Trudno było w takiej, jaką zamierzaliśmy sobie włóczęgdze, nie skorzystać i nie zwiedzić, choć tylko pobieżnie miasta, prastarej stolicy Dolnego Śląska, dzielnicy Polski, która dla Janusza (i Andrzeja) jest ziemią rodzinną – Ojczyzną. Obaj bowiem urodzili się w Jeleniej Górze. Spacerkiem więc, nie spiesząc się od stacji benzynowej, przez Grabiszyn, ul. Grabiszyńską dojechaliśmy na plac przed dworzec „Wrocław Główny”. Naprzeciwko otwierał swoje podwoje wspaniały „Bar Mleczny”. Skwapliwie skorzystaliśmy z jego usług. Jako, że mieliśmy już za sobą spory kawał drogi i nie mniejszy kawał dnia, pora na śniadanie w sam raz. Ogromny półlitrowy kubek gorącej białej kawy (zbożowej) i bułka (parka) z masłem i serem smakowały wspaniale i znacznej podreperowały nasze siły.

RZEMIENNYM DYSZLEM!

Tematem rozmowy w czasie tego pierwszego śniadania w naszej wólczędze był oczywiście jej dalszy ciąg. Co będziemy robić dalej? Moim zdaniem, najbardziej atrakcyjnym być kierunek na Kraków. A w Krakowie wiadomo, krakowski Stary Rynek z płytą pamiątkową, na której Naczelnik Kościuszko składał przysięgę, Kościół Mariacki z nierównymi wieżami dwóch zawistnych braci architektów, a na wieży strażak wygrywający na złocistej trąbce cogodzinny hejnał krakowski. Wewnątrz natomiast wspaniały ołtarz spolszczonego, norymberskiego mistrza Wita Stwosza ze sławnymi rzeźbami Matki Boskiej i Apostołów. Naprzeciw kościoła, po drugiej stronie Starego Rynku, rozsiadły się sławne „Sukiennice” - średniowieczne hale targowe. Dziś już zabytek historyczny, relikw dawnych czasów i muzeum. Poza tym i przede wszystkim główna atrakcja - Zamek Królewski, sławny „Wawel”, a pod nim Smocza Jama. Wokół zaś sławne „Planty”, Barbakan i Brama Floriańska. Tuż za miastem wznosi się Kopiec Kościuszki, na otaczających go sławetnych Błoniach Krakowskich rokrocznie w „lany poniedziałek” odbywają się koło klasztoru Norbertanek sławne odpusty zwane „Emaus”.

Propozycja okazała się bezdyskusyjna i została przyjęta nie tylko jednogłośnie, ale wprost entuzjastycznie przez jednoosobowe audytorium. Rzecz jednak, jak zawsze w tym, że trudności pojawiły się przy omawianiu szczegółów. Jaką wybrać drogę? Do Krakowa! Dróg na Śląsku jest do wyboru bez liku i wszystkie prowadzą do... Katowic! Najkrótsza z nich, najlepsza, ale i najbardziej ruchliwa prowadzi przez Brzeg i Opole. Tu wypadałoby jeszcze zboczyć na drogę do Gogolina, miejscowości, której mieszkańcy chyba jedyni na świecie postawili na rynku miasta „Pomnik Piosence!”. Stoi chyba do dziś dnia i okrywa sławą mieszczan, którzy potrafili się wznieść na takie szczyty kultury. „Jak wiadomo Śląsk zawsze słynął z pięknej rodzajowej piosenki, ale siedzibą i stolicą światowej sławy Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk” był wcale nie Gogolin, a Koszęcin. Niewielka miejscina ukryta w borach, położona około 13 km na południowy wschód od Lublińca. Zespół zajmuje dawny pałac księcia Hohenlohe. Kiedyś roiło się tu od służby księcia, różnych strzelców, masztalerzy, dojeżdżaczy ubranych w liberię do złudzenia przypominającą strzelców, jakichś śląskich Wilhelmów Tellów albo pikowe damy ze skatowych kart. Kart, w które Ślązacy przy cygarze i piwie grają w licznych gospodach. Skat to chyba jakaś ich gra, bo nie spotkałem się z nią w innych dzielnicach kraju.

Niedaleko Gogolina mamy Górę świętej Anny. Miejscowość gdzie toczyły się najbardziej krwawe i zażarte boje w czasie trzeciego Powstania Śląskiego w 1921 roku w maju. Podobne boje toczyły się jeszcze pod Dobrodzieniem.

Stąd przez Gliwice wjeżdżamy już w środek przemysłowego centrum Śląsko-Dąbrowskiego, skąd do Krakowa już tylko niewielki skok, jakieś głupie 75 km.

Po namyśle wybraliśmy jednak inną drogę. Ta jednopasmowa autostrada od Wrocławia wykładana kostką okazała się znacznie bardziej nasycona ruchem niż poprzednia, ale przez to nie okazała się bardziej atrakcyjna, gdyż, jak to jest przyjęte dla każdej autostrady starała się starannie i usilnie z daleka omijać wszelkie ludzkie osiedla. Znudzeni szybko jednostajnością i monotonią tak jazdy jak i drogi, skorzystaliśmy z najbliższej okazji i tuż przed Oławą zjechaliśmy na boczną drogę do Strzelina, Ziębic i Paczkowa.

Zaledwie ujechaliśmy kilka kilometrów za Strzelin i zanurzyliśmy się w dość głębokie stare bory sosnowe, gdy znienacka zaskoczyła nas burza. Nie była to jednak taka zwyczajna lipcowa, letnia burza z błyskawicami, grzmotami i piorunami. Nic z tych rzeczy. Znienacka, po cichu lunęła ulewa, prawdziwe oberwanie chmury. Między niebem i ziemią płynął formalnie jeden wielki nieprzerwany strumień wody. Wprawdzie szybko uwinęliśmy się z rozpakowaniem naszej peleryny, ale i tak woda gdzieś tam dobrała się nam do skóry. Nawet siedzenie motoru, chociaż staraliśmy się je osłonić połą naszej peleryny i tak zamokło. Jak wiadomo SHL-ka ma siedzenie kanapowe, podwójne, jednolite i bardzo wygodne, o wiele wygodniejsze i praktyczniejsze niż sprężynujące siedzenia niemieckich MZ-ek. W SHL-ce wykorzystano na siedzenie skrzynkę narzędziową, zawierającą pompkę, rozmaite klucze, śrubokręty, zapasowe świece, wentyle, łatki do awaryjnego wulkanizowania przedziurawionych dętek oraz odpowiednie do wulkanizacji podręczne urządzenie itp., przykrywając ją siedzeniem kanapowym. Ulewa, choć niezwykle obfita w żywioł wodny, trwała dość krótko i choć chmury nie odsłoniły słońca, deszcz przestał szybko padać i wtedy zobaczyliśmy, że cała asfaltowa nawierzchnia drogi skacze i tańczy jakiś obłądny taniec. Przy tym zmieniła swą barwę z czarnej, błyszczącej na jasnobrązową. Spowodowały to niewielkie, brązowe, ale zupełnie już wykształcone małe żabki wielkości około 1 cm. Było ich tysiące, może nawet dziesiątki tysięcy. w perspektywnym skrócie wydawało się, że pokrywają jednolitą powłoką całą widoczną powierzchnię drogi. Jak powiedziałem, powierzchnia ta żyła, drgała i tańczyła, podrygiwała bez ustanku. Staliśmy obaj oniemieli, przyglądając się temu niezwykłemu, niecodziennemu zjawisku przyrody. Żabki spadły na ziemię jak deszcz i razem z deszczem. A teraz, po tej podniebnej podróży i myślę, niezbyt miękkim lądowaniu na ziemi, oszołomione upadkiem powoli przychodziły do siebie i skacząc

kierowały się z drogi do pobliskiego lasu. Po kilkunastu minutach pozostały tylko nieliczne, chyba te, które najbardziej w tej przygodzie ucierpiały, ale i one były żywe i zdrowe i w podskokach kierowały się do zbawczego lasu. Zwróciłem uwagę Januszowi, że podobne zjawiska to fenomeny, które nie często i nie każdy ma okazję w życiu oglądać.

Po ochłonięciu z wrażenia po tej żabiej ulewie i po krótkiej naradzie, postanowiliśmy jechać dalej. Wybierając jednak drogę ze Strzelina nie na Krapkowice i Gogolin (choć z Gogolina nie mieliśmy zamiaru zrezygnować, ale odłożyć go „na zaś”), a teraz niewiele zbaczając, postanowiliśmy dotrzeć nad Jezioro Otmuchowskie, z którego Ślązacy są nie mniej dumni niż Węgrzy ze swego Balatonu. Geografowie uważają je wprawdzie za płytkie, śródlądowe jezioro, które jak żartują, można spokojnie przebrodzić wzdłuż i wszerz, podwinąwszy nogawki spodni do kolan i nie zmoczywszy reszty odzienia. Złośliwi nawet twierdzą, że po Balatonie nawet kaczki choć mają takie krótkie nóżki nie mogą pływać, bo ciągle nimi zawadzają o dno. Węgrzy jednak uparcie uważają, że jak Morze Kaspijskie, tak i Balaton jest morzem wewnętrznym, śródlądowym. I na podkreślenie, że Węgry są potęgą morską, zrobili w swoim czasie naczelnikiem państwa admirała Horthego, jako regenta rządzącego w imieniu nieistniejącego króla, który przez długie lata, bo aż do 1944 roku sprawował w kraju dyktatorskie rządy. Tak to czasem bywa. Zdarzają się czasem takie niezrozumiałe, nielogiczne i nieuzasadnione sytuacje. Szwajcaria, państwo poza gwardzystami na żołdzie papieskim w Watykanie, nie posiada żadnej innej armii, jako państwo na wskroś neutralne, uznane za takie przez cały świat od wieków. Posiada jednak aż siedmiu generałów. Generałów bez armii, bez żołnierzy, tak jak Węgrzy mieli naczelnika państwa admirała chociaż nigdy nie mieli floty.

Ciągnęło nas tam nie tyle jezioro Otmuchowskie, które w gruncie rzeczy nie jest żadnym cudem natury czy techniki, ani żadną epokową budowlą współczesnej architektury, ale zwykłym zbiornikiem retencyjnym utworzonym przez spiętrzenie tamą, zaporą wysokości około 17 metrów wody na Nysie Kłodzkiej, podobnie jak w Pilichowicach spiętrzone wodę zaporą na Bobrze pod Jelenią Górą. Samo miasto Otmuchów jest warte zwiedzenia i obejrzenia średniowiecznego zamku datowanego na XV i XVI w., w którym obecnie mieści się muzeum barokowego kościoła z XVII w. Można w nim podziwiać wspaniałe stare malowidła ratusza i miejskich kamieniczek - średniowiecznych reliktyw.

Wszystkie te bezcenne relikty średniowiecznej sztuki tak sakralnej jak i świeckiej, militarnej dawnych lat błędą wobec pobliskiego Paczkowa. Paczków uznawany jest zgodnie przez historyków, a zwłaszcza przez historyków sztuki za polskie „Carcassonne”. Jest jedną z najlepiej zachowanych w Polsce średniowiecznych

fortyfikacji miejskich, która zawiera gotycki kościół o charakterze obronnym datowany na XIV-XVI wiek. Obronne mury miejskie z licznymi wieżami. Podobno jest ich aż 19. Nie liczyliśmy ich, nie oglądaliśmy też specjalnie ani klasycystycznego ratusza, podobno z XVI wieku, ani miejskich, charakterystycznych kamieniczek. Chcąc to wszystko obejrzeć dokładnie, a nie pobieżnie, trzeba by na to kilka dni, a nie paru godzin jakimi dysponowaliśmy. Nie wystarczyłoby ich nawet na bardzo pobieżny przegląd tych skarbów architektury. Poza tym byliśmy już zmęczeni. Żabia ulewa spowodowała przedłużenie się etapu w czasie. Pora obiadowa już dawno minęła. Najwyższy czas, aby rozejrzeć się za jakimś posiłkiem. Niestety nie było to takie proste. Nieliczne gospody były przepełnione biboszami, a kuchnie czy bufety podawały tylko „halbę” piwa i „krupnioki” albo „fasolkę po bretońsku”. Dziecku nie będę fundował halby piwa i krupnioka. Zresztą sam też za czymś takim nie przepadałem, więc zamówiliśmy fasolkę po bretońsku, ale tak była przyprawiona jakimiś przyprawami, że paliła w podniebienie jak żywy ogień. Wtedy zrozumiałem, że przy tak ognistej przyprawianych potrawach trzeba pić. I to nie jedną halbę piwa. w dodatku dłuższy pobyt w tym zaduchu, w tej atmosferze przesyconej oparami alkoholu, kwaśnym odorem ludzkiego potu i piwa, stawał się nie do wytrzymania. Szybko więc opuściliśmy lokal. Po wyjściu na zewnątrz, gdzie wprawdzie było niewiele chłodniej, ale na pewno nie było tak duszno. Straciliśmy prawie zupełnie zainteresowanie zwiedzaniem miasta, budowli i zabytków. Opanowani bez reszty palącą żądzą napicia się jakiegoś chrześcijańskiego napitku, aby ugasić pragnienie i ten piekielny ogień jaki trawił nasze podniebienia i wnętrzności po zjedzeniu tej czartowskiej „fasolki po bretońsku”.

Poza wodą, którą mieliśmy nadzieję znaleźć bez trudu w każdej napotkanej po drodze zagrodzie, byliśmy przygotowani na to by w każdej chwili zrobić dobrej herbaty i teoretycznie w dowolnej ilości. Mieliśmy w tym celu z sobą, przytroczone do bagażnika motoru aluminiowy czajnik i turystyczną kuchenkę, raczej palnik prymus na denaturat (właściwie to na naftę, ale denaturat łatwiej było dostać, nie śmierdział tak jak nafta, a w prymusie spisywał się bardzo dobrze). Był już sprawdzony, bo mieliśmy go z sobą w pamiętnej wędrówce rowerowej po Polsce przed kilkunastoma miesiącami. O susz herbaciany i cukier oraz plastikowe kubki również zadbał. Teoretycznie wydawało się, że nic nie stoi na przeszkodzie żeby wreszcie zrobić tej herbaty, tylko trzeba było znaleźć odpowiednie miejsce. I tu powstał problem. Marzyliśmy o jakimś zacisznym miejscu, na poboczu drogi, na skraju lasu. Najlepiej do tego nadawałby się zwykły parking, jakie przy bardziej uczęszczanych, ważnych, dalekobieżnych szlakach urządzone są coraz powszechniej. Tak było i jest, ale jak powiedziałem przy dalekobieżnych szlakach przelotowych, gdzie odległości między nimi mierzy się w wielu dziesiątkach kilometrów, ale tu w centrum przemysłowym Śląska, gdzie miejscowości nakładają się niemal na siebie jak karty w królewskim pasjansie, a pies kiedy usiądzie w jednej, to już ogon mu pozostaje w drugiej, sąsiedniej. Gdzie tu znaleźć takie miejsce!? Ale jak mówią, „kto szuka ten znajdzie”. Przez to straciliśmy masę

czasu i odbiliśmy od naszego głównego kierunku jazdy. Gdy wreszcie ugasiliśmy pragnienie, odpoczęliśmy nieco, to i zapomnieliśmy o „piekielnej fasoli po bretońsku”. Wtedy stwierdziliśmy, że jesteśmy głodni, i że zbliża się wieczór i najwyższy czas pomyśleć o wieczerzy i noclegu. To zmusiło nas do poważnego przemyślenia realiów w jakich się z własnej woli i winy nieopatrznie znaleźliśmy. Zapasy żywności zabrane przezornie z domu, z wyjątkiem herbaty i cukru już się skończyły. W sklepach zaś ku naszemu zdziwieniu, poza herbatnikami i różnymi dżemami owocowymi, żadnych innych artykułów żywnościowych nie uświadczyliśmy! Mieliśmy się przekonać, że aby dostać pieczywo, bułki czy zwykły chleb, trzeba wstać wcześniej rano i odstać przed sklepem spożywczym czy przed piekarnią swoją kolejkę. o wędlinach, konserwach mięsnych czy rybnych, nie ma nawet co marzyć. Z Otmuchowa, droga biegnie w znacznej części nad brzegiem jeziora Głębinowskiego ku Nysie, którą mamy szczerzy zamiar ominąć. Nysa, kiedyś ważny ośrodek życia kulturalnego Śląska, posiadała wiele pomników dawnej kultury materialnej takich jak kościoły (w tym sławny kościół św. Jakuba, oraz Bożogrobowców) czy fragmenty fortyfikacji miejskich. W czasie II Wojny Światowej Nysa zamieniona została przez Niemców w twierdzę i w 1945 roku prawie doszczętnie zniszczona. Po wojnie została jednak odbudowana. Znajduje się tu wytwórnia popularnych furgonetek dostawczych - „Nysek”. Nie zatrzymywaliśmy się w niej jednak, gdyż z jednej strony zaczął nas popędzać czas, a z drugiej nie spodziewaliśmy się znaleźć tam nic specjalnie ciekawego. Prawdę mówiąc, te wszystkie Śląskie miasta są do siebie podobne, a jeśli czymś się różnią to musi to już być ciekawe na miarę prawie światową, a takich unikatów nie ma znowu aż tak wiele.

W poszukiwaniu odpowiedniego miejsca na zjedzenie kolacji i ewentualnego miejsca na nocleg, zawędrowaliśmy w okolice Łambinowic. Dawne niemieckie „Lamsdorf”, słynne z ogromnego międzynarodowego obozu jeńców wojennych. Stalag VIII B i VIII F, obecnie zamieniony na Muzeum Martyrologii Jeńców Wojennych. Tam zastał nas wieczór. w nieznaney okolicy czułem się kłopotliwie znalazłem i nie wiedziałem jak spędzimy tę noc. Wprawdzie pogoda dopisywała, ale obawiałem się, że nawet w lipcu spanie w nocy na wolnym powietrzu pod przykryciem podgumowanej peleryny i lekkiego, harcerskiego kocyka będzie trochę ryzykowne i nie będzie stanowić odpowiedniego wypoczynku, zwłaszcza dla Janusza. W lipcu noce mogą być bardzo chłodne. Doświadczyłem tego na własnej skórze dwa razy w życiu. Raz, kiedy w 1925 roku jako młody magazynier na budowie magistrali węglowej Śląsk-Wybrzeże (Gdynia), odcinka Kalety-Podzamcze nocowałem tak w baraku magazynowym w Kaletach, a drugi raz na Koncentracji Szkół Podchorążych na Pohulance w 1932 roku. Dlatego rozglądać się za jakimś nadającym się do noclegu schronieniem. Z dala nadchodził w naszym kierunku jakiś wojskowy. Janusz powiada:

- *Zapytam go, gdzie tu jest jakiś hotel czy motel. Przyjeżdża tu dużo turystów, to coś takiego powinno tu być!*

Janusz od młodości miał jakiś dziwny pociąg i zaufanie do munduru workowego. Ponieważ się nie sprzeciwiłem, zaczepił żołnierza. Był to podoficer w stopniu sierżanta. Ciekawe, że bardzo szybko doszli do porozumienia. Okazało się, że w pobliżu znajduje się coś w rodzaju wojskowego domu noclegowego czy pokoi gościnnych, gdzie mogą zawsze przenocować żołnierze przejeżdżający tędy w delegacji. Znałem takie pokoje gościnne kolejarzy, które znajdowały się zwykle przy stacjach węzłowych, na których zmieniały się przy pociągach (przeważnie dalekobieżnych towarowych np. relacji Tarnowskie Góry-Toruń-Gdynia) drużyny konduktorskie i maszynistów. Sam, jako chłopiec kiedyś zabrałem się z ojcem w taką podróż z Tarnowskich gór do Piotrkowa. W Piotrkowie nocowałem w takim właśnie pokoju gościnnym razem z ojcem, by rano zabrać się pociągiem osobowym do Herbów.

Sierżant podszedł do mnie, do motoru i powiada:

- *Teraz wojsko jest w polu i tam biwakuje, więc pokoje stoją wolne i nic nie przeszkadza żebyście w nich przenocowali. Motocykl będzie można bezpiecznie zostawić na wartowni i nic mu się nie stanie.*

Na tyle nawet był uprzejmy, że podprowadził nas do samej wartowni i polecił dyżurnemu. I tak za grosze znaleźliśmy doskonały i wyposażony we wszystko co konieczne nocleg. Nawet przy tych pokojach noclegowych – powiedzmy – sypialnych znajdowała się również doskonale wyposażona w sprzęt kuchenny i naczynia kuchnia. Mogliśmy sobie luksusowo gotować wrzątek i parzyć herbatę do woli. Kolacja niestety musiała się ograniczyć do herbaty, herbatników i jabłecznego dżemu, którego kupiliśmy spory słoik, a który (początkowo) Janusz ze smakiem zjadał. Spaliśmy jak susły nie niepokojeni do białego rana. Rano, prawdziwy luksus na włóczędę. Była i łazienka z prawdziwego zdarzenia z bieżącą wodą (wprawdzie tylko z zimną), ale nie ma co przesadzać z wymaganiami. Po śniadaniu, które naśladowało wczorajszą kolację, pożegnaliśmy gościnny dom żołnierski i ruszyliśmy dalej.

Jako cel tego dnia włóczęgi wyznaczyliśmy sobie Kraków, a po drodze mieliśmy szczerzy zamiar zwiedzić sławne Wambierzyce i ich XVIII-wieczny kościół pielgrzymów, przy którym znajduje się sławna kaplica zbudowana z ludzkich czaszek. Tysiące starych trupich głów wypełnia tę kaplicę od podłogi aż po strop. Jakoś nigdy nie mogłem dowiedzieć się jakie jest pochodzenie tych czaszek. Jednak zrezygnowaliśmy z realizacji tego

zamiaru, gdyż Wambierzyce leżą w stosunku do trasy marszu jaki sobie wyznaczaliśmy znacznie na uboczu, w Górach Kłodzkich i musielibyśmy zboczyć z drogi, a nawet w pewnym sensie cofnąć się. Muszę przyznać, że doświadczenia pierwszego dnia wędrówki znacznie osłabiły nasz entuzjazm i ochłodziły nasz zapał do włości. Kraków postanowiliśmy jednak odwiedzić, a po drodze wpaść do Gogolina. Następnie nieco omijając zatłoczone Centrum Przemysłowe Okręgu Katowickiego zawadziliśmy o Piekary Śląskie, sławne centrum Maryjne, do którego od wieków pielgrzymuje tysiące wiernych, a polski papież Jan Paweł II (Wojtyła) darzy je szczególną czcią. Niegdyś uczestnik dorocznych pielgrzymek do Piekar Śląskich, przemawiając w Watykanie w dzień Zielonych Świątek, 26 maja (w Dzień Matki) 1996 roku, życzył tegorocznym pątnikom, by nie zabrakło w Polsce troski o ludzi pracy, by w duchu miłości i sprawiedliwości były rozwiązywane wszystkie problemy społeczne, w tym także palący problem bezrobocia. Specjalne błogosławieństwa i życzenia „Szczęść Boże”!

Motocykl spisywał się doskonale, ale niekiedy był uciążliwy i stawał się ciężarem. W Krakowie było bardzo wiele ciekawych rzeczy do zwiedzania i oglądania, ale mimo najlepszych chęci musieliśmy z wielu z nich zrezygnować. Mogliśmy posłuchać hejnału z wieży Mariackiej i to wielokrotnie, mogliśmy stanąć na Rynku na płycie pamiątkowej, położonej na miejscu, w którym stał Tadeusz Kościuszko, gdy składał Narodowi swą przysięgę i mogliśmy podziwiać sławne Sukiennice Krakowskie, ale tylko z zewnątrz. Na wałach otaczających Zamek Wawelski odnalazłem nawet marmurową tablicę-cegiełkę, ufundowaną kiedyś przez nas, uczniów i Gimnazjum Państwowego im. Henryka Sienkiewicza w Częstochowie z dobrowolnych składek na odbudowę Zamku Wawelskiego, zniszczonego przez austriackich żołnierzy, którzy tu do końca I Wojny Światowej mieli swoje koszary. Mogliśmy oglądać i podziwiać krakowskie Planty, wspaniały fenomen racjonalistycznego, a równocześnie artystycznego myślenia i działania. Mogliśmy podziwiać starożytny Barbakan i Bramę Floriańską, atrakcyjne relikty świetnej niegdyś przeszłości, ale nie mogliśmy oglądać i podziwiać wnętrza Kościoła Mariackiego, ani też najważniejszego i najbardziej atrakcyjnego obiektu, jakim bez wątpienia jest sławny ołtarz Wita Stwosza. Raz, że nie wiedzieliśmy, co zrobić z naszym motorem, bo czy można zostawić go bez opieki na rynku na czas, gdy będziemy w świątyni? Obawialiśmy się, znając trochę naszych współobywateli o parkingi strzeżone, tak już dziś prawie powszechne, wtedy jeszcze prawie nieznanne. A poza tym ołtarz był i tak zamknięty w specjalnej szafie, którą się otwiera tylko w czasie uroczystych nabożeństw. Podobno jest już bardzo zniszczony, nadwyrężony zębem czasu i wymaga gruntownej renowacji przez specjalistów-konserwatorów. Nie widzieliśmy wnętrza Sukiennic, czynnych tam kramów kupieckich ani muzeum. Nie widzieliśmy ani Zamku Królewskiego na Wawelu ani Katedry, bo nie pozwoliła nam na to obawa i troska o pozostawienie bez opieki na ulicy motocyklu. Dlatego powiedziałem, że niekiedy stawał się dla nas ciężarem. Nawet obiad w Krakowie jedliśmy na raty, na zmianę. Janusz dołączył do jakiejś szkolnej wycieczki i razem

z nimi jadł zupełnie niezły krakowski obiad owocowy, prawie jak w barze mlecznym. Na pierwsze danie była jakaś zupa owocowa, powiedzmy raczej kompot na suszonych śliwkach, a na drugie naleśniki z serem (nie pamiętam czy był to piątek, dzień postny, ale Krakowianie postu przestrzegają bardzo surowo, czasem nawet, poszczą w dni nieprzewidziane dla postu przez Kościół). Mówią, że kalendarze drukowane przez wydawnictwa krakowskie, zawierają podobno podwójną ilość dni postnych i ponadto jeszcze bardzo liczne „dni suche”, czyli też postne. Ukoronowaniem tego sutego obiadu była słynna krakowska „legumina”. Tym razem był to ryż ugotowany na miękko i sucho podany z bitą i lekko pocukrzoną śmietaną, a wszystko posypane tartym cynamonem.

Opuszczając Kraków rozważaliśmy dwa możliwe do przyjęcia warianty dalszej włości. Pierwszy, za którym osobiście optowałem, była droga „Szlakiem Pierwszej Kadrowej”, kompanii Legionów Piłsudskiego w sierpniu 1914 roku z Oleandrów pod Krakowem przez Słomniki, Miechów, Jędrzejów do Kielc. Chciałem sobie odświeżyć wspomnienia z dzieciństwa z sierpnia 1914 roku, kiedy z rodzicami ewakuowaliśmy się z granicznych wtedy Herbów ostatnim pociągami do Kielc. Wtedy przeżywałem pierwsze, wielkie, historyczne chwile, które miały głęboko zapaść w mej pamięci. Wówczas właśnie w Kielcach pierwszy raz usłyszałem palbę karabinową, ostre wojenne strzelanie. Widziałem ucieczki i gonitwy konnych jeźdźców po ulicach miasta, kozaków i ułanów, pierwszy samolot, który wylądował na błoniach na Szydłówniku, pierwszy zeppelin, jak błękitne cygaro majestatycznie szybujący po pogodnym bezchmurnym niebie i pierwszych legionistów w maciejówkach z białymi orzełkami, jak przyszli przeszukać zabudowania, gdzie kwaterowali Rosjanie.

Nadchodząc gdzieś od Chęcin, legioniści, których wszyscy w Kielcach uważali za Austriaków, ze wzniesień Barwinka, Baranówka czy może Kadzielni dostrzegli kręcących się po naszym podwórzu kolejarzy w mundurach ze świecącymi guzikami i wzięli ich za ruskich żołnierzy. Przyszli więc zbrojnie żeby ich zabrać, ale zbliżali się ostrożnie i powoli z karabinami w pozycji na „gotuj broń!” Nie uszło to uwadze czujnych oczu kolejarskich niewiast. Zbyt podejrzanie to dla nich wyglądało. Wszystkie więc (a i moja mama z nimi), przezornie na wszelki wypadek pochowały swoich mężów-kolejarzy po różnych schowkach i komórkach, bo:

- *Takie mogliby ich wziąć w „plen” i wywieźć gdzieś za granicę, nawet na Węgry, bo przecież chodzili w mundurach, wprowadzili w kolejarskich, ale zawsze... w mundurach z odznakami „ruskimi”*

Pierwszy raz zobaczyłem „Beliniaków” - grupkę kilkunastu ułanów na koniach - pod amarantowymi czaprakami, w wysokich czapkach, rogatywkach z szerokimi, amarantowymi wyłogami na piersiach i takimi

samymi lampasami na spodniach. Błyszczące szable przytroczone do siodeł i groźne piki i lance z barwnymi proporczykami.

Nie tylko te wspomnienia ciągnęły mnie w stronę Kielc. To miasto, to przecież sławny Kleryków Żeromskiego. Miasto, które przypomina od razu bohaterów młodzieżowej, zachwycającej powieści Stefana Żeromskiego „Syzyfowe Prace”. Studenta-korepetytora Kawkę umierającego na gruźlicę. Andrzeja Radka, wiejskiego pastuszka świr, wypromowanego przez studenta Kawkę na „człowieka”. Marcina Borowicza, dobrze urodzonego syna urzędnika, romantyka, marzyciela i całą plejadę różnych innych typów klerykowskiego społeczeństwa.

Kielce to przecież stolica Gór Świętokrzyskich, z Łysicą, Łysą Górą i Świętym Krzyżem To miasto Puszczy Świętokrzyskiej, sławnej Puszczy Jodłowej tak ukochanej i opiewanej przez wielkiego pisarza. To centrum terenów, w których przebiega znaczna część akcji „Popiołów”. Od razu przypominają się ich bohaterowie: Rafał Olbromski i jego brat kapitan legionów napoleońskich, umierający pod okupacją austriacką na suchoty; jego służący, stary wiarus, weteran kampanii napoleońskiej Michcik, z powrotem, po śmierci kapitana przywrócony do stanu pańszczyźnianego chłopca, mimo manifestu Połanieckiego. Święty Krzyż - klasztor, miejsce spoczynku bohatera sienkiewiczowskiego z powieści „Ogniem i Mieczem”, sławnego kniazia, zwycięzcy spod Zbaraża i Beresteczka, ojca króla Polskiego Michała Korybuta Wiśniowieckiego, Jeremiego Wiśniowieckiego. Austriacy urządzili tu koszary, a po pierwszej wojnie światowej na Świętym Krzyżu urządzono więzienie karne, najcięższe w Polsce. Oczywiście opowiadania o tym, że na Łysej Górze czarownice odprawiają regularnie swoje sabaty z diabłami, to są czyste bajki wymyślone przez babcię i ciocię dla straszenia nimi niegrzecznych dzieci i nie warto ich powtarzać.

Drugim alternatywnym wariantem, była trasa Doliną Prądnika do Ojcowa. Zwiedzenie Pieskowej Skały i grot czy jaskiń, w których według legendy miał się ukrywać król wygnaniec, Władysław Łokietek, prześladowany przez czeskich najeźdźców w czasie walk o całość i niepodległość piastowskiego dziedzictwa. Zwyciężył ten drugi wariant, i to nie ze względów legendarno-historycznych, ale czysto utylitarnych. Ojców był bliżej i istniała realna możliwość zwiedzenia go jeszcze tego samego dnia, dzisiaj. Poza tym Ojców i dolina Prądnika to była modna trasa turystyczna, licznie uczęszczana przez turystów i różne wycieczki. Miejscowa więc okoliczna ludność była do turystów i wycieczek nie tylko przyzwyczajona, ale nawet zdążyła nauczyć się korzystać z okazji i ciągnąć z turystyki konkretne korzyści materialne. Dlatego też spodziewałem się znaleźć nocleg bez specjalnych trudności. Tak też zrobiliśmy, ale jaskiń Łokietkowych nie zwiedzaliśmy, bo okazało się,

że z drogi, z doliny Prądnika, a trzeba tu koniecznie powiedzieć, iż droga którą jechaliśmy, prowadziła dziwnymi meandrami samym dnem doliny, tuż wzdłuż biegu strumienia, który tę dolinę w ciągu tysięcy, a może milionów lat w wapiennych skałach Ojcowa wydrążył, z doliny zaś, do wspomnianych grot Łokietka trzeba się wspinać dość wysoko do góry po stromych stokach skały. Może byśmy się i wspięli, ale nie wiedzieliśmy co zrobić z motocyklem. Zostawić go na drodze bez opieki, bałem się, by mi nie zginął, a wspiąć się z nim na zbocze stromej ściany, oczywiście, nie wchodziło to w rachubę. Za to mogliśmy obejrzeć prawdziwą osobliwość na dzisiejsze czasy, można powiedzieć „zabytek archeologiczny”, „Kurne chaty”. Nad drogą, przylepione do ściany skalnej, tu i ówdzie jak jaskółcze gniazda widoczne były stare chaty, kryte słomianą strzechą. Niektóre z nich na pewno pamiętające czasy, kiedy państwo nakładało jeszcze podatki, tak zwane „podymne”. To znaczy, płacono się stawkę od każdego komina na dachu. Wtedy chłopci, aby uniknąć płacenia tego podatku, który wcale nie był taki błahy, przestali budować w chatach kominy, tylko w dachu. W słomianej strzesze pozostawiali otwór nad trzonem paleniska, przez który dym z ogniska mógł się wydostawać na zewnątrz i ulatniać w powietrze. Chata była istotnie stara. Słomiana strzecha porośnięta grubą warstwą zielonego mchu, chroniącego ją przed iskrami ulatującymi z paleniska przez otwór w strzesze przed zaproszeniem ognia. Jedno miała okienko, w nim cztery maleńkie szybki i jeden wchód do niej. Sama kręta dolina Prądnika wśród stromych wapiennych skał, na której dnie toczył swe bystre wody Prądnik, godna była podziwu i zainteresowania. Na skraju tego rezerwatu przyrody, któremu nadano wreszcie prawa i przywileje „Ojcowskiego Parku Narodowego”, w miejscu gdzie prąd strumienia był szczególnie bystry. Człowiek budując stawidła zaprzął bystry strumień do pracy. Zbudował wodny młyn, a strumień zmusił do obracania potężnego, młyńskiego koła. Właśnie w tym młynie zaofiarowano nam nocleg, a przed spaniem po kubku gorącego świeżego mleka „prosto od krowy” i po pajdzie również wiejskiego chleba, razowego, pachnącego, domowego wypieku... Do tego wiejskie masło i biały ser. W nocy szmer wody, spadającej na młyńskie koło, które jednak nie pracowało, a spokojnie spoczywało, kołysał nas do snu, przywołując na myśl jakieś niecodzienne sny i marzenia senne. Następnego dnia, po rannych ablucjach w lodowatej, ale krystalicznie czystej wodzie Prądnika, śniadanie podobne było do wczorajszej kolacji, z tym, że zamiast masła i sera, do chleba podano nam po spodku wyśmienitego pachnącego miodu. Janusz przymówił się młodej gospodyni i przygotowała nam na drogę, na drugie śniadanie kanapki z razowego chleba z masłem i serem. Zastanawialiśmy się nad dalszą drogą, bo nie bardzo chciałem zrezygnować z odwiedzenia Kielc. Czasu mieliśmy dość. Pogoda nam sprzyjała, więc dlaczego nie mieliśmy wykorzystać okazji. Po zwiedzeniu Ojcowskiego Parku i Pieskowej Skały postanowiliśmy więc spacerkiem, nie spiesząc się ruszyć do Kielc, na przełaj przez Tarnawę, Wysocice, Czaple, Biskupice i Miechów. Słomniki pozostały przez to nieco na uboczu, ale przecież nie musimy się znowu trzymać tej trasy zbyt niewolniczo. Około południa zrobiliśmy sobie w przyjemnym przydrożnym lasku przerwę i postój na herbatę. Trochę się rozleniwiliśmy, a może dzień był taki rozleniwiający? A może ten potok w młynie spowodował niespokojny sen, który nie przyniósł pełnego

wypoczynku w nocy? Zdrzemnęliśmy się bowiem, a drzemka nieco się przedłużyła. Gdy ocknęliśmy się, słońce nachyliło się już głęboko ku zachodowi. Zacząłem wątpić czy jest sens jeszcze tego dnia dojeżdżać do Kielc. Wtedy będzie już wieczór. Chyba lepiej będzie przenocować gdzieś po drodze, a do Kielc wjechać rano. Szukaliśmy więc okazji. Po jakimś czasie podjechaliśmy do zagrody wyglądającej dość solidnie, stojącej samotnie na uboczu. Młody człowiek (przypuszczaliśmy rolnik i gospodarz), coś tam majstrował przed chatą. Zatrzymaliśmy się i poprosili o wodę na herbatę. Zawiązała się między nami rozmowa. Widać było, że chłop jest inteligentny, ciekawy i łakomy wieści ze świata. z zainteresowaniem słuchał opowiadania o naszej włóczędce i przeżytych przygodach, a i sam miał wiele ciekawych rzeczy do opowiadania. Był wykształconym rolnikiem, to zresztą było widać na pierwszy rzut oka, a poza tym eksperymentatorem na swoim gospodarstwie. Nie uprawiał zboża ani ziemniaków na sprzedaż, tylko tyle ile potrzebował na własny użytek. Uważał je za nieopłacalne. W zeszłym roku zakontraktował cebulę i zasiał ją prawie na całym swoim areale. Obrodziła mu doskonale, a ponieważ w okolicy był jedynym plantatorem na taką skalę, zgarnął za tę cebulę „nielichy” grosz. w minionym roku z cebulą był trochę ostrożniejszy przewidując, że w jego ślady pójść liczni naśladowcy i posieją cebulę. On zaś na reszcie swej roli posiał na próbę trawę na nasienie. Podobno nasiona traw to zupełnie niezły interes, znacznie lepszy od towarowej uprawy zboża i ziemniaków. Cebula wprawdzie również nieźle mu obrodziła, ale że konkurencja na rynku była duża, więc i ceny były stosunkowo niskie, a więc i zarobek był niższy. Na szczęście odbił to sobie sprzedając niezwykle dobrze nasiona traw, które zasiał, a które okazały się dobrym interesem. w tym roku poszedł na całego i na całym areale swej ziemi posiał trawy. Spodziewa się bardzo dobrych wyników. Na tych opowiadaniach zastała nas noc. Nie było oczywiście sensu, jechać dalej po nocy do Kielc. Tym bardziej, że poznany świeżo gospodarz zaofiarował się udzielić nam noclegu w stodole, której sąsiedki są puste, bo zboża nie uprawia, a trawy są jeszcze nie skoszone. Jednak na tyle słomy aby starczyło na posłanie jeszcze się w stodole znajdzie, a i motocykl można było spokojnie wprowadzić do stodoły, aby nie stał na powietrzu, na rosie. Przestrzegał tylko aby nie zapalać w stodole ognia i nie używać do świecenia zapalek. Uspokoił się go, że w tych celach posługujemy się latarkami elektrycznymi, które są bezpieczne i ognia nie zaprósza. Od razu też wprowadziliśmy motocykl do stodoły i przygotowaliśmy sobie tam posłanie na noc. Zanim jednak rozeszliśmy się i powiedzieliśmy sobie „Dobranoc”. Gościnny gospodarz zaproponował po kubku świeżego mleka, „prosto od krowy” z wieczornego udoju, do poduszki i postawił na stole spory gliniany dzbanek, dwa kubki, a na drewnianej rzeźbionej w akanty tacy ogromny brązowy bochen razowego chleba domowego wypieku, a do tego faskę masła, spory, biały serek, sól i pieprz i życzenia „smacznego”. Sporo czasu spędziliśmy już w chacie, porządek wszędzie i czystość wzorowe, ale nie było widać w tej chacie gospodyni, ani nie odczuwało się jej obecności. Czyżby nasz gospodarz był samotnikiem- mizantropem? Z jego głodu wiadomości, wielkiej chęci do rozmowy, takiego wniosku nie można było wysnuć, ale ponieważ na ten temat sam nie wtrącił w rozmowie ani słówka, nie śmiałem obcesowo o to pytać. Nie mówi, to znaczy, że nie

chce. Pragnie by to zostało jego tajemnicą. Nazajutrz, chociaż spaliśmy smacznie, wstaliśmy wcześnie. Na wsi wstaje się rano, razem ze słońcem, a nawet często i wcześniej. Pod studnią z żurawiem obmyliśmy się, a na stole, jak wczoraj wieczorem czekało już na nas śniadanie: dzban świeżego mleka, ten sam bochen razowego chleba, masło i słoik złocistego miodu. Śniadanie zjedliśmy dość pośpiesznie, bo i gospodarz spieszył do swych gospodarskich zajęć i chcieliśmy jeszcze przy rannym chłodzie wyruszyć w drogę, by w Kielcach mieć dużo czasu na jego zwiedzanie. Jeszcze tego samego dnia zamierzaliśmy bowiem wyruszyć z Kielc do Piotrkowa Trybunalskiego, by zanocować u rodziców. Pożegnaliśmy więc miłego i nad wyraz gościnnego gospodarza i ruszyliśmy dalej, do Kielc.

Chociaż nie spieszyliśmy się (czas nas przecież nie gonił), w Kielcach byliśmy dość wcześnie. I jeśli chodzi o mnie, byłem rozczarowany. Kielce, które zobaczyłem, były inne niż te, jakie pamiętałem jako wspomnienia z dzieciennych lat, inne niż te, które opisuje Żeromski w swych książkach. Kielce, do których przyjechaliśmy były zwykłym prowincjonalnym miastem pochłoniętym codziennymi, powszednimi sprawami. Pomyślałem sobie, że jednak świat, mimo swej pozornej stabilności zmienia się, a szczególnie w oczach dziecka. To co wtedy było nowe, wielkie, ciekawe i tajemnicze, dziś jest normalne, powszechne, codzienne. Świat bezsprzecznie dąży dokądś, w jakimś określonym i wymuszonym kierunku.

Niewiele czasu zabrało nam zwiedzanie miasta Kielc. Duchy przeszłości już dawno się gdzieś rozplynęły w przestrzeni, a ciekawych, atrakcyjnych nowości nie znaleźliśmy, bo i prawdę mówiąc nie szukaliśmy specjalnie.

Gdybyśmy się pośpieszyli (w pewnej chwili zagadnąłem Janusza), to od biedy moglibyśmy zdążyć do Dziadków, do Piotrkowa na obiad. To raptem tylko około 100 kilometrów, a Janusz na to:

- *To jedźmy!*

I ruszyliśmy najkrótszą drogą na Smyków, Żarnów, omijając z boku Końskie, przez Sulejów do Piotrkowa!

Dotąd Piotrków i mieszkającą w nim rodzinę (to jest rodziców i rodzeństwo, Lutkę i Janka), odwiedzaliśmy względnie rzadko, bo mieszkaliśmy zbyt daleko od nich, a Irka kiedy już jechaliśmy w tym kierunku, oczywiście pociągiem, to bardziej bliska jej sercu była Warszawa i dlatego przez Piotrków tylko przejeżdżaliśmy, i tak się jakoś dziwnie składało, że zawsze nocą. Nawet na dom rodziców nie można było

popatrzeć, chociaż w dzień był z pociągu doskonale widoczny. Tak samo jak z domu rodziców było doskonale widać każdy przejeżdżający warszawski pociąg. Nie muszę wspominać, że na taki stan rzeczy miała wpływ następująca w Polsce stopniowo coraz większa stabilizacja, odwrotnie niż to się działo akurat w mojej rodzinie. W tym czasie przeżywaliśmy akurat okres znaczących przemian i zmian oraz związanych z tym ciągłych kłopotów finansowych, dlatego wizyty w Piotrkowie ograniczały się tylko do niezwykle okazji i to nie wszystkich. Nie byliśmy np. na ślubie i weselu Antka. Taką okazją, która skupiła w Piotrkowie na ulicy Mickiewicza (jeszcze wtedy) nr 27, a obecnie już 47 prawie całą rodzinę, stała się dopiero jubileuszowa data 50-lecia pożycia małżeńskiego rodziców, która przypadała na dzień 6 lipca 1956 roku. Wtedy w Piotrkowie, na ulicy Mickiewicza odbył się zjazd rodzinny, to znaczy przyjechaliśmy my, z Jeleniej Góry z małymi jeszcze wnukami, Andrzejem - 6 lat i Januszem - 3 lata, oraz Antkiem z Łodzi, gdzie mieszkał z rodziną i urzędował jako dygnitarz (po ukończeniu Uniwersytetu Łódzkiego) w Komitecie Partii. Lutka z dziećmi mieszkała oczywiście z rodzicami, a dziadek Krasoń miał uciechy co nie miara z wnuczkami (córkami Lutki) stale się z nimi „użerając”, a równocześnie na wszystko im pozwalając. Lokatorki z góry już się pozbyli, a maleńkie mieszkanko po Macińskiej zajęli na razie rodzice. Cały dół, z wyjątkiem wielkiego pokoju od strony ulicy zajęła Lutka z dziećmi. We wspomniany wielkim pokoju mieszkali Jankowie. Na Mickiewicza pod numerem 27 zrobiło się ciasno i zaczęło iskrzyć, tym bardziej, że Jasiu, ze względu na swoje przypadłości żołądkowe w wieku zaledwie 46 lat pożegnał się z pracą na kolei. Przestał jeździć jako maszynista i poszedł na rentę inwalidzką. Jako wykwalifikowany ślusarz nie mógł w domu beczynnie siedzieć i idąc za ówczesną modą wybudował sobie za zgodą ojca, na jedną cegłę, coś takiego, niby garaż, niby warsztat i zaczął robić różne drobne proste narzędzia metalowe, tak zwaną galanterię ślusarską: śrubokręty, zamki kłódki, haczyki, itp. Nie bardzo mu to jednak szło. Gdy w Bełchatowie zaczęto rozbudowywać kopalnię węgla brunatnego i budować Bełchatowską Elektrownię, poszedł do pracy do Zakładów Budowy Maszyn Górniczych w Piotrkowie.

W swoim garażu-warsztacie coś tam od czasu do czasu dłubał dla rozrywki. To tam u niego widziałem fenomen, trudny do uwierzenia fenomen nadający się do wykorzystania w jakiejś irracjonalnej komedii czy farsie. w jego garażu-warsztacie wyrosły mu na suficie... grzyby! Widocznie w farbie, którą pomalował sufit swojego garażu znalazły się zarodniki domowych grzybów kapeluszowych. Może niesprzyjające, ale wystarczające, aby mogła się na suficie rozwinąć grzybnia, a z niej i owocniki kapelusze, które miały trudności z pokonaniem praw ciężenia. Radziły sobie więc tak, że początkowo korzeń (właściwie to trzon grzyba) rósł wbrew naturze i naturalnemu porządkowi rzeczy kapeluszem w dół, a kiedy już osiągnął taką długość, że odległość od sufitu była dostateczna aby się w niej zmieścić kapelusz grzyba, wyginał się tak, że mógł już znaleźć się w normalnym położeniu. Sądzę, że były to grzyby powszechnie znane i stanowiące plagę starych domów,

zwłaszcza drewnianych, grzyby domowe. Zagrzybiony dom był zawsze synonimem biedy i zaniedbania, a grzyby wykształciły w sobie zdolność rozwijania się w najbardziej nieprawdopodobnych i niedogodnych warunkach, nawet na ścianach i na suficie, a nie tylko w podłogach.

Na spodziewany obiad u moich rodziców, a dziadków dla Janusza, spóźniliśmy się, ale gdybyśmy nawet przyjechali godzinę czy dwie wcześniej i tak przybylibyśmy za późno. Od tamtego czasu minęło dokładnie 7 (siedem) lat. Wielki szmat czasu! W tym czasie w Piotrkowie zaszły poważne i bardzo istotne zmiany. Wszyscy, oczywiście postarzeliby się o te siedem lat. Grażyna, najstarsza córka Lutki osiągnęła już pełnoletniość, ukończyła zasadniczą szkołę kolejową i pracuje na kolei. Jest dróżnikiem na przejeździe w pobliżu Jarostów. Mama czuje się coraz słabiej, ta jej dolegliwość nie ustępuje, przeciwnie, mimo stałej lekarskiej opieki coraz bardziej się pogłębia, coraz więcej czasu mama musi spędzać w łóżku, coraz trudniej jest jej poruszać się nawet po mieszkaniu. Lekarz jest prawie codziennym, stałym gościem w domu, jednak jego terapia jest mało skuteczna, żeby nie powiedzieć, że nieskuteczna. Lutka pracuje w tej swojej szwalni i prawie nie ma jej cały dzień. Dziewczęta w szkole. Faktycznie domem opiekuje się Dziadunio, który trzyma się na schwał dobrze. Dziadek robi zakupy w mieście, przygotowuje posiłki dla mamy i dla siebie i troskliwie się mamą opiekuje, która jest zbyt słaba by cokolwiek mogła robić. Wystarczy jeśli przeniesie się z łóżka na kanapę, by być bliżej rodziny. Dziadek też, o ile możliwości troszczy się i dba o swoje wnuczki. Zenek, ich ojciec ma taką służbę, że w domu jest dość rzadkim gościem. Antek, najmłodszy syn, mieszka w Łodzi, został wielkim dygnitarzem, dyrektorem naczelnym jednej z trzech fabryk metalurgicznych w Polsce produkujących żyłki. Dwie z nich, w Rawie Mazowieckiej i w Radomiu musiały zaniechać tej produkcji gdyż nie potrafiły osiągnąć światowego poziomu jakości tych ostrzy do golenia. Fabryka łódzka, której Antek jest dyrektorem kupiła licencję i technologię od Anglików i przeprowadza właśnie gruntowną reorganizację i restrukturyzację fabryki i ma zamiar produkować polskie ostrza do golenia „Polsilwery”, jakością nie ustępujące najlepszym ostrzom zagranicznym. Antek ma do swojej dyspozycji doskonały samochód i szofera, więc dość często, spacerkiem wpada do Piotrkowa, do rodziców. Trochę sobie pogadają z Tatą, pociągną sobie „ćwiartkę” i „Antosek” wraca do siebie, do Łodzi. Jasiu przestał pracować w Zakładach Produkcji Maszyn i Urządzeń Górniczych w Piotrkowie. Nie pozwalał mu jednak stan jego zdrowia, a poza tym ciągłe przebywanie w domu na ul. Mickiewicza spowodowało (co moim zdaniem w stosunkach ludzkich jest naturalne i nieuniknione), że między nim, Zenkiem i Ojcem dochodzi do starć i nieporozumień na różnym tle. Powstawały spory, których źródła i istoty nigdy nie mogłem zgłębić. Wreszcie Jasiu pogniewał się i wyprowadził z domu nie zwalniając jednak pokoju, w którym pozostały żona Julia z synem Jurkiem, zwanym „Kuką” oraz wszystkie jego meble. Jurek był mniej więcej w wieku naszego Marka, chyba tylko kilka miesięcy młodszy. Pracował na kolei i jeździł jako pomocnik maszynisty już nie na parowozach, a na

lokomotywach spalinowych. Lubił jednak zaglądać do kieliszka i w takim stanie spowodował wypadek kolejowy, na szczęście niegroźny, ale i tak dyscyplinarka go nie ominęła. Na pewien czas był zdjęty z lokomotywy i przeniesiony do warsztatów. w domu bywał rzadko. Dokąd na Górcie mieszkała Macińska, bywał częściej i przeważnie wtedy przesiadywał u niej. Dotychczas się nie ożenił. Ojcu, Janek w ten sposób przysparza wiele zgrzyot. Jedynie Julia hołubi go i ciągle jeszcze rozpieszcza jak małe dziecko, jak to matka. Kiedy stosunki między Jankiem i Zenkiem coraz bardziej się zaogniały, Jasiu kupił w pobliżu Jarostów działkę budowlaną, około 3000 m² i zaczął tam sobie budować własny dom. W Piotrkowie na ul. Mickiewicza przestał prawie zupełnie bywać. Swój warsztat-garaż, na którego suficie rosły mu grzyby, rozebrał. Na Mickiewicza pozostała tylko Julia, która pracowała chyba w jakiejś spółdzielni spożywczej. Co jakiś czas, dwa, trzy razy na tydzień dojeżdżała pociągiem do przystanku Jarosty, który był niedaleko Jasiowej posiadłości i dowoziła mu niektóre artykuły pierwszej potrzeby, a przede wszystkim żywność, czystą bieliznę (brudną zabierała do prania) oraz inne drobne przedmioty codziennego użytku. Wobec takiego stanu rzeczy nie chciałem robić rodzicom niepotrzebnych kłopotów, których i tak mieli dość i postanowiłem odwiedzić Jasia w jego posiadłości. Przyznam się, że jak to się mówi „pożerała mnie ciekawość”. Jak widać z tego co napisałem, Piotrków z 1963 roku niczym poza samym budynkiem, nie przypominał tego z roku 1956, bo nawet stary orzech włoski który rósł tuż obok studni i ocieniał ją swą potężną koroną, został wycięty, podobno którejś ostrzejszej zimy zmarł. Trafiliśmy więc z Januszem w prawie bolesną pustkę.



Fot. 3. Maria i Antoni Krasoniowie wraz ze swoimi wnukami, Jackiem, Markiem (synami Stanisława) i Jurkiem "Kuką" (synem Jasia i Juli), Piotrków Trybunalski, maj 1943 r.

Jedziemy więc do Jarostów, do Jasia-eremity. Zobaczymy jak sobie radzi w swej samotni.

Ojciec i dziewczynki - siostrzenice - opisali nam dokładnie, ze wszystkimi możliwymi i niemożliwymi szczegółami jak tam dojechać i jak znaleźć tę posesję. Od przejazdu kolejowego pod Jarostami zaczyna się boczna polna, wyboista, polska droga. Zgodnie z otrzymanymi informacjami i dopisami jedziemy nią na poszukiwania. Zapamiętałam, że znakiem szczególnym ma być siatka ogrodzeniowa od strony drogi i dom z czerwonej cegły w budowie. Między siatką a domem, mniej więcej w połowie drogi widoczna cembrowina studni z „kluczką” do wyciągania wiadra z wodą. Dość długo musieliśmy jechać tą wyboistą drogą albo tylko tak nam się wdało, bo tak nam się czas dłużył. Wreszcie jest. Zgodnie z opisem: druczana siatka, wzdłuż drogi, tuż za nią cembrowina studni, nawet jest na niej i „kluczka” i dalej z surowej, czerwonej cegły dom, częściowo już pod dachem, nawet widać zamieszkania, bo w oknie wprawdzie zamkniętym, wiszą firanki. Przed domem sień z zamkniętymi drzwiami. Na sygnał motocykla drzwi w sieni się otwierają i wychodzi z nich Jasiu. Szybko nas poznał i spieszy, aby otworzyć bramę i powitać nas na progu swej posiadłości.

Dziwna to była posiadłość, tak samo jak dziwny był jej gospodarz. Jasiu był zażenowany, wzruszony i w najwyższym stopniu rozrzucony, ale w opowiadaniu, którym zapoznawał nas z panującymi na jego działce stosunkami i warunkami przebiegała silna nuta dumy i zadowolenia z siebie. Samo gospodarowanie na swoim, wyzwolenie się spod wpływu i przemożnej opieki i dominacji Ojca i Zenka, który zaczął się na dobre szarogęścić w dziedzictwie nienależącym do niego, było wystarczającym powodem do dumy i zadowolenia. Tu, na swoim czuł się suwerennym panem, niezależnym od niczych fochów i humorów. Nie przeczył, że ma tu liczne i niełatwe problemy do rozwiązywania, ale prawdę mówiąc, to sam je sobie stwarza i sam je rozwiązuje. Czuje się z tym dobrze i jest zadowolony.

To tak ogólnie! A szczegółowo?

Jasiu bezsprzecznie nie był mizantropem z natury i charakteru. To pustelnicze życie na pewno dawało mu się we znaki. Samotność nudzi i nuży, dlatego witał nas serdecznie i radośnie. Nareszcie będzie miał okazję pochwalić się swą samodzielnością, przedsiębiorczością, swymi marzeniami, nadziejami, troskami i obawami. Tak więc, przede wszystkim zamierza wybudować solidny murowany, piętrowy dom. Na parterze obszerna sień, z której wejście prowadzi do kuchni i klatka schodowa ze schodami na piętro do pokoi sypialnych

i gościnnych. Ponadto kuchnia, która jest na tyle jest wykończona, że Jasiu w niej normalnie mieszka. Wprawdzie po spartańsku, ale zawsze.

Dom jest już pokryty dachem, okna oszklone na razie tylko na parterze. Prąd elektryczny doprowadzony do domu (a w zasadzie do kuchni) sprawia, że jest światło i energia zasilająca elektryczną kuchenkę pozwala na słuchanie radia. Woda z wykopanej już studni, nie jest najlepsza ponieważ znajduje się płytko pod ziemią, więc studnia nie jest głęboka. Zresztą przy granicy (a częściowo nawet tworząc granicę „Jasiowych” gruntów), przepływa czysty strumień, może za dużo byłoby powiedzieć „strumień”, wypadłoby raczej powiedzieć „struga” albo nawet po prostu „ciek”. Jasiu w tej strudze pokłada duże nadzieje na przyszłość, na razie trudno powiedzieć na jak daleką przyszłość. Jasiu nie zaprzęta sobie głowy takimi sprawami, trzyma się Mickiewiczowskiej zasady „Mierz siły na zamiary - nie zamiar według sił”. Kryje się w tych jego zamierzeniach pewność i przekonanie, że starczy mu na wszystko czasu i środków. Ma dopiero 53 lata, jest wolny, na rencie, ma nieograniczony czas, którym może dowolnie dysponować, wszystko pomału zdąży zrobić. Nie dziwię mu się, bo w gruncie rzeczy każdy człowiek, obojętnie w jakim jest wieku, myśli tak samo. Jest też pewien, że zdąży.

W przyszłości (na razie jeszcze nieokreślonej), Jasiu zamierza na swoim gruncie urządzić staw rybny i założyć hodowlę ryb. Przepływająca obok struga ma zasiląć jego staw w zawsze świeżą, czystą wodę. Jasiu jest z zamiłowania hodowcą. Poza rybami, o których marzy na przyszłość, myśli również o ewentualnym chowaniu kozy, jako źródła smacznego i zdrowego mleka, prawie jak Ghandi. Dla przyszłej kozy już teraz troszczy się o siano, na razie z części niezagospodarowanej swego placu kosi regularnie trawę, suszy na siano i gromadzi je na razie pod dachem na niewykończonym jeszcze piętrze. Już teraz hoduje cztery czy pięć kur-niosek, od których ma na własny użytek dostateczną ilość zawsze świeżych jajek. Kury, powiada, prawie wcale nie kosztują, a także wyżywią się resztkami ze stołu po śniadaniu czy obiedzie bo i tym co sobie wygrzebią na podwórzu. Przy ścianie domu wybudował spory garaż, w którym trzyma i przechowuje starego, przedwojennego „Harleya”. Potężny, niemiecki, wojskowy motocykl z koczem. Obiecuje, że go kiedyś jeszcze wyremontuje, bo właściwie to mu nic nie brakuje i jeszcze sobie na nim pojeździ. Na razie motor stoi niby w garażu, który samorzutnie przerodził się w kurnik, a w jego koszu kury znoszą jajka. Jasiu nie przejmuje się tym, że kury zapaskudzają mu jego motor i cały garaż. Kurzy nawóz doskonale nadaje się pod warzywa – powiada - a na jego gospodarstwie jest jedynym naturalnym nawozem poza fekaliami z ustępu. z braku dostatecznej ilości nawozu, plony z ogrodu warzywnego, który zajmuje ponad połowę areалу, działki są poniżej przeciętnej. Dokładnie nie miałem możliwości ocenić wielkości zbieranych przez niego plonów, gdyż moje wizyty

u niego, ta i następne, znacznie częstsze, wypadały zawsze w porze letnich wakacji, kiedy z ogródków zaczyna się dopiero zbierać nowalijki.

Na razie rozgościliśmy się u brata. Był nam bardzo rad. Służył czym tam mógł, ale nie bardzo właściwie miał czym, prawdziwy eremita. Sprawę uratowały kury. Jasiu miał zapas około dziesięciu jaj, pół bochenka czerstwego chleba, masło i smalec. Pożywiliśmy się jak na biwaku, jajecznicą z chlebem i herbatą, która nieco załatowywała rybami.

Widocznie dziewczęta powiadomiły ciotkę Julę o naszym przyjeździe, bo pod wieczór przyjechała i przywiozła świeże zapasy żywności, trochę białej pościelowej, ręczniki, obrusy itp. Niedługo mogliśmy porozmawiać ze sobą, bo się spieszyła by zdążyć na ostatni pasujący pociąg, ale obiecała przyjechać znowu nazajutrz, uzupełnić pozostałe braki, a że nazajutrz wypadała niedziela, obiecała przede wszystkim przygotować i przywieźć w południe świąteczny obiad. Osobiście przez siebie przygotowany, który mieliśmy zjeść razem w czwórkę. Jurka widać nie spodziewała się, bo go w swych wyliczeniach nie brała w rachubę. Po odjeździe Juli, a zrobił się już tymczasem wieczór, czas było pomyśleć o noclegu dla nas. Na razie nie bardzo widziałem jakieś dogodne dla nas miejsce do spania, w kuchni stało jakieś koślawe „wyrko”, na którym sypiał Jasiu, i które według mnie praktycznie nie nadawało się do spania. Pokój sąsiedni, ewentualny przyszły salon, przylegający do kuchni, był jeszcze w stanie „surowym”. Wprawdzie miał okna oszklone, ale ściany i sufit jeszcze nieotynkowane, a i podłoga położona była tylko prowizorycznie, aby Jasiu osobiście mógł ten pokój tynkować. Jasiu jednak znalazł radę. Na piętrze, powiedzmy pod dachem, na strychu, ma zmagazynowany znaczny zapas siana dla kozy. Jeśli chcemy, możemy się ewentualnie tam przespać. Ano zobaczmy! Jak już wspomniałem, wejście na górę było z sieni. Owszem, stała tam nawet drabina w wąskim kanale, który początkowo wziąłem za jakiś szyb wentylacyjny, ale Janek stwierdził, że to będzie klatka schodowa. Miałem duże zastrzeżenia co do jej funkcjonalności, wygody i przepustowości. Człowiek udający się na górę, czy schodzący z niej, jakoś się przecież tym szybem, mówię Jasiowi, ale on na moje wątpliwości, jak będzie sobie wtedy radził, miał prostą odpowiedź:

- *Będę wciągał meble i inne cięższe graty przy pomocy windy i przez okno do pokoju. Pod dachem mam taki urządzony wysięgnik z blokiem wielokrążkowym przy pomocy, którego nawet bardzo ciężkie przedmioty mogę lekko wciągać na górę.*

Zacząłem się krytycznie zastanawiać nad procedurą tej Jasiowej budowy. Nie chciałem mu zadawać kłopotliwych pytań, aby go nie stawiać w niewyraźnej i krępującej sytuacji. Ostatecznie jest tu „suwerennym”, pełnoprawnym gospodarzem i buduje według własnego „widzimisie”. „Próbując samotnie żeglować nad życia oddechem, był sobie zarazem, żeglarzem, sternikiem, okrętem”, ale mu wolno, tylko, że i mnie, dla siebie wolno przypuszczać, że Jasiu buduje „na dziko”, bez planu, bez dokumentacji technicznej, bez zezwolenia odnośnych władz. Plan, dokumentacja, to wszystko mieściło się w jego głowie, w jego wyobraźni i w jego fantazji, wszystko robił sam i własnoręcznie. Prawdziwa „Zosia Samosia”. Taki już był. Coś miał ze swego ojca, „złotej rączki”. Zaczęliśmy sobie szykować legowisko we wskazanym przez Jasia sianie, a siana świeżego i pachnącego było w bród. Przy pomocy przywiezionych przez Julę prześcieradeł, jakoś tam ugnieśliśmy trochę siana. Przykryliśmy jednym prześcieradłem, drugie przygotowaliśmy pod koc. Legowisko było gotowe Dla nas wystarczające, ponieważ nie byliśmy wymagający.

Kolacja była raczej symboliczna. Wobec popołudniowej jajecznicy specjalnie apetytem nie grzeszyliśmy, a więc herbatka i kromka chleba ze smalcem oraz parę główek dymki z ogródka Jasia, jako nowalijka. w nocy musieliśmy z Januszem spać dość niespokojnie. Było duszno, zapach kurnika, który górą miał z pokojami (przyszłymi) otwarte wolne i szerokie połączenie, dawał się mocno we znaki. Głosy gaworzących przez sen kur przywoływały na myśl jakieś senne majaki. W nocy tak się w tym sianie pogubiliśmy, że nie mogliśmy się rano odnaleźć. Potonęliśmy w powodzi siana i to nie tylko my sami, ale również przepadł gdzieś bez śladu koc i prześcieradła, wieczorem tak starannie rozścielane na sianie. Trudno nam było się odnaleźć, ale za to znaleźliśmy gniazdo pełne kurzych jaj. Jakaś kurka w tajemnicy przed Jasiem, bo nie przypuszczam, żeby się Jasiowi chciało codziennie rano macać kury, korzystając z garażu-kurnika jest wolne bezpośrednio przejście do składu siana w mało dostępnym kąciek znosiła i składała jajka. Prawdopodobnie marzyło się jej, że po cichu wysiedzi, a następnie wyprowadzi całą czeredę piskląt i przywiedzie je gospodarzowi. Podobnie jak to kiedyś, dawno temu, zrobiła mojej matce w Herbach jej faworytka, kurka Czubatka. Miejsce na gniazdo musiało być wybrane w przemyślany sposób, bo mimo naszego wiercenia się w sianie wieczorem i w nocy, nie potrafiliśmy go ani uszkodzić, ani pognieść jajek, a rano odkryliśmy je tylko przypadkowo. Namawiałem Jasia żeby kurze pozwolił dokończyć rozpoczęte dzieło. Nie wiem tylko czy nie spłoszyła jej nasza obecność.

Gdy rano wyszliśmy z Januszem na światło dzienne, na podwórzu do studni, żeby się umyć zobaczyliśmy, że obaj jesteśmy pocętkowani na czarno. Pieg na piegu. Okazało się, że jesteśmy popstrzeni przez pająki, których na poddaszu jest istne zatrzęsienie.

SUCHA SKÓRKA CHLEBA

Piotrków! Chociaż sam jestem urodzony w Łodzi (rodowity łodzianin nigdy nie powie „w Łodzi” ani tym bardziej „z Łodzi” tylko zawsze podkreśli „w mieście Łodzi” albo też „z miasta Łodzi”), z Piotrkowem łączy mnie znacznie więcej rodzinnych więzi. Tu bowiem tkwią nasze rodzinne korzenie. Obaj moi dziadkowie, i ten ze strony Mamy, Michał Bogucki i ten ze strony Ojca, Jan Krasoń, spoczywają na piotrkowskim cmentarzu. Dziadek Bogucki pochodził z Wolborza. Tam gdzieś jest jego rodowy majątek. Ciotka Mroczkowa chciała się nawet w 1928 roku o niego procesować ze spadkobiercami i namawiała Mamę do wspólnego działania w tej sprawie, ale Mama uważała, że jest to przedsięwzięcie beznadziejne i nie chciała się do spółki przyłączyć. Kiedy na Dziadka przyszedł czas i został wzięty w „sołdaty” do ruskiego wojska. z opowiadań Mamy wiem, że służył szlachcie i jako Polak w kawaleryjskim pułku, był w nim „podkuwaczem”. Przeżył oblężenie Sewastopola podczas wojny krymskiej, a z okresu głodu w oblężonej twierdzy, do końca życia pozostał mu uraz - strach przed widmem głodu. Stąd zrodziła się u niego mania. Niedojedzone skórki chleba skrzętnie zbierał i przechowywał w swoim...sienniku, jako ewentualny zapas czy rezerwę na wypadek głodowej klęski.

Po powrocie z wojny i zwolnieniu z wojska, ułożył się jakoś ze swym starszym bratem, który przez cały ten czas gospodarzył na wspólnej schedzie i chyba wziął od niego jakąś odprawę, bo przeniósł się do miasta Łodzi, które akurat w tym czasie przeżywało swój żywiołowy rozwój. Tam się ożenił, pozostawił czworo dzieci, dwóch synów, najstarszego Stanisława, który zmarł wieku 42 lat w Łodzi w roku 1924 i najmłodszego, Władysława, który w czasie I Wojny Światowej został przez Niemców wywieziony do Rzeszy na roboty. Tam poznał jakąś Hucułkę spod Stanisławowa, jak Mama mówiła „Chachołkę z Pokucia” i po wojnie wyjechał razem z nią na to Pokucie, do Wygody, gdzie ona miała jakieś gospodarstwo gdzieś w górach w Wygodzie i tam się z nią ożenił. W 1928 r. odwiedziłem go w tej Wygodzie. Do Stanisławowa jakoś dojechałem jakoś pociągiem. Sprawa zaczęła się komplikować dopiero od Stanisławowa, ta cała Wygoda leży naprawdę gdzieś na krańcu świata, tam „gdzie diabeł mówi ludziom dobranoc”. Ze Stanisławowa musiałem miejscowym pociągiem podmiejskim, zwykłą „ciuchcią” podjechać do stacji Dolina. Tu już zaczęły się prawdziwe góry, a dla mnie prawdziwe schody. Na miejscu, w Dolinie dowiedziałem się, że owszem do Wygody, do tartaku dochodzi jeden pociąg mieszany dziennie, który obsługuje cały ten szlak od Doliny do Wygody. Pociąg mieszany, to znaczy, że tak naprawdę to jest to pociąg towarowy, ale w jego skład zawsze włącza się jeden wagon osobowy, aby mogli z niego korzystać również pasażerowie podróży.

Wujek Władek pracował właśnie w tym tartaku w administracji. Przesiedziałem u niego zaledwie kilka dni, nie za długo, bo było to pustkowie niesamowite wśród wysokich gór i pobyt tam szybko mi obrzydł, tym bardziej, że ani ciotka, ani jej córka, która była mniej więcej w moim wieku, ani też sąsiedzi nie bardzo przychylnym okiem spoglądali na takich jak ja przybyszów z dalekiego świata. Szybko też zabrałem się i wyjechałem. To był ostatni nasz kontakt z tym wujkiem, najmłodszym z rodzeństwa mojej Mamy. Prócz synów po dziadku Boguckim pozostały dwie córki, starsza Bronka, która wyszła za mąż za Mrocza, motorniczego tramwajów miasta Łodzi i mieszkała na Widzewie, przy ul. Szosa Rokicińska 10, tuż w pobliżu stawów Scheiblerowskich, w których utopił się jej 14-letni syn. Ich młodszą córką była Marianna, moja Mama.

Pod koniec życia dziadek Bogucki mieszkał u nas w Piotrkowie. Jego łóżko stało w bokówce, pod pochyłym dachem. Nie pamiętam go chodzącym, gdyż chorował i nie wstawał z łóżka. Zmarł chyba w 1912 roku, kiedy już byłem na tyle dużym dzieckiem, że pamiętałem jego pogrzeb, w którym uczestniczyłem. Mniej zapamiętałem ze skromnego konduktu odprowadzającego dziadka na miejsce ostatniego spoczynku, bardziej mi się utrwalił w pamięci powrót z pogrzebu aleją cmentarną.

Śmierć drugiego dziadka, Jana Krasonia zastała nas już na „emigracji”, w Herbach na zachodnich rubieżach, na samej granicy Królestwa Polskiego, było to chyba w 1913 roku. Pamiętam jak Ojciec wyjeżdżał na jego pogrzeb do Piotrkowa.

Dziadek Krasoń również pozostawił czwórkę dzieci: Józek, najstarszy syn, potem młodsza od niego Andzia, trzecim dzieckiem był Antek - mój ojciec, a najmłodsza Stasia, na której weselu, odbywającym się w naszym mieszkaniu w Piotrkowie już byłem obecny. Było to przy ul. Kaliskiej, w domu Banaszkiewicza. Byłem już na tyle dużym dzieckiem, że niektóre fragmenty przygotowania wesela, jak np. woskowanie podłogi, żeby się lekko tańczyło i samego wesela utrwaliły się w mojej pamięci. Ciotka Stasia wyszła za mąż za Antoniego Zarzyckiego, z zawodu brukarza w mieście Łodzi.

Kiedy po I Wojnie Światowej w 1928 roku, rodzice powrócili z emigracji w Herbach do Piotrkowa, usiłowałem odnaleźć groby dziadków. Obaj bowiem leżą na tym samym cmentarzu i chyba w niezbyt odległych kwaterach, ale niestety okazało się to niemożliwe. Nie były to bowiem jakieś rodzinne pomnikowe grobowce, na jakie w tamtych czasach mogli sobie pozwolić tylko magnaci i ludzie nie tylko zamożni, ale naprawdę bogaci. Były to zwykłe mogiłki, usypane z piasku kopczyki z drewnianym krzyżem i takąż tabliczką z nazwiskiem. Przez lata wojny i „emigracji” rodziców mogiłki się pozapadały i porosły trawą i chwastami, drewniany krzyż

spróchniał i rozsypał się w proch, podobnie drewniana tabliczka, z której wiatry i deszcze jąkały litery nazwiska. Wszystko się zrównało i zagubiło w tłumie... Wypadało więc, by obecnie temu najmłodszemu, czwartemu już pokoleniu, pokazać chociaż miejsce gdzie tkwią korzenie naszego rodu. Nie zaszkodziłoby pokazać mu i sam Piotrków i jego okolice. Piotrków, który był już miastem możnym, trybunalskim, kiedy Łódź była jeszcze mało komu znaną niewielką, biedną wioską.

Od kiedy pamiętam Piotrków był miastem gubernialnym, a jeszcze dawniej miastem trybunalskim obok Lublina i to mu w nazwie zostało, Piotrków Trybunalski. Do dzisiaj jest w nim i Rynek Trybunalski, a przy nim kamienica z numerem 8, w której podobno zamieszkiwał sam król Jan III Sobieski, kiedy z królową Marysieńką zjeżdżał do Piotrkowa na Trybunały. W oficynie tej kamienicy zamieszkiwaliśmy przez kilka miesięcy po powrocie z Herbów, póki dom na ul. Mickiewicza nie został podciągnięty pod dach. Mało natomiast mówi się o tym, czy Piotrków był miastem obronnym, ufortyfikowanym, czy posiadał Zamek. Pewne ślady murów obronnych nosi jedna ze ścian klasztoru Pijarów. Mury te musiała niegdyś oblewać przepływająca u ich stóp, rzeka Strawa, kiedyś podobno, jak podają stare kroniki rzeka spławna. Dzisiaj, niestety już tylko ściek, a jeszcze pamiętam jako dziecko prowadzone za rączkę przez Ojca, a nawet niesione na ręce, widziałem urządzone na niewielkim stawie usytuowanym w pobliżu tego właśnie ułamka muru wkomponowanego w ścianę klasztoru Pijarów, na Strawie, jakieś festyny i tombole, pływające łódki, ognie sztuczne.

Ku mojemu rozczerowaniu Janusz, nie przejawiał zbyt wielkiego zainteresowania ani zabytkami, ani wspomnieniami. Dla niego pustym dźwiękiem było imię Damazy Macoch, wielki grzesznik i wielki pokutnik, ale ja już odczuwałem podniecenie i zaciekawienie jakie przeżywali moi rodzice w czasie jego procesu. Bo chociaż przestępstwo zostało popełnione w Częstochowie, proces odbywał się w Piotrkowie jako w mieście gubernialnym, guberni do której należała wówczas Częstochowa. Nawet po wyroku osadzony został w więzieniu w Piotrkowie, w więzieniu ciężkim, które istnieje do dnia dzisiejszego przy ul. Bykowskiej. w tym więzieniu Macoch zmarł. Pochowany jest na cmentarzu komunalnym w Piotrkowie, ale nie jak sobie życzył, na głównej alei, aby wszyscy po nim deptali, ale nieco z boku, aby uszanować majestat śmierci.

Dlatego z Januszem przebiegaliśmy tu i tam na motocyklu i, że tak powiem, zwiedzaliśmy Piotrków z lotu ptaka. Z wszystkich naszych krótkich wycieczek krajoznawczych, najdłuższa okazała się do Sulejowa nad Pilicą z zamiarem zwiedzenia starego, sławnego klasztoru Cystersów. Ostatecznie ograniczyła się ona tylko do powierzchownego jego obejrzenia, również z lotu ptaka i to w dodatku z drugiego brzegu rzeki Pilicy.

Janusz najchętniej lubił przebywać ze strykiem Jankiem. Lubił wysłuchiwać jego marzycielskich planów i zamiarów, albo też wspólnie z nim coś tam robić na grządkach w warzywniku lub debatować nad budową przyszłego stawu rybnego. Nawet w jego głowie zrodziło się pytanie czy ten staw będzie na tyle duży, żeby po nim można było pływać łodzią albo, chociaż kajakiem. Jasiu jednak rozwiął jego nadzieje na żaglowanie po stawie rybnym. Te naiwne i śmieszne czasem rozmowy z Januszem wzbudzały w Jasiu zrozumiałe rozgoryczenie z tego powodu, że jego jedynak, Jurek, „Kuka” nie okazuje najmniejszego zainteresowania poczynaniami ojca, a przecież w wolnym czasie od służby, (powiada Janek) mógłby mu walnie pomóc. Jest młody i sprawny, a to jest przecież jego dziedzictwo. Robię to - powiada Jasio - przecież z myślą o nim, że kiedyś to wszystko jako dziedzictwo jemu w spadku przypadnie. Tak więc to co by tu robił, to robiłby jakby dla siebie samego, ale jemu co innego w głowie. Janusz tak naprawdę, choć niby słuchał stryja ciekawie, to jednak entuzjazmu do jego mrzonek nie przejawiał.

A tak w gruncie rzeczy, to chyba zaczynał się już w Piotrkowie po trosze nudzić. Po jeszcze jednej wizycie u Dziadków na Mickiewicza, powiada do mnie:

- *A dziadek to ma taki dziwny scyzoryk!*

Ano ma - mówię mu na to - i to od najdawniejszych lat. Już jako chłopiec podziwiałem ten jego nóż, taki zwykły prosty „kozik”, powszechnie popularnie zwany „cygankiem”, jaki można było kupić za parę groszy na każdym oduście czy jarmarku. Nigdy się z nim nie rozstawał, bo „cyganek” służył mu całe życie jako prawie jedyne i najważniejsze, uniwersalne narzędzie. Tym cygankiem potrafił wystrugać i wyrzeźbić 24 lalki do szopki bożonarodzeniowej, kiedy jeszcze w Herbach siedział na posterunku w budce jako zwrotniczy. Tym „cygankiem” (choć nigdy nie narzekał na swoje uzębienie, zawsze doskonałe, odkąd pamiętam, nie zjadał całej kromki chleba), tym swoim kozikiem odkrawał z niej skórkę. Nie wiem dlaczego, ale przypuszczam, że ten uraz powstał u niego w czasach terminowania u piekarza. Tak nieraz zastanawiałem się czy skórki, o których Mama opowiadała, że dziadek Bogucki chował w swoim sienniku nie były właśnie tymi, które odkrawał ojciec, a dziadek je zbierał i przechowywał pamiętając o dniach głodu przeżytych w oblężonym Sewastopolu. Później i Mama tych skórek nie wyrzucała, częściowo spasała je kurami, a resztę zbierała i składała w papierowych torbach gdzieś na strychu, gdzie leżały w zapomnieniu i nie interesowały się nimi nawet domowe myszy. Dopiero w czasie drugiej wojny światowej, kiedy bieda przycisnęła, a brak nie tylko chleba dawał się boleśnie odczuwać, babcia Krasoniowa przypomniała sobie o suchych skórkach chleba, zapomnianych gdzieś na strychu. Przeprosiła się z nimi, wykorzystywała je do gotowania zupy, tak zwanej „wodzianki”, której głównym

składnikiem była gotowana woda. Wszyscy z nas na pewno znają dzieciinną bajkę o żołnierzu, co to gotował zupę z zęba od brony. Inni mówią, że z gwoździa, ale to nieważne, wszystko jedno, gwóźdź czy ząb z brony, to była bajka mająca świadczyć o przemyślności żołnierza, a tu szczerza prawda i rzeczywistość. Do gotującej się wody babcia dodawała parę listków naci pietruszki, trochę koperku i odrobinę soli i jakiegoś tłuszczu. Zupę gotowano i dodawano doskonałe grzanki z suchych skórek od chleba. Marek powinien pamiętać te wodzianki, bo wtedy przebywał u dziadków w Piotrkowie.

Dziadek do dziś i chyba ciągle tym samym swoim kozikiem czy „cygankiem” nawet przy biesiadnym stole, odkrawa skórki ze swych kromek chleba. Tylko, że teraz już nikt ich nie zbiera, ani nie przechowuje, bo Babcia już nie ma na to siły. Zresztą rządy w gospodarstwie domowym na Mickiewicza, praktycznie przejęła Lutka, a sekunduje jej i pomaga w tym energiczna jej młodsza córka, Basia.



Fot. 4. Antoni Krasoń, ojciec Stanisława, Piotrków Trybunalski, 1935 r.

Zgodnie z założeniami, o świcie, rozespani, jeszcze z rosą na oczach, a sianem we włosach, ruszyliśmy do Jarostów, a stamtąd na łódzką szosę. Pogoda była cudowna. Śliczne polskie złote lato. Zbliżały się żniwa. Uśmiecha się piesza wycieczka w pola „wyzłacane pszenicą, posrebrzane żytem”. Iść miedzą pomiędzy dwiema ścianami, kłaniającymi się nabrzmiałymi dorodnym ziarnem kłosami. Słuchać grania koników polnych ukrytych gdzieś w trawie i skowronka, który gdzieś tam pod nieboskłonem wyśpiewuje swe cudowne trele. Wśród złotych strun zboża podziwiać urozmaicające koloryt lata i cieszące oczy wychylającymi się spośród ździebł złotej słomy barwne kwiaty polskich pól, czerwone polne maki, niebieskie kąkole i błękitne bławatki.

Jadąc na motocyklu ze średnią prędkością 70km/h tego się nie widzi ani nie słyszy. Szum motoru zagłusza wszelkie zewnętrzne odgłosy, a szybkość jazdy na chwiejnym jednośladzie zmusza do maksymalnego skupienia całej uwagi, na wąskim wycinku krajobrazu przed nami, ograniczającym się prawie wyłącznie do pasma drogi i na umieszczone przy niej znaki drogowe. Już o wiele więcej pozwala widzieć jazda pociągiem. Stanąwszy przy oknie wagonu, możemy ogarnąć okiem szeroki horyzont krajobrazu, mijane wioski i osiedla, pola i lasy, rzeki i strumienie, przelatujące ptaki i poruszających się w terenie żywych ludzi. z drogi łódzkiej wjechaliśmy jednak na nie najkrótszą, wiodącą przez Wieluń, Kępno, Oleśnicę do Wrocławia drogę, gdyż chcieliśmy zobaczyć Częstochowę, Herby i Dobrodzień. Wjechaliśmy więc na wspomnianą już drogę nazywaną szumnie „Autostradą” z Warszawy przez Piotrków, Częstochowę do Krakowa i Katowic.

W czasie gdy ją modernizowano, a więc w latach dwudziestych XX wieku, była ona już ostatnim „krzykiem techniki”. Środkiem asfaltowa, a pobocza wyłożone płytami betonowymi. Przystosowana już do ruchu samochodowego, ale ponieważ jeszcze w tym czasie samochodów w Polsce było tyle „co kot napłakał” (a zasadniczy transport drogowy stanowiły zaprzęgi konne), więc pobocze przeznaczone dla nich było wyłożone płytami betonowymi.

Droga ta, mimo upływu już prawie czterech dziesięcioleci trzymała się doskonale, dając dobre świadectwo o talencie i odpowiedzialności polskich przedsiębiorców, inżynierów i techników robotników, w ogóle firm wykonawczych tamtych czasów. Tą drogą, tyle że z Warszawy do Piotrkowa jechaliśmy na rowerach w roku 1936, a więc prawie 30 lat temu. Przez te lata droga prawie się nie zmieniła. Zniknęły tylko z poboczy betonowe płyty i asfalt jest położony na całej jej szerokości. „Autostrada” przemieniła się w zwykłą asfaltową powszechnie spotykaną na Ziemiach Odzyskanych.

Nie dojeżdżając do Radomska, jakieś 30 km od Piotrkowa, mijamy Kamieńsk, a w nim czerwone zabudowania wielkiej „Radomskiej Fabryki Mebli Giętych”. Fabryki o światowej sławie wyrobów, słynącej szczególnie z giętych krzeseł „wiedeńskich” z siedzeniami wyplatany „rafią”. Oryginalny był sposób przeprowadzania prób jakościowych, czyli sprawdzanie jakości i wytrzymałości wyrabianych krzeseł. Jeden z pawilonów fabryki, frontem zwrócony do przebiegającej obok niego „autostrady”, wysoki na 4 piętra, w jednym miejscu miał nadbudówkę. Coś w rodzaju strażackiej wartowni, czy czatowni dla strażaka. Otóż z tej nadbudówki, czatowni czy wartowni wzniesionej na cztery piętra nad poziom dziedzińca fabryki, ku uciesze gapiów i przygodnej gawiedzi, po prostu krzesła poddane próbie, zrzucono na dziedzińce fabryki. Krzesło zdawało egzamin jakościowy jeśli w tej próbie nie uległo uszkodzeniu.

Częstochowa przyjęła nas codziennym zgiełkiem i hałasem. Ucieszył mnie widok alei, którą ocieniały znowu jak za dawnych lat cztery rzędy drzew kasztanowych. Kiedy jako chłopiec i młodzieniec, uczeń i Gimnazjum Państwowego im. Henryka Sienkiewicza przemierzałem tę ulicę w drodze z dworca kolejowego do szkoły. Te drzewa kasztanowe w roku 1928-1929, podczas pamiętnej, ostrej zimy stulecia wymarły doszczętnie. Na miejscu wymarłych zarząd miejski posadził nowe drzewa i przez te 35 lat kasztanowce podrosły na tyle, że prawie dorównują tamtym i również jak one ocieniają aleję. Przy placu między II, a III aleją mijamy leżący po lewej stronie placu gmach Magistratu, a po przeciwnej stronie placu, na przeciwko Magistratu, Kościół Św. Jakuba, kiedyś cerkiew prawosławna. Tuż obok, przy ul Szkolnej mieściło się kino „Uciecha”, w którym przez cały dzień wyświetlano poranki dla młodzieży, a na nich filmy przygodowe typu „zabili go i uciekł” z Eddiem Polo, Maxem Linderem i innymi podobnymi idolami młodzieżowymi w rolach głównych. Kilkanaście kroków dalej, po prawej stronie III alei budynki poklasztorne, to nasze Gimnazjum. Wakacje! Szkoła i oba dziedzińce ciche, uśpione, jak wymarłe, ożyją we wrześniu. Jedziemy dalej, na Jasną Górę. Kiedy wreszcie minęliśmy oba oddzielające nas od niej parki, Park Kilińskiego po lewej stronie i Park Traugutta po prawej stronie, na skłonie wzgórza przed klasztorem wita nas jakiś skromny świętek, chyba figura Matki Boskiej z koroną z gwiazd wokół głowy. Kiedyś w tym miejscu stał na okazałym cokole, otoczonym stalowymi sztachetami spiżowy pomnik Aleksandra i Cara Wszechrosji i Króla Polskiego. O ile mnie pamięć nie myli, spiżowy pomnik cara, Niemcy w czasie I Wojny Światowej przetopili na armaty razem z kościelnymi dzwonami, klamkami od drzwi, rynkami, rondlami, brytfannami i samowarami. Miedź wtedy była w ogromnej cenie.

Znaleźliśmy wreszcie coś w rodzaju strzeżonego parkingu. Tą usługę oddał nam podklasztorny przekupień, który na straganie handlował dewocjonaliami. Zgodził się za symboliczną opłatą zaopiekować się

w czasie naszej nieobecności naszym motocyklem. To nam od razu rozwiązało ręce, mogliśmy iść spokojnie zwiedzać Klasztor.

Jasna Góra i klasztor o. o. Paulinów jest znany powszechnie i zyskał sławę światową, dzięki cudownemu obrazowi „Czarnej Madonny”. Wydawałoby się, że właśnie ten obraz jest największą i może nawet jedyną atrakcją tego klasztoru, ściągającą doń tak ogromne rzesze pielgrzymów. Okazuje się, że nie dla wszystkich. Janusz przede wszystkim zainteresował się murami obronnymi klasztoru. Ich grubością, wysokością i sposobem obrony. Zainteresowanie wzbudziły w nim też „szwedzkie kule działowe” malowniczo wmontowane w obudowę bramy i w mury obronne. Kaplica cudownego obrazu i sam cudowny obraz również nie wzbudziły w nim specjalnego entuzjazmu czy zauroczenia. Po prostu dlatego, że jako w dzień powszedni, chociaż w kaplicy od rana pątników nie brakowało, obraz był zamknięty w specjalnej szafie, odsłania się go tylko w czasie uroczystych nabożeństw. Nie zainteresowały go też potężne spiżowe rzeźby sakralne przedstawiające drogę krzyżową, a jest ich aż piętnaście, tyle ile jest stacji Męki Pańskiej. Te kute w brązie rzeźby Męki Pańskiej mocno zainteresowały kiedyś, w czasie I Wojny Światowej Cesarza Wilhelma II, kiedy zwiedzał klasztor jasnogórski. Nie mógł odżałować, że tyle wspaniałego brązu tak się marnuje i nie można go przetopić na armaty. Jasna Góra, mimo że Niemcy okupowali Częstochowę, stanowiła wtedy enklawę Austro-Węgier i wobec tego w klasztorze stacjonowały oddziały Austriaków, katolików. Wilhelm II, luteranin nie miał prawa wstępu do klasztoru, chyba tylko jako gość na zaproszenie arcychrześcijańskiego cesarza Austro-Węgier. Wytłumaczyłem Januszowi, który był zachwycony fortyfikacjami twierdzy Jasnogórskiej, że to co widzi, ten obecny stan fortyfikacji to raczej teatralna atrapa w niczym niepodobna do tych z czasów oblężenia Częstochowy przez Szwedów. To są już tylko dekoracje przystosowane do czasów współczesnych i aktualnych potrzeb klasztoru.

Historia samego obrazu też jest dość niewyraźna i bałamutna. Podania mówią, że obraz ten miał namalować natchniony malarz, św. Łukasz Apostoł i ewangelista, patron malarzy na cyprysowej desce i dlatego obraz ma takie charakterystyczne cechy orientalne. Po upadku Konstantynopola został przyniesiony do Europy przez świętych Cyryla i Metodego, ale coś tu nie gra. Konstantynopol został zdobyty przez Osmanów w XVI w., a na Jasnej Górze są wota ofiarowane klasztorowi przez polską królową Jadwigę, żonę Władysława Jagiełły, własnoręcznie haftowane złotymi nićmi ornaty, różne klejnoty i naczynia liturgiczne. Gdyby był malowany przez św. Łukasza apostoła, to rysy Matki Boskiej byłyby raczej semickie, a nie orientalne. Inne podanie mówi, że obraz malował na cedrowej desce św. Łukasz, ale obraz gdzieś się zapodział. Odkrył go przypadkowo jakiś pątnik pielgrzymujący do Ziemi Świętej, w drodze powrotnej, na stepach Ukrainy, nocując

w jakimś chutorze, zwrócił uwagę na deskę, którą kozaczka zasłaniała otwór do komina. Na desce odkrył malowidło, w którym Duchem Świętym natchniony, poznał dzieło św. Łukasza Apostoła, malarza i patrona malarzy. Twarz Matki Bożej od dymu z komina tak szerniała, że ludzie, zwłaszcza Włosi, do których do Rzymu ten obraz w końcu trafił, zaczęli Matkę Boską nazywać „Czarną Madonną”

Z Rzymu obraz trafił na dwór Piastów Śląskich, Książąt Legnickich i do świętej Jadwigi, żony księcia Legnickiego Henryka Pobożnego, który zginął w bitwie pod Legnicą na skutek najazdu Tatarów. Wtedy to Mongołowie swymi zagonami dotarli nie tylko na Śląsk gdzie rozgromili rycerstwo śląskie w bitwie pod Legnicą, ale również oblegali Kraków w Małopolsce, gdzie znów z łuku ustrzelili magistrackiego trębacza na wieży kościelnej, przerywając jego alarm w pół tonu. Na pamiątkę do dziś krakowski hejnał odgrywany co godzinę z wieży kościoła Mariackiego przerywany jest „kogutem” w pół tonu. Mongołowie ogromnie złupili cały Śląsk, a gdy dowiedzieli się, że ich władca zmarł, zaczęli się na gwałt wycofywać i wracać pośpiesznie do swych pieleszy. Wtedy ich tabor obładowany łupami do granic możliwości, w jesiennych szarugach pod wsią Częstochowa koło cudownego źródła, gdzie dziś stoi kościół św. Barbary ugrzązł po osie w bagnie i żadną siłą nie mogli, szczególnie jednego wozu z bagna wyciągnąć, a ponieważ czas ich naglił, zrezygnowali z wozu i znajdujących się na nim łupów. Wściekły ze złości murza, wódz tatarskiego zagonu, ciął szablą po dwakroć po pozostawionych bagażach i w pośpiechu pogonił za oddalającym się oddziałem. Los sprawił, że na samym wierzchu juków, po których ciął szablą murza, znajdowała się cyprysowa deska z „Czarną Madonną”. Ciosy szablą pozostawiły na twarzy Madonny dwie głębokie rysy, istniejące i widoczne doskonale do dziś na obrazie Madonny. Ugrzęźnięcie w bagnie wozu z cudownym obrazem uznano za znak, że Matka Boska chce tutaj pozostać. Uznając to wydarzenie za cudowne zrządzenie spowodowane za przyczyną Matki Boskiej, postanowiono przy cudownym źródle wybudować kościół, pod wezwaniem św. Barbary, a na pobliskim wzgórzu kościół i klasztor o.o. Paulinów pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny i umieścić w nim jej cudowny obraz „Czarnej Madonny”.

W pewnej sprzeczności z tą wersją jest jeszcze inna, w której jednak pomieszane są dwie Jadwigi: św. Jadwiga Śląska i królowa Jadwiga, żona Władysława Jagiełły. Podanie mówi, że po śmierci Kazimierza Wielkiego jego następczynią, zgodnie z wcześniejszymi układami dynastycznymi, została 13-letnia wnuczka Władysława Łokietka, córka Ludwika Andegaweńskiego, króla Węgier i Polski, o której rękę starał się Maksymilian, arcyksiążę Austrii. On to podobno miał przywieźć z Rzymu w darze swej obiecannej wcześniej narzeczonej cudowny obraz, ale jego tabor ugrzązł pod Częstochową przy kościele św. Barbary. Ta wersja nie pasuje do historii przynajmniej w dwóch punktach. W tym czasie kiedy się to dzieje, istnieje już i kościół św. Barbary

i klasztor na Jasnej Górze, bo Jadwiga jako młoda królowa haftuje dla niego ornaty ze złotogłowiu, a po drugie podanie mówi, że ręka pohańca zadała podwójny cios szablą, a przecież Maksymilian jako arcyksiążę austriacki był chrześcijaninem, a nie pohańcem. Po obejrzeniu i obejściu klasztornych murów, już niejako w drodze powrotnej, natknęliśmy się na jakąś wycieczkę, którą zakonnik-przewodnik prowadził na klasztorną wieżę. Wieża ta jest bardzo wysoka, liczy sobie podobno 80 metrów wysokości i góruje nad ogromnym obszarem kraju. Przy sprzyjającej pogodzie można z niej zobaczyć odległy Złoty Potok, Przysrów, Koniecpol, a nawet szczyty Tatr, ale wycieczka nie pięła się na szczyt wieży. Zatrzymała się na pierwszym piętrze gdzie mieści się sławny skarbiec klasztorny, o którego zdobycie chodziło właśnie Szwedom, kiedy w czasie sławnego „Potopu” oblegali i szturmowali Klasztor Jasnogórski, który okazał się dla nich niezdobytą twierdzą. Syci wrażeń, wróciliśmy do naszego przekupnia dewocjonaliami.

Wykupiliśmy nasz motocykl i ruszyliśmy w dół ku świętej Barbarze. Przydrożny kościółek okazał się bardzo sympatyczny. Ciekawe, że tyle czasu żyłem i przebywałem w Częstochowie i jakoś nie miałem okazji widzieć z bliska tej ciekawej budowli. Jedyne raz przejeżdżałem tuż obok niego jesienią 1917 roku w czasie epidemii czerwonki i tyfusu, kiedy odwożono mnie z Herbów furmanką do szpitala zakaźnego, jako chorego na czerwonkę, ale wtedy nie w głowie mi były sprawy oglądania budowli sakralnych. Kościółek wyglądał niezwykle sympatycznie i tak jakoś swojsko. To taki rodzimy wiejski kościółek, ale wystrzegaj się obdarzyć go mianem biedny czy ubogi, bo dach nad półkolistą absydą tego kościółka jest pokryty miedzianą blachą. To prawda, że starą, zieloną, przeżartą całkowicie przez grynszpan, ale i dlatego ocalała w czasie wojny przed zachłannością pruską, łakomą na miedź i wszelkie metale nieżelazne. Jest i sławne, cudowne źródło, ujęte w żeliwną obudowę. Sący leniwy strumyczek cudownej wody. Co raz podchodzi do niego jakiś pielgrzym czy pątnik z butelką czy flakonikiem i nabiera sobie cudownego leku. Podobno woda ze źródła św. Barbary dobra jest na ból oczu. Wystarczy tylko systematycznie przemywać nią chore oczy, a pomoże. Szczególnie skuteczna jest na „kurzą ślepotę”.

Wyjeżdżamy na szosę do Herbów i tu znowu niespodzianka. Herbska szosa przestała być dawną szosą szutrową na utrwalenie i utwardzenie, której używano kamienia wydobywanego, jako produkt uboczny w kopalni rudy żelaza w Dźbowie. Pryzmy tego kamienia leżały stale na poboczu szosy wzdłuż całej jej długości i stale kamieniarze ręcznie młotkami rozbijali i rozdrabniali je na szuter, służący do naprawy i konserwacji szosy. Praca kamieniarza była podobno bardzo ciężka. Była przekleństwem. Faktem jest, że rodzice straszili swoich tępych czy leniwych synów, grożąc:

- *Nie ucz się, nie ucz. Jak dorośniesz, pójdziesz na szosę kamienie tłuc!*

Teraz szosa zmieniła radykalnie swój charakter. Stała się asfaltową ulicą. z poboczy zniknęły pryzmy dżbowskiego, żelazistego kamienia, zniknęły pryzmy tłucznia i zniknęli kamieniarze, którzy dżbowskie kamienie rozbijali młotkami na tłuczeń. Piękna, równa, asfaltowa, standardowa droga wiedzie nas gładko na zachód. Szybko mijamy Gnaszyn, a w nim Zakłady Gnaszyńskiej Manufaktury, których właścicielami przed wojną byli bracia Markowicze. Dwaj ich synowie, stryjeczni bracia, Szymek i Dawid byli moimi gimnazjalnymi kolegami do piątej klasy włącznie. Worki i sienniki produkcji Gnaszyńskiej Manufaktury znane były niemal na całym świecie! Ale już dojeżdżamy do Ostrowa. w pobliżu stacji kolejowej „Ostrowy” znajduje się huta żelaza, gdzie m.in. wykonuje się żeliwne garnki kuchenne tzw. „żeleźniaki”. Siedziba huty to już inna wieś – Blachownia. Tam ustalono również siedzibę nowej, świeżo utworzonej parafii katolickiej. Młoda parafia nie posiada jeszcze kościoła z prawdziwego zdarzenia, a nabożeństwa odbywają się w prowizorycznym pomieszczeniu. Jest nim drewniany nieco okazalszy barak, w trochę lepszym wydaniu. Pod egidą proboszcza, zawiązał się obywatelski Komitet Budowy Nowego Kościoła, w skład jego weszli: dyrekcja huty, lekarz, nauczyciel, aptekarz i kilku prominentnych miejscowych obywateli, wśród nich najbogatszy, sklepikarz i restaurator pan Kiser. Już pracują nad realizacją planu budowy nowego kościoła. Na razie gromadzą środki, rozpisali konkurs na architektoniczny projekt świątyni i ciągle ponawiają apele, odwołując się do ofiarności parafian.

Rokrocznie do tego prowizorycznego baraku-kościoła parafialnego w Blachowni biegaliśmy na pasterkę i na rezurekcję. Taka siedmiowiorstowa podróż zawsze trąciła odrobiną przygody. Stanowiła pewną odmianę od codzienności. Nęciła tym bardziej, że na ogół odbywała się praktycznie wczesnym rankiem, że dla tak młodych ludzi była to jeszcze noc i to ciemna noc. Żeby zdążyć na każde z tych nabożeństw, które zwykle w kościele w Blachowni rozpoczynały się tuż przed świtem, dzieciaki z Herbów musiały wyjść przynajmniej godzinę wcześniej, a więc jeszcze w nocy. Chłopaki jednak nigdy nie mogli w te noce dobrze spać, w obawie, aby nie zasnąć. Nie trzeba było więc ich tym razem budzić, sami się kilkakrotnie przed czasem budzili, niecierpliwie nie mogli doczekać właściwej godziny i zrywali się z łóżek dużo wcześniej. Potem następowało zwoływanie się, wzajemne budzenie, wywoływanie z domów koleżków by wreszcie gromadnie ruszyć do Blachowni.

Szczególnie atrakcyjna i pociągająca była droga na Wielkanocną rezurekcję. Dbali o to (nieświadomie) górnicy z Dźbowa i aptekarze. Górnicy z kopalni rudy żelaza mieli dostęp do materiałów wybuchowych, a w szczególności do „klusek” dynamitu. Ich synowie na długo przed świętami Wielkiej Nocy, sobie tylko

znanymi sposobami zdobywali i gromadzili na ten dzień „kluski” kopalnianego dynamitu, aby w drodze na pasterkę podkładać je pod przyzmy przydrożnych kamieni i detonować, wywołując ogłuszający i rozlegający się daleko po nocy huk. Aptekarze zaś świadomie i oficjalnie sprzedawali za parę groszy chłopakom siarkę i kalichlorek. Dwa składniki wystarczające, aby przez zmieszanie ich ze sobą i zawiązanie w byle starej szmatce w pęczek, skonstruować prymitywną, ale głośną petardę. Ta strzelanina po drodze, a następnie kanonada przy kościele, zwłaszcza w czasie przechodzenia procesji i te kłębiące się ciężkie chmury dymu prochowego, dawała chłopakom złudzenie jakiejś walki, jakiegoś szturm i obrony twierdzy. Podniecały i pociągały, ale to było dawno temu. Chyba jakieś 40-45 lat od tego czasu upłynęło. Warto by było skoczyć teraz do Blachowni i zobaczyć ten nowo wybudowany kościół, ale ostatecznie rezygnujemy, jedziemy dalej. Zjeżdżamy w dół przez Trzepizury, obok których codziennie dwa razy dziennie przejeżdżał nasz szkolny pociąg na bardzo wysokim nasypie. Aż strach było patrzeć, a dziewczynki żeby nie patrzeć zamykały oczy. Mijamy Pasieki, najbliższą po sąsiedztwie z Herbami prawdziwą wieś. Do niej w pierwszych dniach po przybyciu do Herbów musiałem chodzić z banieczką po mleko dla Mietka-oseska. Tu mieszkali: Małek, podobno organista z zawodu (na fisharmonii jak na mój ówczesny gust grał bardzo dobrze), uczący nas ministrantury w swoim szałasie, w którym przebywał jako dozorca pilnujący kolejowego mostu oraz jego córka Marysia. Piękna i czarująca dziewczyna, ale nieszczęśliwa bo chorowała na nogę. Wiejska krawcowa o cudownych zdolnościach. Ona wyratowała mnie z opresji, kiedy nowiutką, piękną kurtkę, którą pierwszy raz z okazji jakiegoś święta włożyłem na siebie, właśnie w Mostach i podarłem na drutach kolczastych ogradzających most kolejowy. Marysia tak cudownie kurtkę pocerowała, że prawie nie było widać śladów rozdarcia. Nawet Mama w pierwszej chwili tego nie spostrzegła.

W Pasiekach mieszkał mój kolega Stachu Oczek vel Oczkowski, który procesował się ze swoim ojcem o uznanie ojcostwa i zmianę nazwiska. Ojciec szlachcic zaściankowy, nazywał się prawidłowo Oczkowski, ale potocznie koledzy, a potem i sąsiedzi, a wreszcie i znajomi wołali na niego krótko: „Oczek”. I tak pozostało. Tak też w parafii nazwisko ojca noworodka podali pijani chrzestni rodzice i w ten sposób Stachu stracił swojego rodziciela, prawdziwe nazwisko i w przyszłości schedę po nim. Prawnie został sierotą bez ojca i bez rodzowego nazwiska, a był jedynakiem. Żeby to wszystko odzyskać musiał ojca zaskarżyć do sądu.

Jeszcze jeden kolega mieszkał w Pasiekach. Nazywał się Teodor Janik, ale ten to był jakiś odludek. Od tej rodziny jakoś wszyscy dziwnie trzymali się z daleka, a i my dzieci z Teodorem rozmawialiśmy tylko poprzez sztachety płotu odgradzającego jego dom.

Stąd, z Pasiek już tylko parę kroków dzieliło nas od Mostów. Pamiętne miejsce, gdzie w niektóre piątki chłopaki wiejskie wypuszczali, Abramkowi czy Ickowi sklepikarza Herca kury z koszyków, które niósł do Ostrów, do rzeźnika na rytualny ubój. Tutaj zatrzymałem się rozczarowany i zmartwiony zmianami jakie tu zaszły.

Przede wszystkim, ku memu przerażeniu zniknęły i przepadły bez śladu wspaniałe, majestatyczne, wiekowe jodły, w których cieniu dołem płożły się rozłożyste krzewy jeżyn, chwytające swymi wysuniętymi daleko pędami, zabłąkanego śmiałka za nogi, za ręce i gdzie popadło za ubranie. Wśród nich wystrzelały wspaniałe pióropusze królewskiej paproci... I gdzieś tu między pokręconymi korzeniami jodeł, wśród gęszczy jeżyn i paproci i innych osobników leśnego poszycia, przemykał się spiesznie, węzowymi skrętami z szumem i śpiewnym bełkotem, bystry strumień, tocząc nieco zbrązowiałym bagnistym podłożem swą krystalicznie czystą wodę ku sobie tylko znanym celom. Wchodząc w ten zakątek boru, pod ciemną zieleń sklepienia, w chłodny półmrok wnętrza, miało się uczucie jakby się wkraczało do jakiejś potężnej świątyni, jakiegoś tumu czy bazyliki. Strzeliste kolumny jodłowych pni i nabożna cisza potęgowały to wrażenie i skłaniały do modlitewnej pokory i zadumy nad powagą i majestatem natury. Teraz to wszystko zniknęło, przepadło, przeminęło jak czarowny, niezapomniany sen. Na miejscu jodłowej świątyni panoszyły się zwykłe, pospolite chwasty i trawy, jakieś mietlice, burzany, pokrzywy, piołuny i lebiody, a rączy niegdyś, dziarski i wesoły strumyk, w którym do kosza łowiliśmy raki, a czasem nawet niewielkiego szczupaka, teraz bojaźliwy i wyschnięty, cichcem i wstydliwie sączy się między zrastającym go, wszechobecnym chwastem. Łza się w oku kręci! Jedźmy dalej!

A oto i piaszczysta wydma, mogiła powstańców. Porosła sosnowym młodniakiem. W 1923 roku, w 60-tą rocznicę Powstania Styczniowego, herbskie społeczeństwo ku czci i na pamiątkę poległych i pochowanych tu powstańców ufundowało okazały, dębowy krzyż, pod którym później w majowe dni i wieczory miejscowe kobiety odprawiały swoje majowe nabożeństwa i odśpiewywały różne litanie.

A to „Kozia Górka”, a na niej bieleją ściany starej kamienicy i domu Synicyń, gdzie przeżyłem kilka moich dziecińczych lat... Jak w wierszu Adama Mickiewicza *Do M***: Gdziem wszystko kochał, wszystkim się bawił, bom wszędzie cząstkę mej duszy zostawił!*

Teraz już się zaczęło. Co krok to pamiątka, co krok to wspomnienie. Oto pierwszy po prawej stronie szosy, cofnięty i ukryty wśród drzew owocowego sadu, stoi dwór nadleśniczego Glondalskiego. Szczęśliwego ojca dwóch uroczych córek bliźniaczek, na które przychodziliśmy popatrzeć z dala, przez sztachety płotu.

Nadleśniczy Glondalski miał też ojca czy dziada powstańca, weterana Powstania Styczniowego. Staruszek zresztą wkrótce zmarł w polu, idąc za pługiem w czasie orki. Wyprowadzenie i pogrzeb w tej niewielkiej społeczności herbskiej było wydarzeniem niecodziennym i niemałej wagi. Uroczystość pogrzebu weterana odbywała się z wielką pompą i paradą, z honorami wojskowymi. Na trumnie spoczywającej na umajonej zieleni linijce, ciągniętej przez czwórkę karych koni, po drodze wysypanej łapkami choiny, spoczywała czapka rogatywka powstańca z dystynkcjami porucznika. Kondukt tworzyli obok rodziny, dostojników i dostojnych gości, zawsze umundurowani gajowi i leśnicy oraz członkowie różnych związków myśliwskich, w kulminacyjnych momentach uroczystości wygrywający na myśliwskich rogach i trąbkach różne sygnały i hasła tej leśnej braci! Nadleśniczy Glondalski dał się poznać nie tylko jako wielki pan i dziedzic tradycji narodowych, ale również jako pionier nowoczesnej techniki. On pierwszy w Herbach zelektryfikował swoje domostwo, dworek i podwórze. Zainstalował bowiem u siebie silnik spalinowy, który napędzał mu dynamomaszynę wytwarzającą prąd elektryczny do zapalania żarówek, rozmieszczonych nie tylko „na pokojach”, ale również na ganku, a nawet na wysokim słupie na środku podwórza. i ta lampa elektryczna, świecąca przez całą noc, bez względu na pogodę na słupie na podwórzu dworu, budziła największe zainteresowanie i podziw.

Tuż obok przy płocie odgradzającym dworek nadleśniczego od lasu, w narożniku lasu między płotem, a szosą był niewielki cmentarz polowy. Miejsce wspólnego, zgodnego spoczynku Rosjan, jeńców wojennych, zmarłych w szpitalu polowym urządzonym dla nich w starych, nieczynnych już magazynach kolejowych w polskich Herbach i żołnierzy niemieckich, których śmierć dosięgła w ich szpitalu polowym, urządzonym przed naszymi oknami po drugiej stronie szosy. Wśród nich spoczął również żołnierz w mundurze niemieckim, niejaki Sobota, Ślżak czy Poznaniak, więziony za samowolne oddalenie się ze szpitala i udanie do Częstochowy na Jasną Górę. Siedział w komórce bliźniaczej do naszej i jakby do niej plecami przypartej, a zamienionej przez komendę szpitala na tymczasowy areszt wojskowy. Ponieważ obie komórki dzieliła tylko cienka ściana, zaledwie na jedną cegłę gruba, Sobota znalazł sposób i drogę aby się skomunikować z moją mamą, gdyż ta codziennie rano bywała w komórce gdzie obrządzała kozę i kury.

Tuż naprzeciw polowego cmentarza, po drugiej stronie szosy stały czerwone budynki. Domki zamieszkałe przez herbskich kolejarzy. Pierwszy z nich okazał się, budowany chyba dla jakiegoś prominenta. Był z założenia domkiem jednorodzinny przeznaczonym później na szkołę. Tutaj zapoznałem się z instytucją nazywaną „szkołą”. Nauczyciel nazywał się Michał Jabłoński. Był to jednak bardzo krótkotrwały epizod i nie pozostawił w mej pamięci trwalszych śladów. Obecnie zajmuje go samodzielnie i niepodzielnie kierownik

odcinka drogowego, Trzmiel. Dziwnym trafem jest to pewna zbieżność nazwisk. Od początku wojny z ramienia niemieckiej komendantury wojskowej funkcję kierownika odcinka drogowego przez prawie cały czas wojny sprawował ubrany w niemiecki żołnierski mundur niejaki Ćmiel. Ślązak czy Poznaniak przez dłuższy zresztą czas pozostający z moją Mamą w otwartej wojnie, od czasu wypadku gdy szyna kolejowa przygniotła ojcu palce u ręki. Mama winę za ten wypadek przypisała niedbalstwu i nieudolności właśnie Ćmiela. Stąd długo trwający między nimi konflikt. „Ćmiel” w śląskiej gwarze znaczy tyle samo co po polsku „trzmiel”. A zatem chociaż nazwiska te fonetycznie różniły się między sobą, to pojęcia jakie oznaczały, były jednoznaczne i wskazywały na bardzo użytecznego owada, zapylającego skrzętnie czerwoną koniczynę. Pod tym względem specjalistę. Po odejściu w 1918 roku Niemców, funkcję Ćmiela, kierownika odcinka drogowego przejął Trzmiel. Brat żony kierownika, Stanisław Lubaszko, kiedy ja otrzymałem świadectwo dojrzałości w 1927 roku, był studentem II lub III roku prawa na Uniwersytecie Warszawskim. Jako już w Warszawie obeznany (a gimnazjum kończył właśnie w „Klerykowie” Żeromskiego, czyli w Kielcach), pomógł mi zainstalować się jako młodemu, nowemu studentowi warszawskiej „Alma Mater”. Właśnie immatrykułowałem się na Wydziale Filozofii (specjalność matematyka) Uniwersytetu Warszawskiego. Po wielu latach spotkaliśmy się znowu w Jeleniej Górze, gdzie ku memu zdziwieniu, pan Stanisław Lubaszko przez pewien czas (zresztą dość krótki) wykładał matematykę w Liceum Ogólnokształcącym im. Stefana Żeromskiego w Jeleniej Górze. Moich synów, uczniów tego liceum jakoś szczęśliwie ominęło „bycie jego uczniami”.



Widok z balkonu domu przy ul. Wzgórze Partyzantów
na Liceum Ogólnokształcące
im. Stefana Żeromskiego.
Budynek - unikalne miejsce
miejscowych interesów.

Fot. 5. Widok z balkonu domu przy ul. Wzgórze Partyzantów na Liceum Ogólnokształcące im. Stefana Żeromskiego, ukończone przez wszystkich czterech synów.

Inny budynek stojący w pobliżu, zajęty również przez kolejarzy to był normalny „familok”, obliczony na cztery rodziny, postawiony przy tym samym podwórzu, ale bokiem do pierwszego. Zajmowali go m.in. najliczniejsza rodzina Tomasza Jabłońskiego, kolejowego „Latarnika”, który miał czterech synów i córkę Helę.

Dwaj starsi synowie, już dorośli, Stanisław i Michał pracowali jako urzędnicy na kolei. Stachu jako dyspozytor w Częstochowie, a Michał był dyżurnym ruchu w Herbach. Dwaj młodszy, moi rówieśnicy, bo Czesiek tylko o rok starszy ode mnie, a Stefan o rok młodszy, byli moimi kolegami szkolnymi. Obaj uczęszczali do tej samej klasy, ale o rok niżej ode mnie, tego samego Gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza w Częstochowie. Dalsi lokatorzy tego domku, to rodzina Pydów. Liczna, ale nieprzeliczalna. „Pater familias” był spinaczem, czy ustawiaczem na stacji, a w ogóle bliżej mi nieznany. Malko, jego syn był również spinaczem na stacji, a żona (syna) biegła pieszo do Częstochowy i tam gorąco modliła się do „Przemienienia Pańskiego”, bo chciała koniecznie mieć dziecko, a do tego potrzebna była przemiana w strukturze jej męża. Stary Malko, ojciec, zajmował się amatorsko szewstwem. On nauczył mnie „jak wpędzać świnię w konopie”, czyli po polsku jak wpleść w dratwę (konopną nić) szczecinę (świnię), aby się mocno trzymała i żeby nie było na niej węzłów czy zgrubień. Ostatnim znanym mi lokatorem tego domu był Adam Kmieć, zwrotniczy i w pewnym czasie nawet zmiennik mojego ojca i jego chyba jedyny przyjaciel. W każdym razie widać było, że się z sobą przyjaźnili. Razem sobie czasem wychylili ćwiartkę, razem czytali gazety. Ojciec kupował „Przegląd Katolicki”, a Kmieć „Rycerza Niepokalanej”. Razem grywali z sobą w karty, w „sechcyka” czy w „durnia”, razem dyskutowali o polityce i razem często drzemali nad rozłożonymi kartami. Po amatorsku, jako swego rodzaju „hobby”. Kmieć zajmował się stolarką. w jednej z komórek miał urządzone całkiem przyzwoity warsztat stolarski. On też w sąsiedzkiej przysłudze zbił w 1917 roku trumienkę dla mojego najmłodszego brata Mietka, gdy ten zmarł na szalący wtedy tyfus. Nabawił się go zresztą w szpitalu dla zakaźnych w Częstochowie, dokąd odwieziono nas wszystkich trzech chorych na czerwonkę, której epidemia ogarnęła prawie całą Europę. A i żona Kmiecia, Antonina trzymała się naszej Mamy. Wyglądało to tak jakby były dobrymi przyjaciółkami. Nie mieli też dzieci.

Wreszcie kuriozalny fenomen na ówczesne czasy. W mieście, gdzieś na rubieżach państwa, zakopanej wśród bezkresnych prawie puszczy, do których na polowania zjeżdżali dygnitarze spokrewnieni nawet z rodziną carską, a niekiedy i sam car we własnej osobie. Urządzono park spacerowy czy rozrywkowy dla czynowników (urzędników) rosyjskich z komory celnej czyli akcyzy pracowników kolei i oficerów wojsk pogranicznych, jak w stołecznym mieście, a naprzeciwko po drugiej stronie szosy, leżał już autentyczny, jak najbardziej naturalny sosnowy bór rozciągający się na dziesiątki wiorst we wszystkich kierunkach świata, ale dni świetności tego wspaniałego parku trwały bardzo krótko i już dawno minęły. Nemezis dziejowa podniosła już

swą karzącą rękę przeciwko światu i między innymi ofiarą musiały paść i Herby. Po wspaniałej fontannie zajmującej centralny punkt w parku, pozostała jedynie jeszcze poobijana, betonowa cembrowina i wystająca ze środka metalowa rurka, przez którą kiedyś miała tryskać strumieniem czy pióropuszem, woda. Kiedyś rurka była dyskretnie ukryta w figurze jakiegoś amorka, czy trytona. Nigdy nie widziałem tej fontanny czynnej. Nigdy nie miałem okazji widzieć tryskającej z niej wody. I zaczynam wątpić, czy w swym życiu sama fontanna miała okazję pokazać swoje zalety.

Całkowicie zniknęła estrada dla orkiestry w kształcie muszli czy konchy, usytuowana tuż naprzeciwko fontanny. I ona wiodła żałosny żywot, bo ani kolejarze, ani wojsko, ani straż graniczna w Herbach nie posiadali orkiestry dętej (ani innej), która by mogła w niedzielne festyny przygrywać obywatelom Herbów. Czasem estradę wykorzystywała jakaś aktywniejsza nauczycielka szkolna, urządzając na niej przy pomocy szkolnych dzieci przeznaczone dla nich amatorskie przedstawienia teatralne składające się z bajeczek. Sam kiedyś, chyba będąc jeszcze w pierwszej klasie Publicznej Powszechnej Szkoły w Herbach występowałem na tej scenie, jako pastuszek w inscenizacji jakiejś bajki reżyserowanej przez miłą, młodą nauczycielkę pannę Jadzię, która chyba musiała mieć jakieś zacięcie artystyczne. w szkole bardzo wiele czasu poświęcała plastyce, ucząc nas na zajęciach praktycznych zasad rysunku, a szczególnie lubiła robić wycinanki z kolorowych papierów. Naklejała je potem na arkusze szarego papieru pakowego tworząc doskonałe obrazy scen z różnych bajek dla dzieci. Nie mogłem się napatrzeć i nadziwić jej pierwszemu dziełu, scenie z bajki o Babie Jadze. Niestety uczyła nas stosunkowo krótko, a stary pan Biłski, który po niej do szkoły przyszedł takimi „głupstwami” nie zwracał sobie głowy, był na to za stary i za poważny.

Zginęła również bez śladu wspaniała pergola, w której miały się odbywać i odbywały się (choć w znacznie ograniczonym zakresie) zabawy taneczne. Przyczyną tego był po pierwsze brak wojskowej orkiestry dętej, która by przygrywała chętnym do tańca, a przy bez przygotowania kompletowanych amatorskich kapelach zabawa nie miała już takiego dynamizmu. Po drugie z powodu wojny, głównej przyczyny wszystkich trosk, kłopotów i nieszczęść.

Jedynie parkowe drzewa rozrosły się i zmężniały. Odnalazłem nawet z rozrzewnieniem drzewo czereśni, na którym szukałem ratunku przed prześladowającym mnie i ścigającym księdzem kapelanem, chcącym na gwałt zapędzić mnie do kościoła.

Budynki stacyjne Herbów pozostały prawie w komplecie, ale jakieś ciche, spokojne zamarłe. Herby przestały być kluczowym węzłem kolejowym. Lata swojej świetności miały już za sobą. w rzeczywistości przestały być nie tylko ważnym węzłem kolejowym, ale nawet stacją kolejową. Stały się zwykłym przystankiem na linii przelotowej gdzie pociąg osobowy zatrzymuje się na krócej niż jedną minutę. Opuściliśmy dworzec i park. Wróciliśmy na szosę. Wprost przed nami stał potężny piętrowy gmach z czerwonej cegły. Był to dom komory celnej zwany również akcyzą. Wybudowany na użytek urzędników akcyzy, ale niedługo używany był w tym celu. z wybuchem I Wojny Światowej Niemcy urządzili w nim swoją komendanturę wojskową, kolejową i zarząd Wojskowego Szpitala Polowego. Po ich odejściu stanął w nim na kwaterach batalion polskiego wojska pogranicznego. Po odsunięciu granicy państwa w 1922 roku dalej na zachód odeszło i wojsko. Gmach komory celnej, najpotężniejszy gmach w Herbach, przejęły władze administracji cywilnej i przeznaczyły na dom dziecka. Przekazanie i poświęcenie Domu Dziecka odbyło się bardzo uroczystie. Aktu tego dokonał osobiście pierwszy w historii Polski, biskup świeżo utworzonej diecezji Śląsko-Częstochowskiej w Częstochowie, ksiądz Teodor Kubina. Oczywiście była to dla Herbów nie lada okazja do wielkiej uroczystości, święta i „pompy”. Niestety chyba ostatnia w dziejach tej naprawdę miłej i sympatycznej miejscowości, gdzie przeżyłem tyle bajecznych dni mojej młodości.

Tuż obok, naprzeciw Domu Komory Celnej, z tej strony szosy znajdowała się prawdziwa studnia głębinowa, z której pan Koperski przepompowywał wodę do zbiornika na wieży ciśnień, zwanej powszechnie „Wodokaczką”. Koło studni wznosił się sporej wielkości kopiec okrywający znajdującą się pod nim lodownię. Była to obszerna piwnica wykopana w ziemi, do której zimą zwożono kilkanaście wagonów lodu z najbliższego stawu lub rzeki. Lód ten zasypywano grubą warstwą izolacyjną w postaci zwykłych trocin z pobliskiego tartaku i wszystko dodatkowo zabezpieczano kilkumetrową warstwą ziemi. Zabezpieczony w ten sposób lód latem służył dworcowej restauracji lub bufetowi. Kopiec lodowni był naszym ulubionym terenem zabaw. Dokoła lodowni ktoś uprawiał grządki, ale kto i jakie, trudno mi powiedzieć. w każdym razie dominowały tu maliny, cały ogromny gąszcz, cały las starych zeszłorocznych, suchych i świeżych, tegorocznych zielonych. w pamięci ludzkiej ciągle jeszcze tkwiło wspomnienie niedawnej wojny rosyjsko-japońskiej. Ona też najczęściej była tematem rozmów wśród starszych ludzi. Nam dzieciom również obijały się o uszy różne obce nazwy takie jak: Kuropatkin, Cuszima, Port Artur itd., które staraliśmy się w jakiś sposób zastosować i wkomponować do naszych zabaw. Przeważnie były to więc zażarte boje i wojny. Jako stosunkowo nikłej postury chłopak, skazany byłem przez tych silniejszych na odgrywanie pośledniejszej roli, z zasady tej przegrywającej. Zawsze musiałem być Japończykiem, a oni ulokowani na szczycie kopca byli Kuropatkinem, broniącym Portu Artura. Ja miałem tę

twierdzę zdobywać! Bronią zaczepną jak i obronną były suche, zeszłoroczne łodygi malin, których w ogródku były niewyczerpane zapasy!

Gdzie nogą stanąć, gdzie okiem sięgnąć, wszędzie wspomnienia, pamiątki, zmiany i niespodzianki. Niekiedy przerażające.

Między torami, poczynając od „Wodokaczki” Koperskiego, het aż po starą granicę państwową, rozciągało się obszerne pole. Częściowo w czasie I wojny światowej uprawiane, ale znaczna jego część jeszcze przed wojną przeznaczona i przygotowana jako punkt etapowy i wypoczynkowy dla eksportowanych do Niemiec gęsi, pozostała niezmieniona. Była tu rampa przystosowana do przeładunku gęsi z wagonów do wagonów i płytki betonowy basen/brodzik, do którego doprowadzono bieżącą wodę. Tu zmęczone i wyczerpane transportem gęsi mogły odetchnąć świeżym powietrzem, wypłuskać się w wodzie w brodziku, ugasić pragnienie i posilić się. Sypano im nie żałując poślad. To ziarno gorszego gatunku, niedorozwinięte, pokruszone, oddzielone od reszty zboża podczas jego czyszczenia z masą nasion różnych polnych chwastów i traw rosnących zwykle wśród łąnów zbóż. Przeważały w tym nasiona białej koniczyny.

To błonie w czasie wojny nieużytkowane zostało opanowane i zarośnięte przez białą koniczynę, którą liczne rzesze pszczoł uznały za doskonałe źródło pożytku dla siebie. Poza tym błonie doskonale odpowiadało nam, chłopakom jako boisko do gry w „Ruskę”, „Palanta”, a z czasem i w piłkę nożną. Biegając bosymi nogami po zielonej trawie, w której biała koniczyna stanowiła przeważającą część. Często niechcący stawaliśmy bosą stopą na pracowitą pszczołę. Ta w tragicznej i beznadziejnej samoobronie wbijała jadowite żądło w gołą stopę czy piętę i zostawiała je. Był to oczywiście jej tragiczny koniec. Chłopak zaś odczuwał wprawdzie piekący ból, ale nic to dla niego nie znaczyło. Siadał na trawie, wyciągał ze stopy pszczele żądło i biegł grać dalej. Później już jako dorosły człowiek, oficer-jeniec w Woldenbergu spotkałem się z czymś co przypominało mi te młodzieńcze przygody z pszczołami. w darze od Szwedzkiego Czerwonego Krzyża obóz jeńców Oflag IIC w Woldenbergu otrzymał wspaniałą pasiekę składającą się z kilkunastu pni. Starsi panowie, pułkownicy, majorzy, popularnie zwani „kościanymi dziadkami”, w strojach plażowych rozkładali się latem wokół pasieki, niby dla opalania się, a tymczasem dyskretnie łapali przelatujące obok nich pszczoły i przystawiali do piersi, zmuszając je do żądlenia. Dowiedziałem się wtedy, że jad pszczeli jest doskonałym lekarstwem na różne starcze dolegliwości jak artretyzm czy reumatyzm.

Tutaj jednak spotkała mnie bolesna, przerażająca niespodzianka. Piękne zielone błonie, porośnięte białą koniczyną zniknęło pod zwałami prawdziwej, przerażającej góry złomu. Górą ciągnącą się nieprzerwanie aż do dawnej granicy, do starego tartaku. Górą, która pochłonęła rząd wspaniałych, starych, intrygujących mnie brzoź z masą pęków jemioły, które z daleka brałem za wronie gniazda. Tą przerażającą górę tworzyły przede wszystkim wraki samochodów. Tyle wraków!? Musiało ich tu być tysiące. Nie przypuszczałem, że w tym czasie w Polsce jest w ruchu tyle samochodów, że z wraków, jakie powstają w samochodowych wypadkach drogowych można usypać takie „Karpaty złomu”.

To składowisko złomu uczyniła z Herbów Huta im. Bolesława Bieruta w Częstochowie. Dawna Huta Handkego na Rakowie, której dyrektorem był ojciec mojego kolegi szkolnego - Jasia Ratyńskiego, chłopaka tak „długiego”, że nie mieścił się w szkolnej ławce. Dlatego Huta Handke wykonała specjalną szkolną ławkę na miarę jego figury.

Przybity i zdetonowany tą przerażającą górą złomu, wobec której stojące obok domki wielorodzinne, gdzie przeżyłem kilkanaście szczęśliwych i beztroskich lat dziecinnych i młodzieńczych, wydały mi się teraz jakieś takie skromne, przyziemne, jakby przykucnięte, przestraszone, przygniecione górą tego złomu.

Jedziemy dalej! Niedaleko, bo tuż obok, przy skrzyżowaniu z drogą do gminy, do Węglowic mijamy dawną piekarnię i sklep Głaba, a naprzeciwko niego karczmę Sukiennika, spadkobiercy starego Rojewskiego. Karczmę tą, po pożarze starej w 1921 roku Sukiennik w częściach (elementach) przywiózł z Połamańca, Praszki, Przystajni czy Panek i w Herbach od nowa zmontował. Nie miała ona już tego uroku i czaru co dawna, stara, omszona Karczma Rojewskiego.

Dalej na niedawnym pogorzelsku, dziwnym zrządzeniem losu z pożogi ocalały wtedy, szkoła, magazyn broni i amunicji powstańczej przy domu rzeźnika Langeego, chociaż i przed nim i za nim pożar wszystko strawił.

Jesteśmy wreszcie na dawnej granicy państwowej. Tu prawie nic od tego czasu, to znaczy od 20 czerwca 1922 roku nie zmieniło się. Jak dawniej na prawo od szosy stoi Hotel „Kolano”, a na lewo budynki niemieckiej komory celnej i poczty. Dalej cienista aleja wiodąca aż do niewielkiego placu między dworcem kolejowym w Herbach Śląskich, a domem pana Kisro-Kisera, wybrukowanego kostką bazaltową. Placyk ten od prawej strony zamykają dwie samotne wysokie kamienice. Jedna z nich, jak mi wiadomo należała do pana Kisro-Kisera, brata pana Kisera z Ostrów. Na parterze tych kamienic znajdują się jakieś sklepy.

Codziennosc i powszednosc!

Tutaj ponad 40 lat temu, w niedziele, 20 czerwca 1922 roku, jako 14-letni chlopak, uczen VI oddzialu Szkoły Powszechnej, byłem naocznym świadkiem pewnego historycznego wydarzenia dla dziejów Polski, ale również mającego znaczenie w skali międzynarodowej.

Od rana przed budynkiem dawnej niemieckiej komory celnej, zamienionego ostatnio na siedzibę komendy rozjemczych oddziałów „Ententy”, trwał ożywiony ruch. Budynek został już udekorowany białoczerwonymi polskimi flagami pomiędzy, którymi można było dostrzec również barwne chorągiewki Wielkiej Brytanii, Francji i Włoch. Zielenią i barwnymi chorągiewkami udekorowane są również szlabany zamykające przejazd przez granicę państwa. Oficerowie, delegaci państw ententy, pełniący dotąd na Śląsku rolę rozjemców i arbitrow występują jeszcze i dziś służbowo, ale w galowych mundurach z dekoracyjnymi kordzikami u pasów. Anglicy w szkockich barwnych spódnicach w grubą kratę, Włosi, oficerowie Bersalierów w ogromnych hełmachkapeluszech z wielkimi, barwnymi pióropuszcami z kogucich ogonów oraz oficerowie francuscy w sztylpach i swych tradycyjnych kepi-rondelkach bogato szamerowani złotem.

Zbliża się godzina 10⁰⁰, szosą od Częstochowy nadciąga kolumna polskiego wojska, orkiestra i sztandar rozwinięty na przedzie „Nad nimi bagnatów kołysze się łan...” jak mówi piosenka żołnierska. w kolumnie czwórkowej nadchodzi batalion 74PP. Podchodzą pod zamknięty szlaban...

Oficerowie alianccy kończą dzisiaj swoją rolę na Śląsku jako arbitrzy i rozjemcy, a pozostają jedynie jako mile widziani i sympatyczni goście oraz obiektywni świadkowie przejęcia we władanie Rzeczypospolitej Polskiej, prastarych Śląskich Ziem Piastowskich!

Po tamtej stronie zamkniętych jeszcze szlabanów granicznych ustawiła się już liczna grupa śląskich prominentów, przepasanych szerokimi białoczerwonymi szarfami. Jest i niemała grupa uroczych kobiet w prześlicznych barwnych śląskich strojach ludowych. Jedna z nich trzyma na lnianym, pięknie haftowanym ręczniku wielki bochen chleba i okazały kryształ samorodnej soli, a przewodniczący delegacji na błyszczącej tacy trzyma złoty klucz.

Na głos hejnału zagranego przez trębacza z wojskowej orkiestry szlabany podnoszą się zgodnie do góry. Orkiestra gra zwrotkę polskiego hymnu narodowego. Na spotkanie z delegacją Ślązaków idzie,

przekraczając granicę, polski oficer dowódca obecnego batalionu wraz z licznymi adiutantami. Następują krótkie, żołnierskie powitania z obu stron. Ślązacy wręczają pułkownikowi uroczyście chleb i sól oraz złoty klucz do Ziemi Śląskiej. Po powitaniach i gratulacjach, krótka przerwa na podpisanie różnych dokumentów historycznych uwieczniających zachodzące tu właśnie wydarzenia.

Potem przed delegacją Ślązaków, oficerami alianckimi, jako honorowymi gośćmi odbywa się defiladowy przemarsz przy dźwiękach wojskowej orkiestry honorowego batalionu Wojska Polskiego, na plac pomiędzy dworcem, Herby Śląskie i kamienicą pana Kisro-Kisera. Tutaj wobec całej zebranej społeczności tej części Śląska, przybyłej licznie ze wszystkich okolicznych miejscowości jak Kalina, Olszyna, a nawet z Boronowa i innych rozpoczęły się długie i rozwlekłe oracje wyczerpująco przedstawiające dzieje odwiecznych tęsknot i dążeń Ślązaków do połączenia się z Polską, o walkach o polską mowę w szkołach, o polski pacierz, o polską modlitwę w kościele, a z drugiej strony ubolewanie i stwierdzanie, że Polskę bardzo bolało serce, kiedy musiała bezsilnie patrzeć na cierpienia Ślązaków pod pruską Hakatą. Sama też była w ciężkiej opresji i z bólem serca musiała Śląsk pozostawić swemu własnemu losowi. Bardzo nad tym bolała, a teraz za to tym bardziej się cieszy z ich powrotu do Macierzy. I tak trwało do południa, a kiedy się już zbliżała pora obiadowa, wojsko ruszyło w dalszą drogę do powiatowego Lublińca, ciągnąc za sobą spory ogon gapiów i entuzjastów. Ponieważ nie chciałem uchodzić ani za jednego, ani za drugiego wróciłem na obiad do domu. Podobnie zrobiła przeważająca większość tutejszych Ślązaków. Odeszli do domów na obiad i do swoich codziennych zajęć.

No dobrze, dosyć wspomnień z dawnych lat! Jedźmy dalej! Do Lublińca, a nawet znacznie dalej niż sądzili ci, co już wtedy złowieszczco przepowiadali, że to nie na długo, że ta cała Polska to efemeryda, państwo sezonowe – „Season state”, że szybko znowu zniknie z mapy Europy.

Jedźmy!

Po kilkunastu metrach wjechaliśmy na wiadukt nad torami magistrali kolejowej, węglowej, Kalety-Podzamcze, a właściwie Śląsk-Porty! i znowu pamiątki, wspomnienia. W dole na prawo, w szczerym lesie widać zabudowania stacyjne, Nowe Herby, a stoimy na betonowym wiadukcie wybudowanym nad tymi torami przez firmę Wolski-Wiśniewski, tą samą, która budowała pierwszą w Polsce autostradę z Warszawy przez Piotrków, Częstochowę do Katowic i Krakowa.

Jedźmy! Ruszamy!

Wreszcie ostatecznie opuszczamy zaklęty krąg, czarowny świat dawnych wspomnień. Świat baśni i dziecinnych marzeń, świat, który już dawno odszedł w daleką przeszłość...

Odjeżdżamy i pozostawiamy ją za sobą, jako wspomnienie. To wszystko, co było piękne jak czarująca baśń. Pozostawiamy za sobą przytłaczającą i przygnębiającą dzisiejszą rzeczywistość - Herby jako niebotyczna góra samochodowych wraków i wszelkiego innego zardzewiałego złomu!



Fot. 6. Irena Krasoń, z domu Andrzejczak, 1927 r.



Fot. 7. Stanisław Krason, Warszawa 1928 r.

Przed nami Lubliniec, najbliższe Herbom miasto powiatowe i kamień milowy w naszej włóczędce. Nie budziło ono we mnie żadnych żywszych czy miłszych wspomnień. I nie powinno! Tak by się przynajmniej wydawało, bo Irka jako przez kilka miesięcy uczennica tutejszego Gimnazjum, później jako Warszawianka nie mogła się pogodzić z tutejszym szkolnym reżimem i miejscowymi obyczajami. Z tego powodu często popadała w scysje i różne konflikty z nauczycielami i wychowawcami. Ostatecznie skończyło się na tym, że Gena, jej starsza siostra musiała ją, z tej szkoły zabrać. Przeniosła ją do Częstochowy, do gimnazjum sióstr Zmartwychwstank. Gimnazjum, które graniczyło z naszym Gimnazjum tylko przez płot. Jasne, że nie mogła ona do tego miasta, szkoły i ludzi mieć jakichś ciepłych uczuć czy wspomnień, a i u mnie miasto to, chociaż z wyglądu porządne, czyste, uporządkowane i wysprzątane miało u mnie haka! Jako przesiąknięte formalizmem i pruskim drylem, a jednak wspomnienia same się rodzą i niestrudzenie, często wbrew naszej woli towarzyszą nam, chyba do samej śmierci. I próżno człowiek stara się od nich uwolnić

Jeszcze w tym 1922 roku (a może raczej na początku stycznia 1922 roku), młodzież parafii św. Michała w Blachownii, chcąc się przyczynić do szybkiego wybudowania tam nowego kościoła w porozumieniu z proboszczem ks. Marianem Kubowiczem. Postanowiła ona wykorzystać panujący obyczaj, „chodzenie po kolędzie z Herodami” i w czasie tegorocznego kolędowania zbierać datki na budowę kościoła w Blachowni. Na wszelki wypadek ksiądz proboszcz zaopatrzył nas w odpowiednie, według niego, dokumenty, zaświadczenia parafii i apel do parafian o hojne datki i oczywiście w opieczętowaną skarbonkę. Były to „Herody” bardzo poważnie traktowane ze względu na wzniosły cel jaki im przyświecał. Chłopcy byli odpowiednio dobrani, przeważnie uczniowie różnych szkół, inteligentni i odpowiedzialni. Przygotowywaliśmy się do tych jasełek również bardzo starannie. Do szycia strojów zaangażowane zostały matki i siostry, a nawet zupełnie obce kobiety. Mnie na przykład przypadła w udziale rola archanioła Gabriela. Dostałem więc obok wspaniałej złotej aureoli z gwiazd, śliczne, długie, rozpuszczone na ramiona, jasne, lniane włosy. Ponadto doskonałą imitację archanielskich skrzydeł, jak również piękną, jedwabną, długą do samej ziemi ślubną suknię pani Kmiecicowej. Byłem wtedy jak mi mówiono „najbardziej anielskim aniołem”! Miałem wówczas zaledwie piętnaście lat i byłem podobno pięknym chłopcem. Już w Wigilię ruszyliśmy z „Herodami” po kolędzie. Na razie po najbliższych znajomych i krewnych kolędników. w pierwszym rzędzie po Herbach Polskich. Wszędzie witano nas radośnie i wszędzie przyjmowano, a także goszczono entuzjastycznie, a wszędzie najtrudniej było pożegnać się z gospodarzami, których niełatwo było przekonywać, że nie tylko oni jedni chcieliby te jasełka oglądać. Wreszcie „oblecieliśmy” wszystkie możliwe miejscowe gospody. Skarbonka robiła się coraz cięższa, a dzwonić przestała, bo często rozentuzjasmowani ofiarodawcy nie ograniczali się tylko do wrzucania do niej bilonu, ale i banknotów o znacznych nominałach.

Po wyeksploatowaniu terenu miejscowego, zrobiliśmy wypad na Śląsk do najbliższej wsi - Kaliny. Nie bardzo jednak podobało nam się zachowanie Ślązaków. Jedzenia i picia owszem nie skąpili. Częstowali bez umiaru, a byli przy tym zbyt obcesowi i nachalni. Gdy zobaczyli wyciągniętą ku nim skarbonkę, tracili cały animusz i znikali jak kamfora. Doszliśmy do zgodnego wniosku, że nie warto sobie nimi głowy zawracać. Śląskie wioski nie znają tego zwyczaju i nie są do niego przyzwyczajone.

A gdyby tak spróbować w mieście, na przykład w Lublińcu? Proponuje ktoś kusząco. Rozważyliśmy tę kwestię i doszliśmy do wniosku, że ostatecznie nic konkretnego nie stoi na przeszkodzie aby spróbować, a cel uświęca środki!

W najbliższy świąteczny dzień, a było to chyba święto Trzech Króli, 6 stycznia 1923 roku, wybraliśmy się pociągiem do Lublińca. Tu przyjmowano nas jakoś nieufnie, podejrzliwie i z ciekawością, ale po zakończeniu „numeru” następowała kompletna odwilż, powódź serdeczności i podziwu. Zaczęły się nam poprawiać początkowo dość kwaśne humory i odczuwaliśmy smak sukcesu. Już mieliśmy nadzieję na tryumf, kiedy w trakcie przedstawienia w trzecim, czy może już w czwartym miejscu zjawiała się na planie policja państwowa i nie bacząc na nasze referencje, dokumenty, zaświadczenia i serdeczny apel proboszcza, potraktowała nas jak włóczęgów, żebraków i wydrwigroszów. Jednym słowem jako niepożądany w mieście element. Nie aresztowano nas wprawdzie, bo policja nie chciała sobie psuć pięknego święta użeraniem się z nami.

Odstawili nas więc tylko pod przymusem na dworzec kolejowy. Zamknęli w obszernej poczekalni, postawili przy nas policjanta i polecili mu, aby dopilnował byśmy wsiedli do najbliższego pociągu odjeżdżającego w naszym kierunku i odjechali. Do tego czasu nie wolno nam było opuszczać poczekalni dworcowej. Była godzina przedpołudniowa. Najbliższy pociąg do Herbów, jak się dowiedzieliśmy był około czwartej. Co z taką masą czasu począć? Nudzić się? Na miasto wyjść, aby je trochę zwiedzić, policjant nas nie puszcza, a o „Herodach” i o incydencie z nimi, jak to w małych miasteczkach fama się rozniosła. Na dworzec kolejowy zaczęli, zagadać ciekawscy, a że byliśmy w teatralnych, biblijnych strojach: król, anioł, diabeł i żołnierze w operetkowych mundurach, więc kto zajrzał był ciekawy co się wydarzy. Poczekalnia dworcowa jest przecież dostępna dla wszystkich, niezależnie od tego czy ma bilet. Gdy zebrała się spora grupa gapiów, dla rozgrzewki i dla zabicia czasu, ot tak sobie, „sztuka dla sztuki” zaczęliśmy w tej poczekalni dworcowej przedstawienie. Jako, że w naszej rozpacz było nam wszystko jedno, przedstawienie nabrało niezwykłego tempa, animuszu i wigoru! Zaczęły się rozlegać gromkie brawa, jak to mówią „przy otwartej kurtynie”. Z tak prawdziwymi brawami spotkaliśmy się po raz pierwszy. Przyjęliśmy je jako wyraz uznania i zachęty do

bisowania. Tymczasem poczekalnia prawie się wypełniła, a do skarbonki zaczęły się znowu sypać datki. Nawet pilnujący nas policjant wsunął do skarbonki jakąś monetę albo przynajmniej udawał, że wrzuca. Gapie, którzy przyszli na stację później i nie widzieli początku, zaczęli się domagać powtórzenia sztuki. Początkowo prosili, potem zaczęli grozić. Poczuliśmy się zagrożeni nie na żarty. Nie bardzo wierzyliśmy w skuteczną obronę pilnującego nas policjanta. Większą ufność i nadzieję pokładaliśmy w naszym herodowym diable, wyglądającym ze swymi rogami, widłami i groźnie dzwoniącymi łańcuchami na niebezpiecznego przeciwnika. Wreszcie ktoś z nowo przybyłych zwrócił się z konkretną propozycją. Zaczęły się targi. Niewielkie wprowadzić mieliśmy pole manewru. Wobec policyjnej przemocy byliśmy w sytuacji przymusowej, bez prawa wyboru, jednak co to szkodzi potargować się. Niech „łachy” wiedzą, że mają do czynienia nie z byle kim, ale z ludźmi poważnymi, szanującymi siebie i swój honor. Z drugiej strony, w ten sposób podbijaliśmy naszą cenę. Swoją drogą, pochlebiało nam, że oni wysoko cenią nasze występy jasełkowo-artystyczne. Wreszcie po długich targach i uzgodnieniach, daliśmy się ubłagać i obiecaliśmy powtórzyć przedstawienie. w poczekalni tymczasem zrobiło się już tak ciasno, że publiczność zaczęła niebezpiecznie napierać na nas, uniemożliwiając kontynuowanie przedstawienia. Na placu przed dworcem i na peronie również kłębił się tłum. Pod oknami poczekalni, na peronie od strony torów kolejowych kłębił się wcale nie mniejszy tłum ciekawskich. Jedni drugim wspinali się na ramiona, by móc zajrzeć do wnętrza sali, a już zaczął zapadać wczesny styczniowy zmierzch. Powtórzyliśmy więc jeszcze raz od początku przedstawienie, a kiedy byliśmy przy czwartym z kolei, na peron wjechał pociąg do Herbów. Nasz pociąg, na który czekaliśmy Odpowiedzialny za nas i za wyekspediowanie nas z Lublińca policjant był i bezradny i bezsilny. Nawet nie próbował wykonać otrzymanego od swych przełożonych rozkazu. Skapitulował nawet bez próby walki i pociąg odjechał bez nas, a my tu święciliśmy swój benefis. Następny pociąg, jak się dowiedzieliśmy był za dwie godziny. Przezornie zakończyliśmy kolejny numer na pół godziny przed jego nadejściem. Postaraliśmy się o ile to było możliwe zrzucić z siebie te teatralne stroje i przebrać się raczej w bardziej codzienny, zwykły strój. Byliśmy kompletnie wyczerpani, przemęczeni. Ponieważ moja rola, była w głównej części wokalna, tak przy tym śpiewie ochryplem, że potem przez cały tydzień nie mogłem wrócić do swego naturalnego głosu. I to był powód, że do Lublińca nie czułem żadnego sentymentu, mimo nawet tego naszego benefisu, który był triumfem naszej sztuki i zemstą za bezduszną formalistykę Ślązaków. Przynajmniej tych urzędasów, bo o reszcie trudno mi coś powiedzieć. Wszystko podobno dlatego że zaniedbaliśmy uzyskania zezwolenia od władz municypalnych Lublińca dla naszej imprezy. Także i tym razem, wobec ciągle jeszcze tkwiącej we mnie skazy, nie usiłowałem nawet zsiadać z motocykla i Lubliniec obejrzelśmy sobie zza kierownicy motocykla, w przelocie do Dobrodzienia i Pawonkowa.

Dobrodzień i Pawonków oraz Ligota to miejscowości, o których tej wiosny 1921 roku najwięcej opowiadali ranni powstańcy przywożeni na punkt opatrunkowy urządzony w sali recepcyjnej dawnej komory celnej na dworcu kolejowym w Herbach Polskich. Po udzieleniu im tutaj pierwszej pomocy medycznej, po założeniu opatrunków, nakarmieniu i napojeniu, odsyłani byli następnie pociągami w wagonach sanitarnych do Częstochowy na dalsze leczenie w szpitalu w „domu księcia”

Teraz po przeszło 40. latach od czasu tamtych bojów, nic nie wskazywało na to, że kiedyś toczyły się tu zacięte, krwawe walki na śmierć i życie. Nie pozostało z tamtych czasów nic, żadnych śladów, żadnych pamiątek. A może są, ale nie wyeksponowane na pokaz. My też specjalnie ich nie szukaliśmy, a sam Dobrodzień widzieliśmy tylko w biegu, znowu zza kierownicy i z siodełka motocykla. Robił wrażenie normalnego polskiego miasteczka, promowanego z rozwijającej się gospodarniej i ekonomicznie zasobnej wsi. Dotąd jednak pozostała w nim charakterystyczna cecha luźnej wiejskiej zabudowy.

Około południa, kiedy minęliśmy Ozimek, Opole i wjechaliśmy na autostradę do Wrocławia, tę niewykończoną, jednopasmową o wybrukowanej kostką nawierzchni. Tak się pięknie złożyło, że trochę we Wrocławiu pobłądziliśmy i nieoczekiwanie znaleźliśmy się na rynku, przed starożytnym ratuszem i przed „Ratuszową” restauracją mieszczącą się w jego podziemiach. Wtedy uświadomiliśmy sobie, że jesteśmy głodni i warto by było coś zjeść. Może więc wejść do restauracji „Ratuszowej”? Szkopuł tylko w tym, że całego majątku przy duszy pozostało mi w gotówce zaledwie 5 zł. Czy to wystarczy na dwa obiady? Trudno! Postaramy się nie być zbyt zachłanni, pohamować nasze ewentualne epikurejskie zapędy i ograniczyć się do możliwie skromnego menu, na miarę nie tyle potrzeb, ile środków. Już nie pamiętam co nam zaserwowano, ale scenografia była „comme il faut” z całą rewerencją, a rachunek wyliczony był z dokładnością iście aptekarską co do grosza, równe 5 zł.

Teraz nie pozostało nam nic innego jak spieszenie podążać do domu. Wjechaliśmy na autostradę i jechaliśmy w kierunku Legnicy. Przed nami w odległości około 150-200 metrów ulokował się jakiś samochód ciężarowy. Po pewnym czasie spostrzegłem, że ciężarówka znajduje się ciągle w tym samym miejscu, jakby się w ogóle nie poruszała. Licznik wskazywał prędkość 80 km/h, a więc i ciężarówka jedzie z prędkością 80 km/h. Jechaliśmy tak dłuższą chwilę, ale w tym dziwnym uczuciu bezruchu po dobrym obiedzie, przy cichej słonecznej pogodzie w pewnym momencie ocknąłem się i z przerażeniem spostrzegłem, że śpiąc jadę motocyklem z prędkością 80 km/h. Natychmiast zjechałem na pobocze autostrady. Januszowi wyjaśniłem w jak niedwuznacznej znajdowaliśmy się (z mojej winy) sytuacji i, że na przyszłość, kiedy znów wyruszymy w drogę,

jego obowiązkiem będzie by starał się ciągle mnie zagadywać i nie pozwolić mi zasnąć, a na razie w przydrożnym rowie postaram się zdrzemnąć chociaż kwadrans.

Po półgodzinnej drzemce, która mi się bardzo przydała, ruszyliśmy dalej. Janusz zgodnie z danym mu poleceniem ciągle coś tam do mnie mówił, a ja starałem się mu odpowiadać i tak broniliśmy się przed niebezpiecznym zaśnięciem. Wkrótce pozostawiliśmy za sobą Kąty Wrocławskie i zbliżaliśmy się do jakiegoś mostu, czy przepustu, bo z daleka widoczne były betonowe obmurowania na poboczu, jak zwykle w takich przypadkach robią to drogowcy, jakby dla zabezpieczenia przed zjechaniem w bok. Coś nas jednak w tym widoku zaskoczyło. Z boku, na zewnątrz od tego obmurowania widać było skrawek jakby tyłu skrzyni samochodu ciężarowego. Ciężarówka jednak zjechała z pasa drogi i omijając z prawej obmurowanie trafiła w przerwę. Z rozpędu przeleciała ją i uderzyła przodem w przeciwną ścianę przyczółka mostu i obsunęła się po niej w dół. Tył zaś zawisł prawie pionowo na bliższej ścianie przyczółka. Ładunek, a było to kilka ton dojrzałych pomidorów, rozprysł się na wszystkie strony zabarwiając całą okolicę na czerwono. Kierowca, widocznie zmęczony już dłuższą drogą, zasnął na monotonnej autostradzie za kierownicą i zjechał z niej w tragiczny dla siebie sposób.

Obszary na północ i wschód od Legnicy, aż po Wołów, Brzeg, Milicz, a nawet Rawicz stanowiły w tym czasie sławne tak zwane „warzywno-owocowe Zagłębie Legnickie”, zaopatrujące inne obszary, pod tym względem upośledzone, w nowalijki ogrodnicze i w ogóle wszelkie artykuły i produkty gospodarki rolno-ogrodniczej. Akurat mieliśmy środę, dzień targowy w Jeleniej Górze. Może akurat ta ciężarówka z pomidorami spieszyła się, aby już rano stanąć w Jeleniej Górze ze świeżym towarem na rynku? Może, ale niekoniecznie! Może leciała do Bolesławca, może do Zgorzelca, ale swoją drogą już dość miałem jazdy autostradą. Przy najbliższym spotkaniem zjeżdżie z autostrady skwapliwie z niego skorzystałem, a było to akurat niedaleko, pod Kostomłotami. Zjechaliśmy na zwykłą, standardową drogę asfaltową w kierunku na Strzegom, Bolków do Jeleniej Góry. Do domu, do którego dotarliśmy gdy było jeszcze jasno.

„Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej” – jak mówi stare porzekadło. Wprost nieprawdopodobnie trudne do uwierzenia jest uczucie ulgi jakiej doznaje człowiek, kiedy po dłuższej nieobecności, tak jak my z Januszem, wraca wreszcie w domowe pielesze. Jaki ogromny ciężar trosk, kłopotów i odpowiedzialności spada mu nagle z barków wobec normalnej „rutynowej” codzienności. Nareszcie można przestać myśleć i kombinować na temat najbliższej przyszłości, jak urządzić najbliższy posiłek, odpoczynek, biwak czy nocleg. Bo jest ktoś, kto o tym myśli bez naszego udziału by wszystko było urządzone i podane w porę i na czas. Świeże,

smaczne, gorące i pachnące, jak w najprzedniejszej, luksusowej restauracji. I co najważniejsze bezpośrednio po posiłku nie trzeba sięgać do portfela, by uregulować rachunek, a i nocleg jest wprost wymarzony. Łóżko wygodne i pościel pachnąca dobrym mydłem i ktoś do towarzystwa, kto ci będzie grzał plecy. Nie ma to jak w domu! Jednak w każdym z nas drzemie jakiś nieuleczalny duch przekory i niepokoju, który skłania nas, często wbrew naszej woli, do ryzykownej, uciążliwej przygody, coś takiego co nas korci. Jednak na razie miałem dość przygody i postanowiłem spędzać czas normalnie, spokojnie i wygodnie, bez ekstrawagancji!



Fot. 8. Stanisław Krasoń wraz z małżeństwem Gonerów, Gniazdowo, woj. mazowieckie, 1964 r.

Nie spodziewałem się również jakiegoś najazdu z Warszawy, bo odkąd przestałem być dyrektorem, a zostałem tylko zwykłym kierownikiem wydziału, osłabło zainteresowanie Warszawy Jelenią Górą, a i moje zwróciło się na tereny wschodnie, nadbużańskie w rejon Wyszkowa-Łochowa, w okolice nad Liwcem, gdzie Józef Gonera, nabył działkę wypoczynkowo-rekreacyjną we wsi Gniazdowo. Wzbudziło to oczywiście ogólną ciekawość całej rodziny. Zwłaszcza, że Józek miał szeroki gest i wszystkich serdecznie do siebie zapraszał na wczasy. Na razie jednak sam wchodził w jej posiadanie, więc jak nakazywał starożytny obyczaj i stare prawo rzymskie na znak wejścia w posiadanie grunt musiał ogrodzić. To właśnie robił przy pomocy metalowej siatki. W następnej kolejności zamierzał wybudować swoją własną, solidną „daczę”. Na razie korzysta jeszcze z tej starej, zmurszałej, na pół zjedzonej przez korniki, drewnianej budowli pozostawionej na działce przez poprzedniego właściciela, a którą po wybudowaniu własnej (jak zamierza), okazałej, murowanej, tę opchnie chyba komuś z nowych sąsiadów. Jak z tego wynika ewentualna wyprawa do Gonery do Gniazdowa, to melodia dość odległej jeszcze przyszłości. Muszę więc ten temat pozostawić na razie na uboczu, a zając się najbliższym.

Nasze Technikum Szklarskie we wrześniu osiągnie swoją pełnię. Najstarsza, trzecia klasa, stanie się już klasą maturalną. Matematyka jest jednym z niewielu przedmiotów maturalnych, dla których obowiązuje egzamin tak ustny jak i pisemny. Jako nauczyciel przedmiotu maturalnego automatycznie staję się członkiem komisji egzaminacyjnej egzaminu maturalnego. Znaczenie mojej osoby wzrasta, ale żebym dobrze wypadł na tym egzaminie maturalnym (a zwłaszcza moja klasa), muszę się wziąć w garść i dobrze nad nią popracować. Zwłaszcza, że nie robię tego za darmo, a za godziwą zapłatę i dlatego wszelkie inne moje zainteresowania (nawet malowanie), przy którym dotąd spędzałem dość znaczną ilość czasu, odkładam na bok. Głównymi tematami, czy raczej problemami w dziedzinie matematyki w tej klasie i w tej szkole, typu technikum, a więc „zawodowej”, są chyba najtrudniejsze nie tyle do zrozumienia, co nabrania w nich biegłości, zasady i sposoby rozwiązywania równań pierwszego i drugiego stopnia. Poza tym układów równań z algebry, a rozwiązywanie trójkątów czy równań trygonometrycznych. Zwykle zdumienie i strach wzbudzają w uczniach spotykane tu po raz pierwszy dziwaczne i niezrozumiałe, rzadko w życiu spotykane terminy, sinus (sin), cosinus (cos), tangens (tg) i cotangens (ctg), których nie wystarczy nauczyć się na pamięć. Trzeba dokładnie poznać ich głębszą istotę, wzajemne powiązania i różne sposoby zastosowania ich do rozwiązywania trójkątów i równań trygonometrycznych. Dziwne, ale oba te działy matematyki jakoś lubiłem. Bez przymusu więc i niechęci poświęciłem sporo czasu, aby się gruntownie przygotować do każdej lekcji i jak najbardziej przystępnie i zrozumiale wprowadzić młodzież w arkana tej niecodziennej, dziwnej, a jednak ciekawej i pożytecznej, dla niektórych nawet porywającej, dziedziny wiedzy.

I tak szczęśliwie, gładko i pomyślnie dotarliśmy do dnia 23 maja 1964 roku, w którym to dniu uczniowie trzeciej klasy Technikum Mechaniki Precyzyjnej, sekcja Optyczna w Jeleniej Górze zasiedli do maturalnego egzaminu pisemnego.

W skład Państwowej Komisji Egzaminacyjnej egzaminu maturalnego wchodził: Delegat Ministerstwa, Dyrektor Technikum Mechaniki Precyzyjnej E. Pokrzywa, na zdjęciu przeze mnie posiadanym zajmuje za stołem prezydialnym miejsce centralne, łatwy do zidentyfikowania gdyż jest jedynym w całej Komisji w okularach. Po jego lewej ręce zajmuje miejsce Dyrektor JWO Edward Piwko, przewodniczący Komisji. Po prawej zaś ręce znajdują się członkowie Komisji Egzaminacyjnej: Lucyna Galikowska - polonistka i Stanisław Krasoń - matematyk. Po lewej ręce dyrektora Piwko, niewidoczny (wyszedł poza kadr) jest jeszcze mgr inż. Zenon Nowak, kierownik Technikum w Jeleniej Górze, odpowiedzialny za wyszkolenie zawodowe (praktyczne).

Wbrew uprzednim obawom i niepokojom, egzaminy ku naszemu szczeremu zadowoleniu i radości wypadły „na medal”. Przepadły gdzieś bez śladu wszystkie trapiące nas, nowicjuszy obawy. Nawet ci (według nas) najłabsi abiturienti, wypadli doskonale. Do tego stopnia, że dyrektor Pokrzywa poczuł się w obowiązku złożyć nam, jeleniogórskiemu ciału pedagogicznemu wyrazy szczerego uznania i podziękować w imieniu dykcji i władz szkolnych za owocny trud. Dał też wyraz uczuciom niekłamanego zadowolenia i radości z uzyskania tak świetnych wyników nauczania. a przed nami prawie trzy miesiące spokoju od nauki.

Przerwa wakacyjna!

Warto w tym czasie pomyśleć o urlopie wypoczynkowym i o wczasach. Jest okazja wybrać się, korzystając z zaproszenia Józka, wraz z całą rodziną do Gniazdowa, zobaczyć jak tam urządzają się Gonerowie. Z tym wszystkim tak się zachowujemy, jakby czas stał dla nas w miejscu, jak byśmy nie widzieli i nie czuli, że codziennie dziś niepostrzeżenie zamienia się we wczoraj i ku naszemu zaskoczeniu zbliża się nagle pora odejścia na emeryturę.



Fot. 9. Liceum Ogólnokształcące im. Stefana Żeromskiego w Jeleniej Górze.
Od lewej strony siedzą: Stanisław Krasoń, Lucyna Galikowska, E. Pokrzywa, Edward Piwko.

O ile mi wiadomo, Józkowi do tego terminu pozostało już niewiele czasu, zaledwie kilka miesięcy, ale pewny jestem, że faktycznie w „Nagraniach” pracuje już raczej symbolicznie, a czas przeważnie spędza w swej nowej posiadłości i pilnuje interesu, zgodnie z maksymą: „Pańskie oko konia tuczy”. Na pewno przed opuszczeniem fabryki, wykorzystuje jakieś, niewykorzystane miesiące zaległych urlopów, a i L4 żaden lekarz nie odmówiłby mu, gdyby poprosił. Jasiu Goebel chyba też od niego niewiele młodszy i też pewnie szykuje się na odejście z „Mechaników” na emeryturę. Od czasu kraksy na motorze przestał wyjeżdżać na wakacje na Mazury, a do Gniazdowa wybiera się ze względu na uciążliwość dojazdu pociągiem tylko na czas urlopu wypoczynkowego. Mnie do emerytury najdalej, ale nie tak znów bardzo daleko, bo zaledwie jakieś 9 lat. Trudno, jeśli przez ten czas nie będzie można inaczej, to też będę wykorzystywał na wyjazdy tylko okres urlopu wypoczynkowego. Jednak w tym roku gnani ciekawością, wszyscy chcielibyśmy zobaczyć to Gniazdowo. Marek i Jacek już tam byli i strasznie sobie chwalą. Najbardziej zadowoleni są z rzeki Liwiec, w której trudno byłoby się utopić, chyba, że ktoś na upartego położyłby się na dnie. Woda jest bardzo czysta, jeszcze nie skażona ściekami czy odchodami, jak większość innych rzek.

Niestety, zawsze jakieś złe licho stara się najprostszą sytuację jakoś zaplątać, zagmatwać i stwarza problemy zdawałoby się nie do rozwiązania. Jako jedyny własny środek lokomocji mamy tylko nasz motocykl SHL, który może bez trudu, ale tylko dwie osoby przetrzucić w ciągu jednego, albo dwóch dni (jeśli się w planie założyło wstąpienie do rodziców w Piotrkowie) z Jeleniej Góry do Warszawy, ewentualnie do Gniazdowa, ale nas amatorów tej wyprawy jest czworo: Mama, Andrzej, Janusz i oczywiście ja. I problem gotowy!

Po naradzie ustaliliśmy, że Andrzej, który jak się okazuje, nie przepada za jazdą na motorze w charakterze pasażera na tylnym siodełku, zgadza się pojechać do Warszawy pociągiem, tym bardziej, że jako uczeń ma bilet zniżkowy. Mama też chętnie wybiera podróż pociągiem, do Warszawy, aby odwiedzić rodzinę, synową, wnuczkę, a w razie czego Janusza Gonerę, który utrzymuje stałą łączność Warszawy z Gniazdowem wożąc tam swoim „Moskwiczem” to Józka, to Julę, przy okazji zabierze i ciotkę Irkę. A Andrzeja może do Gniazdowa przetrzucić również Janusz Gonera, ale gdyby było zbyt wiele chętnych osób na Moskwicza, może go do Gniazdowa zawieźć Jacek swoją WSK-ą.

Z tej strony, sprawę można by było uważać za załatwioną, ale co zrobić z Morusem? Kot to i tak chodzi własnymi drogami. Latem da sobie radę, bez trudu. Tylko trzeba go wyrzucić z mieszkania, jeśli nawet znajdzie jakiś sposób, aby do mieszkania wrócić, to nie ma zmartwienia, znajdzie również sposób, choćby ten sam, aby

z mieszkania wybierać się na łowy. Ale Morus? Morusa samego bez opieki ani w mieszkaniu ani na zewnątrz pozostawić nie można. O zabraniu go z sobą lepiej nie marzyć. I nowy problem!

Zwierzyłem się z tego kłopotu, tak jakoś przy okazji, Mieczowi Wnukowskiemu, który po śmierci wuja Piotra i żony Czesi, gospodarzył wraz ze swoją przysposobioną córką w swoim dworku, ostatnim na peryferii miasta przy drodze do Cieplic Zdroju, w oparach „Celwiskozy”. Miecz jeszcze w tych zakładach pracował, ale również już myślał o emeryturze. Od dawna w ogródku przy swoim dworku hodował tulipany. Jakiś wytworny, amatorski gatunek, poszukiwany na rynku. Bardzo mi się z tej strony podobał. Brałem go za estetę, miłośnika kwiatów. Teraz w rozmowie między innymi zaczął się skarżyć, że wyziewy z „Celwiskozy” bardzo szkodzą jego plantacji tulipanów, że jakoś się wyradzają i nie bardzo znajdują amatorów na kupno. Okazuje się, że Miecz traktował te tulipany nie jako okazy estetycznego piękna, ale jako zwykły towar handlowy. Jego stosunek do tych kwiatów wcale nie był romantyczny, ale kupiecki.

Trochę się rozczarowałem, ale rozeszliśmy się w zgodzie, bo obiecał pomóc mi w moim kłopotcie i przyjąć Morusa do siebie na ten miesiąc. Zgodził się pod warunkiem, że pokryję koszty jego utrzymania przez ten czas. Chętnie przystałem na postawione warunki, bo w ten sposób pozbywałem się i tego kłopotu.

Ustaliliśmy więc na naradzie w ścisłym rodzinnym gronie, że dniem rozpoczęcia urlopu (oczywiście mojego) wyjeżdżamy wszyscy czworo do Warszawy, a stamtąd ewentualnie i do Gniazdowa na wczasy. Mama z Andrzejem pojedą pociągami, a ja z Januszem motocyklem. W Warszawie spotykamy się u Gonerów na ul. Pytlasińskiego i tam zobaczymy co będziemy robić dalej.

Przy roztrząsaniu całej tej sprawy wyjazdu do Warszawy, czy ewentualnie do Gniazdowa, przyszło mi na myśl, że pole mego działania jako tworzącego, a nie piszącego historię jakoś się kurczy i zawęża. Najpierw Marek oderwał się od rodzinnego pnia i zaczął tworzyć własną historię. Historię gałęzi rodziny, której sam będzie protoplastą, a więc z dawnym pniem rodzinnym będzie cienka i wątła jak jedwabna nitka. Teraz dowiaduję się, że Jacek (nie wiem z jakich powodów, bo mi się oczywiście nie zwierzał ani nie tłumaczył) jako pełnoletni już sam odpowiada za swoje czyny i przed ojcem z tego rachunku nie musi składać, rzucił SGPiS, gdzie zapodział swoje dokumenty, m.in. maturę. Liceum w Jeleniej Górze nie chce czy nie może wydać mu duplikatu, więc zapisał się do technikum w swoim zakładzie, gdzie obecnie pracuje zdaje się jakiś zakład elektryczny, żeby zrobić drugą maturę. I tak też można. On również tworzy swoją, na razie indywidualną i samodzielną historię, której dalekie echa czasem docierają do nas, rodziców, ale nie zawsze i nie wszystko.

Andrzej z Mamą wyjechali pociągami popołudniowymi, aby w Warszawie być rano. Ja i Janusz jeszcze zostaliśmy by nazajutrz rano odprowadzić Morusa do Wnukowskiego i niespiesznie wyjechać chwilę potem w drogę. Postanowiłem wybierać możliwie najkrótszą trasę. Według mapy wypadałoby to tak: Jelenia Góra-Bolków-Strzegom-Kostomłoty i autostradą do Wrocławia. Stąd na Oleśnicę, Syców, Wieruszów, Bełchatów i Piotrków. Lubliniec, Herby, Częstochowę. Jak widać postanowiliśmy tym razem ominąć i skrócić drogę o parę kilometrów. Po drodze postanowiłem robić możliwie często przerwy dla wytchnienia, rozprostowania kości i „na papierosa”. Wtedy jeszcze paliłem i chociaż nie do przesady, ale jednak nierzadko, w znacznym stopniu ograniczyliśmy palenie papierosów, kiedy Irka poczęła odczuwać pierwsze bolesne niedomagania serca, a ja prawie w tym samym czasie podjąłem decyzję o kupnie samochodu. Oboje z Irką zaczęliśmy odczuwać, że starzejemy się i środki lokomocji takie jak rower czy motocykl, to już nie dla nas. Przydałoby się sprawić sobie coś wygodniejszego, czyli po prostu jakiś niedrogi samochód. Papierosy pochłaniały oprócz zdrowia, wprawdzie niewiele, nie majątek, ale jednak dość znaczne sumy, wskazane więc było wprowadzenie pewnych oszczędności, na razie ograniczając ilość wypalanych papierosów. W czasie tej jazdy zawsze korzystaliśmy też z coraz częściej pojawiających się przy drogach na poboczu, przygotowanych dla zmęczonych kierowców na krótki odpoczynek i wytchnienie, parkingów

W Piotrkowie postanowiłem jednak zrobić dłuższą przerwę, aby zbyt nie przemęczać chłopaka i odwiedzić rodziców, a przenocować, podobnie jak w ubiegłym roku u Jasia na sianie. Tam, choć warunki nie były komfortowe, a może nawet prymitywne, czuliśmy się jakoś swobodniej. Nieskrępowanie i prymitywizm absolutnie nam nie przeszkadzały i nie wpływały ani na obniżenie kondycji ani też utratę czy pogorszenie humorów.

Z Piotrkowa wyruszyliśmy już o świcie, znaną nam dość dobrze trasą przez Tomaszów Mazowiecki, Rawę Mazowiecką i Mszczonów (kiedyś słynny z doskonałych zapalek, skutecznie konkurujących z „bezkonkurencyjnymi” zapalnikami częstochowskimi, przysłowiowymi już zapalnikami „łapszyna”). w odległości około 15 kilometrów od Piotrkowa jadąc w kierunku Tomaszowa Mazowieckiego, mniej więcej w połowie drogi, mijaliśmy, leżący po lewej Wolbórz, nad rzeką Wolbórką. Miejscowość, z której wywodził się ród Boguckich. Jeszcze rodzony brat mego dziadka gospodarzył w rodowym majątku, którego największym walorem był młyn wodny zbudowany właśnie na rzece Wolbórze, ale to już dawno przebrzmiała historia. Dalej przejeżdżamy przez Raszyn - miasto historyczne - sławne ze stoczony tu w 1806 roku zwycięskiej przez wojska polskie pod wodzą Króla Józefa Poniatowskiego walki z Austriakami. Obecnie znane w całej Polsce z pierwszej polskiej ogólnokrajowej anteny radiowej, z której i program Polskiego Radia rozchodzi się na cały kraj. Rzeczywistą

anteną dla całej Polski miała być antena umieszczona na maszcie radiowym w Gąbinie na wysokości przekraczającej 600 metrów. Podobno był to maszt najwyższy w Europie. Służył przez parę lat, ale przed kilku laty, w czasie przeprowadzania jego remontu, w skutek wadliwego zabezpieczenia maszt runął i do dnia dzisiejszego (a mamy już dzięki Bogu 17 czerwca 1996 rok) wobec różnych, niezrozumiałych ceregieli biurokratycznych, do rekonstrukcji masztu, nie mogą się jakoś zabrać.

Gdy tylko mineliśmy lotnisko na Okęciu, przy pierwszej możliwości skręciłem w prawo ku Wiśle, aby się tylko dostać do ulicy Puławskiej, wtedy jesteśmy już w domu. Na ulicę Pytlasińskiego trafię z zamkniętymi oczami. Przyznam się, że okropnie nie lubię kręcić się na motocyklu po zagęszczonych ulicach śródmieścia. Gdy muszę, to robię to z duszą na ramieniu, dlatego zawsze staram się unikać takich sytuacji z całych sił. Na Pytlasińskiego dotarliśmy wczesnym popołudniem. W „kwasiarni” mimo pełni lata i pięknej pogody, praca akurat dobiegała końca. Prócz robotników zatrudnionych przy saturatorach i innych urządzeniach produkcyjnych zastaliśmy tylko pana Stanisława. Ciekawa postać, niby urzędnik administracyjny, trochę wspólnik czy współwłaściciel. Właściwie to ktoś w charakterze zaufanego starodawnego plenipotentą, żeby nie powiedzieć wypełniającego bez sprzeciwu wszystkie zalecenia. Głównym właścicielem firmy był oczywiście Józef Goner i syn Janusz. Józef większość swej władzy przekazał na syna Janusza, ten jednak z różnych względów, ku niezadowoleniu ojca, nie chciał czy nie mógł z tej władzy korzystać i praktycznie był właściwie też tylko nominalnym kierownikiem zakładu. Jako, że praca w przedsiębiorstwie nie bardzo się wtedy kleiła, szef firmy zaangażował pana Stanisława, który stał się jedynym rzeczywistym kierownikiem, cieszącym się pełnym zaufaniem pryncypała. Janusz czasem wpadał do wytwórni, czasem coś nawet zarządził, ale były to spontaniczne i sporadyczne zrywy aktywności i raczej doraźne niż systematyczne.

Dowiedzieliśmy się, że nikogo z Gonerów w Warszawie nie ma, ale już jutro będzie pan Janusz z panią Gonerową, która ma zamówioną wizytę u lekarza. Honory domu na górze robi ciocia Jaworska, u której są właśnie Andrzej z Mamą.

Następnego dnia, aby skrócić sobie czas oczekiwania na przyjazd Gonerowej, całą czwórką, korzystając z przepięknej pogody wybraliśmy się na spacer do Królewskich Łazienek, do których z ulicy Pytlasińskiego jest zaledwie parę kroków, zwłaszcza, gdy można wejść od ulicy Podchorążych.

16 lat temu, w 1948 roku byłem na półrocznej delegacji w Warszawie w związku z Kongresem Zjednoczeniowym partii, PPR i PPS, w jedną Zjednoczoną Partię Robotniczą (PZPR). Mieszkałem wtedy, jak

dygnitarz, w apartamentach Hotelu „Bristol”, przyjechała do mnie wówczas w odwiedziny żona z chłopcami, Markiem - 13 lat i Jackiem - 8 lat i całą czwórką wybraliśmy się na spacer do Łazienek. Istnieje na to dokument, fotografia robiona chyba przez Janusza Gonerę, który wtedy jako siedemnastoletni kawaler, bodajże już student Politechniki Warszawskiej bawił się jako amator fotografią i fotografował wszystko i wszystkich. Teraz, 16 lat później znowu jesteśmy w czwórkę na spacerze w Łazienkach z Andrzejem - 14 lat i Januszem - 11 lat. Jakby powtórzenie tamtych lat.

Po zwiedzeniu parku, obejrzeniu z zewnątrz Pałacu na Wodzie, Teatru na Wyspie, Pomnika Chopina, wyszliśmy na Aleje Ujazdowskie i ruszyliśmy w drogę powrotną do domu „Królewskim Traktem”. Mijając Belweder zwróciliśmy uwagę na jakiś niezwykle ruch przed budynkiem, a na maszcie, na budynku Belwederu powiewała państwowa flaga opuszczona do połowy masztu. Okazało się potem, że to zmarł Przewodniczący Krajowej Rady Narodowej, generał Aleksander Zawadzki i w Belwederze trwały przygotowania do jego pogrzebu, który jednak odbył się bez specjalnej pompy i przepychu.

Ciocia Jaworska wytłumaczyła nam gdzie i jak przy Alei Sobieskiego szukać domu, w którym mieszka Marek z rodziną. Po południu wybraliśmy się do niego w odwiedziny. Ulicę Sobieskiego znałem od dawna, jeszcze z kawalerskich czasów i wiązało się z nią niemało miłych wspomnień. Była więc okazja do przypomnienia ich sobie i trochę do powspominania. Nie długo szukaliśmy domku Kabańskich, teściów Marka. Nie byliśmy zachwyceni mieszkaniem syna. Luksusów wprawdzie nie spodziewaliśmy się, ale taką prostotą i spartańską niemal skromnością, istnym pomieszczeniem trapistów, też byliśmy nad wyraz zaskoczeni, a przecież bądź, co bądź, oboje pracowali. Przyczyna takiego stanu rzeczy tkwiła nie w posiadanych środkach, ale w braku odpowiedniego mieszkania. Choroba, która toczyła całą Warszawę, a właściwie, na którą cierpiała cała Polska bezlitośnie niszczona przez pięć lat wojny i dwa powstania w samym mieście Warszawa. Domek Kabańskich nie był perspektywiczny, ponieważ rodzice budując go nie przewidzieli i nie wzięli chyba pod uwagę, że będą musieli wychować i jakoś wyposażyć trzy dorodne córki. Nie ma to jak mieć w domu samych synów, chociażby nawet i czterech. O wiele mniej z nimi kłopotów, zwłaszcza w czasie, kiedy dorastają i dojrzewają. Wtedy z tęsknotą i niecierpliwością oczekują chwili, w której osiągną wiek pozwalający im już samodzielnie decydować o sobie. Wtedy urywają się z domu i uciekają w świat szukać swojego szczęścia, a więc z opuszczonym domem jest, jak już mówiłem, tak wątła i cienka jak nić pajęczyny. Przed rodzicami mającymi liczne panny na wydaniu życie stawia znacznie trudniejsze zadania, ale za to dziewczęta silniej pozostają przywiązane do rodzinnego gniazda.

W trudnych warunkach życiowych zaczynał Marek swoje samodzielne dzieje.

Z Gniazdowa Janusz przywiózł oboje rodziców. Bo jak się okazało Józek miał jakąś sprawę do swego dyrektora w „Nagraniach”, do młodego Fogga i niezapowiedzianą, ale niecierpiącą zwłoki wizytę u stomatologa. w sumie zabrało im to czas prawie do wieczora. Mama bez dyskusji zgodziła się im towarzyszyć. Janusz Goner zresztą bagatelizował tą całą wyprawę i mówił lekceważąco:

- *Co to jest? Godzina drogi z hakiem.*

Gonerowie byli tego samego zdania. Tylko my, prowincjusze podchodziliśmy do tej wyprawy z przesadną powagą i nabożeństwem.

Ponieważ jak na zawołanie zawiadomiony nie wiadomo jak i przez kogo, zjawił się Jacek na swojej WS-ce, postanowił eskortować „januszowego” „Moskwicza”, zabierając równocześnie na tylne siodełko jako pasażera, Andrzeja. W ten sposób pozostaliśmy niezagospodarowani (mój mały Janusz i ja). Środek transportu mieliśmy sprawny i na ogół przyjemny - SHL-kę. Szkopuł stanowiły jedynie pora i trasa jazdy. Mimo pełni lata, noc, chociaż późno to jednak zawsze zapadała, a z całego tego rozgardiaszu przygotowawczego wynikało niezbiecie, że przeważającą część trasy trzeba będzie przejechać przy światłach, po zachodzie słońca i zapadnięciu zmroku, i to właśnie wtedy, kiedy zjedzie się już z szosy Wyszaków-Łochów na polne drogi i bezdroża wiodące na przełaj przez pola i ugory do Gniazdowa. Okropnie nie lubię jeździć na motorze po ciemku, zwłaszcza po nieznanych okolicach i bezdrożach. Drugi zaś szkopuł stanowiła trasa. Najprościej byłoby przejechać w poprzek całą prawie Warszawę. Następnie przeprawić się przez most Kierbedzia na prawy brzeg Wisły i przez Radzymin. „Prosto jak sierpem rzucił” lecieć na Wyszaków. Ale...Znowu jest to ale... Nie lubię tłoku, a tym bardziej zatłoczonych wielkomiejskich ulic stolicy i to wieczorną porą. Taka już jest moja „fobia”. Nie znoszę tego i ciarki mnie przechodzą na samą myśl, a dusza ucieka w pięty.

Wobec powyższego, my z Januszem (małym) nie przyłączyliśmy się do tej kawalkady. Postanowiliśmy poczekać do jutrzejszego ranka i pojechać za dnia i w dodatku inną trasą, chociaż korciło mnie żeby jechać na Radzymin i przypomnieć sobie sierpień 1932 roku. Wtedy to jako świeżo upieczony sierżant podchorąży, właśnie otrzymałem awans wraz z całą kadrą 21 WPP „Dzieci Warszawy” z okazji święta pułkowego, tj. ofiarowania pułkowi nowego sztandaru ufundowanego przez społeczeństwo Warszawy oraz nadania 21 Pułkowi Piechoty imienia „Dzieci Warszawy”. Wtedy tę całą trasę z Warszawy, przez Radzymin (gdzie pułk

nocował), przez Wyszków aż do Kamieńczyka przemaszerowałem pieszo, cierpiąc w tajemnicy na biegunkę, bo w Radzyminie wieczorem na kolację zjadłem z chlebem kawałek zimnego boczku i popiłem wodą. Od tamtej pory wystrzegam się zimnych napojów.

Gdybym był sam, może bym się zdecydował na Radzymin, ale z pasażerem, Januszem za plecami, nie miałem odwagi ryzykować. Wolałem wybrać trasę o parę kilometrów dłuższą, ale spokojniejszą, bezpieczniejszą i jakoś ogólnie rzecz biorąc weselszą. Najbliższą przeprawą przez Wisłę na tamten brzeg, był most na Górze Kalwarii. Trzeba było więc wrócić się te parę kilometrów, a po przeprawie droga wiodła już przez tereny sielskie, wolne, przestrzenne i wesołe w letnim jasnym słońcu. Jechaliśmy więc na Kołbiel, Stojadła, Stanisławów, Strachówkę do Łochowa, a stamtąd szosą w kierunku Wyszkowa. I tu właśnie, gdy zamierzaliśmy już zjechać z szosy na polną drogę (w najważniejszym miejscu) natknęliśmy się na Jacka i Andrzeja, którzy wyjechali na nasze spotkanie. To spotkanie zostało przez anonimowego fotografa udokumentowane. Na zdjęciu jesteśmy wszyscy czterej i nasze motocykle, Jacka WSK i moja SHL-ka. Tajemniczym fotografem jest bez wątpienia Janusz Gonera, który jednak sam jak i jego „Moskwicz” znajdują się poza kadrem i są niewidoczni.

Jacek z Andrzejem przebywają w Gniazdowie już od wczoraj, ale i my jesteśmy zadowoleni z naszej decyzji, bo przejażdżkę mieliśmy wspaniałą. Odpowiednią do cudownej, letniej i słonecznej pogody. Całą więc czwórką, dwoma motocyklami „zasuwamy” po wyboistych polnych drogach, holowani przez Janusza Gonerę do Gniazdowa, którego próżno szukać na dostępnych do powszechnego użytku mapach Polski. Wiemy na razie o nim tylko tyle, że leży nad rzeką Liwiec, gdzieś w okolicy Pogorzela czy Strachowa. Po półgodzinnej jeździe za Moskwiczem Janusza Gonery, który nas prowadził telepiąc się w koleinach i wybojach polskiej drogi gruntowej. Dobijamy do Gniazdowa.

Na wstępie wita nas Ciozia Irka, czyli Mama... Za chwilę pojawiają się też gospodarze. Po przywitaniach zaczyna się szybka prezentacja posiadłości. Całość jest już pięknie ogrodzona siatką drucianą. Od frontu wytyczona i udeptana jest ulica, po której mogą nawet jeździć samochody czy w ogóle pojazdy mechaniczne, a prowadzi ona na Barchów. Jest brama wjazdowa i furtka, od strony zaś rzeki Liwca furtka pozwalająca wyjść na plażę, która na razie w postaci ogromnej wydmy piaszczystej zajmuje ogromną połąć na samym środku rzeki. Ale jak zapewniają gospodarze, nie ma co się tym przejmować, bo Liwiec znany jest jako bardzo kapryśna rzeka i po każdej większej wodzie zmienia koryto i jego bieg zakreśla coraz to inne meandry, tak, że gdzie dziś mamy łąkę piaszczystą, po większych deszczach może powstać głęboka woda, a łąka piaszczysta spłynie z rzeką gdzieś w dół, w inne miejsce. Zresztą Janusz ma zamiar rzekę trochę uregulować, zbudować ostrogę, która

będzie z jednej strony broniła, by woda łąchy nie zabrała, a z drugiej by powstało przy niej zagłębienie pozwalające nie tylko na wygodną kąpiel w rzece, ale i na jakiegokolwiek pływanie w niej bez szorowania brzuchem po dnie, a ponadto ma zamiar łąchę utrwalić, sadząc na niej pędy wierzb i olchy. Ano zobaczymy!

Wracając do topograficznego opisu obiektu naszego zainteresowania, to jest to zadanie nie takie łatwe, uwzględniając w jakich warunkach się dzieje. Przede wszystkim jest to dla nas nowość, rzecz dotąd obca i nieznana, w której wszystko nas dziwi, zaskakuje, cieszy i gorszy lub nawet przeraża. Jako, że nasz stosunek jest już z góry nastawiony emocjonalnie i jak najbardziej przychylnie, a przede wszystkim dlatego, że cała sprawa jest jeszcze „in statu nascendi”, w stanie powstawania. Obawiam się więc żeby nie przeholować z opisem. Myślę, że nie należy się spieszyć, zwolnić tempo i odłożyć to w czasie. Jestem przekonany, że tak czy inaczej do opisu tego gniazda, nawet bardziej szczegółowego różnych jego elementów będzie się powracało jeszcze niejednokrotnie. A więc nie spieszmy się! Rzecz jasna, że my z Jeleniej Góry możemy, i to nie bez kłopotów, do Gniazdowa doskakiwać raz w roku, w czasie wakacji. Cała rekonstrukcja będzie się odbywała bez naszego udziału (bo niby jakim prawem?), ale już pod stałym nadzorem i opieką właściciela i gospodarza, pana Józefa Gonery, który już jako wysłużony w służbie państwowej emeryt i jako zasłużony uwieńczonym sukcesem przemysłowiec. Pod własnym dachem może zażywać „panem bene merentium” i przyjmować gościnnie rodzinę, przyjaciół i znajomych i gościć ich „czym chata bogata” i cieszyć się życiem wraz z nimi. No ale nie wybiegajmy przed orkiestrę! Na razie możemy tylko pomarzyć, porozmawiać o planach i zamiarach, jak i o wizji jaką widzimy dla tej posiadłości.



Fot. 10. Wycieczka motocyklowa Stanisław Krasonia i jego syna Jacka. Spotkanie między Wyszkowem a Łochowem. Stanisław na motorze SHL, Jacek na motorze WSK.

Pani Julia Gonerowa zdążyła już przeprowadzić pewne zwiady i wywiady w okolicy i ustaliła, że w Barchowie mają doskonały gruziński koniak z trzema gwiazdkami po bardzo przystępnej cenie. W Jadowie jest natomiast wytwórnia wspaniałych lodów, po które przyjeżdżają klienci nawet z Warszawy. A sąsiedzi? Po prawej, za płotem swoją działkę ma pan doktor Moskwa, z żoną i dwoma dorastającymi synami. Pan doktor jest etatowym lekarzem w Polskim Związku Piłki Nożnej. Naprzeciw, po drugiej stronie ulicy ma swoją willę znany i popularny literat, krytyk, karykaturzysta, malarz, jednym słowem istny kulturalny omnibus, przyjaciel i adwersarz satyryka Eryka Lipińskiego, twórcy Muzeum Karykatury, pan Szymon Kobyliński. Częstym gościem w willi pana Kobylińskiego bywał Janusz Przymanowski - autor znanej i popularnej powieści wojennej dla młodzieży „Czterej Pancerni i Pies”. Sfilmowanej następnie jako serial telewizyjny. Pan Szymon Kobyliński postawił sobie za punkt honoru zapuścić i wyhodować wspaniałą (na wzór biblijnych patriarchów) brodę, by wyglądać na „mędrca”. Tyle, że z tą brodą jakoś nie bardzo mu wychodziło, bo zawsze mu rosła taka kozia bródka, skąpa jak u Tatara. Przez całe lata musiał włożyć wiele starań i wysiłków, aby osiągnąć swój cel, ale był cierpliwy i wytrwały i już po około 40-tu latach mógł w telewizji (gdzie prowadzi pogadanki dla młodzieży w ramach programów edukacyjnych o sile tradycji, oparte na opowiadaniach, a może raczej na gawędach na temat *Trylogii* (a w szczególności na *Ogniem i Mieczem* Henryka Sienkiewicza) pokazać się z nią i z dumą, znanym majestatycznym gestem ciągle ją gładzić.

Z innych interesujących i znaczących sąsiadów, wypadałoby wspomnieć czy wymienić tych mieszkających z lewej strony, do których często wpadali goście ze świata artystycznego. Między innymi znana aktorka teatralna i artystka kabaretowa, popularna Kalina Jędrusik, która stale narzekała na chroniczny brak gotówki:

- *Oboje z mężem pracujemy. Za same butelki po alkoholu mamy przeszło 500 zł miesięcznie! i nie starcza.*

Ostatnim sąsiadem wzbudzającym, jak to się mówi, „mieszane uczucia” był reemigrant, Polak z Ameryki. Pracował tam w jakimś zakładzie przemysłowym pracował jako kowal. Wypracował sobie w tej kuźni 200 dolarów emerytury, którą Amerykanie skrupulatnie przesyłali i wpłacali na jego konto dewizowe w banku. 200 dolarów amerykańskich to był wtedy pieniądź. Chłop kupił sobie naprzeciw wspaniałą willę, jeździł

pięknym, potężnym amerykańskim samochodem i żył jak magnat, ale i jak od magnata ludzie od niego stronili, a i on się do nich nie garnął. Żył jak samotnik, mizantrop.

Na coraz dokładniejszym zapoznawaniu się z nowymi szczegółami, a właściwie to przeważnie na snuciu planów i projektów na dalszą i bliższą przyszłość. Szybko mijał nam czas. Szczególnie przed wieczorem, po całodziennym krzątaniu przyjemnie było usiąść na „przyzbie” i prawie marzyć, w przyszłym roku na wiosnę. Może jeszcze w tym roku na jesieni, trzeba będzie zasadzić trochę krzaków truskawek. Podobno lepiej na jesieni, bo już następnego roku mogą owocować. Truskawki to wczesny owoc, jak wszystkie jagody mają swój wysyp już w czerwcu, na świętego Jana. Ludowe porzekadło mówi przecież „na święty Jan, jagód dzban”, a dla nas przyjazd do Gniazdowa w czerwcu jest absolutnie niemożliwy ze względu na szkołę chłopców i moje technikum, w którym nauka kończy się również w czerwcu. Tak, że chyba ani truskawek, ani malin w Gniazdowie nie będziemy mieli okazji kosztować. Malin nie trzeba sadzić, to leśny chwast i sam się rozprzestrzenia. Trzeba tylko czuwać i wycinać suche, zeszłoroczne łodygi i badyły oraz wycinać podziemne kłaczka, które się płożą i lubią wmeldowywać się na sąsiednie tereny. Pod płotem widziałem na rosnącej tam leszczynie sporo nawiązanych orzechów, ale widziałem też rude wiewiórki, plądrujące tę leszczynę. Jak się już zwiedziały to i orzechy wyprowadzą. Przychodzą tu po gałęziach drzew z Julinka. Julinek to szkoła artystów cyrkowych, usytuowana przy drodze do Pogorzela w pięknym sosnowym lasku. Teraz jest tam cisza i spokój. Chyba również wszyscy porozjeżdżali się na wakacje, ale w normalnym czasie panuje tam ożywiony ruch i krzątanie. W szkole uczy się niemała grupa młodzieży.

I tak to dzień po dniu szło, a czas leciał i prędzej niż się oczekiwało trzeba się było zbierać do domu, do zwykłej codzienności. Obiecując sobie możliwie w krótkim czasie znowu tu powrócić na te kilka beztróskich tygodni. Możliwie, że już w następnym roku na kolejne wakacje. Ano pożyjemy zobaczymy! Zbieraliśmy się do drogi powrotnej ze zrozumiałym ociąganiem, ale tymczasem na miejscu popsuła się pogoda. Zrobiło się mokro i zimno, a przy takiej pogodzie, na zapadłej wsi, takiej jak Gniazdowo, co robić? No właśnie! Trzeba coś robić, aby zabić panoszącą się wtedy nudę. Entuzjaści gry w karty, nie mówią o hazardzistach, ale o zwykłych entuzjastach gry w brydża. Obecnie bardzo modnego, a jeszcze za moich studenckich czasów dopiero torującego sobie drogę „na salony”, dzięki amerykańskiemu brydżyście i teoretykowi tej gry, Ely Culbertsonowi, autorowi licznych podręczników popularyzujących tę grę. Brydż w końcu wyparł panującego dotąd powszechnie i niepodzielnie po wszystkich dworach i plebaniach, „preferansa”, zwanego powszechnie grą proboszczów.

Ani Józiek, ani ja nie byliśmy entuzjastami gry w brydża, a nasze panie przejawiały pod tym względem znacznie więcej zainteresowania i entuzjazmu grą, tym więcej im mniejsze były ich umiejętności w rozgrywaniu robrów. Tylko, że nieraz, psia aura po prostu zmuszała do szukania w brydżu rozrywki dla zabicia czasu. Wtedy siadaliśmy, dwa małżeństwa przeciwko sobie, Józiek i Julcia przeciwko Irce i mnie. W rzadkich wypadkach, kiedy obecni byli Janusz Gonera i Jasio Goebel, obaj zapaleni brydżyści, te czwórki różnie się układały. Często grano wtedy w piątkę, z tzw. piątym wychodzącym. Jestem święcie przekonany, że gdyby ktoś obcy, postronny, jakiś średniej klasy brydżysta, który dokładnie przestudiował i poznał zasady gry pana Culbertsona według jego podręczników i zdobył jaką taką praktykę, czyli krótko mówiąc, miał już szkołę za sobą, gdyby więc on przyglądał się z boku naszym rozgrywkom, to albo z rozpaczy dostałby skrętu kiszek, albo żółtaczkę. Nam to jednak nie przeszkadzało. Emocji i tak było tyle, że wystarczało w zupełności dla zabicia trapiącej nas chwilowo nudy. To też skłaniało nas do możliwie szybkiej ucieczki od złej pogody, od domu i od powszedniego dnia!

W domu od razu na wstępie zastała nas przykra i nieprzyjemna niespodzianka. Miecio Wnukowski skarży się, że ten wspaniały, mądry i inteligentny pies, Morus, przez ten miesiąc zrył mu i podkopał dookoła cały dom i kawał ogrodu z tulipanami włącznie. Wprawdzie nie wyrządził mu wielkich szkód, bo cebulki tulipanów już były wykształcone, ale nie przypuszczał, że Morus ma takie głupie przyzwyczajenie, by kopać jamy pod fundamentami budynku, czy też w sadzie lub warzywniku. I my też nie wiedzieliśmy i nawet nie przypuszczaliśmy. w domu nigdy nie miał okazji do takich wyczynów. Mieszkał na trzecim piętrze, a w mieszkaniu nie miał raczej możliwości gdziekolwiek kopać, wszędzie bowiem natrafiał na twarde drewniane deski, a kiedy wychodził na spacer co innego miał w głowie, niż kopanie nor, a wyprowadzałem go zawsze daleko w pole aż pod samą Łomnicę, nad rzekę Bóbr. Przez całą drogę nie spoczął ani na chwilę, przez cały czas hasał i gonił po polach jak szalony, gdzieś tam, gdy znalazł padlinę to tarzał się w niej z widoczną rozkoszą i perfumował się tym zapachem z wielkim zadowoleniem. Równie chętnie skakał przez spotykane płoty i żerdzie ogrodzeń pastuszych, bez przymusu i zachęty z mojej strony. Ot, tak dla własnej satysfakcji. z równą też ochotą lubił pływać i pławić się w Bobrze. Widać było, że sprawia mu to prawdziwą radość, ale żeby kopał jamy? Tego nie wiedzieliśmy, tego atawistycznego nawyku nie mogliśmy u niego wykryć, bo w naszej obecności nie miał okazji zdradzić się z nim. Sprawa była o tyle przykra, że to, co się stało jakoś wyrównaliśmy w spokoju i zgodzie, ale na przyszłość ewentualna kwatery u Miecia była dla Morusa wykluczona. Nowy kłopot, ale pocieszałem się, że o tym będzie jeszcze czas myśleć za rok, ale pewne zagrożenie już jest, z którym muszę się jednak liczyć.

Zupełnie nieoczekiwanie i to niemal w ostatniej chwili, pojawiło się nowe i znacznie poważniejsze zagrożenie. W tym, 1965 roku urlopu nie będę mógł wykorzystać tak jak w roku poprzednim i jak w swych planach zamierzałem, w lipcu, a tok pracy i życia przebiegał dotąd od wakacji ubiegłego roku zupełnie normalnie i jak to teraz modnie się określa: „rutynowo”. I nic nie zapowiadało żadnych perturbacji. Tymczasem, gdzieś tam w dalekim świecie Międzynarodowa Organizacja Normalizacyjna „I.S.O.”, uchwaliła szczegółowe przepisy na temat ustalania norm jakościowych w przemyśle i swoją uchwałę wprowadziła do powszechnego stosowania. W druku ukazały się odpowiednie instrukcje i podręczniki, oraz obowiązujące przepisy ISO. Niezależnie, resorty przemysłu zarządziły przeszkolenie odpowiednich służb i pracowników zakładów przemysłowych odpowiedzialnych za normy jakościowe. w naszej branży, Mechaniki Precyzyjnej, takie 6-tygodniowe przeszkolenie zorganizowano w Łodzi, przy Widzewskiej Fabryce Maszyn - „WIFAMA”. W Jeleniej Górze przypominano sobie, że najbardziej odpowiedzialnym i nadającym się do tego przeszkolenia, czy doksztalcenia pracownikiem jest... Krasoń, jako kierownik Wydziału Kontroli Jakości i jako już pewnego rodzaju praktyk, gdyż w 1948-49 roku przez pół roku zasiadałem jako członek w Polskim Komitecie Normalizacyjnym (PKN).

Nie znałem wtedy jeszcze treści odnośnej uchwały ani przedmiotu doszkalania. Nie miałem też podstaw do protestu, kiedy mnie na ten kurs doszkalający oddelegowano. Dopiero później, w trakcie szkolenia zorientowałem się, że przedmiot doszkalania dotyczył raczej ustalania norm jakościowych i odpowiednich tolerancji wymiarowych. Był raczej właściwy dla technologów, ustalających normy jakościowe wyrobów. Dla kontroli jakości interesujące były urządzenia, narzędzia i przyrządy służące do kontroli jakości i to one mogły w znacznej mierze zainteresować kierownika kontroli jakości, i zainteresowały. Nie było więc sensu protestować, zresztą było i tak za późno. „Chcąc nie chcąc” ukończyłem 6-tygodniowy kurs normalizacyjny i to z wynikiem dobrym. Zajęcia teoretyczne w pewne dni tygodnia odbywałem się w zakładzie Politechniki Łódzkiej, a zajęcia praktyczne na terenie Widzewskiej Fabryki Maszyn. Z wielkim zainteresowaniem oglądaliśmy wspaniałe urządzenia i przyrządy pomiarowe służące do precyzyjnych pomiarów różnych gabarytów produkowanych tu, wspaniałych automatycznych obrabiarek, rozsyłanych na cały świat.

Soboty i niedziele były wolne od zajęć, więc na te dwa dni typowy „weekend”, autobusem PKS, kursującym regularnie na trasie Jelenia Góra-Łódź Fabryczna przyjeżdżałem do domu, do Jeleniej Góry. W pierwszych tygodniach, kiedy jeszcze nie bardzo byłem zorientowany w panujących w naszym zespole warunkach i stosunkach, wolny czas próbowałem wykorzystywać na odnowienie więzów rodzinnych. Przecież byłem urodzonym Łódzianinem. w Łodzi ciągle jeszcze przebywała cała żyjąca rodzina mego ojca, a więc obie

jego siostry, starsza Andzia i młodsza, Stasia, obie już wdowy, tak Gronowska jak i Zarzycka, obie babcie z liczną rodziną potomnych, no i wydawało mi się najbliższy bo rodzony najmłodszy brat Antek, którego kiedyś w Piotrkowie za rączkę prowadziłem do szkoły, do pierwszej klasy podstawówki, teraz pan magister po ukończeniu studiów na Uniwersytecie Łódzkim, piastował stanowisko dyrektora naczelnego Widzewskiej Fabryki Metalowej, WIFAMET, której specjalnością była produkcja galanterii metalowej, a w szczególności ostrz do golenia, tzw. „żyletek”. Mieliśmy w tym czasie w Polsce trzy fabryki produkujące między innymi żyletki, w Rawie Mazowieckiej, w Radomiu i w Łodzi. Tamte dwie nie mogły sobie poradzić z osiągnięciem odpowiedniego poziomu jakościowego i musiały zrezygnować z produkcji ostrz. To samo groziło zakładom w Łodzi. Jednak Antek doprowadził do tego (a mógł, bo miał duże chody w łódzkim wojewódzkim Komitecie Partii), że fabryka zakupiła licencję i technologię produkcji ostrz do golenia od renomowanej fabryki angielskiej „Wilkinson”, produkującej światowej sławy żyletki do golenia.

Kiedy wówczas odwiedziłem Antka, akurat odbywały się pierwsze próby produkcji według nowej technologii. Zarówno Antek, jak i dyrektor techniczny byli jak najlepszej myśli. Miałem wtedy okazję prześledzić od początku do końca cały proces produkcyjny, który był niezmiernie interesujący. Wybiegając nieco naprzód, mogę powiedzieć, że transakcja z „Wilkinsonem” była transakcją udaną. W stosunkowo krótkim czasie załoga „WIFAMETU” doskonale opanowała trudne arkana nowej technologii, doskonale przyswoiła sobie technologię, wyłączyła się spod patronatu WIFAMETU, usamodzielniała się i pod marką: „POLSILVER” produkuje doskonałe ostrza do golenia o wysokim standardzie europejskim a może nawet światowym.

Antek mieszkał na ul. Lutomierskiej, też Bałuty. Myślałem nawet czy u niego (u brata) nie zamieszkać. Jednak po pierwszej wizycie w niedzielę, zrezygnowałem. Po pierwsze, Lutomierska i Widzew to dwa przeciwległe krańce bądź, co bądź dość rozległego miasta, przez które musiałbym przynajmniej dwa razy dziennie przejeżdżać przez całą jego długość. Przy tak ciasnej zabudowie jak w śródmieściu Łodzi i przy takim zatłoczeniu w godzinach szczytu, przebijanie się zatłoczonym tramwajem, byłoby zbyt męczące i wyczerpujące. Po drugie, mieszkanie miało bardzo ładne, dwa pokoje z kuchnią, ale tak jakoś dziwnie zbudowane, że choć wszystkie okna wychodziły na północ na ulicę Lutomierską, mieszkanie było ciemne (przynajmniej takie na mnie zrobiło wrażenie). Żyło ich w tym mieszkaniu czworo, a mimo to mieszkanie przez prawie cały dzień było niezamieszkane. Antek szedł na ósmą do fabryki, na Widzew. Halina, jego żona również do pracy, do magistratu gdzie pracowała w wydziale kadr, a dwoje dzieci, starsza córka i młodszy syn, do szkoły na ósmą. Mieszkanie pozostawało zamknięte na głucho.

Kiedy zgodnie z zaproszeniem zjawiłem się w niedzielę z wizytą na umówioną drugą godzinę, w domu zastałem tylko panią gospodynię. Chociaż była już godzina druga po południu dopiero zabierała się do zrobienia niedzielnego obiadu. Trwało to do godziny piątej po południu. Gospodyni narzekała, że kupiła wprawdzie ćwiartkę do obiadu, ale niestety Antek zdążył już ją wypić. Podobno był już całkowicie uzależniony. Że to pomówienie miało wszelkie cechy prawdopodobieństwa, w niedługim czasie mogłem się sam przekonać. Któregoś nieświętecznego dnia, Antek zaproponował mi spacer do Piotrkowa, by odwiedzić rodziców. Jako dyrektor tak poważnego zakładu przemysłowego, miał do dyspozycji samochód i kierowcę. Do Piotrkowa z Łodzi było zaledwie około 40 kilometrów dobrej drogi. Dla samochodu to lekki spacer, ale jakoś ten spacer nam się dziwnie przedłużał, a to dlatego, że tak naprawdę jechaliśmy „rzemiennym dyszlem”. Od gospody do gospody (do każdej z nich kierowca podjeżdżał bez żadnego sygnału ze strony pana dyrektora), a w każdej z nich Antek wypijał jedno czy dwa piwa i jechaliśmy dalej, z tym, że po każdym takim krótkim postoju język pana dyrektora coraz bardziej mu się plątał. Pan dyrektor mówił coraz mniej zrozumiale. w Piotrkowie był już w takim stanie, że po krótkim, bełkotliwym przywitaniu i kilku wymienionych niezrozumiałych słowach czy zdaniach trzeba było wracać do Łodzi.

W czasie niedzielnej wizyty, na moje pytanie o Zarzyckich i Gronowskich, o rodzinę Ojca, Halina powiedziała mi, że żyją na Bałutach na Zgierskiej czy na Stefana. Podała przybliżony adres, ale stwierdziła, że nie utrzymują z nimi stosunków. Nie wyjaśniała przyczyny, ale z tego, co powiedziała wynikało, że ona sama nie chce, a Antkowi zabroniła. Trudno było ustalić przyczynę, dopóki nie wybraliśmy się wspólnie z Antkiem z wizytą do Rodziców do Piotrkowa. Wtedy zrozumiałem przyczynę...

Mimo widocznej niechęci, jaką okazywała w stosunku do Bałut, ulicy Zgierskiej czy Stefana, mimo obiektywności, dość zresztą enigmatycznych, jakie przedstawiała, postanowiłem jednak zajrzeć na Bałuty, aby zobaczyć co się tam dzieje i jak żyje rodzina Ojca. Zwłaszcza, że do ciotki Stasi Zarzyckiej, najmłodszej siostry Ojca i do całej jej rodziny zawsze czuliśmy dziwny sentyment. Ciotka Zarzycka i wujek jak i zresztą cała ich rodzina byli bardzo serdeczni i dali się lubić. Przy najbliższej więc okazji, kiedy znalazłem się w pobliżu Bałut (a miałem już trochę czasu wolnego), postanowiłem wstąpić na ul. Stefana, bo podobno tam ostatnio skupiało się życie rodzinne wokół Cioci Andzi Gronowskiej, najstarszej siostry mojego Ojca. Krajobraz w okolicy ul. Stefana zmienił się niewiele się w porównaniu z ul. Zgierską, którą Niemcy w czasie okupacji całkowicie spalili, jako, że była prawie wyłącznie zabudowana drewnianymi domami. Tu na Stefana, tak jak dawniej powszechnie panowała zabudowa parterowa z murowanych, jednorodzinnych domków, tyle, że znacznie zagęszczona i beładna. Miałem trudności z odnalezieniem właściwego domu, chociaż usytuowanie na ul. Stefana jednak

trochę pamiętałem z poprzednich, jeszcze przedwojennych czasów. I choć niewiele się zmieniło, to jednak wobec znacznego zagęszczenia budowlanego zacząłem błdzić po podwórzach. Ludzi jakoś dziwnie nie było nigdzie widać. Okazuje się, że byłem pilnie obserwowany z okien, zza firanek i zasłonek. w mieszkańcach dzielnicy wzbudziłem zainteresowanie nie tylko jako obcy, ale i podejrzenia. Bałuty nie pozbyły się swojej sławy i swoich, nie zawsze widocznie czystych procederów, więc do wszystkich obcych przybyszów odnosili się nieufnie i podejrzliwie. Czy to aby nie jakiś sekwestrator, poborca podatkowy czy inny komornik? Zadawali sobie takie pytanie, bo byłem ubrany po „miejsku”, nieco odmiennie i chodziłem z teczką (koniecznie, więc jakiś urzędnik). Wreszcie ktoś odważniejszy wyszedł z najbliższej sieni i zagadnął mnie:

- *Czego pan tu szuka?*

Na to dość agresywne i dwuznaczne pytanie zacząłem się już tłumaczyć, kiedy obie ciotki, obserwujące tą scenę przez okno spoza firanek poznały mnie i szybko wybiegły aby mnie przywitać i zaprosić do środka, gdzie zebrana jest prawie w komplecie cała „łódzka” rodzina. Jak to się mówi „miałem nosa”, bo akurat obchodzono jakąś uroczystość rodzinną, już nie pamiętam jaką, imieniny czy chrzciny i dlatego taki zastałem zjazd. Mimo woli stałem się delegatem i reprezentantem rodziny „Piotrkowskiej”.

Po pierwszych na wpół oficjalnych powitaniach, wyjaśnieniach i prezentacjach nowych, nieznanych mi jeszcze członków rodziny zrobiło się raźniej i weselej. Zaczęły się opowiadania i wspomnienia tego co przez ten czas od początku II Wojny Światowej się w rodzinie wydarzyło, co kto przeżył?... Trudno by powtarzać wszystko to, co się wciąż tego ostatniego ćwierćwiecza wydarzyło. Ogólnie rzecz biorąc wszyscy bez wyjątku wydorośleli, postarzelisi o te lata, wielu nowych członków rodziny ujrzało światło dzienne, ale klasyczny przykład przemian i przeżyć, o którym koniecznie trzeba wspomnieć dotyczył tego kim jest Stefan Zarzycki.

Kiedy przed wojną jako plutonowy podchorąży odwiedziłem w Łodzi wujostwo Zarzyckich. Stefan był w tym czasie uczniem pierwszej klasy szkoły podstawowej. Kiedy miał wracać ze szkoły, Ciotka Stasia powiada do mnie:

- *Uważaj! Stefan wraca ze szkoły. Zobacz co będzie robił!*

Istotnie za chwilę wpada do mieszkania jak bomba pierwszoklasista, nie witając się z nikim, rzuca torbę z książkami gdzieś na krzesło czy tapczan i spieszy do kredensu. z szufladki wyciąga gumowy smoczek „oseska”

i zaczyna go z pośpiechem ssać. Widać, że był za nim stęskniony. Taką miał namiętność! Był już na tyle dorosły, że sam się tego wstydził i dlatego robił to tylko ukradkiem, po kryjomu, ale robił! W dniu wybuchu wojny, we wrześniu, miał już chyba czternaście lat, w każdym razie był już w tym wieku, że Niemcy, jeszcze przed zakończeniem wojny zdążyli go wywieźć do Rzeszy na roboty przymusowe. Koniec wojny zastał go w amerykańskiej strefie okupacyjnej. Wraz z kilku innymi, takimi jak on przymusowymi robotnikami, Polakami został zwierzbowany do wyjazdu do Stanów Zjednoczonych. Oparł się w Chicago, gdzie grupuje się najliczniejsza polska emigracja w Ameryce. Zaczął pracować w hucie stali jako topiarz (giser) przy wielkich piecach. Zaczął dobrze zarabiać, chociaż praca była ciężka, wyrósł na mężnego, zdrowego i lubianego mężczyznę. Oczywiście grał namiętnie w piłkę nożną i to zupełnie dobrze, a poza tym pasjonował się sportem, a w szczególności piłką nożną. Aktywnie udzielał się w polonijnym związku piłki nożnej i szybko został wybrany jego prezesem. Cieszył się ogromną popularnością Amerykańskiej Polonii. w 1958 roku na zaproszenie Łódzkiego Klubu Sportowego i Rady Narodowej Miasta Łodzi przyjechał do Łodzi na uroczystości związane z jakimś jubileuszem Klubu. Bawił w Łodzi kilkanaście dni przyjmowany i fetowany jako delegat Polonijnego Związku Sportowego w Ameryce. Przekazał Łódzkiemu Klubowi Sportowemu od Polonii w Chicago bogate dary w postaci sprzętu sportowego oraz w gotówce, a sam otrzymał na pamiątkę tego spotkania piłkę z autografami wszystkich prominentów Zarządu Miasta Łodzi i Łódzkiego Klubu Sportowego.

Mimo, że te uroczystości i fetowania trwały kilka dni, Antek bądź, co bądź, jego cioteczny brat i również w tym czasie prominent łódzkich władz, nie brał w tym udziału. Podejrzewam w tym niewidzialną rękę bratowej.

Ciotka Zarzycka i cała rodzina z wielkim entuzjazmem i dumą, opowiadali o Stefanie, o licznych i bogatych podarunkach jakie dla nich przywiózł z Ameryki. Ciotce chciał nawet kupić elegancki, amerykański samochód

- *Ale Stasiu! Nie chciałam. Nie będę przecież jeździć nim po Łodzi, bo nie umiem.* – ripostowała Ciocia.
- *Będę Ci przysyłał dolary, abyś nie cierpiała biedy.* – odpowiadał Stefan.
- *I przysyła. Tak, że nam teraz żyć nie umierać!*

Marysię, młodszą z siostr, która jest wyszkoloną mistrzynią „rękawiczniczką” namawia do wyjazdu do Ameryki.

- *Pomogę ci tam otworzyć warsztat kaletniczy i będziesz produkowała nie tylko rękawiczki, ale i inną galanterię skórzaną, bo potrafisz i masz papiery. I będziesz panią całą głębą.*

Jak się w kilka lat później dowiedziałem, Marysia do Chicago wyjechała na zaproszenie brata i tam pozostała.

W moich starych szpargałach z tej wizyty na Bałutach pozostały dwie fotografie, Stefana Zarzyckiego z 1958 roku, z czasu jego pobytu w Łodzi i całej rodziny w komplecie z roku 1965. Na tym zdjęciu króluję w licznych wianeczku pięknych kuzynek w różnym wieku, od ośeska, do prababci w samym ich środku, jedyny mężczyzna w okularach.

Właściwie na tych odwiedzinach skończyły się moje kontakty z „łódzką” rodziną. Wolniejsze godziny w ciągu tygodnia poświęcałem raczej na „naukę własną”, gdyż kurs dokształcający gonił szybko naprzód i materiał piętrzył się niepokojąco. A nie był to błahy materiał. Jak to już wspomniałem, była to wiedza na poziomie wyższej szkoły technicznej i dotyczyła w pierwszym rzędzie inżynierów-technologów i konstruktorów, którzy budując, czy konstruując produkty przemysłu maszynowego, czy budowlanego w projektach i technologii ustalali wymiary produkowanych przedmiotów i odpowiednie do nich tolerancje. Krótko mówiąc, normy jakościowe.

W wolne zaś dni, to znaczy soboty i niedziele, czyli krótko mówiąc, weekendy, jechałem autobusem PKS-u do domu, do Jeleniej Góry. Pewnego piątku do mojego autobusu na Dworcu PKS w Łodzi Fabrycznej wsiadło zaaferowane i rozgadane towarzystwo. Grupa młodych ludzi obojga płci. z ożywionej, dość głośnej i swobodnej dyskusji czy wymiany zdań jaką między sobą prowadzili można było bez trudu wywnioskować, że są lekarzami, przynajmniej niektórzy z nich, ale wszyscy są pracownikami szpitala w Tuszynie, i że wracają z jakiejś narady czy konferencji dotyczącej służby zdrowia. Wśród nich znajduje się ordynator szpitala w Tuszynie. Ten pan doktor został wydelegowany przez władze miasta Łodzi na ważny zjazd, który ma się odbyć nazajutrz. Prawdopodobnie miała to być jakaś dwudniowa (sobota i niedziela) sesja naukowa na której pan ordynator ma wygłosić referat. Dla uzupełnienia materiałów do referatu, mimo dość późnej pory wszyscy wracają do Tuszyna, do szpitala, aby te materiały jeszcze dziś skompletować. Autobus tymczasem ruszył

w drogę przez miasto Górną i na trasę do Jeleniej Góry. Dziś już trudno mi odtworzyć trasę jaką autobusy tej linii przebiegały. Mogę tylko przypuszczać, że była najkrótszą ze wszystkich możliwych, z małymi wyjątkami. Z miejscowości, które zapamiętałem, a w których się zatrzymywał dłużej dla odprężenia się pasażerów i załatwienia pilnych potrzeb fizjologicznych to był Wieruszów i Kępno, a następnie Strzegom. W każdym razie pierwszym przystankiem po wyjeździe z miasta Łodzi był Tuszyn. Autobus zatrzymał się normalnie i przepisowo na poboczu przystanku, a rozgadana grupa medyków zaczęła się żwawo z niego wysypywać z zamiarem przejścia przed maską autobusu na drugą stronę szosy, po której znajdował się nieopodal, widoczny zresztą z okien autobusu, szpital w Tuszynie. I wtedy, kiedy pierwszych troje wychyńło na szosę spoza autobusu od strony miasta Łodzi na pełnym gazie nadleciał terenowy „łazik” wypełniony jakimś rozbawionym towarzystwem i uderzył całym pędem w trójkę wysuniętych lekarzy, wśród których znajdował się ordynator szpitala w Tuszynie. Trudno opisywać mi skutki tego zderzenia. Nawet nie próbowałem wychodzić z autobusu by przyrzeć się tej masakrze. Łazik oczywiście się zatrzymał z całym pijanym towarzystwem, ktoś pobiegł do pobliskiego szpitala po pomoc medyczną i zadzwonił na milicję. W krótkim czasie pojawili się lekarze i noszowi ze szpitala, karetka pogotowia i samochód z milicją. Zaczęły się rutynowe działania przewidziane w takich wypadkach, które trwały cztery godziny. A my czekaliśmy w autobusie. Tak, że do Jeleniej Góry autobus dojechał o trzeciej nad ranem. Jeszcze jedno warto jest w tym do odnotowania. Samochodem „gazikiem” czy „łazikiem”, sprawcą tego tragicznego wypadku, jak wykazało przeprowadzone na miejscu śledztwo, kierował osobiście kierownik Wydziału Komunikacji Miejskiej Rady Narodowej w Łodzi!

Tymczasem w domu, w czasie tej mojej, praktycznie rzecz biorąc, prawie miesięcznej absencji, sprawy pod względem normalności przebiegu, pod dyktando mej czcigodnej małżonki toczyły się gładko i sprawnie! Nad podziw! Irka doskonale dawała sobie radę. Zresztą miała już pod tym względem niemałą i długoletnią praktykę. Najpierw przez pięć lat wojny i okupacji niemieckiej z dwojgiem dzieci i to w warunkach nieskończenie gorszych, a następnie już w niepodległej Polsce, osiem miesięcy z trzema synami w czasie mojego aresztowania i uwięzienia. Nieraz, to nie tylko się dziwiłem i podziwiałem jej zaradność i pragmatyzm, ale i wstydziłem się, bo wyglądało to nieraz tak, jakbym w tym małżeństwie był niepotrzebnym dodatkiem, takim „na wszelki wypadek”, jak piąte koło u wozu! I teraz, w okresie mej nieobecności w domu, nie zasypiała gruszek w popiele, ale wychodząc z założenia, że warunki tak się ułożyły, iż w tym roku jedyną szansą na urlop jest miesiąc sierpień, a miała jednak ochotę ten urlop spędzić gdzieś na wczasach, nie wątpię, że cały czas myślała o pobycie w Gniazdowie, nie bez podstaw mogę nawet przypuszczać, że między siostrami istniał jakiś układ czy tajne porozumienie, że w tym, 1965 roku znowu w wakacje zjedziemy się, by gremialnie pomagać w budowie i zagospodarowaniu Gniazdowa, siedziby, z której mieliśmy nadzieję wielokrotnie jeszcze korzystać

jako z miejsca letnich wilegiatur. Faktem jest, że po powrocie z delegacji kształceniowej w sprawie nowych przepisów „ISO”, zastałem wszystko tak dalece przygotowane do urlopu wakacyjnego, że mogłem, jak to się mówi, korzystać z niego niemal „z marszu”. Chłopcy na ten miesiąc, sierpień, byli rozmieszczeni gdzieś po świecie. Andrzej, już 15-letni kawaler wraz z innymi kolegami, rówieśnikami, a przede wszystkim z przyjacielem Edkiem Markiewiczem, zajmuje się organizacją harcerskich wczasów wędrownych. Janusz zaś jest na obozie letnim, zorganizowanym przez Komitet Rodzicielski Szkoły. Nawet dla Morusa znalazło się na ten miesiąc lokum, u dobrych znajomych, których syn Edek jest serdecznym kolegą i przyjacielem Andrzeja, a pani Zosia Markiewiczowa bardzo przyjaźni się z Mamą Andrzeja. Upředzeni o głupim zwyczaju Morusa podkopywania się pod fundamenty domu, machnęli na to ręką, Dom jest murowany, podpiwniczony. Nie bardzo głębokie jamy będzie mógł wykopywać, wszędzie bowiem natrafi na twardy mur. A jeśli zechce ryc w ogródku? Co to za ogródek? To wyrzut sumienia i pretekst do narzekań. Jak widać, ogródek leży na dość stromym stoku po północnej stronie wzniesienia, zwrócony plecami do słońca. z tego powodu nawet w najbardziej upalne lato, najwyżej chodzące słońce, u nich podobnie jak i u Kępskiego, nie nagrzewa ziemi, a tylko ją muska po powierzchni i gładzi, dlatego w ogródku tak kwiaty, jak i warzywa, a nawet owoce takie jak wiśnie i jabłka są niedorozwinięte, anemiczne, nigdy nie dojrzewające. Uprawia się więc ten ogródek raczej dla zwyczaju i jakiejś moralnej potrzeby niż dla materialnych korzyści, których praktycznie nie ma z niego żadnych, no powiedzmy, prawie żadnych. Dlatego gdyby nawet Morus próbował i w nim buszować, wielkiej szkody nie narobi. Ale czy będzie chciał u nich siedzieć? Czy nie zechce uciekać? Ciekawe! Pod tym względem Morus charakteryzował się ciekawą cechą. Tu nie było żadnych kłopotów, Morus w obrębie ogrodzenia czuł się panem i gospodarzem i poza ogrodzenie samowolnie się nie wydalał, nawet jeśli brama czy furtka pozostawały otwarte. Nie próbował też nigdy przez ogrodzenie przeskakiwać, czasem tylko, w okresie psich wesel, wyprowadzony na spacer gdzieś nagle przepadał i zjawiał się znowu po dwóch, trzech dniach, zbiedzony, pobity, z poszarpanym futrem, pogryziony, pokrwawiony... Kładł się wtedy na swoim legowisku w pokoju pod piecem i całymi dniami liżał swoje rany. Na szczęście w tej porze, kiedy my wybieraliśmy się na urlop u psów rzadko zdarzają się psie wesela. Tak, że z tej strony nie musimy spodziewać się jakichś niespodzianek. Ostatecznie jednak i tym razem sprawa zakwaterowania Morusa na czas naszego urlopu była załatwiona pozytywnie.

Ponieważ dzięki Irce, wszystko na okres urlopu dla nas dwojga było przygotowane na medal i jak się mogłem zorientować, jako środek lokomocji brany pod uwagę był motocykl. Nic więc nie stało na przeszkodzie, żeby wyruszać w drogę na wczasy. Tym bardziej, że w zakładzie pracy, ze zrozumiałych względów, panu profesorowi nie robiono najmniejszych problemów w sprawie uzyskania urlopu w miesiącu sierpniu.

Przez długi czas zastanawiałem się jakie względy spowodowały, że Irka zdecydowała się na jazdę do Gniazdowa motocyklem. Czy pozazdrościła swej starszej siostrze „Puciuni”, Marcie Goebel, czy raczej myślała jednak o odwiedzeniu po 40 latach dawnych kątów z dni szczęśliwego dzieciństwa: Lublińca, Herbów i Częstochowy. Myślę, że raczej te sentymenty, te uczucia i wspomnienia zadecydowały o wyborze środka lokomocji i przebiegu trasy.

Kiedy wyjeżdżając, pomyślałem o czekającej nas przeszło 500-kilometrowej trasie (choć zdawało się więcej) byłem do tego przygotowany, przyzwyczajony i przystosowany. Myślałem jednak o tej jeździe z niepokojem, a co dopiero mówić o kobiecie jako pasażerze na tylnym siodełku motocykla? Bez wątplenia była to dla niej męcząca i wyczerpująca wyprawa. z troską o tym myślałem i dlatego nie miałem zamiaru bić żadnych rekordów ani dokonywać niezwykłych wyczynów. Postanowiłem jechać jak najbardziej spokojnie, z umiarkowaną szybkością, robić częste przerwy na papierosa i postoje, na rozprostowanie kości czy załatwienie innej czynności fizjologicznej, czy wreszcie z innej przyczyny, a nawet i bez widocznej przyczyny, aby tylko swobodniej odetchnąć i odprężyć się!

Przy naszej trasie spotykaliśmy „parkingi” - miejsca wydzielone obok ruchliwych szlaków komunikacyjnych. Ku zadowoleniu kierowców ostatnio ciągle ich przybywało. Taki parking automatycznie zapraszał do zrobienia przerwy w podróży, do odpoczynku i skorzystania z urządzeń sanitarnych.

Początkowo wydawało mi się, że nie ma siły, aby ominąć Warszawę, bo w gruncie rzeczy w czasie wakacji nie było czego szukać w jej rozgrzanych do białości murach, a ja tak okropnie nie lubiłem biedzić motocyklem po ruchliwych ulicach miasta... Taka już była moja fobia! Wtedy przypominałem sobie zeszłoroczną jazdę z Warszawy do Gniazdowa z małym Januszem i przeprawę przez Wisłę w Górze Kalwarii. Zacząłem studiować mapę. Okazało się, że mogę Warszawę ominąć po wyjeździe z Piotrkowa jadąc normalnie na Tomaszów Mazowiecki, Rawę Mazowiecką i w Rawie Mazowieckiej skierować się nie na Mszczonów, a na Grójec i Górę Kalwarię. Postanowiliśmy jednak nie omijać Piotrkowa, ale zrobić tam dłuższy postój i odpoczynek. Łącząc przyjemne z pożytecznym, odwiedzić przy okazji Rodziców i zapytać ich o zdrowie, a może i przenocować. Doszedłem jednak do wniosku, że dla kobiety, jako pasażera motocykla jednośladowego, czyli bez przyczepy, albo tak zwanego „kosza”, taka trasa jest zbyt męcząca i za długa. Zwłaszcza, że nie ma musu, aby przebywać ją jednym tchem. Poza tym, Irka chciała trochę poplotkować z Lutką, z którą widziała się ostatnio w Piotrkowie przed dziewięciu laty. Pogoda nam dopisywała, więc nie spiesząc się, jechaliśmy znaną mi już trasą, a w pamiętnych z dawnych lat miejscach robiliśmy postoje, oglądaliśmy,

ocenialiśmy, porównywaliśmy i omawialiśmy powstałe w tym czasie różnice i w krajobrazie i w topografii... I ciągle prawie z łezką w oczach wspominaliśmy. Kiedy to było...? Gdzie to było...? Jak to było...?

W Piotrkowie, do którego dotarliśmy krótko po południu, zaszły niewielkie zmiany. Dzieci Lutki podorastały, a sama Lutka właśnie wróciła ze szpitala po przejściu operacji szyi i gardła, na którym z powodu wadliwej czynności tarczycy, urosło jej potworne „wole”, które trzeba było operacyjnie usunąć. Oczywiście historia „wola” i pobytu w szpitalu itd., stała się głównym tematem rozmowy. Potem włączył się temat dolegliwości Mamy, którą odczuwała coraz silniej i dokuczliwiej do tego stopnia, że już większość dnia spędzała w łóżku, a lekarz opiekujący się Mamą stał się prawie stałym bywalcem domu. Temat stawał się niewyczerpalny, a kiedy rozmowa zesła na sprawy kobiece, na temat dorastających dziewczynek, stwierdziłem, że jestem tu na razie zbyt cenny i postanowiłem pojechać do Janka, do jego z „fantazji wyczarowanego Pałacu z Bajki”, do jego „majętności” w Jarostach. Kiedy tak mimochodem Lutka zaproponowała Irce nocleg na Mickiewicza, wsiałem na motor i pojechałem do Jarostów.

Tu tak jak przed rokiem panował malowniczy rozgardiasz. Wszystkie roboty, o których wtedy rozmawialiśmy, były nadal rozpoczęte, a śmiałe fantastyczne plany, pełne poezji i romantyzmu starego samotnika, były jak wtedy ciągle w stadium „in statu nascendi”. Znowu zrobiliśmy sobie obchód, znowu kurki własnego chowu dostarczyły świeżych jajek na kolację, ale tym razem do jajecznicy zielony szczypiorek był już z własnej, Jasia grządk. Tylko chleb i masło jest w dalszym ciągu importowane z miasta, z Piotrkowa, a zaopatrzeniem, jak dawniej zajmuje się Jula, bratowa, która dwa lub trzy razy w tygodniu odwiedza Jasia w jego będącej „w budowie” samotni.

Tego dnia jednak nie wpadła. Tak, że do późnej nocy pogadaliśmy sobie z Jasiem o wszystkim i o niczym; o domu, o rodzicach, o Matce, o Jurku i Juli, o Lenku i Lutce i o jasiowych planach na jutro i na dalszą przyszłość. Aż koło północy rozłożyliśmy się. Jak w ubiegłym roku, przespałem się w sianie pod strychem planowanego na niedaleką przyszłość jednego z pokoi sypialnych, do którego, jak poprzednio, na razie trudno się przecisnąć tak zwaną klatką schodową, ciasną jak przewód kominowy, a w sąsiedztwie obok niego na starym motocyklu urządziły sobie grzędy jankowe kury i przez całą noc zawiewał stamtąd zapach kurnika i senne gaworzenia drzemiących niosek, ale nie przeszkadzało mi to absolutnie i nie zakłócało zdrowego snu. o świcie, wraz z paniem koguta, byłem już na nogach. Po wypiciu szklanki herbaty, pożegnałem się z Jasiem i jeszcze z ranną rosą ruszyłem do Piotrkowa po Irkę. I ona była już na nogach i również przy herbacie, nie zwlekając więc długo, ruszyliśmy w dalszą drogę do Gniazdowa, ale omijając Warszawę. W Rawie Mazowieckiej, tak jak

zamierzałem, zboczyliśmy z traktu warszawskiego i skierowaliśmy się na boczną drogę do Góry Kalwarii przez Grójec, a potem normalnie przeprawiając się po pięknie odbudowanym po zniszczeniach wojennych moście. Irenka (jak mała dziewczynka) na ten czas przeprawy przez rzekę, zamknęła oczy, aby nie widzieć wody. Silniej objęła mnie i prawie kurczowo ścisnęła. Dalej już droga potoczyła się gładko: Kołbiel, Stanisławów, Łochów, Gwizdały, Pogorzelec i już Gniazdowo!...

Kiedy dziś, po wielu, bo przeszło 30 latach patrzę na to i oceniam nasze ówczesne zachowania i działania, nieodparcie nasuwa mi się wrażenie, że mimo „podeszłego wieku”, zachowywaliśmy się tak na tej względnej swobodzie, na prawie „naturalnym, dzikim i nie skażonym cywilizacją łonie natury”, jak małe dzieci, jak małe bez troskie dzieci. Już w dzieciach tkwiły w nas jakieś atawistyczne, wysane z mlekiem matki nawyki, odruchy i tęsknoty za dziką przyrodą, przygodą, prymitywizmem, ślaniające nas do szukania samotności w lasach i pustkowiach, budowania szałasów i ziemianek, tropienia dzikich królików czy zajęcy, brodzenia w strumieniach i łowienia w nich ryb i raków, płoszenia kamieniami żab. Tym to skłonnościami, tęsknotom i działaniami jako społecznemu zapotrzebowaniu chłopców małych lat wyszli naprzeciw pisarze, Defoe, pisząc swojego „Robinsona Kruzo”, a nawet Karol May, czy Jack London, a dla dziewcząt Mniszkówna, których powieści, mimo ich miernej, a często nawet kontrowersyjnej jakości tak literackiej jak i treściowej, zyskały ogromną poczytność, popularność i światową sławę.

I dziś mój brat Jasio w Jarostach, staruszek na rencie buduje swój wyśniony, wyimaginowany „pałac z bajki”, jak mały chłopiec. Podobnie zresztą emeryt, ojciec dzieciom, dziadek jedynej wnuczki - Kasi, Józef Gonera, buduje również swój „pałac z bajki” według własnej wizji, a różnica jest tylko taka, że ta budowa ma cechy użytkowości. Nieważne, że sezonowej, ważne że się buduje. Tak samo Janusz Gonera, chłop po trzydziestce. Absolwent Politechniki Warszawskiej, chłapie się i pluszcze w rzece, buduje jak mały chłopiec tamy, jazy czy inne ostrogi na rzece, sadi wierzby i wiklinę oraz olchę



Fot. 11. Gniazdowo, ostroga regulacyjna w wykonaniu Janusza Gonery, 1965 r.

i umacnia piaszczystą łąkę. Czy to jest praca produktywna, czy zabawa dorosłego dziecka? Gdyby się tak bliżej przyjrzeć wszystkim naszym działaniom i poczynaniom, odkrylibyśmy, że to nie dzieci mają zmysł naśladowczy, ich zachowanie od urodzenia przez wiek dojrzały aż do późnej starości, jest podyktowane w łańcuchu genetycznym odziedziczonym po rodzicach i po wszystkich antenatach przez wiele pokoleń wstecz.

W życiu człowieka nadchodzi pewien moment, w którym sobie uświadamia (a może nawet odczuwa to podświadomie), że czas ucieka, życie upływa, a on się starzeje. Że otaczający go świat jest w jakimś gigantycznym ruchu, dokądś dąży i zmierza... i wtedy rodzi się w nim potrzeba stabilizacji, zapuszczenia na stałe korzeni. Zaczyna budować własny DOM, według własnych wyimaginowanych planów i projektów. Nie według rzeczywistych i realnych potrzeb, lecz według wymarzonych, fantastycznych pragnień. Ten DOM w wyobraźni, to jakaś „oaza szczęśliwości”, pokoju, błogości i szczęścia. Jakieś „dolce far niente”. Oczywiście jest to utopia! Jednak coś z tej utopii się realizuje. Mój Ojciec wybudował domek rodzinny w Piotrkowie, brat Janek również buduje swój „pałac snów”, sielankowy, z sadem, strumykiem i stawem ze złotymi rybkami. Gonera, ponieważ w wielkim mieście stołecznym nie ma miejsca na sielankę buduje swoją „oazę szczęśliwości” w prawie o 100 kilometrów oddalonej od Warszawy osadzie, Gniazdowo. Moi synowie natomiast, gdzieś bliżej, na obrzeżu Warszawy kupują działki budowlane czy raczej rekreacyjne, na których w zasadzie nie ma możliwości nic trwałego budować, przynajmniej w obecnej epoce. Działki pozostaną więc chyba jako lokata kapitału, a dążności do budowania „własnej chaty”, zastąpić musi jako substytut, gospodarowanie na „działce pracowniczej” albo w ogródku działkowym. To taki, jak mówią Niemcy „ersatz”, czyli środek zastępczy.

Uprawa i pielęgnacja takiej działki to też swego rodzaju „sztuka dla sztuki”. Wydajność z każdego metra uprawianego w tym działkowym ogródku jest większa od 10 do 50 razy większa od wydajności rolniczej. Jest to zrozumiałe! Ogródki działkowe uprawiają „z zamiłowania” ludzie na ogół o wysokich kwalifikacjach; inteligenci, pracownicy naukowcy, urzędnicy, nawet profesorowie wyższych uczelni, autorzy książek naukowych również z dziedziny rolnictwa i ogrodnictwa. Zrzeszeni w kołach zainteresowań czy innych stowarzyszeniach skupiających zamiłowanych „działkowiczów”, gdzie istnieje stała wymiana doświadczeń i ocen sukcesów, a co w tym wszystkim jest najistotniejsze, ogromny wkład wiedzy, pracy i troski o każdy metr kwadratowy uprawianej ziemi. z własnego doświadczenia mogę powiedzieć, że w oficerskim obozie jeńców wojennych Oflag IIC w Woldenbergu i ja, jak zresztą i inni, dostałem do uprawy przydziału 1 m² jałowej ziemi. Szczery, czysty piasek, w ramach jenieckich „ogródków działkowych”. Na tym metrze kwadratowym piaseczku posiałem czy posadziłem w ilości reprezentatywnej różne warzywa i jarzyny: marchew, pietruszkę, kapustę (jedną główkę), i jednego buraka ćwikłowego, dla większych ilości nie starczyło na grządce miejsca. Plon, wbrew oczekiwaniom

miałem bardzo dobry, a szczególnie udał mi się ten burak ćwikłowy, osiągnął on wprost nieprawdopodobną wielkość piłki futbolowej. Głowa posadzonej obok niego kapusty osiągnęła również wielkość znacznie większą od przeciętnej.

Mankamentem ogródków działkowych jest jednak to, że mimo tak wielkiej wydajności z każdego metra użytku ogródka, użytkownik je uprawiający ma z tego niewiele korzyści, gdyż na ogół obfite plony z nich zbierają złodzieje rekrutujący się z marginesu dzielnicy, na której terenie ogródek się znajduje. Użytkownikowi na pociechę pozostaje satysfakcja z osiągniętych wyników hodowlanych oraz zdrowo i przyjemnie spędzonego czasu w ruchu, na świeżym powietrzu, wśród zieleni i w słońcu. Łatwo byłoby to przeboleć, gdyby złodzieje ograniczyli się tylko do zbierania plonów. Niestety tak nie jest. To nie są rasowi złodzieje, którzy mają swój złodziejski „honor”, ale szumowina, wandalę, którzy niczego nie uszanują. Włamują się do pomieszczeń i bezceremonialnie zabierają narzędzia i inny sprzęt ogrodniczy i w ogóle wszystko co można poruszyć i wynieść pod pachą.

Wracając jeszcze do działek jenieckich to pułkownik Sidorski pod słoneczną ścianą swego baraku, w którym mieszkał, zasadził trzy krzaki pomidorów. Krzaki te rozwinęły mu się bardzo pięknie. Ponieważ od strony północnej podpieraa je i osłaniała południowa ściana baraku, pomidory w swym rozwoju wykorzystywały ją w ten sposób, że dążąc do słońca zaczęły się po niej pięć w górę. Kiedy nadszedł czas ich dojrzewania, te wspinające się po ścianach baraku, zielone pędy pomidorów, obciążone ogromnymi gronami dorodnych, czerwonych owoców, stały się wspaniałym i oryginalnym motywem dekoracyjnym szarego jenieckiego baraku, wzbudzającym powszechny zachwyt i podziw. Pułkownik Sidorski zebrał ostatecznie z tych swoich trzech krzaków pomidorów, ponad siedem kilogramów owoców.

W pierwszym okresie pobytu w Gniazdowie, kiedy wszystko było jeszcze w ruchu, w budowie, w porządkowaniu, czas jakoś szybko mijał i nie bardzo było jak się nudzić. Szczęśliwie przy tym pogoda nam sprzyjała, ale zdarzały się i okresy, takie „trzydniówki”, kiedy przez cały czas nie padało, tylko siąpiło. Ot, taki sobie niewielki stały kapuśniaczek. i wtedy zmuszeni byliśmy do całodziennej a niekiedy nawet trzydniowej sjęsty, wtedy nie pomagał ani brydż, ani gruziński koniak z trzema czy pięcioma nawet gwiazdkami. Na szczęście takie dni były rzadkością, a kiedy nie padało, gdy słońce wyglądało zza chmur, albo gdy całkowicie panowało na firmamencie niebieskim, korciły wycieczki (krajoznawcze?) w najbliższe okolice... Julia miała motorower, polskiego „Komara” czy włoską „Lambrettę”, doskonały pojazd na wiejskie ścieżki i dróżki. Ja na swojej SHL-ce nie mogłem się tak swobodnie poruszać, bo wydeptane przez pieszych ścieżki obok drogi były wąskie, kręte

i niezmiernie wyboiste. Manewrować po nich tak ciężką maszyną jak SHL nie było wcale rzeczą łatwą, a znowu na piaszczystej polnej drodze, koła zaczynały zarówno w koleinach wyżłobionych chłopskimi furmankami jak i między koleinami zarzynać się niemal po same piasty kół, także chociaż wolno, to jednak szybciej można było poruszać się na motorze niż pieszo. Były różne kierunki jazdy i wyjazdów, okresowe, systematyczne, jak do Łochowa do piekarni po chleb. Aby bowiem jeść dobry świeży chleb, trzeba było już rano być w piekarni. Całe szczęście, że chleb był wspaniale wypieczony, pachnący, smaczny i nie czerstwiał, tak, że można było spokojnie kupować od razu większe ilości, na zapas, na kilka dni. Codziennie rano trzeba było gonić do umówionej gospodyni, aż gdzieś pod Kaliską po mleko i ewentualnie masło. Jedynie z cielęciną nie było kłopotu, bo przynosiła ją jakaś baba, przekupka dość często, chociaż nieregularnie, ale na tyle często, że w lodówce był zawsze pewien jej zapas. Bywały dni gdy słońce dogrzewało a upał dokuczał, bo i takie dni się zdarzały, to rzecz jasna większość dnia spędzało się nad rzeką w jej chłodnej wodzie. w rzece Liwiec, stanowiącej granicę posiadłości, o wodzie czystej i przezroczystej, nie skażonej jeszcze zdobyczami cywilizacji, ale niestety, ludzie już usilnie pracowali aby ten stan zmienić i uroczą strugę zamienić w śmierdzący rynsztok ściekowy. Między innymi przyczyniali się do tego i posiadacze „Dacz” rozsiadłych nad brzegiem, którzy z przepełnionych szamb nieczystości spuszczały po prostu do rzeki.

W takie właśnie upalne dni, nasze kobiety, a mam na myśli oczywiście „trzy siostry”: Martę czyli „Puciunię”, najstarszą z sióstr, następną z rzędu Julę czyli, „Julcię”, współwłaścicielkę i gospodynię na tych włościach i wreszcie najmłodszą z nich, Irenę albo po prostu Irkę moją czcigodną małżonkę. W takie dni nasze kobiety zwykle zgodnie dochodziły do wspólnego wniosku, że po dobrym obiedzie (a że z reguły obiady były wyśmienite, nie ulega wątpliwości, bo wszystkie trzy starały się „na wyprzódki” aby były jak najlepsze), dobrze byłoby podać na wety lody śmietankowe. To znaczyło, że po lody trzeba jechać do Jadowa, bo tam znajdowała się najbliższa wytwórnia o renomowanej jakości tego smakołyku. Jeśli przypadkiem obecny był Janusz Gonera to nie było problemu. Jak cała młodzież i on łąsy był na łakocie. Brał więc półtoralitrową emaliowaną banieczkę, zwykle używaną do noszenia mleka, swego nieodstępного psa Aresa czy Azora, wsiadał do Moskwicza i jechał do Jadowa.

Do Jadowa jeździło się częściej, ponieważ tradycyjnie odbywały się tam cotygodniowe, oryginalne, prawie jak przed wojną, targi. A już koniecznie (bo była to największa w okolicy „fajda”), jeździło się do Jadowa na doroczne Jarmarki. Zwykle odbywały się one w święto związane z imieniem jakiegoś świętego, ale w tym czasie ze świętym raczej się nie afiszowano, tak, że nawet nie wiem jakiemu to świętemu te jarmarki były

poświęcone. Tym niemniej święto i jarmark odbywały się jak za dawnych, dobrych lat. Jak za przedwojennych czasów!

Ze wszystkich okolicznych wsi i osiedli zjeżdżali się chłopci z najróżnorodniejszymi produktami swej pracy, produktami rolnymi, narzędziami, wytworami rękodzielniczymi... Ofiarowywali swoje wyroby wikliniarze, stolarze, rymarze, pasiecznicy, bednarze, kołodzieje i różni inni, których trudno tu nazwać i wymienić. Ustawiali na placu targowym swoje wozy ciasno zestawione bokami do siebie w długie równe rzędy, „zadawali koniom obroku”. Babę, żonę czy córkę zostawiali na wozie do pilnowania dobra, a sami szli „na przespiergi”, wybadać jak „płacą”, jakie są aktualnie ceny...

Tymczasem między rzędami wozów, w utworzonych w ten sposób uliczkach kłębił się i gotował różnobarwny tłum kupujących, ciekawskich, gapiów i rzezimieszków. Bo wiadomo, że w żadnym większym skupisku ludzi nie może zabraknąć i tego elementu folklorystycznego. Podobne dni targowe, ale urządzone z mniejszym rozmachem i mniej folklorystycznie, za to bardziej wielkomiejsko odbywały się również w Wyszku. Poza tym miały one niecodzienny charakter. Przeważały w nich towary i wyroby raczej przemysłowe, dzieła wielkich zakładów i fabryk a i sam Wyszów, leżący na skrzyżowaniu ważnych szlaków handlowych miał również bardziej wielkomiejski charakter. Tam dojeżdżało się okresowo, czy okazynie, gdy trzeba było uzupełnić ubytki w gospodarstwie domowym w przedmiotach codziennego użytku, takich jak różny sprzęt, naczynia, bielizna itp., lub załatwić coś na pocztę lub w urzędzie. Nie mówiąc już o lekarzu czy dentyście.

Z tych wycieczek wyłączony był niestety Józek. Jedynym i wyłącznym przewoźnikiem samochodowym, pozostałym na placu boju był Janusz Gonera. Józek miał swoją Warszawę, która stała w Gniazdowie „pod sosnami”, ale z niej nie korzystał z obawy, aby nie spowodować wypadku. w pewnym czasie stwierdził bowiem, że cierpi na dziwną wadę wzroku. Wszystkie więcej oddalone przedmioty, widzi podwójnie. Opowiadał, że będąc na przejażdżce swoją Warszawą w lesie, tu w Gniazdowie, zauważył wielokrotnie, że widział dwa oddalone od siebie drzewa, w miarę jednak jak się do nich zbliżał, aby między nimi przejechać samochodem, drzewa się zbiegały, aby przed samą maską samochodu okazać się tylko jednym drzewem. Zastanawialiśmy się nad tym objawem. Wyglądało tak, jakby każde jego oko patrzyło przed siebie niezależnie i samodzielnie nie tworząc wiązki zbieżnej. W ten sposób widział istotnie drzewo podwójnie, a poza tym nie mógł ocenić właściwie odległości do niego. Coś podobnego potem, po operacji lewego oka mam i ja, z tym, że nie widzę podwójnie, bo patrzę tylko na jedno oko, ale też mam trudności z oceną odległości oglądanych przedmiotów i często

zdarza mi się przy nalewaniu wody do szklanki na herbatę czy przy wsypywaniu cukru, przy słodzeniu herbaty, że zamiast do szklanki nalewam czy wsypuję obok szklanki, na spodek albo po prostu na stół, na obrus. Mam jeszcze inną wadę, ponieważ tym patrzącym lewym okiem obejmuję nieco tylko większą część niż ćwierć horyzontu przede mną. Druga, prawa część, też prawie ćwiartka bez skręcenia, czy obrotu głowy jest dla mnie niewidoczna. Nie mógłbym więc korzystać z pojazdów mechanicznych, ani poruszać się nimi po drogach publicznych, bo na skrzyżowaniach nie dostrzegał bym w porę innych pojazdów nadjeżdżających z prawej strony, a przecież, o ile wiem, one w takich razach mają pierwszeństwo przejazdu. Więc o spowodowanie wypadku byłoby nie trudno.

Wada wzroku Józka, o ile nie była tylko jego wymysłem, po prostu symulacją i pretekstem, żeby nie bawić się w „kierowcę”, bo zauważyłem, że ta „sprawność” zupełnie nie leżała w jego charakterze, wyraźnie nie pasowała do innej cechy jego charakteru, a nawet z nią kolidowała. Józek był namiętym zbieraczem grzybów, był fanatycznym amatorem grzybobrania. Grzybobranie to był chyba jedyny „sport”, który uprawiał z zamiłowaniem i powodzeniem, a zbieranie grzybów w moim pojęciu, przynajmniej mnie się tak wydawało, wymaga dobrego wzroku, aby w tej dziedzinie odnosić sukcesy. Grzybiarze wiedzą jak grzyby, zwłaszcza te ich szlachetniejsze odmiany potrafią się maskować, jak wspaniale rozwinięty jest u nich mimetyzm, upodabnianie do otaczającego je środowiska czy podłoża, a tak prawdę mówiąc, każdy z nas jest od urodzenia, a nawet hen daleko wstecz przed urodzeniem na wiele tysięcy lat i pokoleń atawistycznym dziedzicem cech naszych protoplastów z okresów zbieractwa, łowów i połowów, a obszary wokół Gniazdowa, nad Liwcem i Bugiem obfitowały w wspaniałe grzybowe bory. Mogliśmy swobodnie buszować na terenach obejmujących obszar w trójkącie między Wyszkowem, Łochowem i Jadwisinem, obejmującym ponad 25000 hektarów lasów.

Józka nie trzeba było namawiać na grzybowe wyprawy. Nie było mu ciężko wstać przed świtem, aby być już w lesie i szukać grzybów. Nie zdarzyło się, aby ktoś zaproszony do lasu na grzybobranie, dorosły czy dorastający, kobieta czy mężczyzna odmówił udziału. Ten odziedziczony po praprzodkach instynkt, odruch, silniejszy był zawsze niż również wrodzone lenistwo wielkomiejskiego mieszcza.

Nasza wizyta w Gniazdowie w tym roku niewiele się różniła od poprzedniej w ubiegłym roku. Tamta była raczej z jednej strony kurtuazyjną, mającą na celu uczcić w pewien sposób nowych właścicieli Gniazdowa i dać im okazję do pewnej dozy dumy i zadowolenia z posiadania, a z drugiej strony miała zaspokoić zwykłą ludzką ciekawość i dać temat do podziwiania i zazdrośczenia, a więc miała również w pewnej mierze charakter zwiadu. W tym roku po rocznej przerwie poświęconej przemyśliwaniu, dyskusowaniu i rozpatrywaniu

różnych za i przeciw, wizyta miała pogłębić zeszłoroczne, niejako szkicowe, doznania. Pozwolić poznać bardziej szczegółowo przedmiot, ale i różne inne uwarunkowania z nim związane, a w podtekście, który był jednak propagowany i afiszowany jako główny motyw, mówiło się o pobycie wakacyjnym, urlopowym, wypoczynkowym, to oczywiście nie przeszkadzało, że przez cały czas pobytu niezmordowanie próbowało się poznać nie tylko samo gniazdo Gonery i Gniazdowo, ale również dalsze i bliższe peryferyjne jego obszary. To poznawanie (przynajmniej okolicy) nie było jakieś planowe, systematyczne, ale takie doraźne „na wrywki”, wywoływane potrzebą chwili, albo czyjąś zwykłą zachcianką.

Janusz na przykład kupił sobie wspaniały, doskonały, podobno amerykański „spinning”. Są dwie rzeki, jedna tuż pod progiem, Liwiec, a druga niedaleko, prawie tuż za progiem, Bug. Obie podobno bardzo rybne, jest więc okazja aby wędkę wypróbować. I nie mówiąc nic nikomu, jak dziecko, które dostało nową zabawkę nie może się nią nacieszyć i zaraz musi ją wypróbować. Tak i Janusz, od samego rana następnego dnia przepadł z wędką na cały dzień. Buszował gdzieś po różnych komyszach, zakolach i rozlewiskach Bugu. Chwalił się potem, że wynalazł wśród rozlewisk i szuwarów nadbużańskich doskonałe stanowiska wędkarskie, gdzie ryba bardzo dobrze „bierze”. Tak przynajmniej twierdzą starzy nadbużańscy rybacy. Nie mógł się powstrzymać, aby się tymi doskonałymi stanowiskami przede mną nie pochwalić, a w konsekwencji nie zawieźć mnie do nich i pokazać w terenie.

Nie było to tak wcale blisko, bo zawiózł mnie swoim Moskviczem gdzieś aż w okolice Brańszczyka, Turzyna i Bud. Wszędzie, na różnych stanowiskach zarzucaliśmy wędkę. Janusz nawet usiłował nauczyć mnie posługiwania się spinningiem, ale nie przejawiałem do tego ani odpowiedniej chęci, ani też zdolności i próby szybko zarzuciliśmy. Łaziliśmy po tych rozlewiskach Bugu prawie cały dzień. Zakładaliśmy na haczyk najrozmaitsze przynęty, chleb, gotowany groch, muszki i robaki, wreszcie różne sztuczne przynęty, misternie wykonane owady czy blaszane rybki, na szczupaki, ale jakoś ryby nie darzyły nas zaufaniem i „nie chciały brać”. w konsekwencji nie złowiliśmy nic, nawet zielonej żaby, ani jednej sztuki. Jak daleko sięgam pamięcią wstecz, nie pamiętam abym kiedykolwiek widział na oczy rybę złowioną przez Janusza Gonere. Jedyną korzyścią, zresztą niespodziewaną, w tej wycieczce było spotkanie w nadbużańskim lesie wspaniałego młodego łosia. Wyszedł nam na drogę i nie miał wcale zamiaru usunąć się z niej. Janusz musiał zatrzymać wóz, aby nie uszkodzić bydlaka. i przez dłuższą chwilę staliśmy tak na leśnym dukcie gapiąc się na siebie nawzajem jak, nie przymierzając, wół na malowane wrota! Aż wreszcie łosiowi znudziło się to stanie i odszedł w chaszcze kiwając w zadumie łbem.

Jak dotąd w Gniazdowie było zbyt pięknie, by mogło to trwać długo. Nieoczekiwanie zmieniła się pogoda. Powiało chłodem z północy i rozpadało się. I nie była to jakaś tam letnia trzydniówka, ale prawdziwa jesienna słońca i szaruga. Zimny jesienny wiatr niósł bez przerwy zwały czarnych chmur i bez przerwy zaciął dżdżem. Zrobiło się mokro i zimno. Jak na porę roku, to trochę przedwcześnie, ale odpowiednio do naszych możliwości urlopowych.

Trzeba było wracać do domu. Nawet starszy brat Józka, Franek, który dotąd doskonale się tu czuł, nagle zatęsknił do swej rodzinnej Łodzi. Hurmem więc wracamy do Warszawy, bo i „Józkom” przypomniało się, że mają pilne sprawy do załatwienia w domu, w Warszawie.

Całą drogę do samej Warszawy towarzyszyła nam jesienna szaruga i nie miała zamiaru tak prędko nas opuścić. Więc po przenocowaniu w Warszawie w nie najlepszych humorach opuszczamy w strugach prawdziwego jesiennego deszczu Warszawę. W Jankach następuje uroczyste pożegnanie. Fotograf, przypuszczam, że to Janusz Gonera, bo on się tą sprawnością najchętniej parał, uwiecznił to na trzech różnych zdjęciach. Na żadnym z nich sam jednak nie występuje, ale o jego obecności poza kadrem świadczy na każdym zdjęciu widoczny fragment maski jego Moskwicza. Na zdjęciach obok mnie i Ireny widać również „na letniaka ubranego” Jacka. Widać, że towarzyszy nam w samochodzie Janusza. Podpisy pod zdjęciami brzmią:

„Sierpień 1965. Janki. Warszawa żegna nas rzęsimym deszczem. Na koń! i jazda z powrotem do domu.”

Jest jeszcze jedno zdjęcie, nieco odmienne, stanowiące jakby aneks i podsumowanie całej tej mojej gawędy. Zdjęcie przedstawia panią Krasoń siedzącą w swobodnej, rozluźnionej pozie na balkonie, a podpisane jest:

„Na własnym balkonie, mile jest odprężyć się po przygodach dalekich podróży. Jelenia Góra 1955.”

Widać z tego, że te dalekie podróże]musiały dostarczyć wiele silnych wrażeń i napięć, po których w domu mile jest się odprężyć!

W domu trzeba było wracać do codziennej powszedniości. Chociaż i te domowe codzienne powszedniości nie pozbawione były niespodzianek. Taki Morus! Udawał, że nas nie poznaje! Nie cieszył się, nie

przybiegł się witać, nawet nie pomachał przyjaźnie ogonem. Widocznie jednak obraził się na nas, że zostawiliśmy go na tak długi czas u obcych ludzi, a zachowywał się przez ten czas zgodnie z naszymi przewidywaniami. z podkopywaniem się pod fundamenty domu dał sobie spokój bardzo szybko, natrafiając wszędzie albo na ceglany mur, albo na betonową podłogę. Na grządkach w ogrodzie kopanie jam też mu nie dogadzało, bo ziemia była do kopania niewdzięczna, kamienista i żwirowata, trudno było więc w niej grzebać jamy. To nie to, co w pulchnej roli uprawnej lub leśnej glebie składającej się przeważnie z miążskiego piasku i humusu. Próbował tu i tam, ale bardzo prędko się zniechęcił, bo szło mu niezmiernie trudno. i porzucił pracę nad jamami wygrzebawszy zaledwie płytkie ich zarysy. Ciekawy byłem jak zareaguje na wezwanie do powrotu do domu. Zareagował konsekwentnie: obrażony, bez oporu i ociągania się, ale również bez oznak entuzjazmu czy radości. Trzeba było jednak kilku dni, aby skruszyć lody między nami i wrócić do dawnej zażyłości i serdecznej przyjaźni.

Drugą niespodzianką przywitał nas, nasz nieoceniony gospodarz, pan Cyryl Kępski. Mianowicie ni mniej ni więcej tylko wymówił nam garaż. Jego zięć kupuje sobie samochód i jest zrozumiałe, że zajmie swój garaż. Garaż jest, niestety, przewidziany tylko na jeden samochód i miejsca na dodatkowy motocykl już w nim się nie znajduje! Takie są fakty, a z faktami trudno jest dyskutować. Pan Kępski jest nawet względny. Nie od razu każe mi się wynosić z garażu, zgadza się na pewną zwłokę zależną od tego, kiedy jego zięć sprowadzi swój samochód. Zwłoka może wynosić miesiąc, dwa, a może nawet i trzy, ale niemniej radzi abym jednak rozejrzał się za odpowiednim pomieszczeniem dla motocykla. i tak od tego momentu moja wspaniała, nieoceniona SHL-ka z atrakcji i rozrywki stała się ciężarem i udręką. Poszukiwania za jakimś pomieszczeniem dla niego były beznadziejne. Kiedy zaś zjawiły się kłopoty z jego garażowaniem, uświadomiliśmy sobie, że jako rozrywka i atrakcja dla nas to motor już się przeżył, a jako środek lokomocji też się właściwie nie nadaje. Zwłaszcza, że nadchodziła jesień i zima. Kiedy więc w poszukiwaniach dla niego garażu w ciągu trzech miesięcy nie udało nam się nic osiągnąć, postanowiłem motocykl na zimę rozebrać na części składowe i w ten sposób wnieść go na górę i przez zimę przechowywać na stryszku u chłopców. Tak też zrobiłem.

Wkrótce po naszym powrocie do Jeleniej Góry zatelegrafował z miasta Łodzi Antek. Wzywał mnie do siebie byśmy pojechali wspólnie do Piotrkowa, gdyż bardzo chory jest Ojciec. w Łodzi dowiedziałem się od niego, że latem razem z Fryckiem, Ojciec naprawiał uszkodzoną rynną dachową. Wspiął się na górę po drabinie, którą przytrzymał Zenek, ale coś tam było nie tak. Spadł z niej i pękła mu jakaś kość w biodrach. Leżał kilkanaście dni w szpitalu, ale okazuje się, że kość nie bardzo chce się zrastać. Bądź, co bądź ojciec ma już 81 lat i szpital wypisał go do domu na leczenie „ambulatoryjne”. Teraz oboje, Mama i Ojciec leżą w pokoju na górze,

a wnuczki, szczególnie Basia, doglądają ich i opiekują się nimi. Lekarze tak do matki jak i do Ojca przychodzą bardzo często i również opiekują się nimi troskliwie. z Antkiem, jego samochodem, podobnie jak w ubiegłym roku wyruszyliśmy do Piotrkowa, i tym razem również „rzemiennym dyszlem” nie przepuszczając żadnej gospodzie mijanej po drodze.

W Piotrkowie nastroje były podniecone. Wszyscy wszystkich winią i oskarżają. Szukają winnego jakby to coś pomogło i zmieniło stan rzeczy. Kłótnie i niesnaski tylko niepotrzebnie podgrzewały atmosferę. Fakty były takie, że dolegliwości Mamy, na które cierpiała już od lat tak się nasiliły, że Mama już nie opuszczała łóżka. Dokąd ojciec był na chodzie to się mamą opiekował. Teraz sam potrzebuje opieki, a stan zdrowia Mamy jest, nie ma co ukrywać, beznadziejny. Z Ojcem też sprawa wygląda bardzo poważnie. Złamanie jest skomplikowane i w dodatku jakiejś kości biodrowej, której praktycznie nie można unieruchomić w gipsie ani w łupkach. Gdyby to spotkało człowieka młodego, to prawdopodobnie kości zrosłyby się bez trudu i szybko, ale w wieku ojca w organizmie ludzkim na ogół następują już ubytki masy kostnej, więc na zrośnięcie się kości praktycznie nie ma co liczyć. i znowu trzeba się pogodzić z faktami, że stan jest beznadziejny.

Wypadek miał miejsce, kiedy byliśmy w Gniazdowie na wczasach. Nie mogli nas zawiadomić wcześniej, bo nie znali naszego adresu, ale nic się specjalnie nie stało, bo i tak przez ten czas Ojciec był w szpitalu, na wyciągu, pod najlepszą możliwą opieką lekarską. Dostęp, jak to do szpitala był utrudniony. Teraz przynajmniej można było bez przeszkód się z nim widzieć i dowolnie długo porozmawiać. Czy można mu jakoś pomóc? Okazuje się, że nie ma takiej potrzeby. Opieka lekarska jest bardzo dobra i prawie na każde zawołanie, inne posługi koło dziadków spełniają z całym poświęceniem Ludka i jej córki, a Mamy wnuczki, Kasia i Basia. i robią to sumiennie i troskliwie.

Poważnie rozmawiać nie było z kim. Rodzice, oboje złożeni niemocą w swych łóżkach, z boleściami, rozdrażnieni, zgorzkniali, pełni pretensji i żalu do wszystkich i do siebie i w gruncie rzeczy już zrezygnowani i psychicznie przygotowani na najgorsze.

Antek, od tego ciągłego wstępowania do przydrożnych gospód miał językiem i coś tam niezrozumiale bełkotał, a Jasio i Zenek skakali sobie cały czas do oczu i nawzajem obarczali się winą za spowodowanie tego wypadku.

Niezależnie od wszystkiego stan zdrowia obojga rodziców był krytyczny i beznadziejny. Nie widać było żadnej możliwości zaradzenia temu czy pomocy. Wszystko co było możliwe do dokonania, zostało zrobione. Pozostała więc jedynie rezygnacja. Przygnębiony i bezradny nie czekałem już na decyzję Antka, ani jego odjazd. w towarzystwie Basi, najmłodszej córki Lutki, poszedłem na dworzec. Ponieważ do nadejścia mojego pociągu mieliśmy sporo czasu, tu dopiero, z jej opowiadania, dowiedziałem się wiele szczegółów lepiej naświetlających życie i stosunki w tej małej społeczności, jaką jest rodzina skupiona pod jednym wspólnym dachem.

Stan faktyczny był taki jaki był, nieodwracalny. Z jednej strony przewlekłe i stale nasilające się dolegliwości Matki, a z drugiej strony wypadek i jak to jest w przeważającej mierze wypadków, przyczyną wypadku jest sam poszkodowany. Jego nieuwaga, lekkomyślność lub popełniony błąd i w gruncie rzeczy nie ma kogo obciążać za to winą. Wypadek to wypadek. Wydarzenie niechciane, tragiczne, choć bardzo często samo zawinione. Odjeżdżałem do mojego domu, do Jeleniej Góry, pozostawiając oboje rodziców złożonych niemocą na sąsiednich łóżkach w pokoiku na górze, domu przez siebie w ciągu długiego życia pracowicie wybudowanym. Bo trzeba wiedzieć, że wszelką nadzieję jakiegokolwiek poprawy stanu zdrowia moich rodziców odbierał fakt, że oboje byli już w podeszłym wieku, po prostu staruszkami. Ojciec liczył sobie 81 lat, a matka była od niego tylko o cztery lata młodsza. Sam ten wiek predestynował już ich dalszy los.

Rodzice zmarli wkrótce potem. Ojciec w wigilię Bożego Narodzenia, a Matka w kilka dni po nim, w wigilię Trzech Króli następnego roku.

W domu w normalnej już codziennej harówce mijały kolejne dni, tygodnie, miesiące i lata. Kolejni chłopcy urywali się z domu, a nowe dziewczyny ukazywały się na horyzoncie. Andrzej z Edkiem Markiewiczem, nowe „Lelum Polelum”, po maturze wybrali się do Krakowa na studia do Akademii Górniczo-Hutniczej. Niefortunnie jednak jakoś trafili. Bo i kierunek studiów nie bardzo im odpowiadał, podobno poważne trudności mieli z matematyką i fizyką, a nawet, rzecz dziwna, pracownia kreślarska im „nie leżała”. Na dobitkę złego w Krakowie wybuchły znane rozruchy studenckie w wyniku, których obaj musieli opuścić uczelnię. I tutaj „Kastor” i „Polluks” rozdzielili się i każdy poszedł dalej, swoją, inną, życiową drogą. Edek Markiewicz wstąpił do wojska, ukończył szkołę podchorążych Wojsk Rakietowych i Artylerii, osiadł jako podporucznik w Koźuchowie pod Zieloną Górą, dosłużył się stopnia podpułkownika. Andrzej poszedł do pracy do Jeleniogórskich Zakładów Farmaceutycznych, „Pol-Fa” dawniej „Labofarma”, pieczętująca się pięknym, czerwonym kogutkiem jako herbem, czyli znakiem firmowym.

Kiedyś, dawno temu, kogutkiem takim znakowane były proszki od bólu głowy. Znany był wtedy powszechnie slogan: „Boli cię głowa – weź kogutka!” w „Labofarmie” poznał i zaprzyjaźnił się z Wiesławem Tomerą. Dziś magistrem inżynierem Wiesławem Tomerą, Kierownikiem Działu Rozwoju i Marketingu w „Przedsiębiorstwie Farmaceutycznym Jelfa S.A.”, bo tak brzmi ostatnio nazwa dawnej „Labofarmy” a i kogutek, chociaż pozostał w herbie jako znak fabryczny, to jednak tak zmodyfikowany i zmodernizowany, że jest nie do poznania. Wygląda raczej na jednego z potworków Hanny Barberzy ze znanych seriali telewizyjnych dla dzieci. Edek Markiewicz i Wiesiek Tomera odwiedzili Andrzeja w czasie jego choroby, na przełomie lat 1994-1995. Na krótko przed jego śmiercią.

Nie na długo jednak Andrzej „zagrzał miejsce” w „Labofarmie”. Gdzie go nosiło, w jakich stronach się obracał, po jakich drogach wędrował? Próżno by pytać. Nie lubił o tym opowiadać. w ogóle nie skorym był do zwierzeń, do rozwijania swoich planów i zamierzeń. Zawsze uchodził za „milczka”. Przynajmniej w domu, bo poza domem podobno był bardziej rozmowny. Często miała o to do niego matka żal i pretensje, kiedy od Markiewiczowej, matki jego kolegi Edka, dowiadywała się niektórych zamierzeń, planów, albo nawet i dokonań, z którymi się matce nie zwierzał. Krótko mówiąc, Andrzej porzucił pracę w „Labofarmie”, a po jakimś czasie dowiedzieliśmy się, że przebywa w Warszawie i immatrykulował się na Uniwersytecie Warszawskim, na Wydziale Nauk Społecznych.

Wreszcie musiał dobrze trafić. Kierunek studiów musiał mu widocznie „leżeć”, bo szybko uzyskał tytuł magistra, został asystentem na swoim wydziale i przygotowywał się do napisania pracy doktorskiej. Nie muszę pisać, że były to wiadomości dla nas, rodziców niezwykle radośnie i mile brzmiące, zwłaszcza, że sączone półgębkiem przez samego Andrzeja, „milczka” kiedy czasem wpadał na kilka dni do domu w czasie wakacji i tak mimochodem wspominane, jakby na marginesie, jako mało ważne, którymi nie warto sobie zawracać głowę.

Któregoś dnia, znowu z samego rana, dzwonek do drzwi. Ktoś dzwoni, ktoś obcy. Okazuje się, że to Jacek. Wita się serdecznie, ale nie chce się rozgościć ani nawet usiąść, bo jest przejazdem ze swoją dziewczyną. Jadą na wczasy do Szklarskiej Poręby, ale do pociągu do Szklarskiej Poręby mają trochę czasu, więc wpadł do nas na górę, aby się zobaczyć i przywitać z rodzicami.

- *A gdzie dziewczyna?* – pyta mama.
- *Czeka na dworcu.* – odpowiada Jacek.

- *To nie mogłeś jej tu przyprowadzić?*
- *Nie chciała przyjść. Wstydziła się. – mówi Jacek.*

Pogadaliśmy sobie kilka minut o tym i o owym, ale krótko i na stojąco, bo tam na dworcu na pewno Irka (to ta Jacka dziewczyna) złości się i niecierpliwi. I poleciał. Wpadł jak po ogień i pobiegł jakby go kto gonił!

To były oczywiście ekstra przypadki, poważne, niecodzienne wydarzenia, a na co dzień wolny czas spędzało się przeważnie przed telewizorami. Nabycie dobrego telewizora po przystępnej cenie stało się wreszcie możliwe bez specjalnego trudu. Przestało być problemem. Telewizory różnych marek i klasy jakości były w ciągłej sprzedaży. Nawet przy ul. 15 Grudnia otworzono państwowy specjalistyczny salon z telewizorami. Można było wybierać i kupować. Dotychczasowy, jedyny prywatny specjalista od telewizorów, technik i handlarz zarazem musiał zlikwidować swój naprawczo-handlowy warsztat telewizyjny. Podobno zbankrutował, ale na pewno zmarł.

Postanowiłem skończyć z kupowaniem takiej rozmaitej tandety. Różnych kombinowanych składaków, bez firmy i klasy. Gorzej się na tym wychodziło, bo te różne regulacje, wymiana ciągle się przepalających drogich lamp i różnych innych części, kondensatorów czy pojemności, tak drogo kosztowało, że w rzeczywistości lepiej się opłacało kupić od razu nowy firmowy aparat. Unikało się wtedy tych różnych kłopotów. Kupiłem więc bardzo przyjemnego i jak się później okazało, doskonałego i niezawodnego, 14-calowego „Neptuna”, produkcji Gdańskich Zakładów Telewizyjnych. Sprawował się doskonale i nienagannie i nie trzeba było do niego co drugi dzień wzywać technika do naprawy czy wymiany jakichś elementów które znowu wysiadły. A program? Tu nie było problemu ani wyboru. Tak się jakoś dziwnie składało, że my na naszym Wzgórzu doskonale odbieraliśmy program z Katowic, ale tylko z Katowic. I mieliśmy dużo szczęścia. Można powiedzieć byliśmy uprzywilejowani, dzięki położeniu na wzgórzu. W mieście były całe dzielnice, do których żaden polski program nie docierał. Czasem czeski, czasem niemiecki. Nie docierał do nas w ogóle program ogólnopolski z Warszawy. Ciągłe jeszcze nie gotowa była stacja przekaźnikowa na Ślęzy, a Wrocław własnej stacji nadawczej telewizyjnej ciągle jeszcze nie posiadał. Miał zamówioną i umówioną stację prezentowaną przez jedną z firm zagranicznych na Targach Poznańskich. Po zakończeniu Targów miał ją przetransportować do Wrocławia, ale podkupiły go władze Poznania i stacji telewizyjnej z targów z miasta nie wypuściły. Zamontowały ją w Poznaniu! i tak Poznań ubiegł pod tym względem Wrocław. Wrocław musiał obejść się smakiem. Budowa stacji przekaźnikowej na Ślęzy pod Wrocławiem, która miała umożliwić dotarcie programu

ogólnopolskiego z Warszawy również i do Jeleniej Góry, przeciągała się w nieskończoność, a my byliśmy skazani na oglądanie i słuchanie jednego jedyne go prowincjonalnego programu z Katowic. Byliśmy w sytuacji przymusowej, ale jak powiadał Lopek Krukowski: „jak się nie ma co się lubi, to się lubi co się ma”. Zresztą brak skali porównawczej i jeszcze nie zepsuty nadmiarem szczęścia, smak, uniemożliwiał jakąkolwiek rzeczową krytykę czy ocenę a poza tym program się podobał, począwszy od dźwięcznego sygnału wywoławczego, jakby z kuźni kucie młotem na kowadle obok ukazującego się na ekranie kineskopu obrazu fragmentu dipolu anteny telewizyjnej nadawczej, z którego kuliście rozchodziły się fale głosowe, wszystkie kolejne audycje. Pierwsze audycje wieczorne dla dzieci na *Dobranoc* - Bronisław Pawlik ze swoim *Misiem z Okienka* lub *Jacek i Agatka*, dwie sympatyczne kukiełki zrobione z dwóch piłeczek pingpongowych osadzonych na wskazujących palcach rąk i wiodące ze sobą niekończące się dialogi na tematy interesujące dziecięcą widownię. Sporo wody upłynęło zanim na ekranie telewizyjnym jako *Wieczorynka*, na *Dobranoc* ukazał się wspaniały film rysunkowy, tak zwana kreskówka *Bolek i Lolek* historia w odcinkach dwóch sympatycznych urwipołciów w wieku przedszkolnym, przeżywających w każdą sobotę tygodnia niesamowite przygody, czy to *Na wakacjach*, *Na Dzikim Zachodzie* czy wreszcie *W Pustynnej Afryce*. Dla starszych, prezentowała się cyklicznie raz w tygodniu pierwsza dama telewizji, pani Irena Dziedzic. w swej audycji, „Tele Echo!” była ona niewyczerpanym tematem plotek wśród lepszej połowy świata, przypisującej jej niesamowite przygody erotyczne i polityczne w kraju i za granicą.

I dziś nie umiem już powiedzieć czy dobór tych audycji był tak dobry, czy też nasz smak estetyczny nie był jeszcze tak zepsuty i wyostrzony, aby w nich dostrzec jakieś wady i niedoróbki. Program oglądaliśmy cały dzień na okrągło. Tak jak leciał. a kiedy następowały w jego nadawaniu programowe przerwy, w mieszkaniu robiło się jakoś dziwnie cicho i głucho, a zawsze wtedy jedno z nas od czasu do czasu rzucało retoryczne pytanie, a co tam w telewizji lub czy w telewizji nie ma, nie oczekując na nie odpowiedzi, bo każde z nas już dawno, szczegółowo przestudiowało program telewizyjny na dziś i znało go niemal na pamięć. w ciągu dnia w mieszkaniu przebywaliśmy praktycznie tylko we dwoje, chyba, że przypadkiem napatoczył się jakiś nieoczekiwany gość albo na plotki Markiewiczowa.

Trzej starsi synowie żyli gdzieś w świecie, swym samodzielnym, dorosłym życiem. Ostatni, Janusz, kończył właśnie szkołę i przeważnie w domu zjawiał się w porze posiłków i wieczorem na nocleg. Przygotowywał się do matury, ale w przeciwieństwie do trzech swoich starszych braci, którzy przez szkołę szli gładko i bezkonfliktowo naraził się w jakiś sposób swemu poloniście, panu profesorowi Rząsie i ma pewne kłopoty. Sprawa jest na tyle poważna, że Irka, wbrew dotychczasowemu zwyczajowi, nie chciała już chodzić na wywiadówki do szkoły. I oczywiście musiałem iść ja sam.

Panem Rząsą jako pedagogiem nie byłem zachwycony. Zrobił na mnie wrażenie fanatycznego doktrynera, agitatora wiecowego raczej niż pedagoga i wychowawcy. Uczepił się słowa infantylny i szafował nim i szermował bez opamiętania. Musiał widocznie sam usłyszeć to słowo w ocenie swojej własnej osobowości i odtąd to słowo stało się jego obsesją, urazem, skazą. I musiał się za to słowo na kimś odegrać! Trafiło na Janusza. Z takimi nieomylnymi ludźmi, którzy wszystko wiedzą „najlepiej”, trudno jest w ogóle rozmawiać, a beznadziejnie próbować dyskutować. To są „natchnieni prorocy”, a proroków się słucha, a nie dyskutuje z nimi. Rozeszliśmy się bez porozumienia i do dziś dnia nie wiem, o co mu tak naprawdę chodziło. Bo chyba nie o zasób posiadanej przez Janusza wiedzy. W trzy miesiące później we wrześniu zdawał egzamin maturalny powtórnie u niego i wtedy jakoś nie miał do niego zastrzeżeń. Czyżby w ciągu tych trzech miesięcy wakacji poczynił aż tak znaczne postępy w nauce? Twierdzę, że przez te miesiące Janusz nie wziął do ręki podręcznika. Na tej całej awanturze Janusz stracił tyle, że w lipcu uciekły mu terminy składania podań o przyjęcie na wyższe uczelnie akademickie, więc z konieczności wstąpił do wojska na ochotnika i zapisał się do szkoły kadetów w Jeleniej Górze, przy Szkole Podchorążych Wojsk Obrony Przeciwlotniczej..

Jak tam było, tak było! Faktem pozostawało to, że większość wolnego czasu (od pracy zawodowej) spędzaliśmy tylko we dwoje. Telewizor w tych warunkach urósł do przedmiotu pierwszoplanowego w naszym życiu, bo przed jego ekranem spędzaliśmy wiele naszego wolnego czasu. Słuchanie i oglądanie audycji telewizyjnych nie przeszkadzało nam. Irce w stawianiu pasjansów, rozwiązywaniu krzyżówek, czy nawet grania samej z sobą w tysiąca czy „66”. Ja, ze względu na wzrok musiałem zarzucić malowanie, zacząłem próbować haftować, ale bez powodzenia. Wróciłem więc do szachów. Zacząłem się mocniej nimi interesować, gdyż stawały się modne i coraz silniej propagowane. w księgarniach ukazywały się książki o szachach, podręczniki dla początkujących, ale i dla zaawansowanych, teorie debiutów, kombinacje, taktyka i strategia szachowa, pułapki i zadania szachowe, ale i ogólniejsza literatura szachowa, jak np. historia szachów na przestrzeni dziejów, *Piękno kombinacji*, oraz najróżniejsze monografie. Zacząłem mocniej interesować się teorią i historią tej królewskiej gry. Kupowałem ukazujące się w księgarniach dzieła na temat teorii i historii szachów i i to zarówno w języku polskim jak i niemieckim czy rosyjskim. Studiowałem je po amatorsku. Przy okazji musiałem sobie co nieco przypomnieć znajomość języków obcych wyniesionych ze szkoły średniej i zdobytą w późniejszym czasie przy różnych okazjach. Szachy od nowa zaczęły mnie wciągać. „Stara miłość nie rdzewieje!”

Aby to jakoś jedno z drugim zgrać i pogodzić, kupiłem niewielki, niski, kwadratowy stolik i dwa odpowiednio do niego niskie fotele. Umieściłem je pośrodku pokoju przed leżanką naprzeciw telewizora. Teraz

mogliśmy we dwoje siedząc wygodnie w fotelach przy stoliku, popijając herbatę czy kawę oglądać program telewizyjny. Ja mogłem studiować swoje szachy i rozwiązywać szachowe problemy i zadania, a Irka kłaść sobie pasjansa czy zagrać z sobą w karty. Rodzinny stół został zepchnięty pod ścianę. Przy nim jadaliśmy tylko obiady, względnie kolacje. Na środek wracał tylko w dniu uroczyste, świąteczne. W dni uroczystości rodzinnych lub najazdu gości z innych nadzwyczajnych przyczyn, wreszcie w dni dorocznych wielkich świąt, takich jak Boże Narodzenie lub Wielkanoc!

Stopniowo ten niski stolik stawał się punktem centralnym naszego życia, coś jakby ołtarzem, przy którym codzienne o piątej celebrowane było picie herbaty, a w niedziele, święta i dni wolne od pracy o godzinie 10⁰⁰/18⁰⁰(?), kiedy w telewizji następowała przerwa programowa, uroczyste picie czarnej kawy z piaskową babką domowego wypieku w prodiżu, cudownym kuchennym sprzęcie, metalowym naczyniu przystosowanym do pieczenia ciast na kuchence gazowej. Dla kompletu kupiłem tani kamionkowy serwis, produkcji chyba niedalekiej od Jeleniej Góry, Zebrzydowej, służący do parzenia i serwowania czarnej kawy. Składał się z dzbanuszka do parzenia kawy, sześciu filiżanek ze spodeczkami, cukiernicy, dzbaneczka na śmietankę, a wszystko to było w pięknym ciemnobrązowym kolorze mocno upalanej kawy. Teraz mogliśmy uroczyście celebrować picie kawy!

Początkowo sporadyczne uroczystości tego rodzaju powoli stawały się prawie codziennym zwyczajem i wchodziły w nawyk.

Chyba zbyt daleko wybiegłem do przodu. A przecież w międzyczasie zaszły pewne wydarzenia, o których, wydaje mi się, warto wspomnieć. Kiedy po powrocie z Gniazdowa i bezskutecznym poszukiwaniu pomieszczenia dla garażowania motocykla, zrezygnowani, taszczyliśmy z mozołem rozłożonego na czynniki pierwsze dotychczasową moją chlubę i dumę, a ostatnio tylko kłopot i udrękę, na trzecie piętro, na stryszek, nie zdawaliśmy sobie jeszcze wtedy sprawy, że w naszym życiu minęło już południe.

Nawet w dniach, kiedy odprowadzaliśmy moich rodziców na miejsce ich wiecznego spoczynku nie uświadamialiśmy sobie, że szybkimi krokami zmierzamy już w wiek przedemerytalny, ale doskonale zdawaliśmy sobie sprawę, że motocykl, nawet najlepszy, najwygodniejszy jednoślad, jak nasza SHL-ka dla nas, w naszym wieku i zdrowiu jest stanowczo najmniej odpowiedni. Dlatego też bez żalu umieściliśmy go na strychu, jak w lamusie i przestaliśmy się o niego więcej troszczyć. Na szczęście nie wygasła w nas jeszcze wrodzona, atawistyczna, odziedziczona po prapraprzodkach Nomadach chęć do koczowania. Ta sama chęć, która przed

wielu laty skłaniała królową Marysienkę Sobieską, kobietę, wtedy w naszym mniej więcej wieku chorowitą, tłuc się w ciasnej, niewygodnej karocy czy innej landarze po polskich drogach rozjeżdżonych i wyboistych z Warszawy aż het, gdzieś na Śląsk do Cieplic Zdroju, do wód. i nas też, ciągle coś korciło do tych okresowych wędrówek, do tych letnich „wyrajów”, ale przy odpowiednio wygodnym środku lokomocji. Szczęśliwie złożyło się, że ja dużo wcześniej, bo prawie zaraz po przeniesieniu się z PTTK do JWO w związku ze znacznym wzrostem moich dochodów, zamarzyłem o własnym samochodzie. Myślą tą natchnęła mnie para młodych Dzieciotów, małżeństwa inżynierów chemików pracujących w naszym zakładowym laboratorium. Oni pierwsi w zakładzie fundnęli sobie prywatny samochód i to od razu zagraniczny, mianowicie nowego niemieckiego „Trabanta”. Wszyscy kpiarze i zazdrośnicy na zakładzie śmiali się i radzili im, aby teraz w garażu trzymali kota, bo inaczej może się zdarzyć, że mogą im samochód zjeść szczury. Wiadomo bowiem, że cała karoseria „Trabanta” wykonana jest z tektury.

Początkowo myśl ta była marzeniem ulokowanym gdzieś hen, w dalekiej, mrocznej przyszłości, bliżej ani dalej nieokreślonej. Moje oczarowanie SHL-ką odsunęło tą daleką, mroczną przyszłość jeszcze bardziej. Zachwycony SHL-ką szybko też się nią rozczarowałem i postanowiłem jednak kupić samochód, kiedy tylko stanie się to możliwe. Natychmiast przystąpiłem do realizacji tego zamiaru starając się z nim przed nikim przedwcześnie nie zdradzić. Po pierwsze otworzyłem sobie konto, rachunek oszczędnościowy w PKO. Zrezygnowałem z powszechnie propagowanych przedpłat na zakup samochodu, wychodząc z założenia, że o wiele korzystniej będzie dla mnie, jeśli będę trzymał pieniądze w kasie banku PKO i odsetki będą dopisywane do kapitału dla mnie, niż miałyby zasilać kapitał PZMot... Poza tym miałem swój kapitał pod moją kontrolą, zawsze gotowy do dyspozycji. Równocześnie zapisałem się w LOK – Liga Obrony Kraju, na kurs jazdy samochodem. Kosztowało mnie to utraceniem kilku sobót i niedziel i ślęczenie tak nad budową silnika i samochodu, jak i nad przepisami drogowymi czyli nad „Kodeksem Drogowym” oraz kilkanaście godzin nauki jazdy straconych na jeździe praktycznej po ulicach miasta Jelenia Góra, ale trzy miesiące jakoś szczęśliwie minęły, a ja stałem się posiadaczem prawa jazdy, Nr.2462/67 wydanego przez Wydział Komunikacji Miejskiej Rady Narodowej w Jeleniej Górze dn. 11.5.1967 r., Podpis, Kierownik Wydziału, Antoni Szczuka. Kat. IV. motocykl i Kat. III. samochody. Pozostał do realizacji ostatni, ale za to najważniejszy i najtrudniejszy punkt programu, ale nie traćmy ducha. Bądźmy optymistami. Czas to jest jednak pojęcie względne. Kiedy myślimy o przyszłości i wynika z naszych myśli, że mamy na coś oczekiwać pięć lat, to ten czas wydaje się nam niezmiernie długi, a termin odległy a dziesięć lat, to już ginie w pomroce odległości, to prawie nieskończoność. O dwudziestolecie i większych okresach czasu nie ma co nawet wspominać, bo to już są epoki, ery, w czasie których wybuchają rewolucje, w gruzy walą się trony, przemijają dynastie i dyktatorzy, rozpadają się

monarchie, a jednak mijają lata, mijają dekady i wieki, a czasem na to wszystko może wystarczyć życie jednego człowieka. Na przykład legendarnego generała Stanisława Maczka, bohatera Września i II Wojny Światowej, początkowo dowódcy i Brygady Pancernej Wojska Polskiego, a następnie i Polskiej Dywizji Pancernej, wyzwoliciela Bredy w październiku 1944 roku, a także zwycięskiego dowódcy w sławnej bitwie pancernej pod Falaise w 1945 roku, który zmarł na emigracji w Szkocji, przeżywszy 102 lata.

Skąd naraz u mnie takie filozoficzne dywagacje na temat względności pojęcia czasu, jego długości, względnie szybkości przemijania. Rzecz prosta i logiczna! Kiedy po raz pierwszy zrodziła się w mojej mózgowicy myśl o kupnie samochodu, to termin ewentualnej realizacji tej mrzonki wydawał się prawie nierealny i tak odległy w dalekiej przyszłości. Tymczasem ta odległa przyszłość nieoczekiwanie zaczęła się bardzo szybko zbliżać, a problem zakupu auta stawał się nieoczekiwanie coraz bardziej realny. Praktycznie wszystkie, albo prawie wszystkie elementy warunkujące możliwość nabycia samochodu zostały już spełnione, z wyjątkiem jednego, odpowiedniej ilości gotówki na koncie bankowym, ale i pod tym względem, chociaż początkowo wydawało się, że byłem zbyt optymistą, jednak i tu szczęście mi dopisało i skrzętnie odkładane do PKO nadwyżki budżetowe, kwoty otrzymywane poza oficjalnymi należnościami wynikającymi z umowy o pracę z JWO, a więc różne premie uznaniowe, za wynalazczość i inne podobne ekstra premie, a przede wszystkim należności za pracę dodatkową w technikum, za egzaminy itp. Jednym słowem grosz do grosza i urosła w PKO suma, która wystarczyła, aby się pokusić o zakup w PZMot, samochodu osobowego, za gotówkę.

Muszę tu, tak na marginesie zauważyć, że przez cały ten czas, kiedy ciułałem grosz do grosza na wymarzony samochód, nie odczuwało się wcale jakiejś inflacji. Oszczędności złożone na koncie w PKO nie traciły na wartości. Wręcz przeciwnie, kapitał, wprawdzie nieznacznie, ale systematycznie wzrastał o dopisywane do niego odsetki.

Kiedy ostateczny termin przeprowadzenia tej transakcji został z PZMot ustalony, poprosiłem Chwistę, jako już doświadczoną kierowcę, aby z nami pojechał, to znaczy ze mną i Irką, do Wrocławia i ewentualnie przyprowadził nowo zakupiony samochód z Wrocławia do Jeleniej Góry. Sam sobie jeszcze na tyle, aby ryzykować taką jazdę, nie ufałem. i tak przyjechaliśmy do Jeleniej Góry. Ja jeszcze tym razem, jako pasażer w mojej „Syrenie 104”.

Trudno opisać jak się cieszyłem! Chyba bardziej niż dziecko, które dostało nową, piękną zabawkę. Cieszyłem się i byłem z siebie dumny, że zrealizowałem swoje marzenie i osiągnąłem upragniony cel, ale

w życiu, nie ma nic za darmo! Te wszystkie dotychczasowe wysiłki i wyrzeczenia to były koszty osiągnięcia celu. Teraz zaś zaczęły się inne koszty, koszty posiadania i eksploatacji. Pomijam tu wszelkiego rodzaju formalności biurokratyczne związane z nabyciem i posiadaniem pojazdu mechanicznego, które obowiązują z nieznacznymi chyba tylko zmianami do dnia dzisiejszego, a wobec gigantycznego rozwoju motoryzacji są znane chyba każdemu obywatelowi, który ukończył 17 rok życia. Wszyscy moi wnukowie, którzy ten wiek przekroczyli posiadają już prawa jazdy i prowadzą pojazdy mechaniczne, a więc i te przepisy nie są dla nich obce. Również i ja potraktowałem je z pobłażaniem. Chodzi oczywiście o wszystkiego rodzaju rejestracje, najpierw w wydziale komunikacyjnym MRN, aby uzyskać kartę wozu i tablice rejestracyjne. Następnie załatwić różnego rodzaju (bo jest ich kilka) ubezpieczenia w PZU, a kiedy i to już miałem za sobą wypłynął jak zmora problem garażowania. I to był problem, który kosztował mnie dużo nerwów i zdrowia. Żeby to tak można było zapłacić, wynająć garaż i mieć spokojną głowę, ale niestety, tak ładnie nie było. Zawsze musiały być jakieś problemy, które obrzydzały człowiekowi życie i jeśli dziś patrzę na zatłoczone parkowanymi na nich samochodami, pobocza ulic, jestem pewny, że np. w Warszawie łatwiej jest dostać mieszkanie lokatorskie (a może i własnościowe) niż jakieś możliwe pomieszczenie na garażowanie samochodu. Żeby kupić mieszkanie, wystarczy mieć tylko dostateczną ilość gotówki. Dla samochodu są nawet trudności ze znalezieniem miejsca na płatnym strzeżonym parkingu.

Przez znajomości dowiedziałem się, że nawet niedaleko, bo tuż obok na Wzgórzu Partyzantów, przy ulicy wiodącej na Paulinum, jakieś bezdzietne małżeństwo w swojej willi ma wolny nieużywany garaż i jest skłonne wynająć go za godziwą zapłatą. Ponieważ nie spotkałem się z żadną inną ofertą, obejrzałem ten garaż. Garaż jak garaż. Nic nie mogłem mu zarzucić. Tylko ten dojazd do niego. To była prawdziwa łamigłówka i Golgota. Pani gospodyni całe zaplecze domu zagospodarowała, jako ogród czy ogródek, ale nie jako zwykły ogród czy warzywnik, a coś co miało być „Alpinarium”. Naznosiła do ogródka jakichś kamieni, ułomków skał i skałek, powytyczyła nimi różne ścieżki i dróżki, wszędzie posadziła jakieś dziwaczne rośliny, o których twierdziła, że są bardzo cennymi relikdami z okresu „polodowcowego”, ale w ten sposób prawie zupełnie zablokowała dostęp do garażu. Po długich rozmowach, dyskusjach i negocjacjach, zgodziła się skorygować nieco bieg tych swoich alpejskich dróg i ścieżek, przynajmniej o tyle, aby umożliwić dojazd samochodem do garażu.

Znajomy zawodowy kierowca, który społecznie i po koleżeńsku wtajemniczał mnie w różne arkana sztuki samochodowej, już po przeprowadzonej przez panią gospodynię korekty drózek w ogródku, próbował wprowadzić moją Syrenę do tego garażu. Wprawdzie udało mu się to, ale się przy tym porządnie napocił, a mi zwrócił potem uwagę, że tymi meandrami można będzie wprowadzić i wyprowadzić samochód do garażu, ale

będzie to bardzo trudne. Będzie to wymagało bardzo wielkiej uwagi, umiejętności i zręczności w manewrowaniu. Przyznam się, że po tych słowach, dusza uciekła mi w pięty, ale co miałem robić? Znowu byłem w sytuacji przymusowej i już wtedy, chociaż jeszcze pół żartem, przypominałem sobie stare chłopskie przysłowie: „Nie miała baba kłopotu - kupiła se prosie”.

Wraz z samochodem (to znaczy z kluczami do samochodu) otrzymałem do ręki Fabryczną Instrukcję Obsługi Pojazdu „Syrena 104”. Była to spora książka ilustrowana licznymi zdjęciami rysunkami, wykresami, tablicami i przekrojami, zawierająca wyczerpujące i szczegółowe przepisy obchodzenia się na co dzień z samochodem. Taki obszerny podręcznik dla profana motoryzacyjnego do posługiwania się tym sprzętem.

Dyrekcja Fabryki Samochodów Osobowych na Żeraniu w Warszawie, w trosce o zdrowie i bezpieczeństwo posiadacza pojazdu, kierowcy oraz jego pasażerów, informuje, poucza, instruuje i nakazuje w tym podręczniku jak postępować z pojazdem - krok po kroku i według ściśle podawanej instrukcji oraz dokładnego przestrzegania przepisów i terminów wg załączonego kalendarza. Szczególnie dotyczy to różnych przeglądów na licencjonowanych stacjach obsługi oraz stacjach diagnostycznych. Niezmiernie ważne w ramach gwarancji są ogólne przeglądy eksploatacyjne i techniczne, dokonywane każdorazowo po przejechaniu określonej w instrukcji ilości kilometrów. Do tego dochodzą przeglądy diagnostyczne dotyczące wyważenia i zbieżności kół, ustawiania świateł itp.

Nie będę przecież wszystkiego wymieniał i opisywał, bo nie mam zamiaru pisać podręcznika do nauki jazdy samochodem. i tak to już nie jest aktualne. Od tego czasu minęło przecież nie mniej niż 30 lat, a przez ten czas na polskich drogach zaczęły krążyć samochody setek najróżniejszych marek, polskich i zagranicznych, ze wschodu i zachodu Europy, z Ameryki i z dalekiej Azji, japońskie, koreańskie i Bóg raczy wiedzieć jakie jeszcze. w związku z tym na rynku księgarskim ukazały się niezliczone wspaniałe wydawnictwa, szczegółowe monografie dla każdego typu i każdej marki samochodu przemierzającego nasze drogi. Przez ten czas pojawiły się liczne coraz nowsze, ciągle nowelizowane przepisy drogowe, obecnie noszące już ważny, urzędowy tytuł „Kodeks Drogowy”. A więc prawo, którego nieprzestrzeganie grozi poza bezpośrednią sankcją, śmiercią lub kalectwem spowodowanym wypadkiem, a także sankcjami prawnymi z ramienia organów wymiaru sprawiedliwości w przypadku szczęśliwego ujęcia z życiem i zdrowiem ze spowodowanego przez siebie wypadku drogowego.

Wszystkie te przepisy, nakazy, zakazy i podręczniki wydawane przez Fabrykę Samochodów Osobowych, poza troską o zdrowie i życie użytkowników dróg, mają również na celu ochronę dobrego imienia

tak samego pojazdu jak i jego producenta. Jest to w pewnej mierze ochrona stacji serwisowych, czy diagnostycznych przed natłokiem reklamacji, które stacje te są zobowiązane załatwiać w okresie gwarancyjnym każdego pojazdu.

Dopiero teraz naprawdę zaczęła się nauka jazdy. W domu, przy biurku zająłem się studiowaniem różnych przepisów, instrukcji i schematów. Wcześniej rano, praktycznie skoro świt zaznajamiałem się i przyzwyczajałem do otrzymanego sprzętu w krótkich pobocznych wycieczkach. Odbywały się one na mało uczęszczanych drogach do Łomnicy, Wojanowa czy Karpnik, podobnie jak to niegdyś już robiłem, kiedy próbowałem opanować umiejętność jazdy na motocyklu. Nie chcę się tu rozwodzić, ale zapewniam, że ta nauka była o wiele trudniejsza, niż się wydawała w naiwnych wyobrażeniach i marzeniach. I trudno tu nie wspomnieć, że przypadki tak zwanych stłuczek i to stłuczek zawinionych przez nie dość sprawnego kierowcę, którego znakiem ostrzegawczym ciągle jeszcze był zielony liść klonu naklejony na przednią i na tylną szybę samochodu, zdarzały się znacznie częściej niż bym się tego spodziewał. Nie mówię już o innych przypadkach, jakie się niedzielnemu kierowcy ciągle przydarzały, kiedy pojazd odmawiał posłuszeństwa. A to świece nie chcą palić, a to któraś z cewek wysiadła, a to wogóle rozrusznik nie działa, a to znowu coś nowego, nieoczekiwanego... Tracę cierpliwość na samą myśl o nich i wcale nie mam ochoty na ich wyliczanie i przytaczanie, ale w związku z tym musiałem zawrzeć znajomości z licznymi warsztatami naprawczymi, motoryzacyjnymi i specjalistami z branży samochodowej.

Mój samochód, z którym na razie nie pokazywałem się na zakładzie pracy, był również przedmiotem kpin i żartów. Każdy z zazdrosnych żartownisiów uważał za swój święty obowiązek, gdy mówiłem, „mój samochód” z miejsca mnie poprawiać: „Nie mów samochód, tylko Syrena”. a moja „Syrena 104”, to był zwykły sobie trzycylindrowy dwutakt o mocy około 29 KM i zdolności osiągania prędkości ponad 120 km/h. Co jak na polskie warunki drogowe było o wiele za dużo, gdyż dozwolona była jazda do 80 km/h, a na terenach zabudowanych ograniczona nawet do 50 km/h. W praktyce jeździło się optymalną, najbardziej ekonomiczną prędkością w granicach 60-70 km/h. Samochód mógł zabierać 5 osób licząc w tym również kierowcę.

W miarę upływu czasu, zdobywania coraz większego doświadczenia i sprawności w manipulowaniu samochodem, rozszerzałem zakres jego użytkowania. To znaczy wydłużyłem trasy wycieczek i zacząłem zabierać z sobą pasażerów. Oczywiście pierwszymi ryzykantami byli Irka i Janusz. A kiedy po zamieszkach studenckich w Krakowie, wrócił do Jeleniej Góry i Andrzej, w niedziele i święta i on się z nami zabierał. Kiedy dowiedziałem się, że ma on zupełnie legalne, prawidłowe prawo jazdy i może prowadzić samochód, często

mnie w tych wycieczkach w prowadzeniu „wozu” wyręczał. Po prostu prosił mnie żeby dać mu poprowadzić. Gdzie, kiedy i czym sumptem zdobył to prawo jazdy, pozostało jego tajemnicą, ale w tych naszych świątecznych wycieczkach często brał udział i równie często mnie wyręczał. *Dla wprawy!* - mówił.

Najchętniej jeździliśmy tak zwaną „Autostradą Słońca”. Nie wiem dlaczego tak nazywano drogę, ale przypuszczam, że była to pierwsza przebudowana na nowoczesny sposób droga. Poszerzona do niebywalej w tych stronach, prawie podwójnej szerokości, zaopatrzona w doskonałą, twardą nawierzchnię bitumiczną. Już na pierwszy rzut oka wyróżniała się wysoką klasą w porównaniu do wszystkich innych pozostałych tutaj dróg. Ciekawe, że tej przebudowy w szybkim tempie dokonano już po drugiej wojnie światowej. Przypuszczam, że cieszyła się ona tak wielkimi względami, bo nadano jej nieoficjalnie rangę drogi międzynarodowej czy międzypaństwowej, gdyż wiodła ona z Legnicy, miasta stanowiącego główną kwaterę Dowództwa Północnej Grupy Wojsk Radzieckich. Dalej biegła przez Jawor, Bolków, Jelenią Górę, którą obiegała po północnych peryferiach miasta i w okolicy „Celwiskozy”, po niewysokich, gołych, bezleśnych wzgórzach, przez Piechowice zmierzała do Szklarskiej Poręby i dalej przez Przełęcz Szklarską oraz przejście graniczne w Jakuszycach do Czech. Następnie przez Turnov i Mladę Boleslav do Pragi. Domyślam się, że to ze względów strategicznych tak specjalną troską otaczano tę naszą „Autostradę Słońca”. Nam to jednak nie przeszkadzało i mogę śmiało powiedzieć, że nawet nie wywierało na nas najmniejszego ani specjalnego wpływu. Ot, po prostu cieszyliśmy się, że mamy przed sobą doskonałą, mało uczęszczaną, a w pogodne dni pełną słońca drogę. Bo jak to już wspomniałem, prowadziła po zielonych, niezalesionych wzgórzach, więc nic nas przed słońcem nie chroniło aż prawie do samych Piechowic. Jechało się miło, ochotnie i radośnie. Chociaż jechało się w kierunku Szklarskiej Poręby, to rzadko bywała ona celem naszej wycieczki ani tym bardziej Jakuszyce. Po przejechaniu Piechowic, najczęściej dojeżdżając do Szklarskiej Poręby, tuż przed nią, jakby na jej progu skręcało się ostro w prawo i wjeżdżało na drogę wiodącą do Świeradowa Zdroju. Znanego, o światowej sławie i kiedyś bardzo modnego „Badu”, do którego latem, a nawet i zimą zjeżdżała się cała liczna śmietanka finansowa i przemysłowa nawet z samego Berlina. Obok sławnego sanatorium leczniczo-wypoczynkowego, znane też było schronisko wysokogórskie na szczycie Stogu Izerskiego leżącego na wysokości 1107 m n.p.m., a z którego sali widokowej, jak z latarni morskiej, można było oglądać horyzont we wszystkich kierunkach „róży wiatrów” na prawie nieograniczone odległości. Przy dobrej pogodzie można było również dojrzeć, patrząc na południe, największą atrakcję Karkonoszy, szczyt Śnieżki, najwyższy szczyt w Sudetach. Za mojej pamięci, Śnieżka, ulegając erozji, a może zadeptywana stale przez miliony turystów, obniżyła się o całe dwa metry. w 1946 roku, kiedy przybyłem do Jeleniej Góry, wszystkie oficjalne dane kartograficzne i topograficzne podawały jej wysokość 1605 m n.p.m. Obecnie zaś młodzież w szkołach uczy się, że Śnieżka ma tylko 1603 m n.p.m.

Prócz tych atrakcji przyciągała nas do Świeradowa Zdroju jeszcze inna. Obok Domu Zdrojowego, w którym kuracjusze popijali miejscowe wody mineralne i odbywali przepisane na receptę obowiązkowe spacerów wokół sali zdrojowej, po drugiej stronie ulicy, ale dość znacznie niżej, bo stok wzgórza stromo się tu obniżał, przycupnęła skromna, cicha kawiarenka, gdzie mimo powojennych czasów, czasów centralnego zarządzania i przeróżnych restrykcji podawano wspaniałą kawę „po turecku” i rurki z kremem. Filiżanka kawy, a dla chłopców herbaty lub kakao i rurka z kremem, były uwiecznieniem naszej wycieczki, ale najlepsze, po prostu niezrównane rurki z kremem podawano w Karpaczu, u stóp Śnieżki, naprzeciw Domu Wycieczkowego PTTK w Karpaczu. W nim to gospodarzył kiedyś mój dobry znajomy, niestety już zmarły, pan Henryk Graff. Obecnie jakiś obcy przybysz, podobno Włoch, pod ogromną wielobarwną markizą rozmieścił cały swój warsztat cukierniczy, gdzie na poczekaniu częstuje chętnych wspaniałymi, niezrównanymi, chrupiącymi, świeżymi jeszcze ciepłymi rurkami wypełnionymi doskonałą przyrumienioną śmietaną.

Kiedyś, w piękną wrześniową niedzielę, złudzeni nadzieją, że w tym okresie polskiej jesieni, może w okolicznych lasach, wysypały już grzyby, bo to i pora ich wysypu właściwie już nadeszła, wybraliśmy się całą czwórką daleko w potężne Bory Dolnośląskie, gdzieś aż w rejon Bolesławca, Kliczkowa, Ruszowa i Jagodzina. Mając do dyspozycji samochód byliśmy bardzo ruchliwi i penetrowaliśmy coraz to inne obszary puszczy. Pogoda była wspaniała a puszcza cicha i majestatyczna, ale pora, niestety nie grzybowa. Nie znaleźliśmy nigdzie nawet wszędożyłskiego zwykłego muchomora w czerwonym, białym cętkowanym kapeluszu. Po jakimś czasie rozłożyliśmy się obozem na niewielkiej przytulnej polance, a mama sięgnęła do swoich bagaży i zapasów i rozkładać zaczęła różne wiktuały. Obaj z Januszem rozciągnęliśmy się leniwie na trawie. Spokoju nie zaznał tylko Andrzej. Wziął kanapkę i ruszył w krzaki szukać szczęścia. Po pewnym czasie wrócił po następną kanapkę i powiada:

- *Tu w pobliżu widziałem dużą polanę, całą czerwoną od masy borówek.*

Na wszelki wypadek, przezorna Mama zaopatrzyła się w domu w dwulitrową bańkę, a nuż spotka się gdzieś w lesie jeżyny, czarne jagody, albo jakieś spóźnione maliny. I bańka przydała się, a Andrzej zabrał ją i poszedł szukać swojej polany z borówkami. Po niedługim czasie wrócił, przynosząc prawie pełną bańkę dorodnych, czerwonych borówek. Zaczęliśmy więc teraz polować na borówki, ale nie mieliśmy takiego szczęścia jak Andrzej. Owszem, tu i ówdzie znajdowaliśmy niewielkie gniazda tej krzewinki, ale to już nie miało wielkiego znaczenia.

W tym roku wysyp borówek był dość obfity, więc Mama dokupiła drugie tyle na rynku i udusiła tych wspaniałych konfitur kamionkowy 5-litrowy garnek, w którym latem kisiło się ogórki. Cieszyła się, że będzie miała borówki do świątecznego indyka na Boże Narodzenie. Mówiła, że indyk z borówkami na świątecznym stole nie ma sobie równych. Garnek z borówczanymi konfiturami postawiła na stryszku.

Niech sobie stoi i czeka na święta. Kiedy nadeszła wigilia przed Bożym Narodzeniem i czas było zakrzętnąć się około indyka z borówkami, mama zajrzała na stryszek. Kamionkowy garnek jak go postawiła tak i stał. Tylko po borówkowych konfiturach pozostały w nim zaledwie śladowe ilości. Obyło się bez śledztwa, dochodzenia winnego, zwykłego tłumaczenia i zwalania winy, „to nie ja to on”. Tym razem nie było już na kogo zwać. w domu była tylko jedna osoba zdolna do podobnego wyczynu, Januszek. Z pokorą i bez tłumaczenia przyznał się do swej winy i łakomstwa w święta indyk był nie z borówkami, ale chyba z marynowanymi śliwkami, węgierkami, wycyganionymi od Markiewiczowej, która miała manię „weckowania” w słojach (patent Wecka) wszystkiego co popadło. Kiedy miała już piwnicę pełną stoi, zwykle któreś nocy podjeżdżali pod dom samochodem złodzieje i opróżniali piwnicę doszczętnie. Najciekawsze w tym wszystkim jest to, że pani Zosia nie mogła nigdzie pójść poskarżyć się, gdyż jako zatrudniona w tym domu na etacie dozorca sama ponosiła odpowiedzialność za całość i bezpieczeństwo mienia.

Pewnego dnia dowiedzieliśmy się, że poważnie zaniemógł Miecio Wnukowski i został skierowany na leczenie sanatoryjne do Bukowca. w Bukowcu, koło Mysłakowic znajdowało się wspaniałe, doskonale urządzone i wyposażone Sanatorium Przeciwgruźlicze. Trochę nas to zaskoczyło i zdziwiło, bo o ile go znaleźmy, Miecio na gruźlika nie wyglądał. Podejrzewaliśmy więc, że raczej musiało to być jakieś inne schorzenie, tym bardziej, że Miecio pracował ciągle jeszcze w „Celwiskozie”, a ponadto mieszkał tuż przy niej i dzień i noc permanentnie narażony był na działanie trujących wyziewów wydzielających się z „kwaśnej sali”. Postanowiliśmy go odwiedzić. Dowiedzieliśmy się, że chociaż jest to zakład dla zakaźnych, nie są w nim stosowane żadne ograniczenia i restrykcje stosowane zwykle w tego rodzaju zakładach zamkniętych w stosunku do odwiedzających. Pod tym względem panowała tu całkowita niczym nieskrępowana swoboda.



Fot. 12. Wycieczka samochodowa, 1969 r.

Samo sanatorium umieszczone było na dość wyniosłym wzgórzu, silnie zalesionym starodrzewem, ale cała najbliższa i dalsza okolica to było prawdziwe zagłębienie sanatoryjno-uzdrowiskowe. Tu bowiem znajdowały się sławne, renomowane miejscowości uzdrowiskowo-wypoczynkowe, jak wspomniany już, najświetniejszy Bukowiec i Mysłakowice, ale tuż niedaleko Sosnówka i Miłków, gdzie posiadały swoje sanatoria i domy wypoczynkowe i rehabilitacyjne wielkie przedsiębiorstwa państwowe, kopalnie i huty a przede wszystkim Fundusz Wczasów Pracowniczych (FWP) i Polskie Towarzystwo Turystyczno Krajoznawcze (PTTK). Obok Ośrodków wczasowo wypoczynkowych i sanatoryjno-rehabilitacyjnych, z których korzystały w ciągu roku różne turnusy zmieniające się okresowo, w niektórych miejscowościach znajdowały się ośrodki zamknięte i ściśle izolowane, przeznaczone tylko dla pracowników konkretnych zakładów. „Celwiskoza” też miała takie zamknięte, rehabilitacyjno-zdrowotne ośrodki, które przeznaczone były dla pracowników produkcyjnych zatrudnionych w „kwaśnej sali”.

Podobne ściśle izolowane, zamknięte ośrodki w Ściegnach i w Krzacynie miały Kowarskie Kopalnie Uranu, w których leczono pracowników, przeważnie górników dotkniętych chorobą popromienną. Któregoś pogodnego popołudnia wybrałem się z żoną naszą „Syreną” na spacer w tamte okolice. Powiedzieć, że było to prawdziwe „zagłębienie wypoczynkowo zdrowotne” to nie była przesada, a zwykłe stwierdzenie faktu. Na każdym południowym skłonie pagórka czy innego wzniesienia, wśród gęstej zieleni starych drzew, prześwitywały czerwone dachy i bielone ściany różnych willi i pałacików, służących za sanatoria, domy wczasowe czy wypoczynkowe. Jadąc wolno, spacerkiem, stosunkowo wąskimi, asfaltowymi drogami, wijącymi się krętymi meandrami wśród różnych wzniesień i pagórków, rozmawialiśmy na temat prawdziwej choroby Miecia. Już wtedy było powszechnie wiadomo, że od czasu wynalezienia antybiotyków takich jak penicylina i streptomycyna, pewne choroby gnębiące dotąd ludzkość, a przede wszystkim choroby weneryczne i gruźlica przestały być problemem i pojawiały się w życiu dość rzadko. a tu naraz gruźlica u mężczyzny w wieku już prawie emerytalnym, który dotąd na podobną dolegliwość nigdy się nie skarżył. i nic, żadne wcześniejsze objawy na taką przypadłość dotąd nie wskazywały. Coś było tutaj niewyraźnego i postanowiliśmy sobie tę sprawę w rozmowie z nim wyjaśnić. Opiekowała się tu Mieciem w Bukowcu stara znajoma, pani doktor Ś., lekarz I. kategorii. Skąd taka nazwa czy tytuł? Tu, niestety potrzebny jest dłuższy i obszerny komentarz, nawiązujący do II Wojny Światowej.

Kiedy w latach 60-tych życie w powojennej Polsce zaczęło się stabilizować, kiedy znany powszechnie slogan „nie matura...” zdążył się już dostatecznie skompromitować, a od „nomenklatury” zażądano przedłożenia świadectw wykształcenia odpowiedniego do zajmowanego stanowiska w hierarchii albo

w określonym terminie uzupełnienia go do wymaganego poziomu, w kadrach zaczęła się czystka. Czystka ta nie ominęła również personelu służby zdrowia. Po przeprowadzeniu weryfikacji na terenie Jeleniej Góry okazało się, że kierownik Wydziału Zdrowia Prezydium Powiatowej Rady Narodowej i wielu lekarzy było sanitariuszami i pielęgniarzami w wojskowych szpitalach polowych. Przez lata wojny, pod ogniem dział, bomb lotniczych i szybkostrzelnych karabinów maszynowych odbywali studia i praktykę sztuki medycznej. Niestety, na naukę teoretyczną, książkową, podręcznikową nie było wtedy ani czasu, ani warunków, a gdy się wreszcie życie po wojnie jako tako ustatkowało i zaczęło na dobre stabilizować, było już na naukę teoretyczną za późno i początkowo nawet wydawało się, że nie jest ona konieczna. Że wystarczy ogromna nieraz praktyka zdobyta w polowych szpitalach. Ważne jest, aby wiedzieć jak zareagować, co trzeba zrobić i jak to zrobić, żeby pomóc, a teoretyczne uzasadnienie jest dobre dla teoretyków, naukowców, a nie praktyków. Niektórzy z nich potrafili już w tym czasie zdobyć sobie zaufanie i popularność wśród pacjentów, nieraz znacznie większą niż niektórzy lekarze nowej generacji, już po formalnych studiach uniwersyteckich.

W wyniku tej weryfikacji powstał problem, jak postąpić z tymi bądź co bądź zasłużonymi w jakimś stopniu ludźmi. Postanowiono jeszcze raz przeprowadzić nieformalną weryfikację połączoną z praktycznym egzaminem. Pozytywny wynik tego egzaminu dawał prawo do tytułu lekarza I. stopnia. Tytuł specjalnie stworzony dla zasłużonych i wysłużonych medyków we frontowej służbie zdrowia, tak jak to niegdyś, w II Rzeczypospolitej, w okresie międzywojennym dla zasłużonych frontowych żołnierzy szeregowych i podoficerów wprowadzono żelazny stopień „chorążego” - podoficera niemającego szans na awans na oficera, ale pełniącego w garnizonie funkcję oficera młodszego. Jeśli egzamin medyka wypadł słabo, ale nie beznadziejnie, medyk mógł pozostać w służbie zdrowia, ale w charakterze „felczera” - też tytuł utworzony „ad hoc” dla tych szczególnych przypadków, zasłużonych frontowych sanitariuszy. Znałem osobiście jednego z nich. Był to świetny medyk, niezwykle popularny i cieszący się również ogromną wziętością i zaufaniem.

Pani dr Ś. opiekująca się Miciem Wnukowskim w Bukowcu, była drugim takim frontowym lekarzem, ale była znacznie inteligentniejsza, więcej odczytana. Lat wojennej i powojennej praktyki nie zmarnowała. Lecząc systematycznie i konsekwentnie uzupełniała swą wiedzę medyczną teorią, studiując interesującą ją literaturę medyczną. Zdobyła znaczny rozgłos jako specjalistka chorób gruźliczych. Ponadto dużą popularność i ogromne zaufanie pacjentów, ale też nie oszczędzała się. Zawsze była na posterunku, zawsze gotowa do usług, zawsze gotowa spieszyć z radą, pomocą i pociechą. Nic więc dziwnego, że pacjenci uwielbiali ją i ufali jej prawie bezgranicznie.

W Bukowcu, z dala od dużego miasta, czuła się doskonale ze swoimi chorymi, którymi się pieczołowicie opiekowała. Była tu w sprawach medycznych prawdziwą wyrocznią - „Alfą i Omegą”, ale była też lojalną, wierną przysiędze Hipokratesa, zgodnie z którą zachowywała ściśle tajemnicę lekarską, więc niewiele mogliśmy z niej wydobyć. Przyznała, że nie jest to objaw klasycznej choroby wywołanej przez prątki tuberkulozy, lecz o coś innego, podobnego i właśnie lekarze nad tym pracują, aby postawić właściwą diagnozę i określić właściwą terapię!

Sam Miecio był jakiś cichy, przygaszony, nie do poznania. Wyglądało tak jakby nie bardzo był rad z naszej wizyty. Może istotnie męczyło go to, że za oknem cudna, słoneczna pogoda, świat się śmieje świeżą zielenią, a on w pokoju przykuty chorobą do łóżka szpitalnego. Podczas gdy inni zdrowi i rażni jak my cieszymy się zdrowiem i życiem, swobodą na świeżym powietrzu i wolnej przestrzeni. Aż bałem się wspomnieć, że mam samochód, a gdy mu się Irka wreszcie pochwaliła, przyjął to bez entuzjazmu, spokojnie i obojętnie. Wyjeżdżaliśmy z Bukowca zważeni i skwaszeni pozostawiając Miecicia otępiatego i zrezygnowanego.

Mieciec Wnukowski zmarł zresztą w kilkanaście dni potem. Przyczyny jego śmierci lekarze nie zdradzili. Pogrzebem zajęli się jego koledzy: Stachu Raudnitz i Tadek Guziak.

Korzystając ze służącej nam pięknej pogody, starałem się jak najczęściej wyjeżdżać na krótsze czy dłuższe spacer. Wszystko to oczywiście „dla treningu”, samochodem i w miarę możliwości w towarzystwie żony i synów.

Jeździliśmy więc, czy to do Karpacza na rurki z kremem, czy to do Bolkowa, do „Zamkowej” na filiżankę kawy z kremową babką, czy wreszcie do Świeradowa Zdroju na niezrównaną kawę „po turecku” i rurki z kremem. Wyjazdy do Świeradowa Zdroju każdorazowo związane były z pewnymi przeżyciami „z dreszczykiem”. Wyjeżdżając ze Szklarskiej Poręby, trzeba było bowiem przejeżdżać przez osławiony, owiany pełnymi grozy, tragicznymi legendami „Zakręt Śmierci” jak ludowa wieść niesie, ostatniej zimy II Wojny Światowej, kolumny pancerne i zmotoryzowane wojsk niemieckich, wycofując się w panicznym popłochu z dalekiego Kaukazu, z Ukrainy i Bałkanów w czasie mroźnej zimy i śnieżnej zawiei i zadymy, często błędziły tutaj, gubiły drogę i spadały w bezdenną przepaść! Do dziś dnia na jej dnie spoczywa niejedna setka wraków samochodów osobowych i ciężarowych, motocykli, opancerzonych wozów bojowych, a nawet różnego typu czołgów, których nikt nigdy nawet z tej przepaści nie usiłował wydobywać.

Najbardziej jednak lubiliśmy jeździć do Karpnik. Tam, w pewnej odległości od zabudowań wsi, odkryliśmy miejsce jakby wyjęte z uroczej baśni albo sielanki Szymona Szymonowica czy Teofila Lenartowicza.

Na skraju boru, nad Karpnickim Potokiem, wesoło toczącym swoje bystre, przezyste wody, pochylały się sylwetki kilkunastu smukłych jaworów (drzew symboli zakochanych młodzieńców). U ich stóp krzewiły się kaliny z „liściem szerokim”, a wokół rozciągała się przestrzeń pokryta bujnym kobiercem traw i polnych kwiatów, wśród których grały swoje niekończące się melodie niezliczone cykady i koniki polne. Nad tym wszystkim błękitne niebo, po którym przebiegają białe wesołe chmurki i poważnie kroczy słońce, darząc wszystko i wszystkich złotymi, gorącymi, życiodajnymi promieniami.

Ten krajobraz przypominał mi bardzo inne miejsce w Herbach - „Mosty”. Może dlatego tak je lubiłem, a nieraz chciało mi się wyciągnąć na bujnej trawie i powspominać, pomarzyć... albo jeśli ktoś woli „podrzemać sobie!”...

Te różne spacer i wycieczki po bliższych i dalszych okolicach Jeleniej Góry, bezsprzecznie spełniały różne moje zapotrzebowania „intelektualne”. Przede wszystkim był to niejako naczelnym niejako cel i motor napędowy mojej ruchliwości, jak największe życie się z maszyną i uzyskanie maksymalnej zdolności kierowania nią i manipulowania. Przy okazji mogliśmy nawet grupowo, całą rodziną zwiedzać i oglądać różne kuriozalne, ciekawe i atrakcyjne obiekty, jak np. świątynię Wang w Bierutowicach, „Zakręt śmierci” koło Szklarskiej Poręby, średniowieczny zamek warowny książąt Śląskich w Bolkowie i leżącą na jego podwalu kawiarnię „Zamkową” ze wspaniałą kawą i kremowymi babeczkami. Tu i ówdzie udało się nam zbierać trochę słodkich, leśnych malin czy czerwonych borówek albo wreszcie „podumać”, „pomarzyć” w „świątyni dumania” wśród zielonych, smukłych jaworów i krzewów kaliny z „liściem szerokim” nad Karpnickim Potokiem. To była dodatkowa korzyść i mam przekonanie, że korzyść nie była jaka, warta zachodu.

Ostatecznie, kiedy w końcu czerwca 1969 roku Jacek (to już drugi syn) zawiadomił nas i zaprosił na swój ślub i wesele, byłem na tyle przygotowany, że mogłem z zaproszenia bez trudu skorzystać i całą rodziną, to znaczy całą czwórką, do Otwocka na tę uroczystość pojechać. Czy całą czwórką, nie bardzo jestem tego pewny. w dokumentacji fotograficznej nigdzie nie mogę doszukać się Andrzeja. Wprawdzie już od przeszło roku jako „dojrzały”, chadzał jak kot własnymi drogami, zdążył już spędzić wakacje w 1957 roku z Joasią, swoją siedmioletnią bratanicą w Kretowinach na rzece, zapisać się do AGH w Krakowie, zrobić wraz z innymi studentami burdę akademicką, opuścić w związku z tym uczelnię, pójść do pracy do „Labofarmy” w Jeleniej

Górze i znowu zniknąć z horyzontu. Również (choć jestem pewny, że był z nami) nie mogę na posiadanych z tej uroczystości fotografiach doszukać się Janusza. Widocznie obaj z Andrzejem nie pchali się przez skromność na pierwszy plan przed obiektyw fotografowi. W sierpniu tego roku Janusz jest z nami w Jankach pod Warszawą, gdzie żegnają nas Janusz Gonera i Joasia.

Ciekawe, że i tu nie ma Andrzeja i nic na wytłumaczenie tego nie umiem powiedzieć. Jak to już wspomniałem, Andrzej chodził swoimi własnymi drogami. Zdjęcie z 1972 roku wskazuje, że fotograf uchwycił go na stadionie „Skry”. Andrzej skonany (widocznie po treningu), sznuruje oryginalne „Adidasy”, co wskazywałoby na to, że w tym czasie nieźle mu się powodziło. W domu wiedzieliśmy tylko, że rzucił pracę w „Labofarmie” i, że studiuje nauki społeczne na Uniwersytecie Warszawskim.

Jacek zgodnie z obowiązującym ustawodawstwem, prawnie obowiązany był wziąć ślub „cywilny” w Urzędzie stanu Cywilnego MRN w Otwocku, ale ponieważ panna młoda hołduje tradycji i starym obyczajom (a poza tym i miała rolę odgrywa również chęć pochwalenia się przed koleżankami i innym rówieśnikami ślubnym strojem i osiągniętym szczęściem, niech im się żółci uleje z zazdrości), Jacuś musi brać i drugi ślub, kanoniczny, kościelny. Ten to już w Warszawie w pełnej gali w kościele Zbawiciela. Przyjęcie urządza jakaś pobliska restauracja, nie pamiętam jaką. Jakoś bardziej utrwaliło mi się w pamięci skromne, kameralne przyjęcie w Otwocku, w domu panny młodej, ale nie mam zamiaru pisać reportażu ani z jednego ani z drugiego przyjęcia.

Nie ulega wątpliwości, że dla Jacka, jak i dla każdego dorosłego mężczyzny jest to chwila przełomowa. To początek nowej epoki w jego życiu. Już nie dość że jest samodzielny i suwerenny, odtąd musi również być i odpowiedzialny i to nie tylko za swoje czyny, ale również za rodzinę, ród, nazwisko. Od tego bowiem momentu zaczyna już tworzyć własną historię, swojego rodu. Niech więc tworzy! My zajmijmy się jego gośćmi. Popatrzmy, tak dla ciekawości kto przybył, a kto nie przybył i dlaczego?

W odwiecznej tradycji wesela, po Młodych, głównych bohaterach spektaklu, najważniejsze role zawsze odgrywali Starosta wesela i jego towarzyszką, Starościna, a następnie Starszy Drużba i Starsza Drużna, ale tak było za dawnych czasów, teraz jest inaczej. W nowych czasach, w wielkim mieście, w „metropolii” nie ma już drużbów ani druhen, ani starszych ani młodszych, ani w ogóle żadnych. I Starostowie i Starościny odeszli w przeszłość, do historii folkloru. Nie ma też żadnych przyśpiewek, przytupywań, przypijań, sadzania „Młoduchy” na dzieży, oczepin, ani licytowania wianka i pierwszego tańca z Panną Młodą. Wszystko załatwia

krótko i węzłowato, formalnie i urzędowo, Świadek pana młodego oraz jego towarzysza, Świadkow. Podpisują oni w Magistrackim Urzędzie Stanu Cywilnego odpowiedni dokument. Akt ślubu.

Takim właśnie głównym świadkiem urzędowym Jacka był jego starszy brat cioteczny, Janusz Gonera. i to on w Otwocku, na przyjęciu u panny młodej, próbował wskrzesić, przynajmniej niektóre obyczaje weselne, które czyniły z wesela radosne wydarzenie pozostawiające miłe i wesołe wspomnienia na resztę życia. Nie bardzo mu się to udawało, bo jakoś nikt z młodzieży nie kwapił się iść w jego ślady i nie próbował mu w tym pomóc. Naród już wyrósł z tej pięknej weselnej tradycji jaka dawniej cechowała polskie wesela. Zmierzamy szybkimi krokami z rolniczej i wschodniej, do przemysłowej, zachodniej Europy!

Rolę „pierwszej” czy „starszej drużyny” pełniła z namaszczeniem ośmioletnia bratanica Jacka, Joasia. Ona w kościele podtrzymywała welon „Panny Młodej” i przewodziła orszakowi ślubnemu. Niestety, jako niepełnoletnia, nie mogła samodzielnie podpisać aktu ślubu i musiał ją tu wesprzeć ktoś starszy wiekiem, następna drużyna, pełnoletnia.

Rodzice „pana młodego” są obecni „in corpore”, nie tak jak to było z weselem starszego syna, Marka. Przez te 10 lat wiele się zmieniło, sporo wody w Wiśle upłynęło... ale sprawiedliwy los zrewanżował się za to Markowi i Krystynie i w zadośćuczynieniu sprawił, że ostatnie dwie dekady życia przyszło mi dożywać właśnie w ich domu i razem z nimi cieszyć się ich wspaniałymi wnukami, a moimi prawnukami - Kiką i Krzysiem.

I oto w taki to sposób wzbogaciłem się o drugą synową, ale poza samym tylko zaszczytem, nie spada na mnie żaden specjalny opiekuńczy obowiązek. Ma ona już teraz prawnego czy legalnego, oficjalnego, młodszego ode mnie opiekuna. Ten się już o nią zatroszczy! Zostawmy ich zatem samych sobie a my pomyślmy o sobie samych.

Lato dopiero się zaczęło. Nie ma więc teraz sensu na wakacje wracać do domu. Nawet choćby ten dom był w samej Jeleniej Górze, Perle Polskich Ośrodków Turystyczno-Wczasowych. Korzystając więc z okazji, że jesteśmy tak daleko na wschód od Jeleniej Góry, gdzie na pewno w wodzie, glebie i w powietrzu jest znacznie więcej tych deficytowych w Jeleniej Górze elementów, takich jak: jod, wapń i magnez. Musimy przez wakacje postarać się trochę zmagazynować ich na zapas.

Jedziemy więc do Gniazdowa, zobaczyć co słychać u Gonerów, a przez te pięć lat, przez prawdziwą „Pięciolatkę” jak ten czas leci panowania Pana Józefa Gonery na Gniazdowie sporo się tu zmieniło. Przede wszystkim stara rudera, drewniana „dacza” przeszła we władanie sąsiada z lewej strony, w jej miejscu wyrósł elegancki, piękny pawilon skierowany frontem na Liwiec. Od strony rzeki pawilon wygląda jeszcze bardziej malowniczo i efektownie, jakby żywcem wyjęty z Pierwszej Księgi „Pana Tadeusza” Adama Mickiewicza, w słońcu błyszczą jego białe ściany. „Tym bielsze, że odbite od ciemnej zieleni topoli, co go bronią od wiatrów jesieni”. Na górze pokoje gościnne, przypominają trochę nasze, jeleniogórskie facjatki strychowe z opadającymi skośnie sufitami. Za to z okien roztacza się wspaniały widok na bezkresne wydawałoby się rozlewiska rzeki, rozległy horyzont ze wszech stron otoczony zmasowaną, skłębioną zielenią koron starodrzewiu.

Tu zaplanowano pokoje gościnne, czyli po prostu sypialnie dla gości. Sprawa ta była dosyć ciekawa, bo dowcipny gospodarz, dbając o kondycję gości, zrezygnował z urządzenia w budynku ubikacji WC. Ulokował ją natomiast w oddzielnym budynku usytuowanym przy płocie na samym skraju posiadłości. Kiedy więc w nocy czy nad ranem natura upominała się o swoje prawa fizjologiczne, trzeba było wśród nocy, czy nawet wczesnym rankiem, gdy człowiek jest najbardziej rozespany, zbiegać z góry i pędzić do WC. To też ten i ów, nie mogąc wytrzymać z bólami, załatwiał sprawę gdzieś po drodze, pod jakimi spotkanym drzewem, nie dobiegając wcale do WC. Wątpię, czy wśród gości znalazłby się ktoś, kto śmiałby poprosić gospodarzy o nocnik. Chyba dla dziecka lub innego małolata, który w nocy ze strachu przed duchami nie odważyłby się opuścić sypialni.

Jak już powiedziałem okna zajmowanej przez nas sypialni wychodziły na rzekę Liwiec i na tą olbrzymią piaskową łachę rozciągającą się akurat na wprost przed naszymi oknami. Na łasze tej Janusz już na samym początku nawtykał czy nasadził wiklinowych witek i zielonych gałązek olchy. Przez te pięć lat, jakie od tego czasu zdążyły już upłynąć, wsadzone wtedy witki wierzbowe i zielone gałązki olszynowe wyrosły w wysoką na ponad chłopca olszynę i gęste zarośla wierzbowe. Przy takim tempie wzrostu tych roślin, istnieje realna możliwość i groźba, że za następne pięć lat zarośla wiklinowe i gaj olchowy wyrosłe na piaszczystej łasze na Liwcu będą tak gęste i tak wysokie, że zupełnie zasłonią te cudowne dzisiejsze widoki, roztaczające się z okien pokoi gościnnych nawet na piętrze. Na razie Janusz osiągnął swój pierwotny cel, okiełznał piaskową łachę, ustabilizował ją i utrwalił. Już teraz byle woda jej nie ruszy. Musiałaby przyjść bardzo duża woda, aby tę łachę ruszyła i przeniosła na inne miejsce na Liwcu, jak to się dotąd często zdarzało, teraz, kiedy w Gniazdowie prawie wszystko było już jako tako uładzone i uporządkowane. Jako zajęcie atrakcyjne i rozrywkowe na czas pięknej pogody czy „Kanikuły”, znalazło się polowanie na krety, które dawniej żyły sobie tutaj spokojnie w swym podziemnym królestwie. Drążyły i wykopywały swe długie podziemne korytarze i chodniki, wyrzucały

na powierzchnię pagórki świeżej ziemi w postaci kretowin i ostatecznie nikomu nie zawadziły. My wszyscy, uważający się za ludzi inteligentnych i jakoś tam wykształconych, zgodnie uważaliśmy i byliśmy o tym święcie przekonani, że krety, ssaki owadożerne, o podziemnym trybie życia, o czarnym, aksamitnym futerku (podobno bardzo cennym), prawie zupełnie ślepe, są niebywale pożytecznymi zwierzątkami i z tego względu nawet prawnie chronionymi. Tym niemniej w szczególnych okolicznościach, kiedy swą naturalną i wrodzoną działalnością (do niej zresztą przez naturę stworzone i odpowiednio przystosowane), zaczęły nam przeszkadzać i buszować po ogrodzie i grządkach warzywnych, zapominaliśmy o naszych teoriach i humanitarnych przekonaniach (nawet o przepisach prawnych chroniących te zwierzęta), polowaliśmy na nie i tępiiliśmy je. Przykro mi, ale nie mogę nawet na usprawiedliwienie tego napisać: „bezmyślnie”, bo byłoby to niezgodne z prawdą. Wszyscy doskonale zdawaliśmy sobie sprawę, że postępujemy nie „fair”.

A krety jak to krety! Od niepamiętnych czasów, od wieków, od setek, czy tysięcy pokoleń żyły spokojnie na tym terenie. Miały swój las, swoją rzekę i swoje tereny nadrzeczne, na których żyły, polowały i budowały swoje podziemne chodniki i korytarze, którymi wędrowały od lasu do rzeki i od rzeki do lasu. I naraz okazało się, że są tu w swojej „ojczyźnie”, niepożądanymi intruzami. Podobnie jak czerwonoskórzy Indianie Ameryki Północnej. Rzecz jasna, że w tych polowaniach na Bogu ducha winnych autochtonów prym wiedli gospodarze działki. Nowi gospodarze. a już sam siebie przechodził Janusz - młodszy pan gospodarz. Cały swój umysł, inteligencję zmobilizował na wynajdywaniu najskuteczniejszych sposobów ich tępienia. Jak miała się skończyć ta bezwzględna i nierówna walka między człowiekiem uzbrojonym w nowoczesną technikę, a zwykłymi kretami trudno mi powiedzieć, bo już od wielu lat w tamtych stronach nie byłem (a i wiadomości z Gniazdowa do Warszawy dochodziły przez ten czas bardzo skąpe, ale chyba nie trudno domyśleć się, że wynik musiał być taki sam jak walki z Indianami w Ameryce). Ile to już lat od tamtego czasu minęło? Akurat kiedy piszę fragment, którego motywem i tematem są wrażenia i wspomnienia z uroczystości ślubnych i wesela Jacka z końca czerwca 1963 roku, zadzwonił do mnie właśnie Jacek z nadzwyczajną wieścią! Pochwalił się mianowicie, że dziś, nareszcie, to jest w poniedziałek, 15 lipca 1996 roku jego synowi Piotrkowi (urodzonemu w 1970 roku) jego żona, Beata urodziła syna i w ten sposób automatycznie obaj awansowaliśmy w hierarchii rodzinnej. On do godności dziadka, a ja pradiadka (zresztą już po raz trzeci).

Tak to czas niby w miejscu stoi, tylko my się niepostrzeżenie dla nas samych starzejemy, a obok nas zmienia się sztafeta pokoleń.

Tego lata miesiące pełne emocji i różnych niecodziennych przeżyć mijały niezwykle szybko. Tym razem wyjątkowo kapryśnego, z ciągłymi, nieoczekiwanymi zmianami pogody. Nam siedzącym w Gniazdowie wydawało się, że jednak ogromnie przeważały dni wietrzne, dżdżyste i zawiewające chłodnym wiatrem północnym. Tak, że niekiedy nieocenione usługi, zwłaszcza wieczorową porą oddawała „koza” żelazny piecyk, który Józiek zainstalował w swojej sypialni, odprowadzając dym i spaliny kanałem wentylacyjnym, jako że właściwych kanałów kominowych budynek nie posiadał, bo nie posiadał również i kominów, jako obiekt wypoczynkowo-wczasowy. Przy okazji spalało się całe fury sosnowych szyszek, które gęsto pokrywały cały teren działki ciupiąc pod nogami, ale marna pogoda sprowadzała na całe towarzystwo nastroje nudne i ponure. Nie mogły ich rozproszyć ani rozwiać niezliczone robry rodzinnego brydża, ani nawet gruziński koniak z trzema, czy nawet z pięcioma gwiazdkami. A i wakacje właściwie zbliżały się już do końca. Trzeba się było zbierać do domu.

Pełni wrażeń, już bez żadnych przypadków, wracaliśmy do Warszawy. Pilotował nas przez cały czas Janusz Gonera na swoim Moskwiczu, a towarzyszyła nam również Joasia (Marka córka), a moja wnuczka. Oni uroczyście i wesoło, choć pogoda raczej była pochmurna, pożegnali nas na granicy Wielkiej Warszawy, pod Jankami. Ten moment został uwieczniony na licznych fotografiach, w których realizacji musiałem osobiście uczestniczyć, bo występuje na nich Janusz, który nie zawsze mógł się dawać „zdejmować”, bo nie woził z sobą samowyzwalacza. Ponadto na jednym ze zdjęć, występuje jako główny model pozujący do niego - nasza „Syrena 104” z doskonale widoczną i czytelną tablicą rejestracyjną 7678- XL (jak na zdjęciu do dowodu osobistego). To zdjęcie to chyba sam reżyserowałem, jakby przeczuwając, że może kiedyś posłużyć jako „Karta Identyfikacyjna”. Ciężko i żal było się rozstawać, ale „służba nie drużba”, jak trzeba to trzeba, „dla chleba panie, dla chleba” - jak mówi dawna piosenka wędrownych huculskich górali, kiedyś dawno temu chodzących po wsiach druciarzy, drutujących, popękane gliniane garnki. Pięknie na temat tych glinianych garnków pisała poetka Maria Konopnicka w swoich nowelach. Jechaliśmy sobie niespiesznie, ale i nie najkrótszą możliwie drogą, bo jak sierpem rzucił przez Tomaszów, Piotrków; w Piotrkowie wstąpiliśmy tylko „na chwilę” do Lutki. Specjalnych zmian nie zanotowaliśmy, ani też żadnych ciekawych wydarzeń czy incydentów. a potem już przez przetarty szlak drogą przez Częstochowę, Herby, Lubliniec, Opole, Wrocław, Jawor do Jeleniej Góry.

Do Jeleniej Góry dotarliśmy późną nocą. Nie chciało mi się o tak późnej porze odprowadzać samochodu do garażu i zakłócać mieszkającym tam ludziom nocnego spokoju. Sam też byłem dostatecznie mocno zmęczony. Zostawiłem więc samochód pod domem. Wiedziałem co ryzykuję!

Ciekawe, że mimo takiego znużenia wyczerpującą podróżą, Irka tak czujnie spała, że gdy zawarczał silnik zapuszczanego samochodu, natychmiast się obudziła i zaraz też obudziła mnie.

- *Stachu! Ktoś zapuszcza silnik samochodu.*

Zacząłem nadśłuchiwać, ale nic nie mąciło nocnej ciszy

- *Zdawało ci się. - mówię i na nowo zasypiam.*

Po jakimś czasie, trudno mi powiedzieć jak długo to trwało, ale jeszcze była noc, ktoś gwałtownie i hałaśliwie zaczął dobijać się do naszych drzwi.

- *Kto tam? – pytam, zerwawszy się z łóżka.*
- *Milicja — słyszę odpowiedź! —Proszę otwierać!*

Kiedy otworzyłem, milicjant powiada:

- *Czy to pański samochód? Ta Syrena, co stoi przed domem?*
- *Mój – powiadam. – A bo co?*
- *A to, że ją panu sprzed dornu złodzieje zabrali. Właśni, żeśmy ją im odebrali i przyprowadzili pod dom z powrotem. Jest trochę uszkodzona, ale nie bardzo. Ma tylko stłuczony reflektor. Niech pan zejdzie i popatrzy czy coś nie zginęło.*

Z dalszej relacji milicjantów wynikało, że:

- *Jak wskazują ślady, złodzieje w znany powszechnie sposób wyłamali boczną szybę w drzwiach. Przez ten otwór zluzowali zamek w drzwiach i wdarli się do środka „na krótkie zwarcie” – jak dalej wyjaśnili mi milicjanci – Uruchomili silnik i ruszyli.*

Gdy uruchamiali silnik i on „zaskoczył”, Irka to usłyszała. Dobrze słyszała, nie zdawało jej się jak ja mylnie wtedy sądziłem, a że potem była cisza i nie słychać było pracy silnika kiedy odjeżdżali, to dlatego, że aż do ul. Kochanowskiego zjeżdżali na luzie, więc silnik nie pracował i nie było go słychać, ale złodzieje nie mieli szczęścia. Już z Warszawy przyjechaliśmy na resztkach benzyny z rezerwy, w baku więc mogło pozostać kilka kropel na dzień i złodzieje od razu mieli kłopoty z jazdą. To ich szamotanie się z samochodem na ulicy, wydało się podejrzanym patrolowi milicyjnemu, jeżdżącemu po ulicach miasta ze zgaszonymi światłami. Mimo to, kiedy zaczęli się do Syreny zbliżać, złodzieje ich dostrzegli, zostawili więc samochód na łasce losu na chodzie, a sami „prysnęli” na cmentarz, obok którego właśnie się znajdowali. Syrena pozostawiona sama sobie dziwnym trafem potoczyła się po pochyłości ulicy za nimi i uderzyła prawą stroną w mur ogrodzenia cmentarnego, zbiła sobie prawy reflektor i zatrzymała się. Złodziei, milicjanci nie próbowali nawet ścigać. Lojalnie przyznali, że nie mieli żadnych szans. z karty wozu, jaką milicjanci znaleźli milicjanci wewnątrz samochodu, dowiedzieli się nazwiska i adresu właściciela, a samochód przyholowali pod dom. Dużo jeszcze różnych niestworzonych rzeczy opowiadali, jak to porobili pewne kroki dochodzeniowe, jak to pobrali odciski palców. w istocie w samochodzie na szybach i na tapicerce pozostały widoczne ślady tej ich działalności w postaci białego proszku jakim wszystko było opylone. Przyczepili się do czapki naszego Janusza, którą pozostawił w wozie. Ta czapka nie dawała im spokoju. Jeszcze kilka razy potem wracali do niej. w samochodzie na szczęście nic nie zginęło, bo prócz tej czapki nic w nim nie zostawiliśmy ruchomego co można by łatwo sobie przywłaszczyć. Ostatecznie więc rozstaliśmy się z milicjantami w spokoju, na remis. Bez skargi, bez doniesienia, bez protokołu i bez meldunku. Tylko za podziękowaniem. Koniecznie chcieli ode mnie wyciągnąć zeznanie. Pytali czy kogoś podejrzewam. Doskonale wiedziałem kim byli ci „złodzieje” i byłem przekonany, że i oni wiedzą. Dlatego właśnie takiego zeznania nie złożyłem. Bo niby skąd ci milicjanci wiedzieli, że samochód, który naszli koło cmentarza na ulicy Świerczewskiego, był skradziony sprzed domu na Wzgórzu Partyzantów i bez niczego, bez meldunku, protokołu samochód odebrany złodziejom, odstawiają pod dom właściciela zamiast na posterunek MO. Sprawa była prosta. Sprawcami byli dwaj koledzy, uczniowie technicznej szkoły samochodowej, bliscy nasi znajomi i sąsiedzi, Tolek Mierzwiński i Władek Pluskota. Ci niedoszli jeszcze technicy samochodowi, pierwsze, czego się w szkole samochodowej nauczyli, to jak otwierać i uruchamiać pozostawione bez dozoru samochody.

Nie dla jakichś przestępczych czy zbrodniczych celów, ot dla żartu, dla sportu albo żeby się po prostu przejechać nowym samochodem. Ojciec Tolka, Mierzwiński, był spensjonowanym funkcjonariuszem bezpieczeństwa i być może kiedyś nawet zwierzchnikiem tych milicjantów, a Ojciec Władka, Stanisław Pluskota był pierwszym sekretarzem Partii w JWO, a więc również znaną „szyszką”. z góry wiedziałem, że dochodzenie, gdyby je nawet wszczęto, zostałooby po pewnym czasie umorzone z braku sprawców, których nie ujęto i nie było szans na ich ujęcie jako nieznanych, a ja bym się narażał tym moim miłym sąsiadom. Pozostałem sprawę w zawieszeniu do samoistnego się rozwiązania. z Mierzwińskim, ojcem Tolka jeszcze nieraz spotykaliśmy się jak sąsiad z sąsiadem. Po odejściu z UB, za otrzymaną odprawę wraz z zięciem założyli warsztat naprawczo-hydrauliczny, ale szybko na nim splajtowali. Wzięli więc w dzierżawę knajpę przy pływalni na ul. Świerczewskiego, niedaleko bramy cementarnej. i razem całą rodziną w czwórkę (ojciec, matka, zięć i córka) tę knajpę prowadzili. Przypuszczam, że ze względu na bliskie sąsiedztwo cementarza, powszechnie nazywano tę knajpę „Pod Trupkiem”.

Czy Tolek junior ukończył szkołę samochodową, nie umiem powiedzieć, gdyż jakoś tak niespostrzeżenie zniknął z horyzontu w Jeleniej Górze. Władek zaś Pluskota, ożenił się, gdzieś tam podobno pracował i doczekał się ładnego syna. a którejś niedzieli kąpał się po pijanemu i utopił w wannie.

Tak się jakoś w życiu dziwnie składa, że człowiek prawie nigdy nie ma spokojnej głowy. Zawsze ma jakiegoś robaka, jakąś zmorę czy zgagę, która go gryzie, denerwuje, podnosi poziom adrenaliny we krwi i pozbawia spokoju. Ja miałem dwie takie zgagi na wątrobie. Jedną z nich był ciągle definitywnie nie załatwiony problem garażowania samochodu, a drugą ten nieszczęsny Morus, z którym nie wiadomo co zrobić w czasie dalszych i dłuższych wyjazdów.

Teraz, kiedy mamy już samochód wydawałoby się, że ta sprawa nie powinna stanowić żadnego problemu. Nic prostszego, brać Morusa z sobą do samochodu! Przy najbliższej więc okazji, kiedy wyjeżdżaliśmy na wczasy, tradycyjnie już do Gniazdowa, niech Morus jedzie z nami. Tam sobie pohasa na polach i w lasach, wypuszcze się w Liwcu i my i on będziemy zadowoleni. Tak też zrobiliśmy. Niestety! Tu spotkała nas zupełnie nowa niespodzianka! Okazało się, że Morus nie znosi jazdy samochodem, ma uraz alergiczny. Tak jak ludzie chorują na chorobę morską kiedy płyną statkiem, albo gdy lecą samolotem, na chorobę lotniczą, dla takich są przygotowane w oparciach foteli specjalne torebki foliowe, a ponadto można się zaopatrzyć w specjalne drażetki (tabletki) „Aviomarin”, przeciw tej chorobie lotniczej. Kto by przypuszczał, że pies może cierpieć na dolegliwości alergiczne? Dlatego, zabierając go samochodem, musieliśmy robić dodatkowo częstsze postoje, gdzieś wśród lasów albo na otwartych polach, aby Morus mógł odetchnąć świeżym powietrzem, dotlenić się

i pozbyć duszności i mdłości. Jednak wsiadał do samochodu nie tak jak inne znane mi psy. Na przykład Janusza Gonery, Igo. Kiedy Janusz otwierał swój samochód, Igo już pierwszy wskakiwał do niego i sadowił się na przednim siedzeniu, obok kierowcy, a na każdego bez wyjątku (znowu mi, niedzielnemu maszyno-pisarzowi maszyna się wyłamała) kto by usiłował go stamtąd spędzić, szczyrzył groźnie potężne kły. Podobnie pudel Baški Rybakowej. Gdy tylko otworzyło się drzwi samochodu do wsiadania, on wskakiwał pierwszy i sadowił się dla odmiany Baśce na kolanach, a Morus przeciwnie, zawsze się ociągał i do samochodu wsiadał tylko pod przymusem. Jednym słowem, Morus nie znosił jazdy samochodem i nie palił się do niej, jak inne psy, ale nie to było najważniejsze. Miał jeszcze tę inną wadę, kopał jamy pod fundamentami budynków lub korzeniami drzew. I tym swoim nawykiem zaczął się popisywać w Gniazdowie, a gdy został skarcony za kopanie nor pod domem, zaczął je kopać pod drzewami. Prawie pod każdą sosną były wkrótce widoczne ślady jego saperskiej pracowitości. Ponieważ gospodarzom ten jego nawyk nie podobał się, Morus przekreślił tym na zawsze dalsze swoje wyjazdy na wczasy. Pozostawało jedno. Zostawić go pod opieką Markiewiczów, ale za to trzeba było jakoś się im odwdziaczyć.

Okazja nadarzyła się niebawem. Zielona Góra urządzała swoje doroczne „Święto Winobrania”. Zielona Góra od dawna słynęła z uprawy winorośli, a zielonogórskie wina (zwłaszcza szampan) jakością nie ustępowały renomowanym winom zagranicznym.

Nie były tanie ani łatwe do nabycia, gdyż skutecznie konkurowały z kaukaskimi czy krymskimi i szły prawie w całości na eksport. w kraju można było je nabyć zwykle przed Sylwestrem, w sklepach delikatesowych lub w specjalistycznych za dewizy. Gdy dyrektorałem w Pieńsku udało mi się chyba ze dwa razy na Sylwestra zdobyć po znajomości butelkę tego specjału, za którą zapłaciłem, pamiętam doskonale, równe 1000 zł. (tysiąc złotych). Było to w latach 1947-1948, przed pierwszą rewaloryzacją złotówki, która jak pamiętamy nastąpiła faktycznie na przełomie lat 1949-1950. Dla porównania paczka 20 sztuk papierosów bez ustników „Grunwald” albo „Górnik” kosztowała wtedy 100 zł. Zielona Góra była w tym czasie ciekawym miastem powiatowym. w samym centrum, w okolicach Urzędu Miejskiego i Powiatowego, parku i Wzgórza Winnego, na ulicach zabroniony był jakikolwiek ruch kołowy. Na ulicach tych zlikwidowano jezdnie, a ulice zamieniono na deptaki spacerowe. Na nich też odbywały się coroczne święta winobrania połączone z różnymi festynami, degustacją wspaniałych zielonogórskich win i festiwalem piosenek narodów radzieckich oraz ogólną zabawą taneczną na deptaku, do której przygrywały różne orkiestry. Między innymi, również orkiestra kolejowa i orkiestra Fabryki Taboru Kolejowego z Nowej Soli. w tej ostatniej ważną figurą był jej członek, grający na jakiejś trąbce, a starszy brat naszego sąsiada, Olka Markiewicza. Pracował w Nowej Soli, właśnie w Fabryce Taboru Kolejowego, ale

mieszkał w Zielonej Górze. Miał obszerne wielopokojowe, pięknie wyposażone mieszkanie, dorosłe dzieci i gorąco zapraszał brata Olka wraz z żoną na Święto Winobrania. Postanowiliśmy, że ich na ten festyn podrzucimy samochodem. Zgodzili się na to bardzo chętnie.

Impreza udała się nadzwyczajnie. Pogoda nam dopisywała, ale cały ten wielki festyn musieliśmy oglądać i przeżywać sami z sobą. Gospodarz, brat Olka Markiewicza był aktywnie i bez reszty zaabsorbowany swoją orkiestrą dętą, gdyż jak się okazało, poza festiwalem piosenki narodów radzieckich urządzono również jakiś konkurs orkiestr dętych i starszy Markiewicz spodziewał się na tym konkursie wywalczyć jakieś odznaczenie. Dorosłe dzieci już dawno chodziły własnymi drogami, a gospodyni, jak to wszystkie gospodynie w tym wieku, narzekała na tyle różnych dolegliwości, że nawet nie podejmowała się ich wyliczyć. Wystarczyło ich jednak, nawet w nadmiarze, by trzymać ją na uwięzi w domu. Zresztą powiada, że od lat się tym festiwalom przygląda i już ma ich dość. Woli w domu posiedzieć i pomodlić się, zmówić parę cząstek różańca. Uroczystości rozpoczęły się zaraz po południu i trwały do późnej nocy. Punkt kulminacyjny, strzelanie setek kolorowych rakiet i mnóstwa innych ogni sztucznych nad miastem nastąpiło o godzinie wieczornego capstrzyku, kiedy to również z wieży ratuszowej rozległ się głos trąbki odgrywającej proponowany hejnał miasta Zielona Góra. Już około północy byliśmy wszyscy na miejscu, w domu. Syci wrażeń, zmęczeni i śpiący, nieskorzy do wieczornych gawęd. Jutro dalszy ciąg festiwalu. U gościnnych gospodarzy w Zielonej Górze przenocowaliśmy jedną noc. Następnego dnia obejrzelśmy resztą starego miasta, sławne Winne Wzgórze ze wspaniale utrzymanymi winnicami oraz położone obok Muzeum Przemysłu Winnego z licznymi i bardzo ciekawymi eksponatami, wspaniale ilustrującymi dzieje, rozwój i postęp tego chyba najstarszego przemysłu przetwórczego. Biblia datuje go prawie od potopu świata. Bo od czasów naszego praojca Noego, który nieopatrznie „urznął się” winem i naraził na zgorszenie swych trzech dorosłych synów, za co Pan przeklął pokolenie (potomków) jednego z nich, Chama. Można więc bez przesady powiedzieć, że ludzie piją i upijają się od czasu potopu. Na tę intencję, nawet w Liturgii niektórych religii zarezerwowano tę lampkę wina, albo i nawet cały kielich dziennie dla kapłana. Tylko mahometanie wyrzekli się wina i wszelkich napojów wysokowych. Stąd między nimi i Żydami trwa taka odwieczna nienawiść. Bo właśnie od dawna, jeszcze przed wojną w Polsce, żydowska „Pejsachówka” albo też „Szabasówka” słynęły jako wódki nieznównane i niezwyklej jakości. Po wsiach i miasteczkach wyszynkiem „siwuchy” i „okowity” zajmowali się prawie z zasady żydowscy szynkarze, urzędujący po wiejskich karczmach.

O takim szynkarzu-karczmarzu, Jankielu, kilka pięknych, ciepłych słów powiedział również nasz wieszcz narodowy Adam Mickiewicz w swojej wspaniałej epopei „Pan Tadeusz, czyli ostatni Zajazd na Litwie”.

W pogodnym nastroju, z silniej zacieśnionymi więzami przyjaźni, wróciliśmy z tego festynu do Jeleniej Góry. Umówiliśmy się, że gdy tylko pokażą się grzyby, to wspólnie wybierzemy się do puszczy Ruszowskiej lub Zgorzeleckiej na grzybobranie. Po drodze wstąpiliśmy do Kozuchowa, Markiewiczze mieli nadzieję złapać gdzieś Edka, ale okazało się, że jest na ćwiczeniach na poligonie gdzieś daleko w terenie.

Na razie mogłem trochę odetchnąć od tych trapiących mnie stale moich zmór.

W zamiarze mieliśmy mniej lub bardziej śmiałe plany wędrówek krajoznawczych po terenach Polski. Mając dość wygodny i pakowny samochód osobowy, takie wędrówki po kraju powinny być nie tylko pouczające, fascynujące wprost w swych odkrywczych momentach, ale również przyjemne i stosunkowo wygodne. Na pewno dużo wygodniejsze niż karoce królowej Marysieńki, którymi przemierzała ona polskimi drogami nasz przepiękny kraj i jego bezdroża, podróżując z Warszawy aż do Cieplic Zdroju na Dolnym Śląsku. Co limuzyna na gumowych kołach, to nie jakaś tam staroświecka landara.

Niestety naszą swobodę poruszania się, jeśli chodzi o dalsze i dłuższe wycieczki w znacznej mierze ograniczał Morus. Miał na to także wpływ fakt, że Janusz przeszedł właśnie do klasy maturalnej w liceum. Ponieważ miał różne nieporozumienia ze swym polonistą, panem Rząsą, postanowiliśmy nie opuszczać Jeleniej Góry i mieć oko na dalszy bieg wydarzeń. Dlatego tylko czasem stosując się do aktualnie panującej pogody, wybieraliśmy się w dni wolne od pracy do puszczy dolnośląskich na grzybobrania, albo zwyczajnie na kawę z kremowymi babkami do „Zamkowej” w Bolkowie, albo do Świeradowa Zdroju na kawę i rurki z kremem.

Dopiero w czerwcu następnego roku, gdy okazało się, że pan Rząsa jednak postawił na swoim i oblał Janusza na maturze z polskiego, sprawa rozwiązała się „samoistnie”. Nie było co płakać nad rozlanym mlekiem. Tym bardziej, że Janusz mógł zdawać poprawkę jeszcze w tym roku, we wrześniu. Z tym tylko, że nie mógł złożyć podania do żadnej wyższej akademickiej uczelni o przyjęcie na studia, gdyż uczelnie takie podania z zasady przyjmowały w terminach do końca lipca, a do podania jako „condicio sine qua non” było załączenie świadectwa dojrzałości, a on takiego świadectwa nie posiadał. Spodziewał się otrzymać je dopiero po egzaminie poprawkowym, we wrześniu, ale wtedy będzie to przysłowiowa musztarda po obiedzie. Następny termin składania podań na uczelnie wyższe będzie dopiero za rok. Janusz nie chciał jednak zrezygnować. Nie miał zamiaru czekać cały rok. Jemu pilno było wyrwać się z domu. w Jeleniej Górze obok Szkoły Podchorążych Wojsk Obrony Przeciwlotniczej, która również wymagała od kandydatów-ochotników świadectwa maturalnego, ogłosiła nabór na ochotników, Szkoła Kadetów Wojsk Obrony Przeciwlotniczej, kształcąca chorążych wojska

Polskiego. Szkoła ta przyjmowała podania ochotników warunkowo na zasadzie, że świadectwo maturalne zostanie dostarczone szkole po wakacjach. W ten sposób Janusz zaczął się w wojsku. o maturę właściwie przestał się martwić, bo liczył na to, że na egzamin poprawkowy do liceum zgłosi się już w mundurze wojskowym. Tak też się stało. Egzamin poprawkowy we wrześniu był właściwie tylko zwykłą formalnością. Pan Rząsa jakoś nie miał widocznie chęci zabrać w tej sprawie głosu, ale tak czy owak nie czekaliśmy na ostateczne załatwienie sprawy Janusza. Spodziewał się on, że już w sierpniu będzie musiał stawić się w jednostce i nasz urlop przez to został skrócony. Wyjazd na normalne wczasy nie miał już sensu .

Kiedyś zapraszała nas do siebie, do Szczecina Basia Rybakowa. Postanowiliśmy jeszcze w lipcu zrobić sobie trochę dłuższy spacer i na kilka dni złożyć wizytę Rybakom.

I znowu ruszyliśmy spacerkiem starym szlakiem sprzed lat, kiedy to, też w trójkę, wędrowaliśmy przez Polskę na rowerach i biwakowaliśmy w namiocie. Znowu mijaliśmy i przejeżdżaliśmy przez te same miejscowości: Złotoryję, Chojnow, Lubin (centrum powstającego nowego zagłębia miedziowego) i Głogów, z którym wiązały się jakieś osobiste niedawne wspomnienia, albo jakieś fakty historyczne z zamierzchłej przeszłości. Kiedy już zdecydowaliśmy się na wycieczkę krajoznawczą, postanowiliśmy nie trzymać się kurczowo starej, dawniej nakreślonej trasy i zboczyliśmy do Czerwieńska koło Zielonej Góry, aby odwiedzić starą przyjaciółkę Irki, Jadzię Derecką i jej córkę Stasię. Niestety w domu zastaliśmy tylko samą Stasię, bo pani Jadzia Derecka leżała już w tym czasie w szpitalu w Zielonej Górze obłożnie chora. Synowie Stasi przebywali gdzieś na koloniach letnich a mąż, kiedyś znany i ceniony kolarz kadrowy, pełnił służbę jako dozorca stadionu w Zielonej Górze. Z Zielonej Góry postanowiliśmy zboczyć na Chojny i odwiedzić Cedynię, historyczne miejsce zwycięskiej bitwy Mieszka I i Czcibora w roku 972 z wojskami niemieckimi dowodzonymi przez margrabiego Hodona. Na wzgórzu pod Cedynią w miejscu stoczenia tej historycznej bitwy wzniesiono piękny pomnik dla uczczenia zwycięskich bitew nad Odrą, tamtej w 972 roku i najświeższej z roku 1945. W Cedyni znajduje się cmentarz polskich żołnierzy, poległych w walce o przeprawę przez Odrę w 1945 roku oraz muzeum czynu wojennego.

Z Cedyni wróciliśmy do Pyrzyc. Pamiętnych dla mnie z lutego 1945 roku, do których wtedy tak uparcie dążyliśmy w pochodzie ewakuacyjnym jeńców Oflagu II C i nie dotarliśmy, bo uprzedziły nas pancerne zagony, jak się później okazało wojska, w którego skład wchodziła również Pierwsza Armia Wojska Polskiego. Wtedy zmieniliśmy kierunek naszego marszu z zachodniego na północny i zamiast na przeprawę w Krajniku wyszliśmy na mosty w Szczecinie, tu nas złapało sowieckie lotnictwo bombardujące mosty na Odrze, zresztą bezskutecznie

i jakiś zagon pancerny. Rozgorzała krótka, lecz zażarta walka ogniowa nad naszymi głowami, ale Niemcom udało się odeprzeć natarcie Rosjan, a my mogliśmy swobodnie przeprawić się przez most na lewy brzeg Odry.

Przejechanie tego samego szlaku, wtedy na rowerach zabrało nam prawie trzy tygodnie czasu, teraz samochodem pokonaliśmy go w kilkanaście zaledwie godzin.

Basia Rybakowa ma w Szczecinie bardzo miłe, małe mieszkanko. Przytulne i wygodne, tylko 15 m² ale dla nich (dla niej i jej męża i psa) w zupełności wystarczające. Żyją sobie spokojnie jak u Pana Boga za piecem. Trafiliśmy niezbyt fortunnie, bo akurat Stachu był na wyjeździe. Bardzo czynny społecznie był w trakcie organizowania jakiegoś Ośrodka Wypoczynkowego w Trzebiatowie dla pracowników swojego zakładu. Wyruszyliśmy więc do Trzebiatowa wszyscy razem: my, oni, Janusz i pies. Nie mieliśmy szczęścia, bo prawie zaraz popsukała się pogoda i nie można było korzystać ze spacerów po nadmorskich plażach. i choć do Mrzeżyna, Dźwirzyna, a nawet do Kołobrzegu było blisko, bo prawie rzut kamieniem to jednak nie byliśmy nad morzem ani razu. Przeszkadzała sztormowa pogoda. Irka ze swoją hydrofobią nawet przy pięknej, słonecznej pogodzie niechętnie by się nad morze wybrała, a na plażę tym bardziej. Wymawiała się, że nie zabrała ze sobą na plażę odpowiedniego kostiumu, a poza tym to nie lubi ludziom świecić w oczy swoją golizną.

Stachu Rybak prawie przez cały czas był nieuchwytny i rzadko go widywaliśmy. Był ogromnie zaabsorbowany organizacją tego swojego ośrodka i rozrywany przez personel oraz wykonawców i dostawców. Musiał codziennie załatwiać setki interesów, a interesy najlepiej załatwia się przy kielichu.

Nadmiar zajęć Stacha Rybaka, spartańskie warunki bytowe w Trzebiatowie i stale sztormowa pogoda, skłoniły nas do opuszczenia niegościnnego tym razem Pomorza.

Baškę i pudła odwieźliśmy więc, nie zwlekając, do Szczecina. Sami również bez zwłoki, nie zatrzymując się u Baški w Szczecinie nawet na wypicie szklanki herbaty, pospieszyliśmy do siebie, do Jeleniej Góry.

Kiedy o tej naszej wycieczce dowiedzieli się Chwistowie, bardzo żałowali, że nie zabraliśmy ich z sobą, bo w Mielnie koło Koszalina mają dobrych znajomych, a nawet dalekich kuzynów. z Trzebiatowa do Koszalina nie jest znowu tak bardzo daleko. Ich kuzyni zaś w Mielnie są rybakami morskimi, mają swoje barki i poławiają ryby w Bałtyku. Właśnie nadchodzi sezon połowu śledzia, pora najobfitszych zaciągów. Na jednej z barek

rybackich pływa jako szyper, Sylwek Piasecki, syn kadrowca z Huty Szkła Technicznego w Jeleniej Górze w czasach, gdy ja tam dyktorowałem.

- *A mówię wam, że nic tak wspaniale nie smakuje jak smażony śledź, świeżo wyciągnięty z morza! – chwalił się Chwist.*

Oczywiście umówiliśmy się, że przy najbliższej nadarzającej się okazji wybierzemy się wspólnie do Koszalina i do Mieln na świeże, wyłowione prosto z morza, smażone śledzie.

Wycieczkę trzeba było zaplanować na dwa dni. Nie było to takie łatwe. Wtedy jeszcze nie znano „wolnych sobót” od pracy, a święto o tej porze roku, było tylko jedno. Święto „Rocznicy Rewolucji Październikowej” obchodzone uroczyście w dniu 7 listopada. Poczekamy, zobaczymy, co da się z tym zrobić!

Tymczasem nieoczekiwanie dotarła do nas wiadomość, że Andrzej wakacje spędził na praktyce akademickiej w Hucie Szkła Gospodarczego w Krośnie. To miasto, położone nad Wisłokiem, znane mi było od dawna i to nie tylko dlatego, że jest to najstarsze zagłębie naftowe na świecie i w ogóle ojczyzna kariery jaką zrobiła ropa naftowa dzięki polskiemu uczonemu i wynalazcy Ignacemu Łukasiewiczowi, ale również, jako siedziba jednej z najstarszych hut szklarskich w Polsce. Z Krosna bowiem pochodziła znaczna część mojej kadry technicznej w Hucie Szkła Technicznego w Jeleniej Górze w czasie kiedy tam dyktorowałem, a przede wszystkim dwaj hutmistrze: Kędzierzawski i Lang. Z krośnieńskiej huty pochodziło też wielu hutników szklarzy. Kształcił się tam przez pewien czas również późniejszy dyktor techniczny w Zjednoczonych Zakładach Szklarskich w Pieńsku, Tadeusz Brejna. Wielu hutników szklarzy z Krosna i Jasła po wojnie osiedliło się na Dolnym Śląsku i pracowało w licznych tu zakładach szklarskich, że wymienię, Hutę Szkła Technicznego i Jeleniogórską Wytwórnnię Optyczną w Jeleniej Górze, Hutę Szkła Kryształowego w Szklarskiej Porębie, Hutę w Wałbrzychu, Hutę w Łowej, w Pieńsku oraz inne.

Jak wynikało ze skąpych relacji Andrzeja z jego praktyki wakacyjnej w Krośnie, obok starej wysłużonej huty, którą prawdopodobnie przeznaczony się na skansen albo na muzeum przemysłu szklarskiego, wybudowano ostatnio okazały, nowoczesny zakład szklarski, wyposażony w najnowocześniejsze maszyny i urządzenia i skomputeryzowane automaty przeznaczone do masowej produkcji różnych asortymentów szkła gospodarczego. Pierwsze, nieśmiałe próby technologiczne przeszły wszelkie oczekiwania, a miliony sztuk szklanek do herbaty, czyli asortymentu od dziesiątków lat stale deficytowego, już ruszyły z Krosna na rynki

w Polsce i w szeroki świat. Przeważnie jednak na wschód, jakby dla ironii losu. Kiedyś, dawno temu, przed wiekami, szkło wędrowało ze wschodu, jako drogocenny okaz biżuterii. Ze wschodu szły karawany wielbłądów, a w ich jukach również do barbarzyńskiej wówczas Polski, drogocenne, szklane arcydzieła sztuki szklarskiej jako precjoza. a teraz z już ucywilizowanej Polski, nowoczesne szklanki w milionach sztuk, wyrobu pięknego, a jednak taniego i możliwego już powszechnie do nabycia wracają do swych korzeni: Buchary, Samarkandy, Konstantynopola, Aleksandrii. w tym samym czasie, kiedy w Krośnie budowano hutę szkła gospodarczego, w Sandomierzu nad Wisłą rodziła się gigantyczna huta szkła szybowego. Stara, sławna, opiewana w piosenkach patriotycznych i rewolucyjnych piotrkowska huta, „Kara”. Huta szkła taflowego, okiennego, która już przeżyła swój okres świetności. Teraz zakasowała ją ogromem, nowoczesnością i wydajnością olbrzymia huta sandomierska. Do historii, ludowych baśni i opowiadań przeszli już sławni i niezrównani „tafelnicy” - arystokracja piotrkowskich szklarzy szybowych - wraz ze swoimi „kiwaczami”, przy pomocy których wydmuchiwali kiedyś olbrzymie cienkościenne cylindry szklane, które z kolei rozcinane wzdłuż i prostowane na gorąco dawały płaskie szyby szklane do okien w mieszczańskich domach. Zaraz po wojnie w niektórych hutach pozostali nieliczni, „ostatni Mohikanie” z tej branży, jako relikty dawnych czasów. Jeszcze tu i ówdzie dmuchali kolorowe szkła na szybki do sygnalizacji świetlnej, ale ich czas już się nieuchronnie kończy. Wobec takiego olbrzymiego współczesnego rozwoju komunikacji samochodowej, kolejowej czy lotniczej, prawie wszystkie huty szkła w kraju pracują na zaspokojenie masowego zapotrzebowania na barwne szkła dla sygnalizacji świetlnej w ruchu drogowym, ulicznym, kolejowym, a nawet i lotniczym. Do produkcji przy tym stosują najnowocześniejsze środki techniczne, maszyny i urządzenia automatyczne nie wyłączając komputerów. Starzy „tafelnicy” z „kiwaczami” to już nawet nie historia, a mit. To opowiadanie ze starej baśni nie mniej starej babuni. Wierzyć się nie chce jak ten czas leci i jak błyskawicznie zmieniają się warunki życia i pracy.

Janusz jest już w wojsku. Jego mama jest teraz związana z nim niewidzialną nicią. Jest on już ostatnim, który wyfrunął z domu spod jej opiekuńczych skrzydeł. Siedzi w domu jak na uwięzi. Poza koniecznymi wyprawami do sklepów, do kolejek po jakieś ochłapy mięsne czy wędlin (a nuż, może coś tam akurat rzucić z delikatesów). Do miasta wybiera się stosunkowo rzadko. Jedynie bardziej zaktywizowała się jako członek zarządu i społeczny inspektor Spółdzielni Spożywców „Spotem”. Myślę, że do tej aktywności w spółdzielni przyczyniła się chęć częstszego trafiać na dostawy atrakcyjnych artykułów spożywczych, zwłaszcza delikatesowych, które z kolei zamierzała przekazywać w paczuszkach Januszowi, w koszarach. Janusz odbywa służbę wojskową i równocześnie jako ochotnik kończy, a właściwie studiuje w szkole specjalistów obrony przeciwlotniczej, krótko mówiąc, w Szkole Chorążych w Jeleniej Górze, przy ulicy Grunwaldzkiej. z okna naszego pokoju stołowego, a jeszcze lepiej z balkonu naszego Sokolego Gniazda doskonale są te koszary widoczne.

Może więc dlatego w dni pogodne Irka lubi przebywać na balkonie i tęsknie wtedy spogląda na północ w kierunku, gdzie na horyzoncie wyraźnie rysują się zabudowania podchorążówki i szkoły kadetów. Gdy pogoda nie dopisuje, to na koszary spogląda, podchodząc często, z okna pokoju. w określone umówione dni, podjeżdżamy samochodem pod koszary, a Janusz już sam jakoś o to dba żeby choć na chwilę do nas wyskoczyć i odebrać od mamy paczkę z ekstra „wałówką” i łakociami. Do czasu bowiem przysięgi nie wolno im jako rekrutom opuszczać koszar bez asysty służbowego podoficera. Janusz jednak nie krzywdzi sobie z powodu tego surowego reżimu i tych różnych restrykcji i ograniczeń życiowych. Jest zadowolony z tego co osiągnął.

Z uwagi na Janusza i częste spoglądanie w dal na koszary, na nowy telewizor „Neptun” ulokowany w rogu pokoju pod oknem, sam pokój uległ jakimś metamorfozom i nieco zmienił swój charakter, a my przeważającą większość wolnego czasu dnia spędzamy tu we trójkę, to znaczy Irka, ja i Morus.

Od czasu do czasu jeździmy z Irką do Cieplic Zdroju, do pani doktor Sienkiewicz, znanej i uznanej specjalistki w dziedzinie kardiologii. Irce odezwała się dawna znana jeszcze od panieńskich czasów jakaś dolegliwość sercowa, którą bezskutecznie usiłował, mimo usilnych starań, jakoś podleczyć stary, domowy lekarz, doktor Stokowski. Mama Irki, pani Wiktoria Andrzejczakowa odnosiła się do tego z całkowitym lekceważeniem. Nie przejmowała tym zbytnio i twierdziła, że to takie panieńskie fanaberie.

- *Wyjdzie za mąż, zacznie rodzić dzieci, to jej to wszystko przejdzie jak ręką odjął.* – mawiała.

Może i miała rację(!?). w ciągu naszych pierwszych pięciu lat małżeństwa, to znaczy do wybuchu II Wojny Światowej, doktor Stokowski był wzywany nie więcej niż dwa trzy razy. Od czasu zaś wybuchu wojny, aż do odejścia z domu ostatniego urodzonego przez nią syna do wojska, dolegliwość nie dawała specjalnie znać o sobie. Dopiero teraz. Już ciężko jej było ciągnąć z miasta pod górę torby z zakupami. Już dostawała zadyszki i stawała w drodze, a doktor Sienkiewicz niepodważalny w tym rejonie autorytet (powszechnie uznana za najlepszego na całą okolicę kardiologa), przepisywała na razie po 8 kropli „Digitalis”, dwa razy dziennie.

Sprawa wycieczki nad morze, „na smażone świeże śledzie”, nie frapowała i specjalnie się nią nie zajmowaliśmy, nie uważając jej za priorytetową. Myślał za to o niej Zygmunt Chwist. Nawiasem muszę wyjaśnić, że Zygmunt to było właśnie prawidłowe, legalne jego imię, jakie otrzymał na chrzcie, a Józek, to była ksywka, pseudonim używany w służbie. Tak więc, Zygmunt vel Józek Chwist, po różnych deliberacjach, studiowaniu map i po przeróżnych przeliczeniach doszedł do wniosku, że gdyby się wyjechało z Jeleniej Góry w sobotę zaraz po „fajrancie” (to jest o drugiej po południu), to do Koszalina czy do Mielna, oddalonych od Jeleniej Góry o około

400 km można by było dojechać jeszcze za widoku, tego samego dnia przed wieczorem, około godziny 20⁰⁰, jadąc ze średnią prędkością około 65km/h. Co jest prędkością całkiem przyzwoitą, a w razie gdybym się zbyt zmęczył, Józek gotów jest zawsze przejąć kierownicę i na jakiś czas zastąpić mnie w prowadzeniu pojazdu. Trafilibyśmy akurat na powrót barek z połowów ze świeżo złowionymi śledziami.

W niedzielę po przespaniu się w Mielnie przez noc, od rana moglibyśmy do syta, raczyć się świeżą rybą morską. Bo rybacy, prócz śledzi, które są głównym bohaterem połowów, przywożą również, przy okazji niejako, z morza i inną rybę, flądrę, węgorza, czasem dorsza, a niekiedy nawet tuńczyka.

Amator ryb miał niemały wybór asortymentów do degustacji. Pozostało tylko przygotować się i czekać na odpowiednią sobotę, z odpowiednią pogodą i to jeszcze w sezonie połowów śledzia na Bałtyku. Musieliśmy być na tyle gotowi, jak się to mówi, „siedzieć na walizkach”, aby gdy nadejdzie odpowiednia chwila, bez zwłoki ruszać natychmiast w drogę. W międzyczasie dowiedzieliśmy się, że Barbara Chwist wzięła, jako bezdzietna, na wychowanie siostrzenicę, córkę swej starszej siostry zamieszkałej w Wałbrzychu, mającej dla odmiany liczną rodzinę, materialnie będącą zawsze pod kreską, czyli zawsze potrzebującą. Przynajmniej według relacji Baśki Chwistowej, a podobno jej mąż, a Baśki szwagier jako górnik pracujący w jednej z kopalń węgla kamiennego w Wałbrzychu zarabia zupełnie nieźle. Aby więc siostrze pomóc, Baśka wzięła jej najstarszą córkę, Halinę, dorastającą pannę, na „wychowanie” i utrzymanie. Trochę wydawało się nam to dziwne, według nas wyglądałoby o wiele lepiej, gdyby na wychowanie wzięli któreś z młodszego rodzeństwa, a nie najstarszą córkę, która prawdopodobnie mogłaby być pomocna matce w domu przy tak licznej rodzinie, ale nie wgłębialiśmy się w ich rodzinne stosunki. Nie nasza sprawa, ale wolno nam było mieć o tym własny sąd i własne zdanie, które jednak nie było na wynos. Dzisiaj, po trzydziestu niemal latach, można puścić nasze ówczesne domysły w świat, jako plotkę, która już nikomu zaszkodzić nie może. Po jakimś czasie dopiero dowiedzieliśmy się, bo takie rzeczy mimo usilnych starań ukryć się na ogół nie dają, że Halina, jeszcze jako uczennica liceum miała w Wałbrzychu chłopaka, który jednak stąd prysnął do Jeleniej Góry i tu się zahaczył w jakimś zakładzie pracy, więc Halina w te pędy przyjechała za nim i poszukała przytułku u ciotki Baśki. Trzeba obiektywnie przyznać, że Chwistowie zajęli się nią serdecznie i troskliwie. Zapisali do Liceum Pedagogicznego, by mogła ukończyć jeszcze te dwa lata nauki. Chłopaka Józek odszukał i odpowiednio się nim zajął i załatwił mu, że został przyjęty do milicji oraz pojechał do dwuletniej szkoły milicyjnej. Po dwóch latach, ona jako nauczycielka z dyplomem ukończonego Liceum Pedagogicznego, on jako młody podoficer milicji pobrali się. Ślub i wesele urządzano w Jeleniej Górze w Wojskowym Kościele Garnizonowym, a wesele u Chwistów. Byliśmy oboje z Irką zaproszeni

jako goście (nieliczni) i na ślub i na przyjęcie weselne. Niedługi czas potem oboje młodzi zniknęli z jeleniogórskiego horyzontu, a Chwistowie zostali sami, osieroceni.

To wszystko było i działo się dwa lata później, a teraz pozostawała kwestia, czy Halina jedzie z nami nad morze do Mielna, czy nie jedzie? Miejsce w samochodzie jest, bo Syrena 104 jest rejestrowana jako samochód pięcioosobowy (łącznie z kierowcą), ale będzie trochę ciasno. Więc bierzemy ją czy nie? Ostatecznie stanęło, że bierzemy.

Do Mielna, zgodnie z przewidywaniami i wyliczeniami Józka zajechaliśmy prawie o zmroku. Kutry rybackie właśnie powracały z połowów z pełnymi ładowniami śledzia i innych bałtyckich ryb. Na nasz widok wybuchły spontaniczne owacje i powitania.

Kiedy wreszcie po różnych ochach i achach towarzystwo trochę się uspokoiło i ochłonęło, a gospodarze dowiedzieli się wreszcie jaki jest cel naszego nieoczekiwanego przyjazdu, zrezygnowany gospodarz wziął dwa wielkie emaliowane, blaszane wiadra do noszenia wody i poszedł z nimi do portu, gdzie cumowały kutry rybackie, a gospodyni wyciągnęła gdzieś z zakamarków obszernej kuchni okazałych rozmiarów patelnię, której by się nie powstydził żaden, średniej wielkości zakład zbiorowego żywienia. W niedługim czasie wrócił gospodarz, dźwigając wypełnione do pełna oba wiadra świeżymi śledziami. Zaczęła się prawdziwie luksusowa uczta.

Śledzie były wspaniałe. W tym co Józek mówił o ich jakości, zachęcając nas do wycieczki nad morze, nie było przesady. Tubylcy, dla których ryba jest podstawowym i powszechnym artykułem żywienia, umieją ją przyrządzić i przyprawić na tysiące różnych sposobów. Więc nie dziw, że smażone śledzie zniknęły momentalnie w niebywałym tempie jak kamfora. Gospodyni nie mogła nadążyć z podawaniem smażonych na tej olbrzymiej patelni na stół, a biesiadnicy, takie pachnące, gorące, parzące w palce i usta łakomie pochłaniali. Niedługo trzeba było czekać, aby te dwa kubły niedawno wypełnione po brzegi świeżymi śledziami, zaświeciły pustką. I tylko temu należy zawdzięczać, że była już późna godzina i zarówno my jak i gospodarze byliśmy bardzo zmęczeni pracowitym dniem, że gospodarz zrezygnował z pójścia po świeży zapas ryby do portu. Syci więc i zadowoleni polokowaliśmy się po różnych zakamarkach obejścia do przespania reszty nocy. Obiecując sobie na jutro, w niedzielę, dokończyć tak świetnie rozpoczętą ucztę. Jak murarze, uważaliśmy to co zaczęliśmy w sobotę jako „zakładkę”, coś w rodzaju zadatku czy zaliczki na jutrzejszą prawdziwą, świąteczną ucztę.

Kiedy w niedzielę rano wyspani i wypoczęci zjawiliśmy się przy stole, biesiada już na nas czekała. Zapach smażonych ryb smakowicie rozchodził się po całym domu, a ryby były tym razem różne. Do wyboru! Wśród których śledzie to były w zasadzie pogardzani proletariusze. Znaczna część zebranych, którzy jeszcze wczoraj zajadali się śledziami, dziś nimi gardziła, przedkładając nad nie płaskie, jednookie flądry, jako podobno posiadające delikatniejsze i smaczniejsze mięso, a już prawie wszyscy przepadali za tłustym węgorzem, uważając go za swego rodzaju rarytas. Ja natomiast, ku zdziwieniu wszystkich, ponieważ nie było filetów z dorsza, które tolerowałem, pozostałem jednak przy smażonym śledziu. Kategorycznie zaś odciąłem się od pożądanego przez wszystkich tłustego węgorza. Ciągle jeszcze w oczach miałem widok węgorzy w Haffkrugu koło Lubeki w 1945 roku na wiosnę i zatopione na przybrzeżnym szelfie trzy statki z ewakuowanymi z obozów koncentracyjnych więźniami.

Kiedy zbliżały się już południowe godziny, gospodarz znowu chwycił za wiadra i skoczył do portu, do kutrów, ale okazało się, że tym razem mieliśmy już dość ryby. Do stołu zasiadało się nie z takim jak wczoraj entuzjazmem i animuszem. Powoli zaczęło się przebieranie, wybieranie. a to jest lepsze, a to znowu gorsze. Być może, że na takie zachowanie przy stole wpływ miało przesycenie się rybami, a jeszcze bardziej zbliżająca się nieuchronnie godzina naszego odjazdu. Jakby dla przyspieszenia tej chwili gospodarze, znajomi i sąsiedzi zaczęli znosić nam na pożegnanie ogromne torby pięknych, dorodnych jabłek.

Każdy z rybaków, prócz swego generalnego zawodu, z którego utrzymuje siebie i rodzinę, prócz połowów na morzu (jakby dla odmiany, dla wytchnienia, podobnie jak górnicy na Śląsku), przy swej chałupie uprawia mniejszy czy większy ogródek a w nim parę grządek kwiatów, nieco warzyw i jarzyn i kilka lub kilkanaście drzew owocowych, wśród których prym wiodły, oczywiście, jabłonie i śliwy.

Jabłonie w tym roku bardzo obrodziły, była wtedy na Pomorzu niezwykła obfitość jabłek. Przy naszym odjeździe, każdy ze współbiesiadników chciał okazać się hojnym, serdecznym i znosił nam w darze co tam miał i mógł. Najczęściej przynosili jabłka. Wkrótce samochód był przepełniony tym wspaniałym owocem. Było go pełno w bagażniku i wszędzie wewnątrz samochodu. Zrobiło się ciasno, bo wszędzie zawadzały torby z jabłkami.

Jechaliśmy sobie z powrotem do Jeleniej Góry niespieszno, ale gwarnie i wesoło. Zadowoleni z udanej wycieczki, zachwyceni wspaniałymi rybnymi daniami jakimi nas częstowano i goszczono, a także doskonałym przyjęciem. No i oczywiście ogromnym mnóstwem wspaniałych i doskonałych jabłek, których wywozimy

stamtąd prawie pełny samochód. Ich zapach szczelnie wypełniał wnętrze, a jabłka potrafią pięknie i silnie pachnieć.

Pamiętam, a było to w roku 1938 roku, kiedy jako młody oficer Wojska Polskiego byłem na ćwiczeniach polowych gdzieś w rejonie Mławy i Działdowa. Pewnego dnia wypadła mi kwatera we wsi Turza Wielka. w chłopskiej chacie, całą noc męczyłem się i nie mogłem spać z powodu silnego zapachu jabłek. Rano zauważyłem w ścianie chaty pod którą spałem niewielkie otwory, które wydawały się jakby powstały przypadkowo, bo budowniczemu zabrakło na ścianę kilku belek odpowiedniej długości i musiał zastąpić je nieco krótszymi. Powstałe między końcami belek luki, stworzyły doskonałe otwory wentylacyjne do sąsiedniego pomieszczenia za ścianą. a co mieściło się za tą ścianą? Zajrzałem przez jeden z tych otworów, a za nią mieściła się jakaś komora, alkowa, alkierz czy może nawet spiżarnia gospodyni, urządzona na kształt jakiejś biblioteki publicznej, zastawiona regałami, półkami od ściany do ściany i od podłogi aż po sam sufit. Na półkach zaś czy regałach zamiast książek i innych inkunabułów czerwieniły się wspaniałe, dorodne, niezwyklej piękności i wielkości jabłka, istne jabłka Hesperyd. To silny zapach tych wspaniałych jabłek nie dawał mi spać przez całą noc.

Kiedy już po śniadaniu wojsko stanęło na zbiórce w szeregu, gotując się do wymarszu, zauważyłem, że niektórzy żołnierze mają tornistry wypełnione takimi właśnie jabłkami. Widocznie i im zapach jabłek spać nie dawał, a że w wojsku służyli przeważnie chłopscy synowie, doskonale znający zwyczaje i obyczaje wsi, nie stanowiło dla nich problemu wyśledzenie źródła zapachu i znalezienia dojścia do jabłek i zafasowania sobie odpowiedniej doli.

Tradycyjnie już, przynajmniej od wojen napoleońskich, a może od jeszcze wcześniejszych czasów, bo od Lisowczyków, a więc od XVII w., maszerujące, kwatrujące lub biwakujące we wsi wojsko, miało zwyczaj doszczętnie wieś złupić! Pastwą łupieży padała przede wszystkim wszelkiego rodzaju żywność. Przed żołnierzem nic się nie ukryło, ani śmietana czy masło zatopione w studni, ani też żaden ser dojrzewający pod okapem strzechy.

Od wieków między żołnierzem i gospodynią wiejską trwa permanentny stan wojenny. Gdy tylko we wsi zjawiają się kwatermistrze, zwiastuny mającego nadejść do wsi wojska, wśród gospodyń wiejskich powstaje niespokojny, alarmujący ruch i zdenerwowanie. Jak i gdzie ukryć przed oczami wojaków te wszystkie rzeczy, na które są tak łakomi i zachłanni. Najniebezpieczniejsze są pod tym względem wojska piesze. w nich bowiem przeważnie służą chłopscy synowie, dla których wieś nie ma tajemnic. „Dziedzice” wołają kawalerię, bo

i w wojsku czasem trzeba myśleć a „koń ma wielki łeb, niech się martwi”! Miejskie chłopaki, myślenia się nie boją i przeważnie polegają na własnej głowie, nie ufając końskiej. Wybierają broń bardziej techniczne: broń ogniową albo ciężkiego kalibru, czyli artylerię; broń inżynieryjno-techniczne, czyli saperów i pionierów; no i szczyt marzeń każdego młodzieńca, który nie może zostać kominiarzem ani motorniczym, awiację... Lotnictwo!

Przed nami w dali na horyzoncie zamajaczyła mi sylwetka milicjanta kiwającego „lizakiem” i gestem zapraszającego na pobocze. Zjechałem grzecznie i zatrzymałem obok niego.

- *Kontrola drogowa! – oznajmił – Proszę dokumenty!*

Stał na poboczu po prawej stronie drogi. Pierwszym pasażerem, do którego się automatycznie zwrócił był Józek Chwist, zajmujący miejsce po prawej stronie kierowcy. Kiedy otwarto drzwi samochodu, a Józek niespiesznie szukał w swych przepastnych kieszeniach tych dokumentów, o które upominał się milicjant, a których Józek oczywiście nie miał, bo były to dokumenty wozu znajdujące się w konsolce samochodu. Milicjant czujnym okiem lustrował wnętrze samochodu. Liczył jadących nim pasażerów (wraz z kierowcą) i nieufnie pociągał nosem, na dość według niego podejrzany zapach wypełniający aż do przesyty wnętrza. Na pewno podejrzewał, że jedziemy na „gazie”, i że trzeba chyba będzie zrobić użytek z „balonika”, ale Józek znalazł już swoją legitymację i pokazał ją milicjantowi z drogówki. Temu wyraźnie od razu zrzęda mina, natychmiast zmienił mu się wyraz twarzy z czujnego na służalczy. Oddał legitymację, podziękował, zasalutował i życzył szerokiej drogi. Nie musiałem mu tłumaczyć, że dziwny, podejrzany zapach w wozie, który niemile zaniepokoił jego nozdrza, to była mieszanina w zasadzie trzech podstawowych zapachów, zapachu spoconych ludzkich ciał, oparów benzyny, smarów i spalin oraz, najbardziej w tej kompozycji podejrzanego, zapachu wspaniałych jabłek, najbardziej przypominającego zapach soku winnej latorośli.

Resztę drogi przebyliśmy już bez żadnych godnych uwagi przypadków, komentując i żartując na temat milicjanta i jego zachowania.

PODROŻ W NIEZNANE!

Tak jakoś w tym czasie wypadła przysięga Janusza, na której oczywiście musieliśmy być! Jakżeby inaczej. Uroczystość podniosła i dla młodych wojaków, bo otwierała im wreszcie bramy szkolnych koszar na szeroki świat i na „wyjście na miasto”, ale i dla asystujących im rodziców i opiekunów, bo oto ich latorośle rozwijają skrzydła do samodzielnego lotu i w zasadzie opuszczają na zawsze rodzinne gniazdo.

Po przysiędze i uroczystym obiedzie dla wojska, rodziców i osób towarzyszących z jednego i tego samego żołnierskiego kotła, dziesięć dni urlopu wypoczynkowego w domu na łonie rodziny i w mieście i... wyjazd w nieznane, na ćwiczenia praktyczne na poligonie. I jak to jest w wojsku w zwyczaju, i miejsce i rodzaj ćwiczeń są owiane ścisłą tajemnicą wojskową. Nawet nieliczne listy do rodziców i opiekunów, pisane są z „m.p.”, czyli miejsca postoju. Jakiego? Tylko Bóg i dowództwo wie a adres do nich, do tych młodych chłopców oderwanych nagle od domów i rodzin to „Jednostka, Nr Taki, a taki”

W Jeleniej Górze zrobiło się naraz jakoś cicho i pusto. Już nie ma co spoglądać z balkonu w stronę szkolnych koszar. Janusza już tam nie ma. Gdzie się tuła? Tajemnica wojskowa!

Może by tak, nie dla spędzenia czasu, ani tym bardziej dla jego zabicia, ale dla wypełnienia go jakimś zajęciem, piękną, miłą i pożyteczną treścią wybrać się gdzieś w podróż? Taką podróż bez określonego celu, poznawczą, czy krajoznawczą po Polsce, podobnie jak jeździliśmy na motorze z Januszem. Ot, taka podróż w nieznane! Tyle pięknych i ciekawych rzeczy jest na świecie, i nie tylko w świecie, ale i w samej Polsce jest ich mnóstwo i warto je obejrzeć. Morusa zostawimy u Markiewiczów. Sprzęt turystyczny, zestaw kuchenny i stołowy turystyczny, na cztery osoby, bardzo praktyczny i wygodny w podróży, czy na dłuższej wycieczce, udało mi się nabyć, mimo że to sprzęt importowany z Niemiec, za względnie przystępną cenę. Kuchenkę turystyczną i 2-kilogramową butlę gazową na ciekły gaz, koce, śpiwory i co tam jeszcze jest potrzebne w drodze, mamy wszystko skompletowane i możemy w każdej chwili wyruszać w drogę, choćby dookoła świata!

Chociaż ma to być podróż w nieznane to jednak jakiś ogólny zarys i preferencje miejscowości czy obszarów, które byśmy chcieli zobaczyć, warto by było jednak ustalić. Na przykład, tyle razy byliśmy nad morzem, ale w Gdańsku nie byliśmy, a chyba warto byłoby zobaczyć miasto, które stało się pretekstem do rozpętania

najokrutniejszej i najpowszechniejszej wojny światowej w historii ludzkości. Niedaleko od Gdańska, nad Nogatem - prawą odnogą ujścia Wisły - leży Malbork. Ogromna, nie do zdobycia twierdza, gniazdo i stolica, potężnego niegdyś Zakonu Krzyżackiego. Opiewana w rycerskich pieśniach, opisywana w powieściach historycznych, uznawana przez znawców-strategów za twierdzę niezdobytą, a wywalczona przez Polaków bez rozlewu krwi, za półroczny żołd wypłacony najemnej załodze, która miała go strzec i bronić.

Stamtąd niedaleko już jest do Fromborka, miasta Kopernika.

Właśnie, gdy rozważaliśmy te różne ewentualności, wpadła do nas na plotki pani Zosia Markiewiczowa, która od czasu, kiedy Edzik, jej jedyny syn „ugrzął” w wojsku, czuła się samotna i opuszczona. Olek, jej mąż, miał ciągle jakieś „fuchy” z naprawianiem prywatnych telefonów domowych, a po takiej „rundzie” po kilku mieszkaniach, w których nie potrafił się wymówić od „tradycyjnego poczęstunku”, wracał do domu późnym wieczorem i zawsze prawie na czworakach. w takim stanie był oczywiście do niczego. Trzeba było go rozebrać i jak dziecko, położyć do łóżka. Nic więc dziwnego, że dom pani Zosi wydawał się pusty i głuchy, szukała więc pretekstu, aby trochę powspominać i poplotkować. Wdzięczne ucho do słuchania znalazła w naszym domu. Często gdy upiekała jakieś specjalnie wymyślne ciastka, przynosiła je do nas, do degustacji, do kawy czy do herbaty. Tak samo było kiedy wspaniale udały się jej konfitury z tegorocznych wiśni czy śliw. Przynosiła więc słoik do nas, aby się pochwalić i nas nimi obdarować, a że sobie przy tym z Irką godzinę czy dwie poplotkowały, to jest chyba nie tylko oczywiste, ale i zupełnie naturalne.

I tego dnia wpadła akurat w porze, kiedy siedzieliśmy przy czarnej kawie (widać, że nasze obyczaje nie były jej obce, wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi), z ogromną paczką wspaniałych francuskich ciastek, własnego wypieku, jeszcze gorących zalatujących waniliowym zapachem, w sam raz do czarnej kawy. Przysiadła się do nas. Zajadając niezrównane ciastka pani Zofii, chwając i komentując ich smak, składniki, technologię i technikę ich wykonywania i wypieku, tak jakoś rozmowa sama z siebie zeszła na nasze plany, na najbliższą przyszłość. Sam projekt podróży pani Zosi spodobał się bardzo, sama chętnie zabrałaby się z nami, ale ze względu na służbę nie może. Dwa, trzy dni, to co innego. Bo wtedy mógłby zastąpić ją Olek i przy okazji przypilnować Morusa. Tym bardziej, by się z nami wybrała, bo jeszcze nie widziała Gdańska, chociaż w Rumi mieszka jej ciotka. Rumia jest niedaleko od Gdańska. Wujek po wojnie dostał tam jako osadnik niewielki, wojskowy niemiecki folwark i do dziś na nim gospodarzy wraz z całą dość liczną rodziną. Ma i drugą kuzynkę zamieszkałą w Pruszczu Gdańskim, ale z nią stosunków nie utrzymują. U nich, w Rumi można by przenocować, a stamtąd pojechać zwiedzać Gdańsk i wstąpić na Westerplatte. We wrześniu 1939 roku na Westerplatte walczył jeden z kuzynów pani Zosi. Chciałaby to miejsce obejrzeć, bo podobno jest już uporządkowane,

urządzone i udostępnione dla zwiedzających. Od tego momentu inicjatywę przejęły w swe ręce baby. Nie ulega wątpliwości, że coś z tego wyniknie. Tylko co?

Kobiety szybko się dogadały i postanowiły, że jedziemy! Na dwa albo najwyżej trzy dni do Gdańska, a właściwie do Rumi. Myślałem, że ruszymy natychmiast, ale się myliłem. To tylko mi się wydawało, że mam wszystko gotowe do drogi, ale się myliłem. Zapomniałem o tym, o czym kobiety pomyślały przede wszystkim. o zapasach żywności na drogę i o prezentach dla rodziny pani Zofii, u której mamy zamiar w Rumi się zakwaterować i o różnych innych drobiazgach, których zabieranie nie przyszło mi nawet do głowy. Zebrał się tego wszystkiego nawet spory bagaż. Nigdy nie byłem zwolennikiem podróżowania z wielkimi bagażami. Całe życie, kiedy wybierałem się w podróż z zasady służbową, jakąś „delegację”, zabierałem ze sobą jako bagaż ręcznik, mydło, pastę i szczoteczkę do zębów, pędzel i przyrządy do golenia. Wszystko to mieściło się w zwykłej urzędniczej teczce, jakie wówczas były modne. o kanapkach na drogę zwykle zapomniałem, a nawet kiedy początkowo Mama a później żona, do teczki przemyciły jakieś kanapki na drogę, jakoś nigdy o nich nie pamiętałem i najczęściej przywoziłem je z powrotem do domu, zwykle już nienadające się do jedzenia. i w konsekwencji były wyrzucane do śmietnika, chyba, że później zjadał je Morus albo kot.

W samochodzie było dość miejsca, aby zabrać i ten bagaż, tyle, że zbałamuciliśmy na to kilka dni, ale i tu nie byłem zbyt surowy, bo przy okazji uświadomiłem sobie, że już dawno minąłem 50-kę i szybkim krokiem zmierzam do emerytury, przypomniał mi zresztą o tym pan Koziorowski, kadrowiec w JWO. Widocznie porządkował i przygotowywał dokumenty, akta personalne potrzebne mu do niedalekiego już pożegnania mojego z Jeleniogorską Wytwórnią Optyczną. W wyniku tego, gdzieś tam, doliczył się, że za różne jakieś dyżury, delegacje, niewykorzystane resztki urlopu, Zakład winien jest mi prawie dwa tygodnie, które zobowiązał mnie wykorzystać w możliwie jak najkrótszym czasie. Praktycznie więc nie musiałem się tak bardzo z czasem liczyć, mając w zapasie 14 dodatkowych dni urlopowych do wykorzystania, a i szkoła, nasze Technikum Mechaniki Precyzyjnej przestawało mnie absorbować. Od trzech lat już nie dokonywaliśmy naboru uczniów do niego. Okazuje się, że naszymi absolwentami zasyciliśmy w pełni zapotrzebowanie na ten rodzaj kadry nie tylko nasz Zakład, JWO, ale i w innych pokrewnych Zakładach jak w Państwowych Zakładach Optycznych w Warszawie, w Warszawskich Zakładach Telewizyjnych w Piasecznie-Jeziornie, czy w katowickiej „Opcie”. W JWO pozostała już tylko jedna, ostatnia klasa maturalna. w czerwcu, po egzaminach maturalnych szkoła zostanie ostatecznie zamknięta, chyba już na zawsze, a my będziemy odchodzić na emeryturę. Odeszli już profesor Domaradzki, inicjator i twórca jeszcze szkoły podstawowej, kształcącej pracowników JWO w zakresie klas IV, V, VI i VII i nieoceniony inżynier Seniow, wieloletni kierownik laboratorium chemicznego w JWO.

Wreszcie byliśmy gotowi i wyruszyliśmy. Którędy? Na ten temat nie było mowy. Kobiety miały do obgadania swoje sprawy, więc w głębi wozu zajęły się sobą. Zwiedzać zaś mijane po drodze miejscowości i miasta właściwie nie miały zamiaru. Zainteresowane były raczej możliwie szybkim dotarciem do Rumi. Pozostawiono mi wybór drogi. Wybrałem tę krótszą, na przełaj przez Szprotawę, Leszno, Poznań. Tu zrobiliśmy przerwę dla odsapnięcia i zaczerpnięcia trochę świeżego powietrza. Przy okazji obejrzelśmy sobie wspaniały renesansowy ratusz ze słynnym zegarem i poznańskimi koziołkami.

Minęliśmy Bydgoszcz, która ciągle pamiętała krwawą niedzielę, 3 września 1939 roku oraz Grudziądz i dobrnęliśmy do Rumi. Gdańsk i Gdynię na razie ominęliśmy bokiem.

Gospodarstwo i zabudowania, przed które zajechałem, według wskazań miejscowych mieszkańców były standardowe i typowe w tych stronach dla średnich gospodarstw wiejskich, tradycyjnych chyba od wieków. Nie będę więc ich opisywał, ani się nimi zajmował. Po zwykłych w takich przypadkach powitaniach, kiedy zaskoczone są obie strony. I ci, którzy przybywają, i ci, do których przybywają, po „ochach!” i „achach!”, zaczęły się zwykłe pogaduszki, wypytywania, wywiady, itp. Jednym słowem normalka. Na szczęście nie trwało to długo, bo na wsi musi się rano wstawać. Mi to oczywiście było bardzo na rękę, bo czułem się zmęczony, a na jutro planowałem sobie też przejechać niekrótką trasę.

W niedzielę, korzystając z pięknej, rzadkiej tu zresztą takiej pogody, wyruszyliśmy wczesnym rankiem, aby zwiedzać Gdańsk. Dziwnym trafem, jakby odgadując moje zamiary, zabieraliśmy ze sobą cały majdan, jak byśmy mieli tu już nie wrócić.

W Gdańsku zobaczyliśmy te wszystkie rzeczy i osobliwości miasta, których mniej lub więcej szczegółowe opisy znaleźć można nawet w każdej większej encyklopedii, nie mówiąc już o mniej lub bardziej obszernych przewodnikach czy folderach szczerze szafowanych przez różne instytucje turystyczne i biura podróży jak Orbis czy PTTK dla swych potencjalnych klientów lub rzeczywistych turystów. Tak więc widzieliśmy słynną fontannę z Neptunem, Dwór Artusa... nie mam więc zamiaru ich tu opisywać, tym bardziej, że nic nadzwyczajnego się akurat w mieście nie dzieje. Nie odbywał się żaden Jarmark Dominikański, ani żadna inna taka impreza. Była normalna, letnia, leniwa niedziela. Po ulicach snuli się, wprawdzie odświętnie, a nieraz i nawet dziwnie ubrani ludzie, w których na pierwszy rzut oka można było poznać obcych przybyszów z głębi kraju, a może i zza granicy. I my też do tych turystów należeliśmy. Kiedy tak spacerowaliśmy sobie po starym Mieście, po Długim Targu spotykam starszego, siwego, spacerującego jak my, pana. Poznałem w nim

towarzysza jeńca wojennego z obozu w Itzehoe, porucznika Bartoszewicza, starszego z pokoju nr 80, w którym wraz z nim i dwunastoma jeszcze innymi jeńcami, oficerami polskimi, spędzaliśmy pierwsze kilka miesięcy niewoli niemieckiej w Olfagu X w Itzehoe zanim nas stamtąd nie przeniesiono do Sandbostel w roku 1941. Podszedłem więc do niego aby się przypomnieć i odświeżyć znajomość. I tu trafiłem na przykrą niespodziankę, facet spojrzał na mnie z taką przerażoną miną jakby zobaczył diabła albo co najmniej jakiegoś kosmitę, który mu tuż przed nosem na Długim Targu wylądował. Przyznam się, że się speszyłem, a ponieważ facet nawet nie chciał ze mną rozmawiać i odżegnywał się od wszelkiego kontaktu. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko przeprosić go i pożegnać. Prawda, że teraz byłem dokładnie dwa razy starszy niż wtedy w Itzehoe, ale zawsze...! Może to mnie już pamięć zawodzi i wziąłem za Bartoszewicza zupełnie innego, nieznanego osobnika. Może...

Powoli skierowałem się ku ujściu Martwej Wisły gdzie znajdowały się umocnienia polskiego batalionu wartowniczego dowodzonego w roku 1939 przez majora Henryka Sucharskiego. Na te umocnienia dnia 1 września 1939 roku o czwartej rano otworzył ogień z dział okrętowych niemiecki pancernik Schleswig-Holstein rozpoczynając w ten sposób II wojnę światową. w tych umocnieniach batalion wartowniczy majora Henryka Sucharskiego stawiał opór wielokrotnie silniejszym oddziałom niemieckim do 7 września 1939 r. Ruiny tych umocnień udostępnione są obecnie do zwiedzania dla turystów, jako zabytki historyczne.

Jakby dla ironii i kpiny z historii, wiosną 1945 roku Przymorze Gdańskie i z nim Westerplatte odbiły z rąk niemieckich właśnie polskie oddziały pancerne. Na cześć tych żołnierzy walczących na Westerplatte u wejścia do portu w 1966 roku ufundowano pomnik Obrońców Westerplatte, zarówno tych z 1939 jak i tych z 1945 roku. Jednym z fragmentów tego pomnika był umieszczony u jego stóp, oryginalny czołg jednostki wojska polskiego wyzwalającego Przymorze i Westerplatte. Niestety, jak wyczytałem w „Trybunie” (Nr.175, 27-23 lipca 1996 r. str.10. pt: „Powtórka z historii”), że partie i niepodległościowcy gdańscy solidarnościowego guru p. Krzaklewskiego, postarali się o to, aby czołg-pomnik polskich pancerniaków wyzwolicielei Gdańska został już przez gdańskich solidarnościowych rajców dawno usunięty.



Fot. 13. Stanisław Krasoń z numerem jenieckim "1279" w oflagu X A/Z Itzehoe (Niemcy), październik 1939 r.

Do południa było jeszcze daleko, a my Westerplatte mieliśmy już zaliczone. Wobec tego zaproponowałem, abyśmy pojechali zwiedzić Frombork, miasto związane z Kopernikiem. Kopernik wprawdzie urodził się w Toruniu, ale jego dorosłe życie było bardzo mocno związane z Fromborkiem. Trudno było rozwinąć się przed nimi, a zwłaszcza przed panią Markiewiczową na temat życia i działalności naszego astronoma, matematyka, lekarza i księdza, o jego wiekopomnym dziele *De revolutionibus orbium coelestium*, w którym obalił czczoną od wieków teorię Ptolemeusza z II w. o geocentrycznej budowie wszechświata, ogłoszonej w dziele *Almagest*, przyjętej przez Kościół katolicki jako dogmat wiary i udowodnił, że układ ciał niebieskich jest heliocentryczny, bo i tak by nie rozumiała nic a nic. Lepszym argumentem było podkreślanie, że Kopernik był księdzem i to nie było prostym plebanem, ale kanonikiem warmińskiej Kapituły. To przecież o nim dzieci szkolne śpiewają piosenkę „Wstrzymał słońce, ruszył Ziemię, Polskie wydało go plemię”. Te argumenty właściwie już wystarczyły, niepokoiła ewentualnie tylko odległość, czy to daleko? Niedaleko, za Elblągiem, jakieś 10 kilometrów przed Braniewem. Za jakąś godzinę z nakładem powinniśmy być już na miejscu. Więc jedziemy! Istotnie po mniej więcej godzinie z minutami dotarliśmy do Fromborka, ale nie mieliśmy szczęścia. Cały zespół katedralny, pałac biskupów, kanonie, obwarowania wzgórza katedralnego, wieże i bramy były w remoncie czy jeszcze w odbudowie po zniszczeniach wojennych i niedostępne do zwiedzania dla turystów. Mogliśmy więc obejrzeć sobie Frombork od zewnątrz, z lotu ptaka, albo jak z folderu reklamowego. Przy okazji zajrzeliśmy do portu rybackiego na Zalewie Wiślanym, ale nie znaleźliśmy tam nic ciekawego. Wracaliśmy zatem do Elbląga, a stamtąd do sławetnego Malborku, potężnej średniowiecznej twierdzy krzyżackiej. Podobno najpotężniejszej w historii na terenie Europy, siedziby wielkiego mistrza zakonu krzyżackiego. Malbork, jak podają foldery, jest jednym z największych zabytków gotyckiej architektury obronnej. w czasie II Wojny Światowej Niemcy zamienili go w twierdzę i w 1945 roku o jego zdobycie toczyły się zażarte walki, przez które został poważnie zniszczony. Po wojnie pieczołowicie odbudowywany (odbudowa tego potężnego zespołu budowlanego właściwie ciągle jeszcze trwa). Mogliśmy podziwiać potężne mury obronne otaczające miasto, wieże i bramy z ogromnymi „bronami”, które nie miały jednak służyć do bronowania i spulchniania rolnikowi roli i gleby, ale do obrony przed wtargnięciem do miasta i zamku nieprzyjaciela. Prócz tego Malbork, posiadał aż dwa Zamki obronne. Zamek Dolny i Zamek Górny. Przy Zamku dolnym mieściły się rozległe zabudowania gospodarcze, magazyny, młyny, kuchnie, stajnie, kuźnie, zbrojownie i ludwisarnie, ale po co mam tutaj opisywać to wszystko. o wiele lepiej zrobił to pan Henryk Sienkiewicz w swym niezrównanym dziele historycznym *Krzyżacy*, napisanym w 1910 roku dla uczczenia 500-lecia rocznicy sławnej bitwy pod Grunwaldem stoczonej w dniu „rozesłania Apostołów”, 15 lipca 1410 roku. Myślę, że w Polsce nie ma chyba Polaka, który by tej powieści nie czytał z zainteresowaniem. Chłopcy i mężczyźni zawsze zachwycali się „rycerskimi przewagami” Maćka i Zbyszka z Bogdańca, czy francuskiego rycerza, pana de Lorche, wolontariusza, starającego się początkowo dokonać jakiegoś wielkiego, bohaterskiego czynu by zdobyć

ostrogi i pas rycerski w walce z barbarzyńskimi, pogańskimi Litwinami i Żmudzinami, który jednak zakochał się wreszcie w polskiej szlachciance, Jagience z Długolasu. Dla niej stanął do walki z „okrutnym smokiem” napastującym dziewczynę, którego panna kazała swej służbie ukręcić ze słomy i ustawić przed bramą gródka. Kiedy oszustwo się wydało i pan de Lorche ośmieszony, zamierzał już poważnie udać się do Azji Mniejszej, by tam w walce z okrutnymi pogańskimi Saracenami szukać bohaterskiej śmierci, panna Jagienka wzruszona stałością i mocą uczuć francuskiego rycerzyka, ofiarowała mu swą rękę i przyjęła na męża. Pan de Lorche teraz już jako poddany i powinny rycerz i dziedzic z Długolasu, polskiego króla jegomości pod Grunwaldem wraz ze swoim zbrojnym poczem stanął w obozie polskim i mężnie walczył przeciwko Krzyżakom. Książkę tą z przejęciem czytały polskie panny i kobiety śledząc z zapartym tchem tragiczne dzieje miłości młodego Zbyszka z Bogdańca i Danusi Jurandówny ze Spychowa, a później i Jagienki Zychówny ze Zgorzelic.

Ze wszystkich urządzeń w Malborku moje panie najbardziej zainteresowała przeogromna kuchnia klasztorna, na której potężnym palenisku, trzonie, można było upiec na rożnie całego woła. z zainteresowaniem i przejęciem wysłuchały też opowieści o uwięzieniu przez Krzyżaków Wielkiego Księcia Litewskiego Witolda, brata stryjecznego polskiego Króla Władysława Jagiełły i z nabożeństwem oglądały celę w kazamatach, w której rycerze zakonnicy go więzili. z nie mniejszym zainteresowaniem oglądały wspaniały klasztorny refektarz, w którym rycerze, bracia należący do zakonnej elity ucztowali w dni uroczyste, świąteczne i dla uczczenia jakiś wielkich pomyślnych dla Zakonu wydarzeń. Jak ucztowali nie ośmielę się opisywać, a ciekawych odsyłam do już wielokrotnie tu wspomnianej książki pana H. Sienkiewicza pt. *Krzyżacy*, a warto poczytać jak to Wielki Mistrz Zakonu Krzyżackiego przyjmował i gościł na Zamku w Malborku poselstwo piskiego króla.

Niezbyt uważnie czytaj tę książkę. Bardziej widać traktują ją emocjonalnie niż pragmatycznie, bardziej sercem niż umysłem. Może zbyt powierzchownie ją czytają i potem szybko też zapominają, mieszają szczegóły i miejsca i czas wydarzeń. Kiedy już opuszczaliśmy izbę kaźni, w której krzyżacy rycerze więzili Witoldowe dzieci, a portem jego samego, weszła jakaś wycieczka, chyba Polonusów z zagranicy. Może Polonii Amerykańskiej, może francuskiej, a może jakiejś Afrykańskiej i od razu na wstępie prowadzący ją „dragoman guide”, czyli po polsku przewodnik i tłumacz, zaczyna autorytatywnie pleść:

- *W tym lochu Krzyżak, Stary Zygfryd znęcał się i męczył Juranda ze Spychowa, katowi niemowle, któremu przedtem Krzyżacy już język wyrwali, aby nie zdradzał ich tajemnic, kazał aby Jurandowi smołą z pochodni, którą sobie w lochu przyświecał wykopał jedyne oko jakie Jurand jeszcze posiadał, żeby mu obciął prawą dłoń i wyrwał język.*

Oczywiście ten przewodnik słyszał, że dzwonią, ale nie widział, w którym kościele. Cała bowiem ta makabryczna scena rozegrała się nie w Malborku ale w Szczytnie, gdzie rycerz Danvel był komturem i starostą, mającym prawo sądu, a stary Zygfryd był tylko rezydentem i przedstawicielem Kapituły. w Malborku takie rzeczy się nie działy. Krzyżacy dbali o zachowanie pozorów. Dlatego wszelkie sądy i egzekucje były zdecentralizowane i odbywały się w Komturiach. w Malborku, w którym stale przebywali rycerscy goście ze wszystkich krajów Europy, a przede wszystkim z Anglii, słynącej ze wspaniałych łuczników, z Francji, jak np. pan de Lorche i słonecznej Hiszpanii, której rycerze zaprawieni już byli w bojach, od wieków walcząc z Saracenami zwanymi również Maurami, a z rycerzy krzyżackich sami najznamienitsi, sama starszyzna i bracia z najznamienitszych rodów Europy, zasiadający we władzach Zakonu lub też piastujących w nim jakieś wysokie urzędy.

Sprawy krnąbrnych braci rycerzy, którzy permanentnie naruszali zakonny regulamin, łamali dyscyplinę i wzbudzali bunt przeciwko takim czy innym postępowaniom władz Zakonu, załatwiano cicho i tajemniczo, a przy tym niezwykle prosto. z refektarza braci zakonnych, było bezpośrednie przejście do znajdującej się na tym samym wysokim piętrze, latryny. Umieszczona ona była w obszernym wykuszu, sięgającym głęboko nad Nogat, wschodnią odnogę wiślanej delty przy jej ujściu do morza. w ten sposób nieczystości z latryny bezpośrednio, bez żadnej fatygi spadały do Nogatu i spływały rzeką do morza. Tę właśnie latrynę wykorzystywano do egzekucji wyroków na zakonnych braciach, których chciano się bez zbytniego rozgłosu pozbyć z Zakonu. Zapraszano takiego zadziornego, buntowniczego brata-rycerza, który według opinii starszyny zakonnej mógłby być dla zakonu niebezpieczny, na ucztę. Kiedy po pewnym czasie fizjologiczna potrzeba zmuszała go do udania się do latryny, towarzyszyło mu dwóch odpowiednich i wtajemniczonych braci, a kiedy delikwent siadał na drążku latryny na dany znak dwaj towarzyszący mu bracia spychali go w dół do Nogatu. Nieprzygotowany, najczęściej pijany spadał z wysokości do rzeki i tonął, a rzeka wynosiła ciało do morza.

Zniknięcie rycerza na ogół nie robiło zbyt wielkiego wrażenia na pozostałych jego kolegach i znajomych. Najczęściej przypuszczali, że zdezerterował. Co wśród szeregowych braci rycerzy nie było rzadkim przypadkiem.

W owej epoce, kiedy powszechnie panowały majoraty, to znaczy taki sposób dziedziczenia, że cały niepodzielny majątek przechodził w spadku na najstarszego syna, to resztę potomstwa (najczęściej liczne) jakiegoś komesa czy feudalnego pana, nawet możnego, czekała niewesoła przyszłość. Córki (panny) jeżeli nie powychodziły za mąż, szły do klasztoru. Chłopcy mieli do wyboru, zostać księdzem, iść również do zakonu, albo

próbować mieczem wywalczyć sobie swój lepszy los. Zostawali więc albo błędnymi rycerzami, szli w służbę jakiegoś króla czy komesa możnego, lub wstępowali do bractwa rycerzy okrągłego Stołu króla Artura i wędrowali po świecie w poszukiwaniu przygód lub na przykład świętego Graala. Wreszcie zostawali również rycerzami rabusiami łupiącymi kupieckie karawany na publicznych drogach. Wszystkie te sposoby, z wyjątkiem ostatniego miały w założeniu jeden cel i sposób jego osiągnięcia, z mieczem w ręku wędrować po świecie, walczyć mężnie z poganami w obronie wiary, dokonać bohaterskich sławnych czynów i w ten sposób zdobyć rycerski pas, ostrogi i bogate łupy. Przykłady takich błędnych rycerzy mamy w postaci pana de Lorche u Sienkiewicza i Don Kichota u Cervantesa. We wszystkich tych przypadkach rycerz musiał jednak wynieść z domu pewien kapitał zakładowy: konia z rzędem, broń i jaką taką zbroję w której mógłby się „potykać”, jakiegoś giermka i pewną ilość gotówki. Oczywiście minimalną. Tacy to błędni rycerze próbowali sobie wywalczyć godną swym zamysłom pozycję życiową na różnych frontach. Jedni wraz z wyprawami krzyżowymi udawali się do Azji Mniejszej i do Ziemi Świętej by walczyć z pogańskimi Saracenami. Inni zaś udawali się do słonecznej Katalonii, by tam szukać szczęścia i sławy, w walkach z okrutnymi pogańskimi Maurami. Wreszcie jeszcze inni, ci najbiedniejsi, pochodzący z możnych, ale podupadłych, wielodzietnych rodów, których nie stać było na rycerskie wyposażenie, konia z rzędem, miecz, tarczę i jaką taką zbroję i na giermka, zaciągali się jednego z licznych zakonów rycerskich, jak Kawalerowie Mieczowi, Joannici czy Zakon Najświętszej Panny Marii, znany w Polsce jako Zakon Krzyżowy, albo po prostu „Krzyżacy”. Taki ochotnik otrzymywał pełne potrzebne wyposażenie wikt i opierunek, broń i zbroję, a czasem nawet i konia pod wierzch i możliwość uczestniczenia w częstych łupieskich wyprawach przeciwko różnym poganom, Maurom, Saracenom, a w Polsce przeciwko pogańskim Bałtom, tj. Prusom, Litwinom czy Żmudzinom w celu zdobycia bogatych łupów, zdobyczy i niewolników. Nie wszystkim odpowiadało takie klasztorno-koszarowe albo obozowe życie, ciągle przeplatane woniami mszalnych kadzideł, wrzawą zbrojnych zapasów i bitew, zapachem świeżo rozlanej krwi, żelaznej dyscypliny, karności i wyrzeczenia się ludzkich uczuć, tęsknot oraz marzeń. Nie wytrzymywali nerwowo i któregoś dnia znikali i przepadali bez śladu, gdzieś w bezkresnych nadbałtyckich puszcach. Dezerterowali. Może zostawali eremitami, pustelnikami, a może ginęli z rąk i od broni tutejszych, puszczańskich mieszkańców.

Początkowo zamierzałem drogę powrotną z Warmii odbyć po śladach Sienkiewiczowskich bohaterów z *Krzyżaków* i odwiedzić miasta i miejscowości, w których dzieją się pewne fragmenty akcji powieści, jak Orneta, Szczytno i leżące tuż obok niego po sąsiedzku „jurandowe” Spychowo, Ostródę, Brodnicę, a przy okazji i Kętrzyn, który wprawdzie z Sienkiewiczowskimi *Krzyżakami* nie ma nic wspólnego, ale w czasie II Wojny Światowej odegrał znaczącą rolę. w jego bowiem pobliżu w Gierłozie znajdowała się niezwykle silnie

ufortyfikowana, betonowa siedziba Hitlera - jego główna kwatera „Wilczy Szaniec”. w niej też 20 lipca 1944 roku, w dniu imienin Führera dokonano zamachu na jego życie. Niestety nieudanego!

Dalej na mojej liście figurowały miejscowości takie jak: Toruń, Ciechocinek, Włocławek, Działdowo, Mława, Ciechanów, Płock. Jak widać lista była dość długa, niestety zbyt obszerna jak na zasób czasu będącego do naszej dyspozycji. Wymaga go znacznie, znacznie więcej. Chociaż nie mieliśmy zamiaru wracać do Rumi, to czasu mieliśmy niewiele, tym bardziej, że nieco przydługo zabałamuciliśmy w Malborku, a ja nie lubię jeździć po nocy. Wprawdzie wtedy na szosach jest znacznie mniejszy ruch i można śmiało korzystać z dróg pierwszej klasy, ale za to bardzo przykre i męczące jest, a moim zdaniem i niebezpieczne, wzajemne oślepianie się kierowców. Zrezygnowałem więc z tego zbyt obszernego zamiaru, odkładając to na dogodniejszą porę, a do domu, do Jeleniej Góry postanowiłem wracać możliwie najspieszniej, najkrótszą drogą, tj. na Kwidzyn, Grudziądz, Chełmno, Bydgoszcz, Poznań, Leszno, Gorzę, Lubin, Chojnow i Złotoryję.

Tak to ta nasza „bryczuszka”, którą dumnie nazywaliśmy samochodem, „naszym samochodem”, a złośliwi i zazdrośnicy uparcie nas w tym poprawiali, twierdząc, że to żaden samochód, a tylko Syrena. Niech im tam będzie! w ciągu pięciu lat przejechaliśmy nią ponad 30 tysięcy kilometrów polskich dróg. Jak dla samochodu nie jest to oczywiście ilość imponująca. Nawet nie przejechałem tylu kilometrów ile wynosi długości obwodu ziemi na równiku. Załedwie jakieś 3/4 tego obwodu, ale trzeba tu uwzględnić okoliczności, że z tego pojazdu korzystałem jako „niedzielny kierowca”, a na dłuższe wyjazdy pozwalałem sobie w zasadzie raz w roku. Na wakacyjny wyjazd do Gniazdowa, co na liczniku nabijało tam i z powrotem jakieś tysiąc kilometrów. I tak miało być w dalszym ciągu aż do mojego odejścia na emeryturę.

Spis fotografii i ilustracji

Fot. 1.

Wycieczka rowerowa koło Jeleniej Góry, Irena, Stanisław i Andrzej Krasoniowie, 1960 r.;

Fot. 2.

Irena Krasoń z synami - Markiem i Jackiem, 5 grudnia 1940 r.;

II.

Pozwolenie na radioodbiornik, Pieńsk 1948 r.;

Fot. 3.

Maria i Antoni Krasoniowie wraz ze swoimi wnukami, Jackiem, Markiem (synami Stanisława) i Jurkiem "Kuką" (synem Jasia i Juli), Piotrków Trybunalski, maj 1943 r.;

Fot. 4.

Antoni Krasoń, ojciec Stanisława, Piotrków Trybunalski, 1935 r.;

Fot. 5.

Irena Krasoń, z domu Andrzejczak, 1927 r.;

Fot. 6.

Widok z balkonu domu przy ul. Wzgórze Partyzantów na Liceum Ogólnokształcące im. Stefana Żeromskiego, ukończone przez wszystkich czterech synów.;

Fot. 7.

Stanisław Krasoń, Warszawa 1928 r.;

Fot. 8.

Stanisław Krasoń wraz z małżeństwem Gonerów, Gniazdowo, woj. mazowieckie., 1964 r.;

Fot. 9.

Liceum Ogólnokształcące im. Stefana Żeromskiego w Jeleniej Górze. Od lewej strony siedzą: Stanisław Krasoń, Lucyna Galikowska, E. Pokrzywa, Edward Piwko.;

Fot. 10.

Wycieczka motocyklowa Stanisław Krasonia i jego syna Jacka. Spotkanie między Wyszkowem a Łochowem. Stanisław na motorze SHL, Jacek na motorze WSK.;

Fot. 11.

Wycieczka samochodowa, 1969 r.;

Fot. 12.

Gniazdowo, ostroga regulacyjna w wykonaniu Janusza Gonery, 1965 r.;

Fot. 13.

Stanisław Krasoń z numerem jenieckim "1279" w oflagu X A/Z Itzehoe (Niemcy), październik 1939 r.